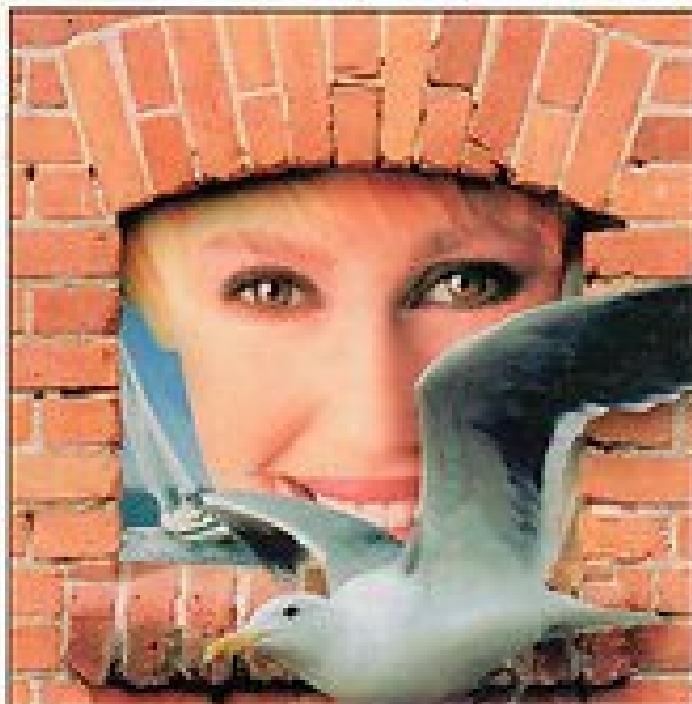


JANE HELLER



W RYTMIE CZA CZA

zibek

Heller Jane

W rytmie cza cza

**Co ma począć kobieta, której mąż traci cały majątek na giełdzie...
a następnie porzuca ją dla swojej pierwszej żony?
Jeśli nazywa się Alison Waxman Koff i większość dobrych, złotych
lat osiemdziesiątych przeżyła w luksusowym domu w podmiejskiej
dzielnicy bogatych rezydencji w Connecticut, sprzedaje wszystkie
futra i rezygnuje z usług manikiurzystki. Gdy to nie wystarcza, sięga
po swoją jedyną umiejętność: zaczyna sprzątać cudze domy. Kiedy
zajęcie to kończy się morderstwem słynnej autorki szkalujących
biografii, Alison staje wobec konieczności sprostania jeszcze jednej
roli - głównej podejrzanej.**

**Kryminał miesza się z romanssem i błazeńską komedią w tej poruszającej
i zabawnej debiutanckiej powieści Jane Heller o miłości
i przetrwaniu w latach dziewięćdziesiątych. Alison Waxman Koff
okazuje się bohaterką na miarę naszych czasów, kiedy walczy, aby
dotrzymać kroku zmianom wokół siebie i zdobyć miłość mężczyzny,
który niespodziewanie staje się wymarzoną królewną z bajki.**

Każdy lubi cza-cza-cza.

- Sam Cooke

Prawda jest potęgą i w końcu zwycięży.

Wszystko się zgadza, poza tym, że to nieprawda.

— Mark Twain

Prolog

- Wszyscy są wstrząśnięci, że coś takiego mogło się wydarzyć w Layton - powiedziała Lisbeth Tolliver, zamieszkała przy Dogwood Path pod numerem 231, oddając w ten sposób uczucia wielu mieszkańców Layton, poruszonych wtorkową śmiercią autorki biografii sławnych ludzi, Melanie Moloney. Pięćdziesięcioletnia Moloney, mieszkająca przy Bluefish Cove pod numerem siódmym, narysowała sylwetki kilku najśłynniejszych gwiazd. Jej ostatnia książka, nosząca tytuł „Oporny bohater: Nie autoryzowana biografia Charltona Hestona”, przez dwadzieścia siedem tygodni utrzymywała się na liście bestsellerów „The New York Timesa”, a telewizja zakupiła prawa do jej ekranizacji. Pochodząca z Illinois Moloney, niezmordowana poszukiwaczka tematów, przeniosła się w 1988 roku do Connecticut, aby znaleźć się jak najbliżej przedmiotu swojej najnowszej nie autoryzowanej biografii. Był to aktor, a później senator, siedemdziesięcioletni Alistair P. Downs, aktualnie właściciel „The Layton Community Times”.

Sierżant Raymond Graves z Wydziału Policji w Layton oświadczył, że nie zatrzymano dotąd nikogo podejrzanego, ale że w najbliższym czasie spodziewa się przełomu w tej sprawie. Sierżant Graves dodał także, iż zbrodnia popełniona na Moloney jest zaledwie dwunastym morderst-

wem w Layton w ciągu ostatnich czterdziestu lat. Potem odmówił dalszych komentarzy. Mieszkająca samotnie Moloney została zabita uderzeniem w głowę we wtorkowy wieczór, dwudziestego lutego. Jej ciało znalazła następnego dnia rano jej gospoia...

„The Layton Community Times” z 23 lutego 1990 roku.

Część pierwsza

1

Dziewiętnastego października siedziałam właśnie w salonie piękności Monsieur Mark, czekając na usunięcie zbędnego owłosienia z nóg, lakierowanie paznokci i ułożenie włosów, kiedy załamała się giełda.

Oczywiście dowiedziałam się o tym dopiero później. Mój mąż, Sandy, zjawił się w łazience w chwili, kiedy wchodziłam do wanny z masażem wodnym i poinformował mnie, że zbankrutowaliśmy. Tak po prostu. W poniedziałek rano mieliśmy pieniądze, w poniedziałek wieczorem już nie. W poniedziałek rano byłam księżniczką z dzielnicy rezydencji, wybierającą się do manicurzystki, w poniedziałek wieczorem - zrozpaczoną kobietą, mającą stracić męża, dom, pracę, a na dodatek mającą zostać oskarżoną o morderstwo. Ile może się zmienić w ciągu jednego dnia.

Pamiętam ten czarny poniedziałek, jakby to było wczoraj. Czarny poniedziałek. Poniedziałek, w który nastąpił krach na giełdzie. Trzeba było się pożegnać ze starymi, dobrymi poniedziałkami. Sandy grał na giełdzie ryzykownie, narażając się na duże straty w przypadku załamania, co oczywiście zdarzyło się w ten pechowy, październikowy dzień.

- Przepadło! - krzyknął Sandy i złapał mnie za gołe ramiona, gdy tak stałam zanurzona po kolana w gorącej, wirującej wodzie.

- Co przepadło? - zapytałam, zerkając na swoją nagą postać, aby upewnić się, że nie zgubiłam żadnej części ciała.

- Wszystko. - Usiadł na brzegu wanny i ukrył twarz w dłoniach, mamrocząc coś pod nosem.

- Nie słyszę cię - powiedziałam. Silniczek poruszający wodę zagłuszał jego słowa.

- Straciliśmy nasze pieniądze - odparł i zaczął łkać. Nigdy nie widziałam, żeby Sandy płakał, toteż nieźle się przestraszyłam.

- Co to znaczy: straciliśmy nasze pieniądze? Powiedz mi, co się stało.

- To się stało, że załamała się giełda. Straciliśmy wszystko. Nic nie zostało.

- Jak to się mogło stać?

- Po prostu. A co się stało, to się nie odstanie. - W połowie lat siedemdziesiątych Sandy uczęszczał na kursy retoryki i przypominał sobie różne zwroty, ilekroć był zdenerwowany.

- Ależ Sandy, przecież nie wszystkie nasze pieniądze są na giełdzie. Mamy przecież obligacje skarbowe i pieniądze z funduszu emerytalnego.

- Już nie. Parę miesięcy temu zainwestowałem wszystko w giełdę.

- Co zrobiłeś? - Nagle poczułam, że zaraz zwrócę swój lunch prosto do wanny. Wszystkie nasze pieniądze były na giełdzie? Nastąpił krach? Jesteśmy zrujnowani? Za dużo tego było, żeby wytrzymać. Szybko! Jakiś kawał! Jakiś kawał! Kiedy jest ci źle, przypomnij sobie jakiś żart, Alison. To zawsze była twoja dewiza. Pomyśl o czymś zabawnym, żeby przegnać smutki. Śmieć się aż do utraty tchu, wtedy nic nie będziesz czuła. - Sandy - spróbowałam. - Wiesz, kto to jest doradca ekonomiczny? - Mój mąż spojrzał na mnie z niedowierzaniem. - To ktoś, kto chciał się zajmować finansami, ale zabrakło mu osobowości.

Czekałam, żeby zrozumiał. Nie zrozumiał; patrzył na mnie, jakbym zwariowała. Ale ja nie straciłam rozumu, tylko swoje pieniądze. Pieniądze Sandy'ego. Właśnie dla tych pieniędzy wyszłam za niego za mąż.

- Alison - powiedział z ogromną cierpliwością, zrozumiawszy, w jakim muszę być szoku, skoro w takiej chwili opowiadam kawały. - To prawda. Wszystkie nasze pieniądze zainwestowałem na giełdzie, a giełda dzisiaj się załamała. Spróbuj się oswoić z tą myślą, tak jak ja to robię.

Odetchnęłam kilka razy, powoli, głęboko. - Już dobrze. Dobrze. Jestem spokojna. Myślę logicznie. Wyjaśnij mi więc tylko, po jakiego czorta grałeś na giełdzie całym naszym majątkiem?

- Dotychczas nie skarżyłaś się na sposób, w jaki dysponowałem naszymi pieniędzmi.

- Teraz też się nie skarżę. Po prostu próbuję oswoić się z sytuacją, jak to określiłeś. Dlaczego zainwestowałeś wszystko, co mieliśmy?

- Bo mi się powiodło na giełdzie. Zarabiałem dla nas pieniądze - tak dużo, że postanowiłem ulokować nasze oszczędności tam, gdzie naprawdę umiałem ich pilnować.

- Ależ Sandy, przecież nie jesteś finansistą. Jesteś handlowcem. Sprzedajesz ubrania, buty, bieliznę.

- Mój mąż zarządzał domem towarowym Koffa, największym i najstarszym w naszym mieście.

- No tak, ale teraz wszyscy grają na giełdzie, Alison. Popatrz na Berta Gormana i Alana Lutza. Bert jest dermatologiem, ale sam dokonuje swoich transakcji giełdowych. Podobnie Alan, chociaż jest dentystą. To nic wielkiego.

- Nic wielkiego? Oświadczasz mi, że straciłeś wszystkie nasze pieniądze i mówisz, że to nic wielkiego? - Twarz mi się zaczerwieniła, a nogi zdrewniały od długiego stania w gorącej wodzie. Wyszłam z wanny i zawinęłam się w jeden z ręczników, firmowanych przez Adrienne Vitadini, zakupionych u Bloomingdale'a. Czekałam, żeby Sandy powiedział coś głębokiego, tym swoim pięknym językiem, którego używał, znajdując się w trudnej sytuacji.

- W porządku. Spieprzyłem to - rzekł w końcu. - Przyznaję się. Ogarnia mnie ból, poczucie winy i wstyd. W gruncie rzeczy tak bardzo się wstydzę, że chcę, abyśmy opuścili miasto. Nie zniosę, żeby ludzie szeptali na mój temat w restauracjach.

- Opuścili Layton? Żartujesz chyba. - Layton, małe, lecz eleganckie miasteczko w stanie Connecticut, położone wzdłuż cieśniny Long Island, niespełna godzinę i kwadrans drogi od Manhattanu, zawsze było moim domem. - Nie możemy wyjechać z Layton, Sandy. Tutaj mieszkamy. Tu mieszkają nasi rodzice. A co z twoją pracą u Koffa? Ten sklep to coś trwałego w Layton, żyła złota. Nie martw się. W krótkim czasie odzyskasz nasze pieniądze.

- Czy nie słyszałaś słowa z tego, co powiedziałem, Alison? Gięda się załamała! Myślisz, że dom towarowy nie ucierpi? Że ludzie nadal będą mieli pieniądze na markową odzież? Co ty, dziecino. Bądź rozsądna.

Rzecz w tym, że byłam rozsądna. Choćbym nie wiem jak się starała, nie mogłam uciec przed okropną rzeczywistością - przed faktem, że nasze „dostatnie życie”, jakby to określiło moje ulubione czasopismo, „Town&Country”, miało się skończyć.

Oczywiście Sandy miał rację przewidując, że krach na giełdzie zrobi z Koffa główniany interes. Przez niepewną gospodarkę i jeszcze bardziej niepewnych konsumentów zarobki Sandy'ego u Koffa drastycznie spadły. Spadł też jego hart ducha. Z powodu kłopotów finansowych Sandy popadł w całkowite przygnębienie, które zawiodło go na powrót do doktora Weinblatta, psychoterapeuty wspierającego go w czasie rozpadu pierwszego małżeństwa.

Najwyraźniej doktor Weinblatt rozbudził w Sandy'ym tęsknotę za dawnymi, dobrymi dniami tamtego pierwszego małżeństwa, bowiem dziesięć miesięcy po czarnym poniedziałku, który pozbawił mnie resztek poczucia bezpieczeństwa, Sandy oświadczył, że mnie opuszcza dla swojej pierwszej żony.

Nastąpiło to w pewien sierpniowy, wieczór we wtorek, który odtąd zaczęłam nazywać czarnym wtorkiem. Jedliśmy właśnie na kolację chińskie danie na wynos. We wtorki zawsze była na kolację chińszczyzna z restauracji, ponieważ we wtorki wieczorem Sandy miał wizyty u swojego psychoterapeuty. Niektórzy mężowie spędzają wieczory na grze w kręgle; mój mąż chodził na sesje z terapeutą.

Po wizytach u psychoanalityka Sandy wolał jeść w domu. Twierdził, że po spotkaniach z doktorem Weinblattem czuje się zanadto „obnażony”, aby iść do restauracji, gdzie ludzie będą bacznie śledzić jego każdy ruch. Sandy cierpiał nie tylko z powodu niechęci, by być obserwowanym, ale również z powodu przekonania, że dla ludzi w restauracji jest niezwykle interesującym obiektem obserwacji.

W sąsiedztwie gabinetu doktora Weinblatta znajdowała się przyzwoita chińska restauracja, toteż w ka-

zdy wtorkowy wieczór przed swoją wizytą Sandy zatrzymywał się koło Złotego Lotusa, zostawiał nasze zamówienie, a po pięćdziesięciu minutach z psychoanalitykiem odbierał jedzenie i przywoził je do domu.

Dom, to była osiemnastopokojowa willa w stylu kolonialnym o powierzchni sześciuset siedemdziesięciu metrów kwadratowych. Nie, nie było z niej widoku na wodę, niemniej uchodziła za jedną z najlepszych posiadłości w Layton, a to ze względu na ponad czteroakrowy park i dodatkowe zabudowania. Był tam i domek gościnny, i mieszkanie dla służby, i wiata dogodna przy organizacji przyjęć - żadnego z tych budynków nie używaliśmy od miesiąca. Nie mieliśmy już bowiem żadnej służby, żadnych gości, nie urządzaliśmy spotkań towarzyskich.

Kiedy w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym roku kupiliśmy dom, Sandy chciał, byśmy go jakoś nazwali. - Każda posiadłość ma swoją nazwę - przekonywał. Uważałam, że dla nowobogackiego, żydowskiego małżeństwa, Alison i Sandy'ego Koffów, pójście w ślady zamożnych od pokoleń Amerykanów o brytyjskich korzeniach będzie pretensjonalne. To oni nazywali swoje siedziby Wśród Krzewów, Wzgórze Harmonii czy Oaza Spokoju. Jednak pewnej nocy przekonałam się do pomysłu Sandy'ego. Ostatecznie wybraliśmy Klonowy Dworek, nazwę, która honorowała stuletnie klony, rosnące w parku i nadawała im zasłużoną rangę.

Klonowy Dworek był urządony w stylu zachłannego przepychu dominującym w latach osiemdziesiątych. Innymi słowy, wydaliśmy nieprzyzwoitą ilość pieniędzy na nowojorskiego projektanta, który tak zamącił nam w głowach w kwestii umeblowania, że

pozwoliliśmy mu przekształcić dom w amerykańską stolicę atłasu. Nancy Reagan wylansowała slogan *Po prostu powiedz nie* dla ludzi kuszonych przez dystrybutorów narkotyków. Sądzę, że to powiedzenie świetnie się nadaje także dla klientów onieśmielanych przez dekoratorów wnętrz.

Pomimo wszechobecnego atłasu dom był cudowny - ogromne sypialnie, każda z oddzielną łazienką i kominkiem; książęco wspaniałe, wysokie pokoje bawialne; i gigantyczna kuchnia z aneksem jadalnym, która po kosztującej pięćdziesiąt tysięcy dolarów renowacji świeciła blaskiem nowych podłóg, szafek, blatów i najnowocześniejszego sprzętu kuchennego, miała zaś wyglądać tak, jakby od pokoleń nic się w niej nie zmieniło. Mój ulubiony pokój znajdował się na pierwszym piętrze. Kiedyś używany był jako pokój dziecienny, my jednak urządziliśmy tam przestronny gabinet dla mnie. Dawno już postanowiliśmy mieć dzieci kiedy będziemy starsi. Gdy kupowaliśmy dom, miałam trzydzieści cztery lata, a Sandy właśnie skończył czterdzieści. Można by pomyśleć, że już czas, żeby posiadać dzieci. Jednak wśród małżeństw lat osiemdziesiątych, wyznających zasadę, że najważniejsze jest to, czego się chce i wtedy, kiedy się chce, istniała moda na czekanie, aż okres zdolności do prokreacji się skończy. Następnie podejmowano nadludzkie wysiłki, żeby zajść w ciążę, wydawano tysiące dolarów - normalnie przeznaczanych na zakup domów, ciuchów czy samochodów - na sztuczne zapłodnienie i leki na płodność (i niech nikt nie mówi, że najpopularniejszym narkotykiem lat osiemdziesiątych była kokaina - hormonalne środki na bezpłodność były popularniejsze!), wreszcie zaś, gdy nic nie pomogło, popadano w jeszcze

większe szaleństwo przy decyzji, co robić dalej: adoptować, stworzyć rodzinę zastępczą, zupełnie zapomnieć o dzieciach, czy też wybrać się na kojącą wycieczkę na Karaiby, aby raz jeszcze wszystko przemyśleć.

Z okien mojego gabinetu, wychodzących na południe, dzięki czemu przez większą część dnia pomieszczenie zalewało światło słoneczne, rozciągał się widok na nasz basen, korty tenisowe i park. W tym właśnie pokoju pisywałam artykuły o sławnych ludziach. Byłam autorką luźno związaną z „The Layton Community Times”, dwutygodnikiem dla Layton i okolicznych miasteczek.

Też coś, można by pomyśleć. Pisuje więc do małej, lokalnej gazety. Z jakimi to sławami udało jej się przeprowadzić wywiady?

Z wieloma, zapewniam. Po pierwsze, Layton ma swój własny teatr, gdzie wystawiane są najlepsze sztuki z Broadwayu, ja zaś byłam dziennikarką obsługującą wszystkie premiery i przeprowadzającą rozmowy ze wszystkimi gwiazdami. A po drugie, Layton jest miejscem zamieszkania dziesiątek sławnych ludzi - gwiazd filmowych i telewizyjnych, pisarzy, gwiazd rocka i kogo tylko chcecie - z których większość była szczęśliwa, mogąc nadać rozgłos swoim ostatnim przedsięwzięciom.

To w ramach pełnienia obowiązków dziennikarki, pisującej o sławnych ludziach dla „The Layton Community Times” spotkałam Sandy'ego Koffa - Sandorfa Joshuę Koffa, syna właściciela domu towarowego, istniejącego w mieście na długo przed pojawieniem się tu różnych Gaps i Benettonów. Okazją do przeprowadzenia wywiadu z Sandym stało się przejście w marcu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego-

go roku jego ojca na emeryturę i oddanie pełnej kontroli nad sklepem w ręce Sandy'ego.

Czekałam wtedy na to spotkanie z Sandym, słyszałam bowiem, że się niedawno rozwiódł. Sama byłam świeżą rozwódką, mieszkającą w trzypokojowym apartamencie, zajmowanym wcześniej z moim pierwszym mężem, Rogerem, który porzucił mnie i praktykę lekarską, aby zostać dyrektorem generalnym w koncernie Club Med. Ojciec Rogera sprzedawał guziki na Long Island i był bardzo bogaty. W związku z tym Roger też był bogatym człowiekiem i mógł sobie pozwolić na zostanie lekarzem, a potem na rezygnację z uprawiania zawodu.

Dzień, w którym spotkałam Sandy'ego, był łaskawy dla moich włosów; sięgające ramion brązowe loki, zwykle rozsypujące się w nieładzie, tym razem tego me zrobiły. Pamiętam, że przeglądając się owego dnia w lustrze, myślałam: Nie najgorzej, Alison

W istocie nie jestem brzydka. Jestem szczupła, ale nie zanadto płaska, średniego wzrostu i o delikatnych ijak na Żydówkę, rysach. Mam chropawy głos duże ciemne oczy i piegi na całkiem prostym nosie. Ludzie twierdzą, że wyglądam jak aktorka Karen Allen co oznacza również, że jestem podobna do aktorek Brooke Adams i Margot Kidder, gdyż Karen Allen, Brooke Adams i Margot Kidder wyglądają identycznie

Mój wywiad z Sandym odbył się w jego biurze na pierwszym piętrze domu towarowego Koffa.

- Miło mi panią poznać - powiedział, wstając z krzesła i wychodząc zza ogromnego biurka, aby się ze mną przywitać. Byłam pewna, że przy okazji obejrzał mój kostium i zastanawiał się, czy nabyłam go u Koffa.

Wyjaśniłam Sandy'emu, jak ma wyglądać mój artykuł i zaczęliśmy rozmawiać o jego planach, dotyczących sklepu. Na podstawie licznych uwag w psychologicznym stylu, które wygłosił w ciągu naszych pierwszych wspólnych czterdziestu pięciu minut, odniosłam wrażenie, że jest bardzo szczerym człowiekiem. „Psychologiczne” uwagi brzmiały:

Walczyłem, żeby zrozumieć sprzeczne uczucia, jakie targaly mną, gdy myślałem o prześcignięciu ojca. Albo: Czulem prymitywną żądzę sukcesu, a jednocześnie podświadome pragnienie, aby do niego nie dopuścić. Nie mając zbyt wielkiego kontaktu z psychologią uważałam, że ludzie używający tak fachowych określeń są bardziej otwarci i godni zaufania niż pozostali. Ja zaś, Bóg mi świadkiem, wychowana przez matkę, dla której otwartość polegała na trzymaniu w sekrecie swojego prawdziwego wieku, a potem zameżna z człowiekiem, który ideę zaufania realizował, informując mnie o rozwodzie za pośrednictwem sekretarki, rozglądałam się właśnie za kimś szczerym i wiarygodnym.

Na dodatek wygląd Sandy'ego wywarł na mnie pozytywne wrażenie. Błyskał dużymi białymi zębami w miłym uśmiechu, który przeobrażał jego długą, chudą, smutną twarz Staną Laurela, dodając jej trochę ciepła. Miał też długi, chudy nos, długie, chude, porośnięte ciemnymi włoskami palce o wypiełgnowanych paznokciach i długie, chude ciało. W gruncie rzeczy Sandy miał wszystko długie i chude, z wyjątkiem bardzo ciemnych włosów, które były krótkie i cienkie oraz penisa, który był długi i gruby (więcej na ten temat później). Może nie był ideałem męskiej

urody, uznałam jednak, że jest atrakcyjny, trochę w stylu Anthony Perkinsa z rzadziejnymi włosami. Szczególnie poruszył mnie widok jego jabłka Adama, poruszającego się w górę i w dół z taką gwałtownością, że nie mogłam oderwać wzroku.

Tego pierwszego dnia zauważyłam także, że jest bardzo opalony, jak na środek marca. Powiedział mi, że właśnie wrócił z Malliohuana, kurortu na Karaibach, który kiedyś był mało znanym schronieniem dla wyrafinowanych Europejczyków, teraz jednak, na skutek reklamy w „Lifestyles of Rich and Famous”, stał się najmodniejszym miejscem wakacji towarzystwa rolexowego, czyli wszelkich lekarzy, prawników itp.

Zaczęliśmy się umawiać z Sandym od razu po spotkaniu w jego biurze. Zapraszał mnie na obiady. Zapraszał na kolacje. Zabierał na zawody sportowe. Zabierał do romantycznych, małych hotelików w Vermont. Przedstawił mnie swoim przyjaciołom. Przedstawił rodzicom. Przedstawił mnie nawet swojemu „fizycznemu katalizatorowi”, jak określał osobistego trenera, który trzy razy w tygodniu przychodził do jego domu i uczył go podnoszenia ciężarów. Zanim się spostrzegłam, zapamiętaliśmy nawzajem swoje numery telefoniczne i nadaliśmy sobie pieszczotliwe przezwiska (ja nazywałam Sandy'ego Basset, bo mi go przypominał; dla Sandy'ego byłam Alergią, bo brzmiało to podobnie do Alison, no i założyłam mu za skórę jak dokuczliwa wysypka). Zanim się spostrzegłam, opowiedzieliśmy sobie nawzajem różne pikantne i niesmaczne rzeczy o poprzednich współmałżonkach. Zanim się spostrzegłam, przyzwyczailiśmy się do siebie, zwłaszcza w łóżku: przestałam sypiać nago, a Sandy przestał mi proponować, żebym się rozebrała

w łóżku; przestałam udawać, że podoba mi się miłość francuska, Sandy zaś przestał udawać, iż tego nie zauważa. Zanim się spostrzeżliśmy, staliśmy się typową parą lat osiemdziesiątych.

A co z uczuciem, można by zapytać? Wtedy nie szukałam uczuć. Szukałam jedynie czegoś stabilnego w życiu - gwarancji, że facet, którego poślubię, jest bogaty. Tego nauczyłam się od matki, która w kółko mi powtarzała, iż nie należy ufać mężczyźnie, chyba że ma pieniądze; że mężczyzna nie jest godzien szacunku, chyba że ma pieniądze; że mężczyzny nie można traktować jak materiału na męża, chyba że ma pieniądze - najlepiej zarówno odziedziczone, jak i zarobione przez siebie. Po latach takiego prania mózgu wyrobiłam sobie opinię, że śmiało można mieć romans z pracownikiem stacji benzynowej, jeśli tylko twój mąż jest jej właścicielem.

Toteż w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym roku poślubiłam Sandy'ego Koffa, który miał pieniądze. Wydawał się szczęśliwy. Podobnie moja matka. Uważałam, że jeśli dwoje z trójki, to już całkiem nieźle (to moje przekonanie sporo mówi, ile oczekiwałam od życia).

Sprzedaliśmy moje mieszkanie i przez krótki czas mieszkaliśmy nad wodą w sześciopokojowym domu Sandy'ego, który wynajął, gdy jego pierwsza żona wyrzuciła go z ich pięciopokojowego domu nad wodą. Potem kupiliśmy Klonowy Dworek i przenieśliśmy się do niego. Życie było słodkie. Sandy kierował domem towarowym Koffa, ja pisałam artykuły o sławnych i prawie sławnych. Ubieraliśmy się drogo, jeździliśmy drogami samochodami, jadaliliśmy w drogich restauracjach i uprawialiśmy miłość na tyle, aby

zapobiec zanikowi naszych narządów płciowych. Odkryłam przyjemności związane z pracami w ogrodzie, Sandy odkrył emocje związane z grą na giełdzie. Kupiłam wszystkie książki Marthy Stewart, aby nauczyć się wydawać przyjęcia, Sandy kupił komputer, by łatwiej śledzić swoje transakcje. Mieliśmy przyjaciół, mieliśmy służbę, mieliśmy pieniądze - aż do czarnego poniedziałku, kiedy straciliśmy wszystko. Cóż, trudno, ale mieliśmy jeszcze siebie, pocieszałam się przez następnych parę miesięcy. A potem nadszedł czarny wtorek, dzień w którym Sandy wrócił od doktora Weinblatta, pochłonięty myślami nie tylko o chińskim jedzeniu na wynos.

- Już jestem w domu - zawołał przez interkom w kuchni. Zainstalowaliśmy interkomy na każdym piętrze Klonowego Dworku, żebyśmy nigdy nie musieli się wydzierać.

- Zaraz schodzę - powiedziałam do interkomu w moim gabinecie na pierwszym piętrze. Było wpół do ósmej, kilka ostatnich godzin spędziłam nad artykułem o June Allyson, która pojawiła się w Layton nie tylko z akcją promocyjną bielizny, ale także, aby zagrać w przygotowywanym właśnie w naszym teatrze spektaklu *Południowy Pacyfik*.

Pospiesznie zeszałam kuchennymi schodami i wkroczyłam do kuchni, gdzie Sandy rozpakowywał białe pojemniki z chińszczyzną i nakładał jedzenie do ślicznych szklanych salaterek, które zdobyłam w domu aukcyjnym Sotheby's. Sandy zdążył się już przebrać w szlafrok i kapcie i zdawał się uśmiechać, czego nie widziałam od miesięcy.

- Jesteś w dobrym humorze - powiedziałam pogodnie, kiedy przenosiliśmy jedzenie, nakrycia, ser-

wetki i sztuce do przeszklonego aneksu jadalnego. Zasiedliśmy z dala od siebie przy intarsjowanym stole i zaczęliśmy jeść.

- Może chcesz naleśnik? - spytał Sandy, oferując mi jeden z przysmaków z zestawu Pu Pu.

- Nie, dziękuję - odparłam, chwilowo usatysfakcjonowana sezamowymi kluseczkami. - Powiedz mi, dlaczego jesteś w tak wspaniałym nastroju. Czy poprawił się stan interesów w sklepie?

- Nie - odpowiedział Sandy z ustami pełnymi naleśnika. - To nie ma nic wspólnego ze sklepem. To ma związek z Soozie.

- Z Soozie? - zapytałam słodko, bardzo się starając, aby nie zabrzmiało to jędzowato. Soozie była pierwszą żoną Sandy'ego. Zajmowała się organizacją przyjęć, ale w przeciwieństwie do mojej idolki, Marthy Stewart, nie miała głowy do interesów. Owszem, umiała gotować, o czym Sandy nie omieszkał napomknąć za każdym razem, kiedy moje usiłowania zrobienia czegoś z parzonego ciasta kończyły się niepowodzeniem. Ale nie potrafiła się sprzedać. W rezultacie udało jej się zorganizować niewiele przyjęć. Rozwiodła się z Sandym, gdyż *chciała rozłożyć skrzydła i wznieść się w górę*. Z tego co słyszałam, rozkładała całkiem nieźle, ale nie skrzydła. Jednak dopóki nie robiła tego z Sandym, nie obchodziło mnie, jak jego była żona spędza swój wolny czas.

- Miałem zamiar poczekać, aż skończymy posiłek

- rzekł Sandy i, odłożywszy na talerz swój widelec, sięgnął przez stół, wyjął mi z dłoni sztuce i ujął obie moje dłonie. Czułam, że zaraz nastąpi coś wielkiego, ale nie miałam zielonego pojęcia, co się zdarzy.

- Alergio, naprawdę jestem bardzo zadowolony, gdyż

uświadomiłem sobie wreszcie, jakie są podstawy moich uczuć do ciebie.

Przerwał. Siedziałam oniemiała. Czy zawsze tak mówił? Czy nigdy nie zauważyłam, jak to śmiesznie brzmiało?

- Alergio - ciągnął dalej. - Teraz, kiedy mogę zdefiniować twoją rolę w moim życiu, czuję, że jesteś mi bardzo bliska. - Jeszcze jedna przerwa, potem głęboki oddech, w końcu szeroki uśmiech. - Byłaś moją przejściową kobietą.

Przerwałam przeżuwanie. Kluseczki sezamowe, które jeszcze sekundę wcześniej smakowały wyśmienicie, nagle stały się podobne do tektury. Serce zaczęło mi bić w przyspieszonym rytmie, gdy czekałam na zakończenie przemowy Sandy'ego. Wiedziałam, że będzie ciąg dalszy. Zawsze był.

- Chodzi o to - kontynuował Sandy, wstając od stołu i otaczając mnie ramieniem - że Soozie nadal mnie kocha i chce, żebym wrócił, i ja ciągle ją kocham i pragnę być z nią.

Szybko! Wymyślić jakiś kawał! Myślałam gorączkowo, jednocześnie usiłując zrozumieć, co mówił do mnie mój mąż.

Co on mówił? Że spotykał się z Soozie za moimi plecami? Że znowu byli kochankami? Że kochał ją przez cały czas, zaś ożenił się ze mną, bo czuł się samotny i znudzony? Że nie sprawdziłam się jako żona, jako kobieta, jako kucharka? Że porzuca mnie na zawsze? Że znowu zostanę sama?

Korciło mnie, żeby cisnąć w Sandy'ego talerz z chińskim jedzeniem, bardzo mnie korciło. Obraz gęstego, ciemnego sosu, ściekającego na ten szlafrok od Ralph Lauren, puszysty biały, z haftem na

kieszonce był potwornie kuszący. Byłam jednak zanadto podniecona, żeby potem posprzątać bałagan, a zbyt obsesyjnie lubiłam porządek, by zostawić sprzątanie Marii, naszej peruwiańskiej gosposi, która nigdy nie znalazła u nas nawet pyłku, gdyż codziennie rano przed jej przyjściem porządkowałam cały dom.

Szybko! Kawał! Kawał! Oczy mnie piekły z bólu i ze złości, ale postanowiłam nie płakać. Nigdy nie pozwól, żeby dostrzeżono, jak się pocisz. Czyż nie tak mówią w reklamach?

Sandy, mój mąż. Spójrz tylko na mego, pomyślałam. Co za żaloszny widok. Ukończył z wyróżnieniem Columbia University i był prymusem na nowojorskim kursie dla biznesmenów, me mógł więc być kompletnym idiotą, a jednak wystarczyło teraz posłuchać, co on mówi. I jak wygląda. Zaczesał swoje ostatnie trzy włosy na krzyż na przedwcześnie wyłysiałe czoło i wydaje mu się, że w ten sposób wszystkich oszuka. A wszyscy wiedzą, że łysiejesz, pacanie. I ta Soozie, dziwka od przyjęć. Zeby mnie zostawiać dla takiej kobiety. Dla Soozie, noszącej naprawdę bardzo ładne imię - Diana, lecz upierającej się, żeby wszyscy nazywali ją Soozie.

- Wiem, że musisz być zdruzgotana - powiedział Sandy, mocno obejmując mnie ramionami.

Zdruzgotana? Zdruzgotana? Myślałam szybko, rozpaczliwie starając się ukryć swoją panikę. Moja matka zawsze powtarzała, że nie wolno dać poznać mężczyźnie, jak bardzo jest się od niego zależną. Nigdy nie wolno okazać, jak bardzo na nim zależy. Trzeba zawsze trzymać go w niepewności. Zachować dla siebie swoje prawdziwe uczucia. Nigdy nie nosić serca na dłoni. Szybko! Kawał! Kawał!

- Alergio? Wszystko w porządku? Odezwiij się - rzekł Sandy, patrząc na mnie z autentyczną troską. Wzięłam głęboki oddech i powiedziałam mojemu niewiernemu drugiemu mężowi dwie rzeczy. Po pierwsze: - Sandy, świetnie się składa, że wracasz do boozie, bo od pewnego czasu mam ochotę spotykać się z innymi mężczyznami. Znasz moje motto - *Nigdy nie stawiaj wszystkiego na jedną kartę*.

Zaczekałam, żeby zrozumiał żart, po czym przystąpiłam do drugiej sprawy. - A jeśli, Sandy, jeszcze kiedykolwiek nazwiesz mnie Alergią, wszystkim w Layton powiem prawdę o Soozie - że tym trzymanym w sekrecie składnikiem jej *całkowicie naturalnej* sałatki z kurczaka jest glutaminian sodu, a jej *domowe ciasteczka* są z proszku.

Sandy spojrzał na mnie kwaśno, potrząsnął głową i wyszedł z pomieszczenia. - Nie chcesz zaakceptować faktów - rzucił. - Bardzo nie chcesz.

- Cofnij te słowa - wrzasnęłam, grożąc mu palcem. A potem zaczęłam się zastanawiać, co jest gorsze - utrata mężczyzny, czy utrata kartek obiadowych. Bowiem właśnie straciłam jedno i drugie co wcale me było śmieszne.

2

Łatwo sobie wyobrazić, że nie spałam tej nocy kiedy Sandy rzucił mnie dla Soozie. Za każdym razem, gdy zamykałam oczy, myślałam o nich obojgu - o giełdowej grubej rybie i dziwce od przyjęć

Jedna z wizji, stale krążąca po mojej głowie, dotyczyła ich radosnego ponownego spotkania. Wyobrażałam sobie, że po opuszczeniu Klonowego Dworku (spakował swoje walizki ze znaczkiem firmowym Louis Vuitton, wskoczył do swojego mercedesa i pognął do Soozie, zostawiając mnie w jadalni przy stole, zastawionym chińskim jedzeniem na wynos) Sandy zjawił się u dziwki od przyjęć z trudem powstrzymując radość z usunięcia jedynej przeszkody stojącej na drodze ich wspólnego szczęścia - mnie. Czy możecie ich sobie wyobrazić? On podjeżdża przed dom, a tam ona, stojąc w drzwiach, macha do niego ścierką kuchenną. On wyskoczy z mercedesa i rzuci się w jej objęcia, ruchy będą spowolnione, jak na filmach reklamujących szampony. Ona przeczesze palcami jego trzy włosy. On wsunie dłoń pod jej fartuszek. A potem wejdą do domu i będą się namiętnie kochać na kuchennej podłodze. Będą tak oszołomieni szczęściem bycia razem, że zapomną wyjąć z samochodu walizki Sandy'ego i ktoś je ukradnie - wraz z samochodem.

Tę końcową scenę wywoływałam w pamięci za każdym razem, kiedy zaczynałam się czuć przerażona odejściem Sandy'ego. Dobrze by mu zrobiło, gdyby ktoś ukradł mu tego cennego mercedesa wprost sprzed długiego, chudego nosa. Boże, ależ go nienawidziłam. Jak mógł porzucić mnie i Klonowy Dworek? Co się stanie, jeśli ta recesja, o której dyskutowano w każdym programie telewizyjnym, pograży kraj w depresji? Jak w takich czasach poradzę sobie bez mojego męża?

Nie dam rady. Do takiego wniosku doszłam koło piątej nad ranem, następnego dnia po czarnym wtór-

ku. Po prostu nie pozwolę Sandy'emu odejść. Nie będę samotnie walczyć z załamaniem gospodarczym. Odzyskam go. Przekonam go, że krach na giełdzie i problemy z domem towarowym sprawiły, iż zatęsknił za starymi, dobrymi czasami z Soozie, ale że gdyby zastanowił się głębiej, zrozumiałby, że tylko ja mogę go uszczęśliwić, że to ja pomogłam mu stworzyć bogate, dostatnie życie. W końcu mieliśmy z Sandym coś wspólnego: mieliśmy Klonowy Dworek. Niektóre małżeństwa nie rozpadają się ze względu na dzieci. My pozostaniemy razem ze względu na Klonowy Dworek. Pierwsze, co zrobię rano, to pójdę prosto do Sandy'ego, do biura i pokażę mu zdjęcia Klonowego Dworku. On zaś uśmiechnie się do mnie i powie: *Przebacz mi, Alergio. To recesja pchnęła mnie do tego kroku. Zostawiam Soozie i wracam do ciebie. Do Klonowego Dworku.*

Był jakiś kwadrans po dziewiątej i wstawałam właśnie z łóżka, rozważając, w co się ubrać idąc do biura Sandy'ego, kiedy zadzwieczył telefon. Dzwonił Adam Greene, prawnik, a zarazem przyjaciel Sandy'ego jeszcze z czasów szkoły średniej.

- Sandy'ego nie ma - powiedziałam, zakładając, że Adam szuka mojego występnego małżonka, który prawdopodobnie nadal był u Soozie i odpoczywał po nocy pełnej nieokiełznanej namiętności. W gruncie rzeczy, kiedy się odłożyło na bok całą zazdrość i gorycz, trudno było sobie wyobrazić Sandy'ego, oddającego się nocnym namiętnościom bez granic. Owszem, miał ogromny penis, ale co przyjdzie z posiadania ferrari, jeśli się nie umie go prowadzić? Ale nie tylko to. Sandy był najspokojniejszym kochankiem od czasów Marcela Marceau. Nigdy nie jęczał.

Nigdy nie stękał. Nigdy nie powiedział: - Kochanie. Zrób mi to. Daj mi to. - Nigdy nic nie mówił, ani słowa. Gdy się kochaliśmy, można było usłyszeć odgłos upadającej szpilki, co oczywiście oznaczało, że ja także nie stękałam i nie jęczałam. I nie dlatego, że nie tkwiła we mnie potrzeba, by jęczeć i stękać. Po prostu nie można było krzyczeć z rozkoszy, jeśli (a) - nie czułam żadnej rozkoszy, (b) - mój partner zachowywał się jak aktor w filmie pornograficznym dla niesłyszących.

No dobrze. Więc nasze życie seksualne nie było podobne do przeżyć opisywanych w romansach. Nie przejmowałam się tym. Nie zamierzałam zмагаć się z burzliwymi latami dziewięćdziesiątymi w samotności. Zamierzałam odzyskać Sandy'ego, i tyle.

- Wiem że nie ma tam Sandy'ego, Ahson - odezwał się w słuchawce głos Adama Greene'a. - Jest w moim gabinecie. Rozmawialiśmy o waszym rozwodzie.

- Rozwodzie? - Ja tutaj planowałam, jak go odzyskać, a on nie mógł wytrzymać doby, żeby się ode mnie uwolnić.

- Czy masz już swojego adwokata, Alison/ - spytał Adam, ale w jego głosie nie wyczułam tyle troski, żeby poczuć się usatysfakcjonowana. Uważałam Adama Greene'a nie tylko za przyjaciela Sandy'ego, ale i mojego. On i jego żona, Robin, odwiedzali nas dziesiątki razy w Klonowym Dworku, podobnie jak my byliśmy częstymi gośćmi w Belvedere liczącej dwa tysiące metrów kwadratowych siedzibie, którą nazywali swoim domem. W Belvedere były tylko cztery sypialnie, mieściło się tam za to boisko do gry w squasha, z którego Adam i Sandy korzystali często,

dopóki me zrezygnowali ze squasha na rzecz golfa Najświeższe informacje, jakie do mnie dotarły mówiły, że Greene'owie planowali przekształcenie boiska do squasha w kino, gdzie można by wyświetlać równocześnie dwa filmy, tak jak w kinie Loews Twin w Lay ton.

- Nie, Adamie, jeszcze nie wynajęłam prawnika Az do tej chwili nie wiedziałam, że Sandy chce rozwodu. Ciało jeszcze nawet nie zdążyło ostygnąć

- O co ci chodzi? y&

- Nieważne. Powiedz Sandy'emu, że dostanie swój rozwód, ale poczuje go w portfelu.

- Nie wydaje mi się, Alison. Od tego momentu będziesz na swoim własnym utrzymaniu.

- O czym ty mówisz?

- W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym roku podpisałaś intercyzę, zanim kupiliście z Sandym Klonowy Dworek. Pamiętasz?

Cholera. Całkiem o tym zapomniałam. Sandy nalegał, żebyśmy spisali taką umowę, wiedział bowiem że to on jest stroną wnoszącą pieniądze, ja zaś, nie chcąc, by myślał, że jestem od niego zależna - albo jeszcze gorzej, że jestem łowcą posagów - podpisałam umowę, która stwierdzała, że jeśli kiedykolwiek zerwiemy ze sobą, otrzymam to, co wniosłam do naszego związku, a on to, co sam wniósł, czyli całe morze więcej niż ja. Jeśli chodzi o Klonowy Dworek intercyza przewidywała możliwość wykupienia gó przez jedną ze stron. Gdyby żadne z nas nie chciało domu, mieliśmy prawo go sprzedać, a zysk ze sprzedaży podzielić w stosunku trzy do jednego. Łatwo zgadnąć, kto dostawał mniej. - Sandy prosił, żeby ci przekazać, że nie chce

domu, bo zamierzają zamieszkać u Soozie. Możesz zostać w Klonowym Dworku pod warunkiem, że będziesz miała pieniądze, żeby wykupić Sandy'ego.

- Cudownie - rzuciłam, zastanawiając się, co gorszego może mi się jeszcze przydarzyć. - Sandy wie cholernie dobrze, że nie mam takich pieniędzy.

- W takim razie będziesz musiała wystawić Klonowy Dworek na sprzedaż - powiedział Adam.

- Mam go sprzedać? Nasz prześlizgnięty dom, na który wydawaliśmy wszystkie nasze pieniądze? Jeśli tego z Sandym nie zauważyliście, pragnę was poinformować, że w tej chwili nie istnieje normalny rynek obrotu nieruchomości. Będziemy musieli oddać dom za darmo.

- Alison, nie jestem twoim prawnikiem, ale gdybym był, powiedziałbym ci, że nie masz wyboru. Jak wiesz, finanse Sandy'ego nie wyglądają tak jak niegdyś i nie jest w stanie dłużej spłacać rat za dom. Jeśli ogłosi bankructwo i zostaniecie pozbawieni wszelkich praw do waszego pięknego domu, będziesz musiała go opuścić, mając w perspektywie proces sądowy i spłatę nieprzyjemnych rat bankowych.

- I to wszystko? To wszystko, co Sandy ma mi do powiedzenia po pięciu latach małżeństwa? Że jeżeli szybko nie sprzedam domu, przejmie go bank, a ja będę zrujnowana?

Adam przesłonił mikrofon słuchawki dłonią i szepnął coś Sandy'emu. Po chwili odezwał się znowu.

- Sandy prosił, żebym ci coś powiedział, Alison. Życie jest jak góra. Zaczynij się na nią wspinać.

- Wielkie dzięki, Adamie. Ja też chciałabym coś powiedzieć Sandy'emu. Życie jest jak urwisko. Skacz z niego.

Zakończyłam rozmowę z Adamem, zbiegłam na dół do kuchni i przygotowałam sobie Krwawą Mary. Było dopiero wpół do dziesiątej rano, ale potrzebne mi było coś na wzmocnienie: musiałam zadzwonić do mamy i poinformować ją, że Sandy, najbardziej przez nią ulubiony z moich dwóch mężów, zostawił mnie. Gdybym jej szybko nie zawiadomiła, usłyszałaby o tym u fryzjera, w pralni albo, Boże broń, na targu, gdzie ludzie czerpali tyle samo frajdy z wymieniania się lokalnymi plotkami co z kupowania egzotycznej odmiany sałaty.

Przed rozmową z matką postanowiłam się ubrać. Zawsze się ubierałam przed telefonem do niej. Powlokłam się na górę i weszłam do garderoby przy naszej sypialni, wyciągnęłam granatowe dresy firmy Fila i założyłam je na siebie. Potem usiadłam na łóżku, popatrzyłam na telefon stojący na nocnym stoliku, przełknęłam resztkę Krwawej Mary i wykreśliłam numer matki.

- Cześć mamo. Tu mówię ja - odezwałam się ze swobodą, kiedy moja matka, Doris Waxman, podniosła słuchawkę.

- Tu mówi córka - poprawiła mnie Tym Swoim Tonem. Jeśli chodzi o język, moja matka była purys-tką - prawdziwym aniołem stróżem gramatyki. Za popełnienie wielkiej nieostrożności i powiedzenie w jej obecności czegoś w rodzaju „pomiędzy tobą i mną” trzeba było słono zapłacić. Miała też głos jak Suzanne Pleshette - bardzo niski, ochryply głos palacza, często mylony z męskim. Kiedy potraktowała kogoś Tym Swoim Tonem i Tym Głosem, czuł się naprawdę pokonany. - Alison, jako osoba parająca

się piórem, powinnaś przykładać większą wagę do swoich słów - dodała, żeby mnie jeszcze pogębic.

- Prawdę powiedziawszy, mam ważniejsze sprawy do uporania - przepraszam - ważniejsze sprawy, z którymi muszę się uporać. - O Boże.

- Grzeczna dziewczynka. Jakie masz kłopoty? Czy interesy Sandy'ego nadal kiepsko stoją?

- Tak. Ale nie to jest w tej chwili najważniejsze.

- Och! Cóż więc?

- Coś zupełnie innego. - Wiem, była to z mojej strony perwersja, ale uwielbiałam, gdy moja matka musiała wyciągać ze mnie informacje. Po latach manipulowania mną teraz role się odwróciły.

- Masz jakieś problemy zdrowotne?

- Nie.

- Coś z twoją pracą w gazecie?

- Nie.

- Chodzi o dom?

- W pewnym sensie. - Doszłam do wniosku, że wrócę do zasadniczego tematu. Matka miała dokładnie taki sam stosunek do rozwodów jak do gramatyki. Razem z ojcem byli niezwykle szczęśliwi w czasie ich krótkiego, lecz udanego małżeństwa, które zakończyło się gwałtownie i tragicznie w sierpniu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku, gdy miałam dziesięć lat. Zdarzyło się to w trakcie odbywającego się co roku deblowego turnieju tenisowego w klubie Grassy Glen, do którego należeli rodzice i wszyscy ich znajomi. Mój ojciec, Seymour (wszyscy wołali na niego Sy) Waxman, był zawodnikiem klasy A i pewnym faworytem w turnieju, zwłaszcza że jego partnerem deblowym był wspaniały Jack Goldfarb, zwycięzca turnieju mężczyzn w Rolling Rocks, innym

klubie w Layton. Ale w trakcie rozgrywki o punkt meczowy - kiedy ojciec i pan Goldfarb pewni byli zwycięstwa - mój ojciec zaserwował, po czym nagle złapał się za serce, upadł na ceglany kort i umarł. Tak po prostu. Gem, set, mecz. Na szczęście, gdy to się stało, nie było tam mnie i mojej matki. Matka kupowała właśnie prezenty pod choinkę (owszem, było lato, ale ona lubiła mieć wszystko zawczasu przygotowane, i owszem, byliśmy Żydami, ale mimo to dawaliśmy sobie prezenty na święta). Ja przebywałam wtedy na obozie w Maine, doskonaliąc się w łucznictwie, pływaniu synchronicznym i innych sportach, które okazały się kompletnie niepotrzebne w moim dorosłym życiu. Kiedy dowiedziałam się o śmierci ojca, przeżyłam szok. Sy Waxman, Król Materaców, zawsze zapewniał mi poczucie bezpieczeństwa i stabilności. Nie mogłam uwierzyć, że odszedł. Nie mogłam uwierzyć, że już nie będzie mnie przytulał, całował, kochał. Nie mogłam uwierzyć, że na zawsze zostawił mnie samą z matką - z moją matką, którą jego śmierć przemieniła w potwornie złą, samotną kobietę. Pierwszą rzeczą, jaką wtedy zrobiła, było przekształcenie ich sypialni w mauzoleum; na każdym wolnym skrawku ścian zawiesiła jego fotografie. Po drugie, odmówiła pozbycia się jego ubrań. Po trzecie, rozpoczęła bojkot klubu, gdzie spotkała go przedwczesna śmierć. Przez wiele miesięcy siedziała w domu, odpalając jednego papierosa od drugiego i oglądając „As the World Turns” - jedyny, poza mną, stały element jej życia. Nigdy nie miała skłonności do śmiechu, ale teraz stała się Najbardziej Zrzedliwą Wdową w Connecticut,

a może nawet w sąsiednich stanach. W konsekwencji stałam się Córka, Nieustannie Usiłującą Ją Rozweselić, co oznaczało, że ciągle próbowałam ją zadowolić. Sprzątałam w swoim pokoju. Sama się cesałam. Odrabiałam lekcje. Wyrażałam się poprawnie i gramatycznie. I opowiadałam mnóstwo poprawnych gramatycznie kawałów.

Kiedy dorosłam, moja chęć przypodobania się matce zaczęła się przejawiać w inny, bardziej uciążliwy sposób: zaczęłam się umawiać, a w końcu wychodzić za męża, za bogatych mężczyzn. Była podniecona, kiedy poślubiłam Rogera, ale trzeba było widzieć jej twarz, gdy powiedziałam, że zamierzam wyjść za Sandy'ego! Ta kobieta, która uśmiechała się przy bardzo rzadkich okazjach, rozjaśniła się w uśmiechu większym chyba od szafy z butami Imeldy Marcos.

Nigdy nie wiedziałam, skąd się w niej wzięło takie poważanie dla bogatych mężczyzn. Podejrzewam, że pojawiło się w czasach jej skromnych początków w Queens. Słyszałam, że w jej życiu, zanim poznała mojego ojca, był jakiś mężczyzna - człowiek, który wiele obiecywał, a potem zostawił ją na lodzie. Jakikolwiek by jednak był powód tej obsesji na temat bogatych mężczyzn, była trudna do zniesienia, nawet dla kogoś tak się starającego jak ja.

- Wiem, mamo, że cię to rozczaruje - zaczęłam
- ale Sandy i ja rozstaliśmy się.

Martwa cisza. Potem głęboki wdech i wydech. Niemal czułam przez telefon dym z papierosa.

- Co zrobiłaś? - zapytała moja matka. To oczywiście musiała być moja wina.
- Sandy wrócił do swojej pierwszej żony, Soozie.
- Gigantyczna kula w gardle zaczęła mnie dusić.

- Wolał tamtą kobietę niż moją córkę? - Moja matka poczuła się osobiście dotknięta występkiem Sandy'ego. - Ona jest nikim. Ktoś, kto gotuje dla innych. A jej ojciec, czy nie jest przypadkiem gojem?
- Zdaniem mojej matki chrześcijanie mieli niski iloraz inteligencji i nie umieli się gustownie ubrać.
- Tak, mamo. Wrócił do Soozie.
- Twój ojciec nigdy by tego wszystkiego nie zrozumiał... tego beztroskiego pobierania się i rozwodzenia. Ja też tego nie pojmuję. Dlaczego dzisiejsi młodzi nie potrafią skończyć niczego, co zaczęli? Dlaczego moja jedyna córka nie kończy niczego, co zaczęła?
- Skończyłam różne rzeczy - odezwałam się słabym głosem. - Przez jedenaście lat pracowałam dla gazety, należącej do Alistaira Downsa, byłej gwiazdy Hollywood i senatora ze stanu Connecticut. Może nie jestem w wielkiej przyjaźni z tym człowiekiem, ale jestem jego lojalnym pracownikiem. To chyba coś, z czego można być dumnym, prawda?
- Ale co z twoim życiem osobistym, Alison? To bardzo krepujące.
- Krepujące? Dla kogo? - Wiedziałam, dla kogo: dla przyjaciół matki z Grassy Glen, gdzie, poza krótkim okresem bojkotu po śmierci ojca, regularnie od lat trzy razy w tygodniu grywała w kanastę.
- Przykro mi z powodu Sandy'ego, kochanie
- przyznała. - Ale te twoje rozwody bardzo mnie wyczerpują.
- Ciebie?
- Oczywiście. Od tylu lat czekam, żebyś w końcu ułożyła sobie życie z odpowiednim człowiekiem, a nie stajesz się coraz młodsza.
- Nikt nie jest - powiedziałam.
- Nie stajesz się, Alison. Nikt się nie staje.
- Muszę już kończyć, mamo. Ktoś dzwoni do drzwi. - Nikt nie dzwonił do drzwi, ale często

używałam tego podstępu, żeby przerwać rozmowę z matką. Nigdy nie przyszło jej do głowy, żeby zapytać, kto dzwoni do moich drzwi o tych wszystkich dziwnych porach dnia i nocy. Mnie zaś z pewnością nigdy nie przyszło do głowy, by być z nią szczerą - i powiedzieć jej, żeby się odczepiła.

Następnie zatelefonowałam do Janet Claiborne, pośrednika z agencji Prestige Properties, która sprzedawała nam nasz dom.

- Pani Koff. Oczekiwałam, że pani zadzwoni

- odezwała się.

- Oczekiwała pani?

- Tak. Bardzo mi przykro z powodu rozwodu

- powiedziała, cedząc słowa przez zęby, w sposób charakterystyczny dla mieszkańców stanu Connecticut.

- Skąd pani wie, że zamierzamy z mężem się rozwieść? - Czy wszyscy w Layton wiedzieli już, że mnie rzucił, czy też po prostu wiedza o sprawach innych ludzi była racją bytu pośredników w handlu nieruchomościami?

- Byłam wczoraj na spotkaniu kółka kobiet, na którym Soozie Koff, właścicielka firmy Pyszności Soozie, serwowała najwspanialszą w świecie sałatkę z kurczaka.

Oczywiście Soozie zaserwowała nie tylko sałatkę z kurczaka. Życie w małym miasteczku jest takie urocze. - Wracając do sprawy domu...

- To takie przykre, że musi pani go sprzedać

- stwierdziła Janet Claiborne, z trudem maskując

radość z ponownego dopadnięcia trzymilionowej transakcji. - W tej chwili rynek przeżywa niewielkie załamanie - dodała, zabezpieczając się na wszelki wypadek - ale posiadłości w rodzaju Klonowego Dworku - czyż nie taką czarującą nazwę nadaliście jej państwo? - są całkowicie odporne na recesję.

Janet obiecała, że przyśle do mnie kogoś z papierami do podpisania i zaproponowała, że Prestige Properties nie tylko zamieści ogłoszenie dotyczące sprzedaży Klonowego Dworku w „Town & Country” i „Unique Homes”, ale także przygotowuje kolorowy prospekt na temat domu i roześle go japońskimi biznesmenom, którzy, jak sądziła, na pewno będą zainteresowani.

Po załatwieniu koniecznych telefonów zaczęłam się zastanawiać, jak dalej postępować: schować się w domu, żeby nie widzieć, jak wszyscy w Layton o mnie plotkują, czy też wyjść na zewnątrz i zmierzyć się z nowymi realiami mojego życia - z biedą i samotnością. Co za wybór. Gdybym zamknęła się w domu, pewnie skończyłabym oglądając bez końca programy Oprah, Sally, Joan i Geralda, i dowiadując się znacznie więcej, niżbym kiedykolwiek chciała, o transwestytach, ludziach uprawiających zapasy w błocie i kobietach, które urodziły się bez łechtaczki. Gdybym wybrała otwarte życie, zapewne w końcu nadziałabym się na jakiegoś znajomego i musiałabym odpowiedzieć na pytania typu: -I co, Alison? Gdzie zamieszkaż, kiedy bank zajmie wasz dom? Z czego będziesz żyć? Jak uda ci się znaleźć następnego faceta, który cię pokocha?

Nie podobała mi się koncepcja siedzenia w domu i popadania w agorafobię. Zresztą i tak musiałam

oddać mój artykuł o June Allyson, więc przebrałam się i ruszyłam do redakcji.

Kiedy wjeżdżałam na parking, o mały włos nie wpakowałam się w bagażnik błyszczącego, białego rolls-royce'a, za którego kierownicą siedział najznamienitszy obywatel miasta Layton (i mój szef), Alistair P. Downs, właściciel „The Layton Community Times”. Cofał swój samochód, a ja wjeżdżałam swoim i z pewnością byśmy się zderzyli, gdybym nie nacisnęła na hamulec tak mocno, że omal nie skręciłam sobie karku. Tego mi tylko było potrzeba.

- Bardzo przepraszam, senatorze Downs. Proszę mi wybaczyć - zawołałam przez uchylone okno samochodu. Ewidentnie wina leżała po stronie senatora, ale nie od rzeczy było się pokajać.

- Nie martw się panieneczko - roześmiał się Alistair. - Mój szofer ma dzisiaj wolne, a ja nie prowadziłem od jakiegoś czasu. Podejrzewam, że troszeczkę zardzewiałem. Ho, ho.

- Nic się panu nie stało? - spytałam. Jakkolwiek by na to patrzeć, facet miał siedemdziesiąt pięć lat. Wyglądał czerstwo, ale po przekroczeniu siedemdziesiątki można się przekreślić w każdej chwili. Tak przynajmniej twierdziła moja matka, kiedy chciała obudzić we mnie poczucie winy, że nie telefonuję do niej codziennie.

- Czuję się świetnie. Po prostu świetnie, moja droga - odpowiedział Alistair, objeżdżając mojego porsche'a i wytoczył się z parkingu, machając mi na pożegnanie w lusterku.

- Tak, ja też czuję się wyśmienicie. Dziękuję, że zapytałeś - mruknęłam. Co za egomaniak, myślałam, parkując samochód i wchodząc po schodach do bu-

dynku, będącego siedzibą „The Layton Community Times”. Wyglądało na to, że Alistaira Downsa guzik obchodzi moje zdrowie, chociaż zwykle w czasie spotkań towarzyskich bywał bardzo serdeczny. Gdy wydawał przyjęcia dla pracowników gazety w jachtklubie Sachem Point, stuletnim klubie żeglarskim, którego był komandorem, zawsze podchodził prosto do mnie, słodki jak nie wiem co, zaglądał mi w oczy, potrzasał moimi rękoma i mówił: - To cudownie, że znów mogę cię zobaczyć, moja droga. Robisz wspaniałą robotę w gazecie. Naprawdę wspaniałą. - A potem zniknął, zostawiając mnie w oparach Old Spice'a.

Co za typ, pomyślałam, rozważając pozycję Alistaira Downsa nie tylko w Layton, ale w skali całego kraju. Pamięć o nim go przeżyje. A był to człowiek, który tanecznym krokiem wszedł najpierw do świata filmu w Hollywood, a potem wtargnął do senatu Stanów Zjednoczonych Ameryki. Nieważne, że przyszedł na świat jako Al Downey, śliczny irlandzki dzieciak z Queens. Nieważne, że rozpoczął pracę jako instruktor tańca w Studio Arthura Murraya. Nieważne, że gdyby tamtego, brzemiennego w skutki dnia nie zajrzał do studia łowca talentów i nie zauważył, jakim ulubieńcem kobiet jest Al Downey, mogłoby wcale nie być Alistaira Downsa.

Ale historia o tym, w jaki sposób Al Downey stworzył Alistaira Downsa nie należała do ulubionych opowiadań senatora. W przeciwieństwie do Kirka Douglasa, który napisał książkę o swoich trudnych początkach jako Issur Danielowicz, syn szmaciarza, Alistair Downs wolał wyrzec się swojej przeszłości. I nikt nigdy go o nią nie nagabywał - dopóki w mieście nie pojawiła się Melanie Moloney,

królowa biografii sławnych ludzi o wątpliwych zasługach. Melanie Moloney, autorka bestsellerowych opracowań o życiu Deana Martina, Ann-Margret i innych gwiazd świata rozrywki, otrzymała oficjalnie pięć i pół miliona dolarów na napisanie książki o Alistairze Down-sie, który oświadczył publicznie: - Nie zamierzam się przejmować panią Moloney i pisaną przez nią tak zwaną biografią. - Osobiście nie mogłam się doczekać książki Melanie Moloney, która, jak donosiło „USA Today”, miała zostać dostarczona wydawcy w ciągu najbliższych paru miesięcy.

Pierwszą osobą, na którą wpadłam w redakcji był ktoś, kogo nie miałam najmniejszej ochoty spotkać: Bethany Downs, córka Alistaira i naczelna redaktor pisma. Bethany, kiedyś członkini szkolnej grupy tanecznej, potem wschodząca gwiazda towarzystwa

i zjazdów absolwentów liceum, była arogancka i głupia, połączenie iście zabójcze. Rozpowszechniona plotka głosiła, że jej ojciec kupił „Community Times” jako zabawkę dla swojej jedynaczki, żeby chronić ją przed kłopotami. Bethany, dziś czterdziestodwuletnia, nigdy nie była zameżna. Wolą sypiać z cudzymi mężami, uwodzić ich aż byli gotowi zostawić swoje żony, po czym porzucać i zabierać się za następnego głupka. Jasnowłosa i śliczna, jeśli się lubi ten typ urody (moim zdaniem miała końską twarz), należała do niebezpiecznego gatunku kobiet uważających, że wszystko do nich należy.

- Kiepsko wyglądasz, Alison - to były pierwsze słowa Bethany pod moim adresem. Stałyśmy w bufecie na drugim piętrze. Wpadłam tu na kawę, w nadziei, że uspokoję nerwy po tym, jak omal nie wgniotłam niezwykle cennego błotnika Alistaira Do-

wnsa. Bethany przyszła kupić kilka nadziewanych pączków. Bethany była uzależniona od słodczy, ale nie wyglądało na to, żeby kiedykolwiek przybrała na wadze, co poza faktem, że kradła cudzych mężów, było dodatkową przyczyną nienawiści większości kobiet.

- Miałam trudne ostatnie dwadzieścia cztery godziny - odpowiedziałam.

- Problemy domowe?

- Rzeczywiście. Rozstajemy się z mężem. Czekałam na odpowiedź, ale Bethany żarła swój pączek. Potem odezwała się: - Widzisz? To właśnie stale powtarzam ludziom. Małżeństwo nie ma sensu. Prowadzi tylko do rozwodu.

- To brzmi bardzo defetystycznie, Bethany. Czy nigdy nie pragnęłaś towarzystwa tego jedyne go mężczyzny, który zawsze będzie cię kochał i chronił?

- Mam już takiego mężczyznę. Nazywa się T-A--T-U-S.

- Słusznie. Jak mogłam zapomnieć?

- Mówiąc o tatusiu - ciągnęła dalej Bethany - za dziesięć minut w moim gabinecie odbędzie się zebranie na temat tej suki, piszącej o nim książkę. Chciałabym, żebyś była.

- Za nic bym nie opuściła takiego zebrania - rzekłam.

W gabinecie Bethany zebrało się dziesięć, może dwanaście osób. Pomachałam do mojej najlepszej koleżanki w gazecie, Julii Applebaum, i kiwnęłam, żeby usiadła obok mnie na kanapie.

- Jak ci się żyje, Koff? - szepnęła. Zawsze mówiła mi po nazwisku. - Nie wyglądasz kwitnąco.

- Bo nie czuję się kwitnąco, ale opowiem ci o tym później - powiedziałam, zastanawiając się jednocześnie, czy nie powinnam była przyjść do pracy w papierowej torbie na głowie.

Odkąd spotkałyśmy się w gazecie, dla której ja pisywałam o sławnych ludziach, a ona przedstawiała wiadomości o sprawach dotyczących mieszkańców, takich jak spotkania komisji planowania czy projekty budżetów na szkolnictwo, pozostawałyśmy z Julią bliskimi koleżankami. Sandy nigdy nie lubił Julii, może dlatego, że odmawiała przyjęcia czegokolwiek od mężczyzny. Przez krótki czas była żoną aktualnego burmistrza Layton, ale rozwiódła się z nim, gdy zrozumiała, że jego wyobrażenia o partnerskim małżeństwie kończą się na pozwoleniu, aby prowadziła jego samochód. Być może Sandy nie lubił Julii dlatego, że z pasją poruszała tematy ochrony środowiska i ograniczenia deficytu - tematy, które bardzo denerwowały Sandy'ego. A może nie lubił jej, bo była demokratką. Kto to wie. Bardzo podziwiałam Julię, chociaż często wyśmiewała mój styl życia i sprawiała, że czułam się tak płytka jak woda w mojej wannie.

- Wszyscy są? - zapytała Bethany, rozpoczynając zebranie. - Mój ojciec prosił, żebym porozmawiała z wami na temat Melanie Moloney. Jak wiecie, Melanie pisze o nim książkę. - Popatrzyłyśmy z Julią na siebie. - Może słyszeliście także, że ta kobieta kupiła dom w Layton. - Owszem, słyszałam o tym. Liz Smith pisała o tym w swoim artykule. Napisała, że Moloney przeniosła się z Chicago do Layton, żeby być bliżej najnowszej ofiary i że wraz ze swoim sekretarzem będą przeprowadzać wywiady z dziesiątkami przyjaciół Alistaira w naszym malowniczym

miasteczku. - Mój ojciec prosi, żeby każdy z was, do kogo dotrze Melanie Moloney, powiedział jej zdecydowanie, że odmawia wszelkich komentarzy. Mój ojciec chciałby również przypomnieć - kontynuowała nieodrodna córka Alistaira - że darzy ogromnym szacunkiem ludzi lojalnych, inni są mu niepotrzebni. Krótko mówiąc, jeśli zgodzicie się rozmawiać z Melanie Moloney, zrobicie to na własne ryzyko.

- Co senator zrobi, jeśli pogadamy sobie z tą Moloney? - spytałam Julię po zakończeniu zebrania. - Wywali nas? Połamię nam kości?

Wzruszyła ramionami. - Chodźmy coś zjeść - powiedziała. - Melanie Moloney to zmartwienie Alistaira, nie twoje.

3

- A więc drań wrócił do pierwszej żony - mruknęła z zastanowieniem Julia, gdy jadłyśmy pieczonego tuńczyka z pomidorami w Belinda's Grille, modnej restauracji prowadzonej przez byłą modelkę. - Nie wąż się tylko za nim tęsknić, Koff- ostrzegła, grożąc mi palcem.

- Nigdy nie przepadałaś specjalnie za Sandym, prawda?

- Słusznie zauważyłaś. Ten facet to dupek, oszust i półgłówek, więc lepiej ci będzie bez niego.

- Och, daj spokój Julio. Powiedz mi, co naprawdę o nim myślisz - roześmiałam się.

- Mówię poważnie, Koff. Cały jest na pokaz, nie ma w nim żadnej treści.

- Cóż, miał mnóstwo treści, kiedy za niego wychodziłam - ogromne konto bankowe, produkujący pieniądze dom towarowy, gigantyczną ilość akcji...

- Tak, ale co z duszą? Czy miał coś takiego? - Julia zmarszczyła brwi. Ta wysoka, grubokoścista kobieta koło czterdziestki, o ciemnych włosach zaplecionych w długi warkocz, w najlepszym wypadku dająca się opisać określeniem „przystojna”, była poważną osobą, wyczuwającą na odległość wszelki fałsz. - A jednak nawet taka ropucha jak on nie była twoim największym problemem.

- Tak? To co stanowi mój największy problem?

- Ty sama. Nigdy nawet nie pomyślałaś, że możesz na sobie polegać. Sądziłaś, że potrzebujesz Sandy'ego, żeby cię utrzymywał. Teraz się przekonasz, że nie miałaś racji.

- O czym ty mówisz? Ależ ja potrzebuję Sandy'ego, żeby mnie utrzymywał. Sama nie mogę płacić za Klonowy Dworek.

- Sandy też nie może płacić. Chyba dobrze zrozumiałaś, co mi powiedziałaś. I nie powinien płacić za taką posiadłość. To nieprzyzwoicie wielki dom dla dwóch osób. Nieprzyzwoicie. Pozbądź się go i poszukaj czegoś skromniejszego.

- Usiłuję. Dziś rano zgłosiłam dom do sprzedaży. Jak jednak do tego czasu utrzymam posiadłość? Moje zarobki w gazecie nie pokryją nawet kosztów energii elektrycznej, ogrzewania, telewizji kablowej i wywozu śmieci. Wpadłam po uszy, Julio. Naprawdę.

- Przestań więc żyć jak księżniczka.

- Już przestałam - odparłam, starając się, by moje słowa nie zabrzmiały zbyt defensywnie. - Zrezygnowałam z dostawy zakupów do domu.

- Tak? I co jeszcze?
- Kupuję benzynę na stacjach samoobsługowych i sama robię sobie manicure.
- Nie byle co - powiedziała Julia.
- I zwolniłam gosposię.
- A jak zamierzasz sprzedać dom, jeśli zrobi się w nim brudno. - Julia była zirytowana.
- Kto powiedział, że będzie brudno? Sama będę sprzątać.
- No oczywiście.
- Naprawdę. Umiem utrzymywać porządek w domu. Wychowała mnie matka, mająca takiego bzika na punkcie porządku, że kiedy robiła kanapkę, nożyczkami przycinała wystające z niej liście sałaty, aby wszystko do siebie pasowało.
- I twoja matka nie miała nikogo do sprzątnia?
- Ach, miała oczywiście i ma nadal. Moja matka wynajmowała i zwalniała dziesiątki sprzątaczek. Traktowała pomoce domowe tak, jak George Steinbrenner traktował swoich menedżerów. - Ale zmuszała mnie do sprzątnia, kiedy służące miały wolny dzień.
- No dobrze. Chcesz więc zaoszczędzić mnóstwo pieniędzy osobiście sprzątnając swój ogromny dom. Pozostaje jeszcze pytanie, jak zamierzasz zdobyć więcej pieniędzy, żeby utrzymać nie tylko dom, ale i siebie?
- Dobre pytanie. Nie mam pojęcia.
- Na miłość boską, Koff! Jesteś dobra w przeprowadzaniu wywiadów ze sławami. Czemu, do diabła, nie postarasz się o pracę w którymś z magazynów o zasięgu ogólnokrajowym, takich jak choćby „People”?
- Nie wiem, jak się za to zabrać.

- Po prostu zacznij szukać - powiedziała twardo stąpająca po ziemi Julia. - Umiesz rozmawiać z ludźmi. Jeśli potrafiłaś pisać dla naszej lokalnej gazety, dlaczego miałabyś nie dać sobie rady w większym piśmie?

Julia miała rację. Czemu nie miałabym sobie poradzić? Przecież dla „Community Times” przeprowadzałam wywiady nie tylko z lokalnymi biznesmenami i przebrzmiałymi gwiazdami; rozmawiałam z zawodnikami najlepszych drużyn baseballowych, ze zdobywającymi Oscary aktorami filmowymi, z najsłynniejszymi pisarzami. Może byłam już gotowa zdobywać szczyty kariery. Zaś na pewno potrzebowałam dużych pieniędzy.

- Masz jakieś możliwości, Koff. Tymczasem jednak, dopóki sytuacja się nie poprawi, dlaczego nie poprosisz, żeby twoja mama pomogła ci finansowo?

- Nie ma mowy - powiedziałam, przewracając kieliszek, z którego wylała się resztką wina. - Moja matka sprawia, że czuję się kompletnym nieudacznikiem, bo nie umiałam utrzymać małżeństwa. Wy-grzebię się z tego bagna bez jej pomocy, zaręczam ci.

- Czy są jacyś mężczyźni na horyzoncie? - rzuciła Julia, unosząc pytająco brwi. - Nie jesteś typem osoby, która rzuca wszystko bez namysłu. Masz jakiegoś faceta, czekającego na ciebie za rogiem, prawda, Koff?

- Chciałabym. Ale tak bardzo wyszłam z wprawy, że nie umiałabym znaleźć żadnego mężczyzny, co dopiero mówić o flircie.

- Jak się za to zabierzesz, przekonasz się, że pełno ich się tutaj kręci.

- Skąd możesz wiedzieć? Nie umawiałaś się z nikim od czasu rozvodu przed dwoma laty.

- Mówię ci. Kręcą się tutaj. - Julia zachowywała się bardzo zagadkowo, ale postanowiłam jej nie naciskać. Jeśli miała jakiegoś tajemniczego kochanka, to dobrze. - Koff, potrzebny ci facet, który wprowadzi cię w realia tych ciężkich, kryzysowych czasów.

- Nie uważasz, że jestem świadoma rzeczywistości? - spytałam lekko dotknięta.

- A jesteś? - odparła Julia, dając znak kelnerowi, by przyniósł rachunek.

Zacząłam się zastanawiać nad tym pytaniem, ale rozproszyło mnie pojawienie się kelnera. - Podzielmy koszty po połowie - zaproponowałam, gdy Julia chwyciła rachunek i zaczęła go sprawdzać.

- Proszę bardzo. Twoja część, razem z napiwkami, wynosi pięćdziesiąt dwa dolary pięćdziesiąt centów.

- Jesteś pewna? - powiedziałam, nie wierząc, by taki kawałek ryby mógł aż tyle kosztować.

- A czego oczekiwałaś? Że wino podają gratis? To ty miałaś chęć na beaujolais, pamiętasz?

- Ale ja nie mogę wydawać tyle pieniędzy - jęknęłam. - Po prostu ich nie mam.

- Witaj w realnym świecie, Koff. Brak pieniędzy to powszechna choroba, wielu na nią cierpi.

Tej nocy długo i boleśnie przeanalizowałam stan moich finansów. Naprawdę wpadłam po uszy. Nie miałam nawet tyle pieniędzy, żeby zapewnić oświetlenie w Klonowym Dworku, co dopiero mówić o ogrzewaniu. Na szczęście ciągle jeszcze był sierpień, przez najbliższych parę miesięcy nie musiałam się więc martwić brakiem ogrzewania. Do tego czasu potrzebowałam jednak gotówki. Ale skąd ją zdobyć?

Usiadłam na łóżku, włączyłam telewizor i co zobaczyłam? Reklamę Ritz Thrift Shop, sklepu na Pięćdziesiątej Siódmej ulicy na Manhattanie, gdzie sprzedawano używane futra po okazjnych cenach. To było to! Zabiorę moje futra do sklepu i zastawię je. No, chociaż szopy i karakuły. Norcki zatrzymam na pamiątkę starych, dobrych czasów. W końcu dostałam je od Sandy'ego na pierwszą rocznicę ślubu. Po chwili zastanowienia postanowiłam sprzedać również futro z norek. Miałam gdzieś wspomnienia tamtych czasów.

Następnego dnia wpakowałam futra do toreb, włożyłam do niewielkiego bagażnika mojego porsche'a i ruszyłam na Manhattan. Zastanawiałam się nad jakimś przebraniem: co by było, gdyby ktoś z Layton zobaczył, jak sprzedaję futra? Gdyby ktoś odkrył, że ja, Alison Waxman Koff, właścicielka Klonowego Dworku, nie jestem w stanie płacić bieżących rachunków. Nie bądź śmieszna, przykazałam sobie. Dlaczego miałabyś spotkać w Ritz Thrift Shop kogoś znajomego?

Przy Pięćdziesiątej Szóstej ulicy znalazłam parking, zostawiłam tam samochód i z naręczem futer ruszyłam do znajdującego się w sąsiedztwie sklepu.

- Czy mogę w czymś pomóc? - zapytał mężczyzna w średnim wieku o bladej twarzy i farbowanych włosach w kolorze brązowej pasty do butów.

- Tak. Rozumiem, że kupujecie państwo używane futra.

- Ma pani słusność. Czy chodzi o te skóry? - zapytał, wskazując na torby, które trzymałam w objęciach. Skinęłam głową. - Bardzo dobrze. Przyjrzyjmy się im.

Zaprowadził mnie do pobliskiego wieszaka. Kiedy zabierałam się za rozpakowywanie i rozwieszanie futer, przeprosił mnie mówiąc, że musi zająć się inną klientką i że za chwilę do mnie wróci.

Wyciągnęłam futra, rozprostowałam i powiesiłam na wieszaku. Żegnajcie szopy. Żegnajcie karakuly. Żegnajcie - pociągnięcie nosem - norki. Żegnaj dawne życie.

- Dziękujemy, że szanowna pani wybrała nasz sklep

- usłyszałam słowa sprzedawcy, skierowane do innej klientki, przechodzącej właśnie obok mnie w drodze do drzwi. Co to za cyrk z tą „szanowną panią”? To przecież Ritz Thrift Shop, a nie Bergdorf Goodman.

- Alison? To ty?

Odwróciłam się i stanęłam twarzą w twarz z kobietą, która skończyła już swoją transakcję i wychodziła ze sklepu. I, oczywiście, to była Robin Greene, żona prawnika, przeprowadzającego rozwód Sandy'ego! Wpadłam! Teraz wszyscy w mieście dowiedzą się, że jestem biedna i zrozpaczona - tak bardzo biedna i zrozpaczona, że zmuszona byłam sprzedać swoje futra! Odebrało mi mowę. - Robin!

- wreszcie udało mi się wykrztusić.

- Przyjechałaś tu coś kupić czy sprzedać? - zapytała. Nie wiedziałam, która odpowiedź będzie lepsza.

- Sprzedać - przyznałam.

- Ja też. Czyż to nie straszne?

- Robin, nie mów mi, że ty też musisz sprzedawać swoje futra? - Skinęła głową. - Nie rozumiem. Macie z Adamem Belvedere oraz wakacyjne ranczo w Wyoming, chatę narciarską w Aspen i apartament na plaży w Boca Ratón. Dlaczego ktoś taki jak ty miałby sprzedawać swoje futra?

- Z tego samego powodu co ty, moja droga. Czasy są ciężkie. Po krachu na giełdzie, załamaniu się rynku nieruchomości, a także z powodu naszego zadłużenia, bardzo brakuje nam pieniędzy. Wystawiliśmy na sprzedaż wszystkie nasze domy, ale żadnego nie możemy się pozbyć. Bank szykuje się do zajęcia wszystkiego.

Byłam zaszokowana. Sądziłam, że jestem jedyną osobą w Layton, mającą kłopoty finansowe. - Co zamierzacie zrobić? - zapytałam Robin.

- Prawdopodobnie przeniesiemy się na Florydę, którą nazywają „stanem dłużników”. Lokujesz wszystkie swoje oszczędności na Florydzie i twoi wierzyciele nie mogą się do nich dostać.

- Och. Jak się o tym dowiedziałaś?

- Nie zapominaj, że mam męża prawnika. Zna wiele oryginalnych sposobów wykołowania banków. Zgadnij, co będziemy robić w przyszły weekend?

- Co?

- Wybieramy się do Atlantic City. Adam twierdzi, że inną metodą ukrycia swoich oszczędności jest wypad do Atlantic City czy Las Vegas, kupienie mnóstwa żetonów, postawienie niewielkiej ich ilości w kasynie, przywiezienie reszty i trzymanie jej w domu. Jak bank ma dorwać twoje oszczędności, jeśli wszystko jest w żetonach?

- Naprawdę? Bardzo pomysłowe - powiedziałam. Tak, pomysłowe i nielegalne. Postanowiłam trzymać się swojego planu wydobycia się z finansowego dołka: sprzedam dom i zdobędę lepiej płatną pracę.

- Przykro mi z powodu twoich kłopotów, Alison. Słyszałam, że Sandy wrócił do Soozie, a ty próbujesz

pozbyć się Klonowego Dworku. Życzę ci dużo szczęścia.

- Dziękuję. Ja tobie też.

Shczęście. Tego właśnie było mi trzeba. Mijały tygodnie, a sytuacja, zamiast się polepszać, tylko się pogarszała. Przede wszystkim niemal wcale nie dostawałam nowych zleceń z gazety. Gazeta miała mało ogłoszeń, więc ilość stron w każdym numerze kurczyła się, a na pierwszy ogień szły zawsze strony działu Sztuki i Kultury - mojego działu.

Ponadto wywalczyliśmy z Sandym umowę separacyjną i teraz rozwód mógł nastąpić lada dzień. Czułam się przestraszona i samotna. Brakowało mi jego towarzystwa. Brakowało odgłosu jego kroków, gdy wracał do domu po całym dniu pracy. Dni straciły swój kształt. Zlewały się jeden z drugim. Byłam zrozpaczona, w ogromnym dołku.

Był też jeszcze Klonowy Dworek, dom, na który nie było mnie już stać. Pieniądze zyskane ze sprzedaży futer w całości poszły na opłacenie bieżących kosztów. Później musiałam sprzedać jeszcze inne rzeczy - starą angielską porcelanę, подарowaną mi przez matkę, pierścionek zaręczynowy z ogromnym brylantem, który dostałam od mojego pierwszego męża, Rogera, i ten od Sandy'ego, z jeszcze większym brylantem. Jediną rzeczą, której absolutnie nie chciałam się pozbyć, był złoty medalion, otrzymany od ojca na moje szóste urodziny. Tylko to mi po nim pozostało i zdecydowana byłam nie rozstawać się z nim, nawet w obliczu przerażających listów z Layton Bank & Trust Company, grożących zajęciem Klonowego Dworku, gdybym nie spłaciła choćby

jednej raty kredytu. W chwili słabości zadzwoniłam do Sandy'ego do sklepu, aby zapytać go, co powinniśmy zrobić.

- Biuro pana Koffa. Tu mówi Michelle.
- Czy on tam jest? - zapytałam Michelle, nową sekretarkę.
- A pani jest...?
- Alison.
- Skąd?
- Z dawnego życia.
- Tak się nazywa pani firma?
- Nie, to nie jest nazwa mojej firmy. Jestem Alison Koff, już wkrótce była żona Sandy'ego.
- Czy pan Koff wie, w jakiej sprawie pani dzwoni?
- Tak. No nie, niezupełnie.
- Czy mogłabym pani w czymś pomóc?
- Może chciałaby pani kupić mój dom? - odpowiedziałam, tracąc cierpliwość.
- Przepraszam, nie zrozumiałam.
- Chciałaby pani kupić mój dom?
- Nie wydaje mi się, pani Koff. Mam już mieszkanie.
- Tak więc nie może mi pani w niczym pomóc - powiedziałam Michelle. - I proszę mnie połączyć z panem Koffem.
- Sprawdzę, czy jest u siebie - rzekła i kazała mi czekać przy dźwiękach „Feelings” w wykonaniu orkiestry AT & T.
- Alison? - w końcu odezwał się Sandy.
- Bank wszczyna sprawę przejęcia domu - wyrzuciłam z siebie. - Co mamy teraz robić?
- Nie mam pojęcia, co ty masz zrobić, ja nie zamierzam robić nic.

- Dlaczego?
 - Bo nic nie mogę zrobić. Nie jestem w stanie spłacać kredytu. A ty?
 - Oczywiście, że też nie dam rady. Ale nie możemy siedzieć z założonymi rękami i czekać, aż nam zabiorą Klonowy Dworek.
 - Nie siedzimy z założonymi rękami. Usiłujemy sprzedać dom, nieprawdaż?
 - Tak mi się wydaje. - Janet Claiborne nadal nie znalazła żadnego nabywcy.
 - Może powinnaś pomyśleć o zdobyciu jakiejś konkretnej pracy - powiedział Sandy.
 - Jakiego rodzaju?
 - Nie mam pojęcia. Może ekspedientki, albo coś takiego.
- Powiedział „ekspedientki”. Nie handlowca. Ekspedientki. I ja byłam żoną tego człowieka?
- Dam sobie radę - powiedziałam Sandy'emu. - To już nie jest twoje zmartwienie.
 - Zapamiętaj sobie jedną rzecz, Alergio. Życie polega na pozwalaniu sobie na uczucie strachu... na decydowaniu się na ryzyko i ryzykowaniu zmian, i zmienianiu otoczenia. Polega na ciągłym wzroście i elastyczności i odwadze, aby...

Brzdęk. Tak, rozłączyłam się z Sandym. Mogłam albo przerwać połączenie, albo zwariować.

Wzięliśmy rozwód czwartego listopada. Tralala. Uczciłyśmy to z Julią hamburgerami i frytkami w McGavin's, miejscu popularnym wśród pracowników gazety. Julia płaciła.

Następnego dnia zdecydowałam, że czas się wyrwać z tej przygnębiającej stagnacji. Pozbyłam się

Sandy'ego; następny w kolejności do pozbycia się był Klonowy Dworek. Sęk w tym, że nikt go nie chciał kupić.

- Rynek zamarł - wyjaśniała Janet Claiborne, kiedy ją spytałam, dlaczego od czasu pierwszych ogłoszeń w sierpniu nie pokazała domu żadnemu klientowi. A kiedy zadałam pytanie, dlaczego nie przysłała fotografa, który miał zrobić zdjęcia domu do prospektu, jej odpowiedź brzmiała: - Czekam, aż zakwitną kwiaty i drzewa.

- Ale to będzie dopiero na wiosnę - powiedziałam.

- Tak, ale proszę zostawić to mnie, moja droga. Wiem co robię - odparła.

Z radością pozostawiłabym sprzedaż domu Janet, jednak ona zdawała się nigdy nie mieć czasu. Tydzień później zatelefonowała, żeby mi powiedzieć, że znalazła wreszcie klienta, ale jest zbyt zajęta, aby mu pokazać dom. - Mam bardzo ważną wizytę u mojego masażysty, której nie mogę przełożyć - stwierdziła, po czym spytała, czy mogłabym pokazać Klonowy Dworek państwu Fink z Manhattanu. - Nie ma sprawy - odpowiedziałam. Zaczynałam rozumieć dlaczego handel nieruchomościami odbywa się w salonach piękności.

Oglądanie domu miało się odbyć następnego dnia o wpół do czwartej. Zaczął padać śnieg i martwiłam się, że Finkowie mogą nie dojechać z miasta. Przyjechali jednak punktualnie ogniście czerwonym rangę roverem, który jak to później wyjaśnili, był ich wozem terenowym.

- Witam. Proszę wejść - powiedziałam serdecznie, otwierając drzwi frontowe przed ludźmi, którzy mogliby kupić mój dom i uratować moje finanse, ale

mogli też zmusić mnie do stawienia czoła przyszłości w roli trzydziestodwuletniej, dwukrotnej rozwódki, mającej większe szanse na śmierć z ręki terrorysty niż na jeszcze jedno zamążpójście.

- Cześć, jestem Ira Fink - powiedział mężczyzna, wyciągając rękę. Był niski, gruby, około pięćdziesiątki i miał na sobie dżinsy firmy Guess, tak ciasne, że unosiły wałki tłuszczu na brzuchu aż do samych uszu, w których, nawiasem mówiąc, tkwiły kolczyki.

- A ja jestem Susan Franklin-Fink - dodała kobieta, będąca drobnym ułamkiem swojego męża, zarówno co do tuszy jak i wieku.

- Witajcie w Klonowym Dworku - powiedziałam do pary, stojącej w przedpokoju mojego domu. Przez następne czterdzieści pięć minut usiłowałam jak najlepiej udawać pośrednika w handlu nieruchomościami. Prowadziłam Franklin-Finków od jednego pokoju do drugiego, pokazując takie rzeczy, jak ozdobne gzymsy, system klimatyzacji i garderoby. Pokazałam im siedem sypialni i łazienek, pralnię i pokoje gospodarcze, salon, bibliotekę, jadalnię, kuchnię, spiżarnię, piwniczkę z winami, pokój bilardowy, pokój muzyczny, solarium, pokój telewizyjny, pokój gimnastyczny i mój gabinet. Potem zaprowadziłam ich na dwór i pokazałam basen, kort tenisowy, domek dla gości, wiatę do przyjęć i mieszkanie dla służby za garażem na trzy samochody. Kiedy wróciliśmy do domu, zatrzymaliśmy się w przedpokoju, gdzie spytałam ich, czy mają jakieś pytania.

- Nie ma pokoju rodzinnego - powiedział pan Fink i sprawiał przy tym wrażenie autentycznie rozzłoszczonego.

- Pokoju rodzinnego? - zdziwiłam się. - Jak duża jest państwa rodzina?

- W tej chwili jest nas tylko dwoje, ale zamierzamy mieć dzieci - stwierdziła pani Franklin-Fink i wyznała, że pan Fink pozostaje w oziębłych stosunkach z pięciorgiem swoich dorosłych dzieci z poprzednich małżeństw, ale teraz z niecierpliwością oczekuje, by tym razem stać się „ojcem najwyższej jakości”.

- Czego spodziewacie się państwo po pokoju rodzinnym? - zapytałam, usiłując zachować taką samą cierpliwość, jaką okazałaby Janet Claiborne, gdyby, zamiast masażu, pokazywała teraz dom.

- Sama pani rozumie - pokój rodzinny, to pokój rodzinny - odrzekł pan Fink, nie mogąc uwierzyć w moją ignorancję. - To duży pokój z kominkiem, koło kuchni. Tu właśnie cała rodzina może wspólnie oglądać telewizję.

- Najwyraźniej nie ma pani dzieci - powiedziała oskarżycielsko pani Franklin-Fink. - Ludzie posiadający dzieci mają pokoje rodzinne.

- A nie moglibyście państwo przekształcić innego pokoju w pokój rodzinny? - zapytałam najuprzejmiej, jak tylko byłam w stanie, zważywszy na okoliczności.

- Pani Koff - powiedział pan Fink - wobec ogromnej sumy, jakiej żąda pani za ten dom, nie sądzę, abyśmy musieli przerabiać jakikolwiek pokój na pokój rodzinny.

W tej właśnie chwili zadzwonił telefon. - Proszę mi wybaczyć - powiedziałam i poszłam odebrać telefon w kuchni. Dzwoniła moja matka. - Mamo, nie mogę teraz rozmawiać. Ktoś jest przy drzwiach. Pierwszy raz nie kłamałam, mówiąc te słowa matce. Popędziłam z powrotem do Franklin- Finków, ale ci już wyszli, nie mówiąc nawet „Dziękujemy, że po-

święciła pani swój czas, pokazując nam ten śliczny dom". Śliczny dom? Nie miał nawet pokoju rodzinnego.

Następnego dnia zatelefonowała Janet Claiborne, żeby poinformować, że przysyła następnych klientów i ma nadzieję, iż będę mogła ich sama oprowadzić. Okazało się, że Janet ma lekcję jazdy konnej, której nie może odwołać. Jej galop, wyznała, był w opłakanym stanie.

Ale w kilka godzin po wyjściu klientów Janet, to mój nastrój był w opłakanym stanie; okazało się, że klienci, bardziej niż kupowaniem, interesowali się zabieraniem.' Podczas gdy oprowadzałam kobietę po sypialniach na piętrze, mężczyzna, który powiedział, że musi pójść do samochodu i załatwić pilny telefon, uciekł z całą moją zastawą stołową. A ja spędziłam trzy kwadranse, pokazując dom i jego zawartość złodziejom!

- Proszę znaleźć prawdziwych klientów - wrzeszczałam na Janet Claiborne dzień lub dwa po tym, jak skończyłam załatwiać sprawy z policją i towarzystwem ubezpieczeniowym - Nie obchodzi mnie, że jest zima. Nie obchodzi mnie, że kwiaty i drzewa nie kwitną. Proszę przysłać fotografa.

- Nie ma powodu do zmartwienia, moja droga - odparła Janet. Życzy sobie pani fotografa, będzie pani miała fotografa. W końcu to pani dom.

Mój dom. Mój piękny dom. Mój piękny dom, szybko stający się symbolem mojej pazerności. Julia miała rację. Po co potrzebowaliśmy z Sandym domu o powierzchni sześciuset siedemdziesięciu metrów kwadratowych? Abyśmy nigdy nie musieli nadziewać się na siebie? Zeby zaimponować przyjaciółom? Ja-

kim przyjaciółom? Gdzie się podziiali? Co się stało z tymi wszystkimi ludźmi, którzy cieszyli się z naszych zaproszeń na Niedzielę Super Pucharu czy Poniedziałkowy Wieczór Wręczania Oscarów, podobnie jak cieszyli się, zapraszając nas na Wtorkową Noc Wyborczą? Gdzie się podziały te małżeństwa, które chadzały z nami do restauracji, podróżowały z nami i wraz z nami narzekały na podatki, ceny benzyny i brak dobrych służących? Po prostu zniknęły. W chwili gdy Sandy stracił nawet koszulę na grzbiecie w czasie krachu na giełdzie, wszyscy ci ludzie nagle stali się bardzo „zajęci” - przestali do nas telefonować, a my do nich. A potem, kiedy się rozstaliśmy z Sandym, stali się ślepi - machałam do nich na ulicy, a oni udawali, że mnie nie widzą. A kiedy rozeszły się pogłoski, że możemy z Sandym stracić dom, zapadli na Alzheimera - gdy ktoś wymienił moje imię, pytali: - Co za Alison?

Tylko przyślij tego fotografa, Janet, dziecinko, i niech dom zostanie wreszcie sprzedany. Chcę pozbyć się tego „Titanica”, zanim zacznie tonąć.

4

- Już idę - zawołałam, biegnąc do drzwi wejściowych. Był jasny, słoneczny listopadowy poranek. W końcu Janet Claiborne załatwiła fotografa, mającego zrobić zdjęcia Klonowego Dworku i facet przyszedł parę minut wcześniej.

- Dzień dobry - powiedział stojący na progu mężczyzna. - Nazywam się Cullie Harrington i jestem

fotografem, pracującym dla Prestige Properties Czy mogę wejść?

- Ale nie tędy - stwierdziłam, obserwując jego zimowe buty i zakurzone torby ze sprzętem fotograficznym. - Będzie pan musiał skorzystać z drzwi dla służby. I proszę zdjąć buty przed wejściem do domu. - Teraz, kiedy sama sprzątam w domu, nie mogę pozwolić, żeby ktoś naniósł błoto na czyste posadzki.

Cullie Harrington rzucił mi spojrzenie spode łba po czym niechętnie zszedł ze schodów, taszcząc swój ekwipunek okrążył podjazd i podszedł do drzwi kuchennych. Najwidoczniej facet ma muchy w nosie pomyślałam, mając jednocześnie nadzieję, że jego' zdolności fotograficzne są lepsze niż jego maniere

Kuchennym wejściem wpuściłam go do środka - Proszę nie zapomnieć o zdjęciu tych butów - przypomniałam.

- A co mam zrobić z płaszczem i kapeluszem? Czy nie będzie pani przeszkadzało, jeśli je też zdejmę? - zapytał z przekąsem.

- Och, przepraszam. Może pan położy swoje rzeczy tutaj - rzekłam, wskazując na pusty od niedawna pokój służącej.

Cullie obdarzył mnie jeszcze jednym nieprzyjemnym spojrzeniem i zniknął w służbówce. Wynurzył się z niej parę minut później, niosąc dwie czarne torby i statyw. Po raz pierwszy miałam okazję przyjrzeć mu się uważniej. Miał około metra osiemdziesięciu wzrostu i doskonałą sylwetkę pływaka - szerokie ramiona wąskie biodra i długie, muskularne nogi Ubrany był w granatowo-biały sweter i jasne dżinsowe spodnie z dziurami na kolanach. Jasne włosy

o pszenicznym odcieniu, mocne, miękkie, lekko kręciły się na karku. Kontrastowały z nimi ciemno-brązowe broda i wąsy, przetkane gdzieniegdzie siwizną. Jasnoniebieskie oczy obramowane były okularami w szylkretowej oprawce. Jego twarz przecinały drobne zmarszczki, sprawiające, że wyglądał na więcej niż czterdzieści parę lat, na jakie go oceniałam. Miał wygląd profesora któregoś z wiodących uniwersytetów, sposób bycia nieokrzesanego wilka morskiego

i ciało muskularnego atlety. Całość nie była odstręczająca, ale facet nie był w moim typie.

- Teraz pokażę panu pokoje, które moim zdaniem powinny być przedstawione w prospekcie - powiedziałam, kiwając na Culliego, by podążył za mną.

Udałam się do salonu i zaczęłam opisywać udogodnienia, jakie wprowadziliśmy z Sandym i demonstrować, moim zdaniem godne zauważenia, szczegóły dekoracyjne - utrzymane w tym samym stylu wzory zdobiące zasłony i dywan, stare mosiężne lichterze i oryginalny szkic Picassa, wiszący ponad marmurowym gzymsem kominka. - Chciałabym, żeby te wszystkie detale znalazły się na zdjęciach - powiedziałam, odwracając się, ale Culliego nigdzie nie było. Najwyraźniej wygłosiłam swoją przemowę do czterech ścian. - Hop, hop! - zawołałam, zastanawiając się, czy nie uciekł z tym wszystkim, co pozostało z moich wartościowych rzeczy.

- Tutaj jestem - powiedział.

Ruszyłam w kierunku, skąd dobiegał głos i znalazłam Culliego w jadalni na drugim krańcu domu, gdzie zdążył już rozstawić swój sprzęt i zaczął przestawiać moje kwiaty.

- Mogę spytać, co pan robi? - rzuciłam, zaplatając ręce na piersiach.
- Przygotowuję się do zdjęć - odrzekł, nie patrząc na mnie.
- Sądziłam, że zaczniemy od salonu.
- O tej porze światło jest lepsze tutaj - powiedział, podchodząc do aparatu i wkładając głowę pod czarny materiał.
- Ale w salonie dywan pasuje do zasłon, a Picasso nad marmurowym gzymsem jest doskonały - wybuchnęłam. Oczywiście jadalnia była śliczna, ale szczególną dumą napawał mnie salon. Na jego urządzenie wydaliśmy z Sandym fortunę.
- Proszę, pani...
- Koff.
- Pani Koff, będę robił zdjęcia wnętrza pani domu do prospektu. Ten prospekt ma dać potencjalnemu nabywcy wyobrażenie o wielkości i rozplanowaniu pokoi, o klimacie domu i tym podobnych rzeczach. Nie powinien być pomnikiem ku czci pani dekoratora wnętrz.
- Skoro tak pan uważa... - wycofałam się. Doszłam do wniosku, że Cullie Harrington chyba istotnie zna się na tym, co robi. Janet wspominała, że fotografował wszystkie ważne domy w mieście. - Czy zamierza pan robić zdjęcia we wszystkich pokojach?
- zapytałam.
- Niech pani posłucha, szanowna pani Koff. To są zdjęcia do prospektu, a nie do książki. Sfotografuję cztery, może sześć głównych pomieszczeń. Ale nie garderoby. Nie łazienki. Tylko najważniejsze pokoje
- prawdopodobnie jadalnię, salon, kuchnię, główną sypialnię i pokój rodzinny.

Zachowanie tego człowieka było odstręczające.

- Klonowy Dworek nie ma pokoju rodzinnego - parsknęłam. - I dlatego pan tu jest - żeby zrobić prospekt, pokazujący ludziom, że dom może świetnie funkcjonować nie mając pokoju rodzinnego. Podobnie jest z niektórymi fotografami, którzy mogą robić świetne zdjęcia, nie mając żadnych manier.

- To było niezłe - powiedział Cullie, a potem pierwszy raz uśmiechnął się do mnie. - Nie wiedziałem, że ludzie tacy jak pani mają poczucie humoru.

O co chodziło z tym sformułowaniem „ludzie tacy jak pani”? Czyżby Cullie Harrington uważał się za kogoś lepszego? Doszłam do wniosku, że najlepiej będzie powiedzieć to, co mam jeszcze do powiedzenia i zejść mu z oczu. - Ponieważ będzie pan fotografował tylko główne pokoje, czy mógłby pan zakończyć pracę, posprzątać po sobie i wynieść się za godzinę?

- Dlaczego? Spieszy się pani do manikiurzystki?

- zachichotał nieprzyjemnie i na powrót zanurkował pod czarną zasłonę, skupiając uwagę na zdjęciu mojej jadalni. Po chwili odezwał się jego głos, przytłumiony przez materiał. - Tak, na pewno fotografowanie zajmie mi z godzinę - ale tylko tego jednego pokoju. Zamierzam zostać tu przez cały dzień. Czy to pani odpowiada?

Boże, nie, pomyślałam, ale kiwnęłam głową, że się zgadzam. Musiałam sprzedać dom i nie mogłam sobie pozwolić na wyrzucenie faceta za drzwi, skoro jego zdjęcia miały mi przysporzyć potencjalnych nabywców. - Gdyby mnie pan potrzebował, będę na górze w moim gabinecie - powiedziałam. Niedawno Bethany zleciła mi nową robotę dla gazety. Miałam

przeprowadzić wywiad z Billem Medleyem, wyższą połową śpiewającego w latach sześćdziesiątych duetu Righteous Brothers, który ostatnio nabył dom w Layton. Rzecz miała być na pół strony (Bethany nie była pewna, czy czytelnicy „Community Times” potrafią odróżnić Righteous Brothers od Ringling Brothers), ale i tak byłam szczęśliwa, że mam pracę.

- W gabinecie? Pani pracuje? - głowa Culliego wyłoniła się spod czarnego materiału i głupawo uśmiechnęła do mnie.

Och, darujmy sobie. - Tak, pracuję.

- Czym się pani zajmuje?

- Jestem dziennikarką. - Rzadko miałam odwagę tak się nazwać. Chodziło o to, że niezupełnie byłam Bobem Woodwardem. Ale doprowadzające do szału zachowanie Culliego Harringtona skłoniło mnie do drobnej przesady przy określaniu mojego zajęcia.

- Dziennikarką? Jestem zaskoczony - powiedział z nową nutą szacunku w głosie.

- Czemu jest pan zaskoczony?

- Odniosłem wrażenie, że jest pani kobietą, która nie zajmuje się niczym innym, tylko patrzeniem z góry na innych.

Ten człowiek był niebywały. Obróciłam się na pięcie i wyszłam z pokoju.

Tego dnia nie widziałam za często Culliego. Trzymaliśmy się z daleka od siebie. I dzięki Bogu. Im dłużej zastanawiałam się nad jego ogromną skłonnością do kłótni, tym bardziej czułam się zła i zirytowana. Jak śmiał przyjść do mojego domu i traktować mnie bez krzty szacunku, jakbym była jakąś głupią, bogatą suką prosto z powieści Judith Krantz? Kim był, żeby patrzeć na mnie z góry, zwłaszcza po tym, jak sam zarzucił mi, że traktuję go protekcyjnie?

Kilka dni później zadzwoniła Janet Claiborne i poinformowała, że Cullie podrzucił jej do biura trochę slajdów Klonowego Dworku. - Są absolutnie boskie - powiedziała.

- Bardzo bym chciała je zobaczyć - odparłam, umierając z chęci przekonania się, czy facet, który jak świerzb załazł mi za skórę, ma choć trochę talentu.

- Broszurka będzie gotowa za kilka tygodni, w okresie przerwy świątecznej - powiedziała Janet. Wspaniale, pomyślałam. Nikt nie kupuje domu w czasie świąt.

Nie mogłam uczynić nic, żeby kontrolować rynek obrotu nieruchomościami, toteż postanowiłam zająć się czymś, nad czym miałam szansę zapanować: sprawą mojej pracy. Nadszedł czas, aby odkurzyć życiorys, zebrać najlepsze wywiady i wysłać je do wydawców dużych czasopism.

Zabrałam się za to w zimną, śnieżną sobotę, bo nie miałam teraz nic lepszego do roboty w sobotnie wieczory. Julia była zajęta swoim tajemniczym mężczyzną, a jedyną inną możliwość stanowiło spędzenie wieczoru z moją matką, która ciągle zapraszała mnie na kolacje, żeby mieć okazję do pouczeń o mej niezdolności do utrzymania przy sobie mężczyzny. Czy ktoś miałby ochotę na leczenie kanałowe?

Zjadłam jajecznicę, popiłam almadenem (naprawdę starałam się oszczędzać) i napisałam listy do wydawców - trzydzieści pięć.

Następnego ranka wysłałam listy. Parę dni później zaczęłam wydzwaniać po redakcjach. Jeśli miałam szczęście, udawało mi się skontaktować z jakimś sekretarzem wydawcy, który się mnie sprawnie pozbywał. Tak, przyznawali, że otrzymali moje papiery, ale gdy pytałam, kiedy mogę przyjechać na rozmowę, reagowali tak, jakbym cierpiała na chorobę zakaźną. Istotnie, miałam ją: nazywała się desperacja. - Będziemy o pani pamiętać i damy znać jeśli pojawi się jakiś wakat - było standardową odpowiedzią.

- Koff, potrzebne ci są referencje, list polecający od kogoś mającego wpływy w świecie środków masowego przekazu - zasugerowała Julia, kiedy wpadłam do gazety i zrelacjonowałam jej brak jakiegokolwiek postępu na froncie poszukiwania pracy.

- Tak, i kogóż ja znam wpływowego? Bethany Downs?

Julia roześmiała się. - Czy zauważyłaś jej wąsy?

- Jej wąsy. Nie żartuję. Zawsze na górnej wardze osiada jej ten biały proszek.

- To cukier puder.

- Pewna jesteś?

- Jasne, że jestem pewna. Ma słabość do nadziewanych pączków. Pożera je tuzinami.

- Widzisz, Koff? Byłabyś świetna w magazynie „People”. Nikt nie zna tylu intymnych szczegółów z życia innych ludzi co ty.

Po powrocie do domu zaczęłam się zastanawiać nad słowami Julii. Może wydawcy rozmawialiby ze mną inaczej, gdybym miała referencje. Ale od kogo?

Przeglądałam właśnie ostatni numer „Community Times”, kiedy mnie olśniło: Alistair Downs znał wszystkich w środkach masowego przekazu. Może zadzwoniłby do któregoś ze swoich kumpli i powiedział: - Ho, ho. Ta Alison robi świetną robotę w mojej gazecie. Wyśmienitą. Może wyświadczysz przysługę staremu koledze Alistairowi i zatrudnisz ją?

Pomysł nie wydawał się taki nierealny. Teraz, kiedy byłam biedna i zrozpaczona, żaden pomysł nie był zbyt nierealny.

Następnego dnia rano zebrałam się na odwagę i zadzwoniłam do sekretarki Alistaira w redakcji. Chociaż pojawiał się tam tylko raz w tygodniu, kilka razy dziennie rozmawiał z sekretarką, dzwoniąc ze swojego domu, dwudziestopokojowej kamiennej budowli zwanej Na Zawsze, usytuowanej koło portu w Layton. Wyjaśniłam sekretarce, kobiecie o zaciśniętych ustach i niebieskosiwych włosach, nazywającej się Martha Hives, że chcę porozmawiać z senatorem Downsem o sprawach osobistych. Oddzwoniła do mnie tego samego dnia po południu, aby mnie poinformować, że senator spotka się ze mną za dwa dni o czwartej po południu w Na Zawsze. Byłam przejęta, że uzyskałam audiencję u sir Alistaira przed jego wyprawą do Lyford Cay na Bahamach, gdzie od dwudziestu lat co roku spędzali z Bethany Boże Narodzenie i Nowy Rok. Może szczęście zaczęło się do mnie uśmiechać. Być może.

O piętnastej czterdzieści pięć wyznaczonego dnia wzięłam w garść siebie i swoje dokumenty i pojechałam do portowej części Layton, po drodze przez chwilę podziwiając mnogość jachtów, zacumowanych w porcie, pomimo takiej pory roku. Zbudowany w sie-

demnastym wieku, wygodny port przy wejściu do cieśniny Long Island był kiedyś głównym portem handlowym. Teraz było to jedno z najbardziej prestiżowych miejsc w całym stanie.

Położona w połowie drogi między najstarszą wiejską częścią Layton a jachtklubem Sachem Point z widokiem na port, Na Zawsze, dwuipółhektarowa posiadłość Ahstaira Downsa, ukryta była za ścianą bujnych wiecznie zielonych krzewów. Kamienne słupy i brama z kutego żelaza strzegły wjazdu na teren posiadłości składającej się z sześćdziesięciopięcioletniego dworku o powierzchni około tysiąca czterystu metrów kwadratowych, dwóch powozowni zbudowanych z kamienia oraz basenu z kabinami kąpielowymi. Długa oświetlona aleja dojazdowa wiodła przez park z oryginalnymi okazami roślin, skalniakami, ogrodami różnymi sadzawką i kortem tenisowym. Wszystko wokół Na Zawsze sugerowało bogactwo, znaczenie i trwałość Nagle przypomniał mi się Cullie Harrington i zastanowiło mnie, czy kiedykolwiek fotografował Na Zawsze. Potem zaś zaczęłam analizować, dlaczego zawracam sobie głowę myśleniem o Culliem Harringtonie. Byłam pewna, że on o mnie nie myślał. Poprowadziłam porsche krętą aleją i zaparkowałam na podjeździe, na prawo od obramowanego łukami głównego wejścia. Nagle opadła mnie fala niepewności, ręce pokryły się zimnym potem. Co ja tu robię? Ja, Przedstawicielka Klasy Średniej, Alison Waxman córka byłej pamięci Sy Waxmana, Króla Materaców' i jego żony Dons, która, mimo swoich pretensji była tylko ładną żydowską dziewczyną z Queens. Jakim prawem zamierzam prosić o coś ten amerykański wzorcnót?

Do wnętrza domu zostałam zaproszona przez lokaja, który powiedział, że coś zatrzymało senatora Downsa i prosił, bym poczekała parę minut w bibliotece. Pokój utrzymany był w ciemnozielonej tonacji, pełen półek z książkami, z gładkim dywanem, biurkiem, kilkoma skórzanymi fotelami i kamiennym kominkiem, nad którym wisiał olejny portret samego Wielkiego Gospodarza. Opadłam na jeden z foteli i zajęłam się studiowaniem wnętrza: był to przybytek pana domu. Wszędzie, gdzie spoglądałam widziałam dziesiątki srebrnych ramek, otaczających Alistaira Downsa w całej jego świetności. Były tam fotosy z jego debiutanckiego filmu *Zbuntowany wojownik* z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku, reżyserowanego przez Victora Mature, w którym zagrał rolę gladiatora... Alistair Downs wcielający się w postać mistrza bokserskiego w filmie *Kid O'Reilly* z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego... grający u boku Virginii Mayo w filmie wojennym *Zuchwały batalion*, zrealizowanym w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim... romansujący z Susan Hayward w dramacie *Szczerłość uczuć* z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego... i ratujący Doris Day w kryminale *Za każdym rogiem*, nakręconym w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym dziewiątym. Były też zdjęcia z okresu późniejszego, już po Hollywood, kiedy stał się znaczącą osobistością w szeregach partii republikańskiej, wziął udział w wyborach do senatu, wygrał ogromną większością głosów i spędził dwie kadencje w Waszyngtonie. Były zdjęcia, gdy podawał rękę Barry'emu Goldwaterowi... potrzasał dłonią Richarda Nixona... grał w golfa z Gerrym Fordem... i modlił się obok Billy'ego Grahama. Były ujęcia, dokumentujące jego działalność dobroczynną i dokonania w służbie publicznej, zdjęcia

senatora, stojącego przed nowym Centrum Operacji Stawów Biodrowych imienia Alistaira P. Downsa przy szpitalu okręgowym... odwiedzającego szkołę dla dzieci niepełnosprawnych... gratulującego pochodzącym z okolic Layton żołnierzom, którzy bronili naszej ojczyzny na Grenadzie... i podpisującego akt własności „The Layton Community Times”, swojej zabawki po przejściu na emeryturę. Znajdowały się tu również zdjęcia, obrazujące prywatną stronę życia Alistaira Downsa, obejmującego zmarłą żonę, była tancerkę rewiową Annette Dowling, która zginęła tragicznie mając niewiele ponad czterdzieści lat... żeglującego swoim dwunastometrowym jachtem **ARYSTOKRATA** z Bethany na Bahamach... bawiącego się przed domem z Murphym, swoim seterem irlandzkim zdobywającym liczne nagrody... i zdmuchującego świece na ostatnim przyjęciu w jachtklubie Sachem Point wydanym z okazji siedemdziesiątych piątych urodzin:

Ależ bogate życie, westchnęłam z zazdrością. W porównaniu z nim moje życie wydawało się takie jałowe. Jakie były moje największe osiągnięcia? Poślubienie mężczyzn z pieniędzmi? Porzucenie przez mężczyzn z pieniędzmi? Kupienie domu, którego nie mogę utrzymać? Przyglądanie się, jak dom, na który mnie nie stać, przejmuje bank?

Zaciekawilo mnie, jak matka zareagowałaby na moją wizytę w domu Alistaira. Roześmiałyby się, otóż to. Jej córka w Na Zawsze? Rozmawiająca z żywą legendą - a na dodatek mężczyzną do wzięcia?

- Pan senator już idzie - zaanonsował lokaj, przerywając moje rozważania.
- Dziękuję - odparłam.

- Nie ma za co, panienko - powiedział, zanim się odwrócił, by wyjść. Pokochałam go. Od czasów szkoły średniej nikt nie nazwał mnie panienką.

Kiedy parę minut później stałam przy regale z książkami i przymierzałam się do wyciągnięcia oprawionego w skórę wydania *Wojny i pokoju*, owionął mnie zapach Old Spice'a i usłyszałam głos. - Witaj, moja droga. Ho, ho. To cudownie móc cię zobaczyć. - Odwróciłam się i ujrzałam Alistaira P. Downsa, zmierzającego w moją stronę. Ubrany w granatowy aksamitny smoking, białą koszulę, apaszkę w granatowo-czerwone paski, szare, flanelowe spodnie i brązowe buty, w każdym calu wyglądał jak gwiazda filmowa na emeryturze. Wysoki, szeroki w ramionach, z minimalnym śladem brzucha, miał uderzającą, jak na swój wiek, czuprynę - gęste, falujące, rudobrazowe włosy. W jego zielonych oczach kryła się figlarność nastolatka, a twarz niemal nie nosiła śladów plam słonecznych i pękniętych naczynek krwionośnych. Jedyne skóra na szyi, silnie pomarszczona i zwisająca na apaszkę oraz ręce upstrzone plamami wątrobowymi wskazywały, że nie jest już Don Juanem z kursów tańca Arthura Murraya, tym ambitnym, młodym byczkiem, który do szaleństwa podniecał damy, ucząc je, jak tańczyć cza-czę. Poza tym był idealnym okazem przystojnego hollywoodzkiego gwiazdora filmowego, który wykorzystał swoją popularność ekranową w robieniu kariery politycznej i, chociaż przed paroma laty wycofał się z życia publicznego, nadal umiał oczarowywać.

- Mnie też bardzo miło jest znów pana widzieć, senatorze Downs - powiedziałam, gdy Alistair potrząsał moimi dłońmi.

- Co cię tu sprowadza, moja droga? - rzucił, siadając w skórzanym fotelu i zakładając nogę na nogę. Nie zaproponował mi, żebym usiadła, ale i tak to zrobiłam.

- Otóż - zaczęłam - zastanawiam się nad zmianą pracy i przyszło mi do głowy, że mógłby mi pan w tym pomóc.

- A czym się teraz zajmujesz, moja droga?

- Chodzi panu o to, co robię w gazecie? - Jak mógł nie pamiętać? Zawsze zachowywał się tak, jakby mnie znał.

- W gazecie. Tak, oczywiście.

- Przeprowadzam wywiady ze sławnymi ludźmi, takimi jak pan. Ale oczywiście nie z osobistościami pańskiego kalibru, tylko z ludźmi, którzy...

- W porządku. Rozumiem, co masz na myśli.

- Widzi pan, panie Downs. O, przepraszam. Senatorze Downs. Chociaż naprawdę praca w „Community Times” sprawia mi przyjemność, to jednak czuję, że przyszedł czas, żeby się ruszyć. Ostatnio miałam trochę kłopotów finansowych, poza tym rozpadło się moje małżeństwo, więc stanęłam wobec konieczności poszukania pracy na pełny etat i, szczerze mówiąc, lepiej płatnej. Ponieważ zawsze był mi pan tak przychylny...

- Jestem przychylny wszystkim moim pracownikom, tak - powiedział roztargnionym głosem Alistair, po czym spojrzął na zegarek.

- Pomyślałam, że może mógłby pan zarekomendować mnie w jednym z ogólnokrajowych magazynów. Mogłabym przeprowadzać wywiady ze sławnymi ludźmi na przykład dla „People”, podobnie jak to robiłam dla pańskiej gazety, która, jeśli wolno mi dodać, jest pierwszorzędnym pismem, a to dzięki pana

zdolnej córce, Bethany, prawdziwej profesjonalistce, z którą przyjemnie jest pracować. - Co za podlizywanie się i kadzenie.

- Miło mi to słyszeć, moja droga.

- Jak już więc panu wspomniałam, bardzo bym chciała pracować dla takiego ogólnokrajowego magazynu, jak „People”. Czuję jednak, że na początku potrzebne mi będą naprawdę dobre referencje, list polecający od kogoś posiadającego wpływy w środkach masowego przekazu. Od kogoś takiego, jak pan.

- Trzy razy byłem na okładce magazynu „People” i mówiono mi, że te numery sprzedawały się najlepiej w całej historii pisma, jeśli oczywiście nie liczyć wydań ze zdjęciami Elizabeth Taylor i Jackie Onassis na okładce. Ale one są demokratkami, czegoż więc można się było spodziewać? Ho, ho.

- To bardzo interesujące, panie senatorze. Naprawdę. Ale wracając do mojej sytuacji, która stała się nieco kłopotliwa...

- Wszystkie pisma na świecie przeprowadzały ze mną wywiady - powiedział Alistair, po czym wyciągnął z kieszeni smokingu białą płócienną chusteczkę i głośno wydmuchał nos.

- Tak, panie senatorze, wiem. Jest pan bardzo interesującym człowiekiem. - I jakim egomaniakiem.

- Tak. Ho, ho. Lubię udzielać wywiadów. Zawsze lubiłem. I tak się zastanawiam, dlaczego nie przeprowadziłaś ze mną rozmowy dla naszego małego pisemka? - zachichotał Alistair.

- Jestem pewna, że Bethany uważa, iż jest pan zanadto zajęty - powiedziałam. Czy nie możemy wreszcie przejść do moich spraw i do tego, że szukam pracy?

- Bzdura, moja droga. Nigdy nie jestem aż tak zajęty, by nie pomóc komuś z moich pracowników, a zwłaszcza komuś tak atrakcyjnemu. - Och, darujmy sobie. - Chciałabyś kiedyś przeprowadzić ze mną wywiad? O to chodzi? Nie wstydź się. Po prostu zadzwoń do mojej sekretarki.

- Cóż, dziękuję, senatorze Downs. Na pewno to zrobię. Ale wracając do moich problemów...

- W gruncie rzeczy będę znowu w Layton pod koniec stycznia, chyba żeby pogoda w Lyford była zbyt wspaniała, wtedy oczywiście zostaniemy dłużej. Powiedz więc tylko pani Hives w redakcji, że się zgodziłem.

- To cudownie, panie senatorze. Naprawdę. Teraz jednak, jeśli mi wolno...

- Przeprowadzenie ze mną wywiadu pomoże ci zdobyć tę wspaniałą pracę, której szukasz, moja droga. Zobaczysz.

- Już zaczynam to dostrzegać.

- A teraz wybacz mi, moja droga. Muszę się już zbierać, inaczej pani Hives urwie mi głowę. Zorganizowała tyle spotkań ze mną, że z przeładowania niedługo zapomnę, jak się nazywam.

Marne szanse. Jeśli było coś, czego Alistair Downs nigdy nie zapomni, to właśnie swojego imienia i nazwiska.

- Tatusiu, wychodzę do redakcji i... Alison! Co tutaj robisz?

W chwili gdy Alistair kończył ze mną rozmawiać, do biblioteki wmaszerowała Bethany, przeżuwając nadziewany pączek i sypiąc cukier puder na ciemny, gładki dywan. Julia miała rację. Rzeczywiście Bethany miała białe wąsy. Sądząc po wyrazie jej twarzy,

byłam ostatnią osobą, jaką spodziewała się zastać w domu swojego ojca.

- Cześć, Bethany. Wpadłam właśnie, żeby...

- Chciała przeprowadzić wywiad z twoim starym ojcem - wyjaśnił Alistair.

- Cóż, jeśli chciała zrobić z tobą wywiad, powinna najpierw przyjść z tym do mnie - Bethany zwróciła się do ojca.

- Widocznie o tym nie wiedziała - powiedział Alistair. Rozmawiali na mój temat, jakby mnie tam nie było. - Jestem pewien, że następnym razem załatwi to we właściwy sposób.

- Z pewnością - mruknęła Bethany, podejrzliwie mi się przyglądając. - Wszyscy chcą się dostać do mojego ojca, więc muszę go bardzo chronić - wyjaśniła. - Zwłaszcza teraz, kiedy ta Melanie Moloney, ta nędzna parweniuszka...

- Już dobrze, dobrze, Bethany, kochanie - uspokajał ją Alistair. - Nie przejmuj się tak panią Moloney. Istotnie jest nieco zbyt ciekawa szczegółów mojego życia, jak na mój gust, ale wszyscy wiemy, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła, prawda?

Bethany kiwnęła głową, a potem cmoknęła go w policzek, on zaś objął ją ramieniem.

I tyle załatwiłam z Downsami. Pożegnałam się i wyniosłam jak najdalej od Na Zawsze. Nic dziwnego, że Alistair Downs znalazł sławę jako nauczyciel tańca. Ten drań potrafił wywalcować z każdej sytuacji. Nie miał najmniejszego zamiaru pomóc mi w zdobyciu pracy w porządnym czasopiśmie. Nie miał najmniejszego zamiaru wysłuchać, co chciałam powiedzieć. Nawet nie miał pojęcia, kim jestem!

Dasz sobie radę, dasz sobie radę, powtarzałam sobie, a łzy złości i frustracji napłynęły mi do oczu. Nie potrzebujesz już bogatego mężczyzny, żeby ocalił ci życie, Alison. Nie tym razem.

5

Była już połowa stycznia, a Janet Claiborne wciąż nie znalazła odpowiedniego nabywcy Klonowego Dworku. Ostatnia osoba, której pokazywałam dom, nie była nawet pewna, czy chce mieszkać na Wschodnim Wybrzeżu, a co dopiero w Layton. Oczywiście, gdyby Janet sama prezentowała dom, rzeczy mogłyby wyglądać inaczej. Ale była zajęta instalowaniem nowego telefonu w swoim jaguarze i nie mogła przesunąć spotkania. Wyjaśniła, że dobry instalator jest taką samą rzadkością jak ktoś potrafiący przyrządzać dobre martini.

W końcu jednak doczekałam się chociaż prospektu domu. Cullie wsunął kilka egzemplarzy do mojej skrzynki pocztowej razem z wizytówką, na której nabazgrał: *Oto ostateczny produkt. Ładne rzeczy robię, prawda?* Miał rację; zdjęcia były rewelacyjne. Klonowy Dworek prezentował się wspaniale. Ja też robię ładne rzeczy, pomyślałam, przypominając sobie cały ten czas, energię i pieniądze, jakie włożyłam w renowację domu. Gdyby tylko teraz ktoś kupił dom, stanęłabym na nogi.

Chciałam podziękować Culliemu za zrobienie takich pięknych zdjęć, więc wykreśliłam numer, podany na karcie wizytowej, ale odezwała się automatyczna sekretarka i szybko odłożyłam słuchawkę. Trzeba się

przyznać, facet mnie peszył. Był przystojny, utalentowany i umiał podejmować decyzje. A ponadto sprawiał wrażenie człowieka wierzącego w siebie i swoje umiejętności, czego na pewno nie dawało się powiedzieć o mnie.

Trudno mi było wierzyć w siebie i moje umiejętności, skoro bank rozpoczął procedurę przejmowania mojego domu i nie mogłam znaleźć pracy. Dzień po dniu wydzwaniałam do wydawców pism w Nowym Jorku i dzień po dniu nic się nie zmieniało. Doszłam do wniosku, że teraz, gdy czekam, aby zatrudniło mnie jakieś wielkie wydawnictwo, potrzebna mi jest praca gdzieś w pobliżu, przez parę godzin dziennie, dzięki której uzupełnię moje nędzne dochody z gazety. Ale gdzie mogłabym znaleźć pracę w niepełnym wymiarze godzin w najbliższej okolicy? Jedyne, co umiałam robić, to przeprowadzać wywiady ze znanymi osobistościami i sprzątać dom. Może mogłabym sprzątać domy sławnych ludzi, roześmiałam się. Ale poważnie, co miałam robić?

Wyciągnęłam ostatni numer „Community Times” i przejrzałam stronę z ogłoszeniami, gdzie znalazłam pracę dla sekretarki (nie miałam odpowiednich kwalifikacji), pomocy dentystycznej (nie miałam odpowiednich kwalifikacji), programisty (nie miałam odpowiednich kwalifikacji) i trenera gimnastyki w szkole (nie miałam odpowiednich kwalifikacji - mój sposób dawania sobie w kość polegał na zamówieniu przyprawionych na ostro skrzydełek kurczaka w McGavin's). Potem przekreśliłam stronę i ujrzałam następujące ogłoszenie: Potrzebna gospoia Szukam uczciwej, solidnej, dyskretnej, mówiącej

po angielsku osoby do sprzątania domu i prania. Musi być dobrze zorganizowana, mieć świetne referencje, prowadzić własny samochód i posiadać dużą wprawę w robieniu porządków. 25 dolarów za godzinę, praca od wtorku do piątku. Telefon 555-7562.

Przeczytałam inne ogłoszenia, umieszczone na tej stronie - poszukiwano kucharza dp baru szybkiej obsługi, dwujęzycznej kasjerki do banku, manikiurzystki, stenografki i sędziego liniowego w kręglami. Znalazłam też duże ogłoszenie o treści:

„THE GAP” OTWIERA NOWY SKLEP W LAYTON. POTRZEBNA POMOC W SKLEPIE.

Wreszcie praca, do której miałam odpowiednie kwalifikacje!

Zadzwoiłam do „The Gap” i umówiłam się na spotkanie. Kiedy się zjawiłam, szesnastoletnia szefowa sklepu (przynajmniej wyglądała na tyle lat) oświadczyła, że niezupełnie pasuję do tej pracy, czym wyraziła delikatnie, że jestem za stara. Zdaniem tej panienki, młodzież robiąca zakupy w „The Gap” odczuwałaby obecność kobiety w moim wieku jak towarzystwo matki, młodzież zaś nie potrzebowała matkowania przy zakupie nowej pary spodni. Trzeba było się zabrać za dalsze poszukiwania pracy.

Moja następna próba zdobycia pracy w niepełnym wymiarze godzin była podobnie upokarzająca. Ponieważ tajniki handlu nie były mi obce (w ciągu tych paru lat narobiłam trochę zakupów) zgłosiłam się do pracy jako sprzedawczyni w sklepie z ubraniami ciężowymi i artykułami dla młodych matek. Rozmowa kwalifikacyjna przebiegała wyśmienie do

momentu, w którym kierownik sklepu zapytał mnie, czy umiem się posługiwać pompką do odciągania pokarmu.

Nie dostałam tej pracy.

Zima mijała, a dział ogłoszeń w gazecie, poświęcony pracy, stawał się coraz chudszy i chudszy. Recesja spadła na Layton jak gęsta mgła; nie było pracy - w każdym razie nic, co byłabym w stanie wykonywać. Co tydzień przerzucałam gazetę w poszukiwaniu jakichś ofert i co tydzień rzucało mi się w oczy to samo ogłoszenie:

Potrzebna gosposia Szukam uczciwej, solidnej, dyskretnej, mówiącej po angielsku osoby do sprzątnięcia domu i prania. Musi być dobrze zorganizowana, mieć świetne referencje, prowadzić własny samochód i posiadać dużą wprawę w robieniu porządków. 25 dolarów za godzinę, praca od wtorku do piątku.

Telefon 555-7562.

O rany, tę damulkę musi być ciężko zadowolić, pomyślałam przeczytawszy n-ty raz ogłoszenie. Pełno było bezrobotnych gosposi. Trudno było uwierzyć, że nikt nie dostał tej pracy.

Co będzie, jeśli zadzwonię i zgłoszę się do pracy? Dwadzieścia pięć dolarów za godzinę przez osiem godzin dziennie, cztery razy w tygodniu daje osiemset na tydzień! To wystarczyło by na oświetlenie i ogrzewanie Klonowego Dworku do czasu pojawienia się kupca. Ale czy ja, Alison Waxman Koff, pani Klonowego Dworku, mogłabym zostać gosposią? Wystarczyło, że musiałam szorować swoją własną ubikację, cóż dopiero cudzą! Co by powiedzieli znajomi,

gdyby się dowiedzieli? Co by powiedzieli nieznajomi, gdyby się dowiedzieli? Byłaby to najpiquantniejsza plotka w Layton od czasu, kiedy pewna prominentna osoba wyrzuciła ze swojego domu ochroniarzy.

Ale dlaczego ktoś miałby wiedzieć, że zostałam gosposią? Czemu nie miałabym zabrać środków do czyszczenia, wskoczyć do porsche'a, pojechać do domu tej kobiety, odwalić robotę, otrzymać zapłatę i wrócić? Kto mógłby się dowiedzieć? Po prostu nikt. Nie Sandy. Nie matka. Gdyby ktoś zapytał, gdzie się podziewam od wtorku do piątku, mogłabym odpowiedzieć, że jeżdżę do Nowego Yorku na spotkania z wydawcami różnych pism. Gdyby Bethany chciała, żebym przygotowała coś do gazety, mogłabym jej powiedzieć, że mam czas w poniedziałek lub w czasie weekendu.

Wzięłam do ręki gazetę i przeczytałam raz jeszcze ogłoszenie. Potrzebna gosposia. Szukam uczciwej, solidnej, dyskretnej, mówiącej po angielsku osoby. Byłam uczciwa, solidna i dyskretna, prawie zawsze, i mówiłam po angielsku wystarczająco dobrze, żeby się dogadać z każdym, poza moją matką. Musi być dobrze zorganizowana, mieć świetne referencje, prowadzić własny samochód i posiadać dużą wprawę w robieniu porządków. Byłam bardzo dobrze zorganizowana (Sandy zwykł mawiać, że również przesadnie dokładna), prowadziłam swój własny samochód i miałam, może nie dużą, ale niewątpliwie więcej niż przeciętną wprawę w robieniu porządków. Brakowało mi tylko świetnych referencji. Jedynymi ludźmi, którzy wiedzieli, jak doskonale umiem wycierać kurz ze stołu, szorować zlew i myć podłogę, byli moja matka i Sandy, nie zamierzałam jednak prosić ich o listy polecające.

Skoro już zaszłaś tak daleko, zrób jeszcze ten krok do przodu, powiedziałam sobie.

Przesunęłam palcem po ogłoszeniu i poczułam szaleńcze bicie serca. Zadzwoń, zadzwoń, szeptał mi jakiś głos. Idź za swoim instynktem. Pokaż wszystkim, że sama umiesz dbać o siebie. Nie bądź tchórzem.

Zaczerpnęłam głęboko powietrza i wykręciłam numer. Już zamierzałam się odezwać, gdy zorientowałam się, że zgłosiła się automatyczna sekretarka.

- Tu numer 555-7562 - powiedział damski głos.

- Jeśli dzwonisz w sprawie ogłoszenia, nawet nie myśl o nagrywaniu wiadomości po usłyszeniu sygnału, chyba że jesteś zupełnie pewna, iż nadajesz się do tej pracy. Pip.

Przełknęłam nerwowo ślinę i odłożyłam słuchawkę. Kim jest ta wiedźma? I, co ważniejsze, czy jestem absolutnie pewna, że nadaję się do tej pracy? Oczywiście, że nie. Jedyna rzecz, której byłam absolutnie pewna, to wrażenie, że niemal czuję owe osiemset dolarów tygodniowo. Odczekałam kilka minut i zadzwoniłam ponownie.

- Tu numer 555-7562 - odezwał się automat.

- Jeśli dzwonisz w sprawie ogłoszenia, nawet nie myśl o nagrywaniu wiadomości po usłyszeniu sygnału, chyba że jesteś zupełnie pewna, iż nadajesz się do tej pracy. Pip.

- Dzień dobry - powiedziałam, starając się, żeby mój głos brzmiał śmiało i kompetentnie. - Dzwonię w związku z ogłoszeniem i jestem zupełnie pewna, że nadaję się do tej pracy. Mam na imię Alison, mój numer to 555-8184. Czekam na telefon.

Kości zostały rzucone. I co mam teraz zrobić, jeśli kobieta oddzwoni? Zeszłam na dół i nalałam sobie

szklaneczkę almadenu. Co będzie, gdy się okaże, że to ktoś znajomy? Uspokój się, przykazałam sobie. Jeśli zadzwoni, zawsze możesz powiedzieć, że znalazłaś już inną posadę, albo że wykręciłaś jej numer przez pomyłkę, albo że cierpisz na schizofrenię i to jedna z twoich chorych osobowości wykonała telefon.

O wpół do piątej po południu telefon zadzwonił. Podskoczyłam. Przez chwilę pomyślałam, czy nie pozwolić automatycznej sekretarce przyjąć rozmowy, ale zdecydowałam się zachować jak dorosła kobieta.

- Halo - powiedziałam ostrożnie.
- Czy to Alison? - zapytał kobiecy głos.
- Tak, to ja - odparłam.
- Odpowiedziała pani na moje ogłoszenie w gazecie. Proszę mi opowiedzieć o sobie - zażądał głos.
- Cóż, mam ogromną wprawę w robieniu porządków - zaczęłam, czując, że nad górną wargą powstają drobniutkie kropelki potu. - I jestem przyzwyczajona do pracy w luksusowych willach.
- Doprawdy? Gdzie pani teraz pracuje?
- W willi przy Woodland Way.
- Woodland Way. Niezły adres. Od dawna?
- Jakies pięć lat - odpowiedziałam, przywołując w pamięci dzień, w którym razem z Sandym zdecydowaliśmy się na Klonowy Dworek.
- Dlaczego chce pani zmienić pracę? Czy pokłóciła się pani ze swoim pracodawcą?
- Skądże znowu. Właściciele domu mają kłopoty finansowe.
- To się teraz często zdarza. Czy załatwił ich krach giełdowy?
- Nie mam pojęcia. Moje zadanie polega na utrzymywaniu w czystości ich domu, a nie na zadawaniu

pytań. - Przypomniałam sobie, że w ogłoszeniu była wzmianka o dyskrecji.

- Podoba mi się to. Proszę się zgłosić do mnie jutro o wpół do czwartej po południu. Bluefish Cove, numer siedem. Jak pani ma na nazwisko?

- Eee... hm... Koff. - Wszystko działa się tak szybko.

- Świetnie. Jutro, o wpół do czwartej.

- Ale chwileczkę... ja... nie jestem pewna, czy...

- Racja. Zapomniałam. Nazywam się Melanie. Melanie Moloney. Być może słyszała pani o mnie. Do zobaczenia jutro. - Brzdęk.

Melanie Moloney? To ona szukała służącej? No i masz ci los. Co teraz miałam zrobić? Jeśli Bethany Downs kiedykolwiek się dowie, że spotkałam się z Melanie Moloney, to będzie koniec mojej pracy w gazecie, może nawet w ogóle mój koniec! Ach, pieprzę ją i jej tatuśka. Za bardzo potrzebuję tych ośmuset dolarów tygodniowo od Melanie, aby się przejmować możliwością narażenia się na zemstę Downsów.

Oczywiście, nie miałam żadnej gwarancji, że dostanę tę pracę. Pozostawał śliski problem tych doskonałych referencji, których nie miałam. Doszłam jednak do wniosku, że nie będę się tym martwić na zapas. Tymczasem skupiłam się na analizie pozytywnych stron bycia gosposią u Melanie Moloney. Po pierwsze, pieniądze. Po drugie, nie musiałam rezygnować z pracy w gazecie ani przerywać poszukiwań pracy w jakimś magazynie w Nowym Jorku. Po trzecie, zachowam pozorną anonimowość; nikt, poza Melanie, nigdy się nie dowie, że zamiast rozwijać swoją karierę dziennikarską, sprzątam toalety. Mela

nie była obca w mieście, toteż uda mi się zachować mój sekret. A poza tym będę pracować dla autorki rozchwytywanych biografii sławnych ludzi - dla kobiety, która, tak samo jak ja, pisała o znanych osobistościach, tyle że za miliony dolarów, a nie za marne grosze. Może Melanie będzie moją przepustką do sławy. Słyszało się o tych wszystkich magnatach z Hollywood, którzy zaczynali jako chłopcy na posyłki w ICM albo u Williama Morrisa. Cóż, można też zacząć jako gosposia kogoś znanego. Może sprząając kuchnię Melanie, odkurzając jej gabinet i prasując jej bieliznę zbliżę się jakoś do niej, poznam jej technikę, dowiem się, jak skłania ludzi do zwierzeń, zrozumiem, dlaczego z reporterki prasowej wyrosła na autorkę mega-hitów czytelnicznych. Może dostrzeże, że jestem bardzo sprawna i zdolna i uczyni mnie swoją sekretarką, potem pomocnicą, potem współautorką. Wszystko przecież jest możliwe, prawda?

Moje marzenia przerwał dźwięk telefonu. Dzwoniła Julia z propozycją wspólnej kolacji.

- Nie stać mnie na jedzenie na mieście. Żyję teraz w realnym świecie, pamiętasz?

- Jestem z ciebie dumna, Koff - tak dumna, że ja stawiam. Czekam na ciebie za godzinę w McGavin's.

Od miesiący nie byłam w McGavin's i zdumiało mnie, jak bardzo zmieniła się tamtejsza klientela. Z rozpadającej się knajpy, gdzie serwowano hamburgery laytońskim niższym warstwom (czyli pracownikom sfery budżetowej) i zatrudnionym w mieszczącej się tuż obok redakcji „Community Times”, McGavin's najwyraźniej przekształcił się w modną restaurację. Zamiast szeregu samochodów terenowych

i półciężarówek, zwykle stojących na parkingu ujrzałam same BMW i mercedesy. Wewnątrz lokal był zapchany opalonymi ciałami, odzianymi w sportowe kreacje Carolyn Roehm, Donny Karan i Ralpa Laurena.

- Co się dzieje? - spytałam Julię, kiedy zauważyłam trzy małżeństwa, które przyjaźniły się ze mną, gdy byłam żoną Sandy'ego, a teraz udawały, że mnie nie widzą.

- To ich metoda obniżenia poziomu życia - wyjaśniła Julia. - Nie stać ich już na szykowną włoską restaurację, więc przychodzą tutaj. Broń Boże, żeby zostali w domu.

- Są szczęśliwi, skoro mają dom - powiedziałam posepnie.

- A co się dzieje z twoim domem? Żadnych działań?

- Nic. Ani jednej oferty. Nikt, poza bankiem, go nie chce.

- To paskudnie, Koff. Jak sobie z tym radzisz?

- Sądzę, że nieźle. - Konałam z chęci opowiedzenia Julii o mojej rozmowie z Melanie Moloney, ale nikomu nie mogłam o tym nawet pisać. Jasne, Julia była prawdziwą przyjaciółką, była też jednak długoletnią i bardzo oddaną pracownicą „Community Times”, co oznaczało niezwykłą lojalność wobec Alis-taira Downsa. Jedno niewielkie spotkanie i wylecę z gazety w mgnieniu oka. Innym powodem, dla którego nie mogłam nic zdradzić Julii, była obawa przed jej reakcją na wiadomość, że zostałam czyjąś służącą. Mogła się przerazić, że nie próbuję się utrzymać w bardziej elegancki sposób. Zdecydowałam, że lepiej będzie nic jej nie mówić.

Gdy jadłyśmy cheeseburgery i frytki, słuchałam wykładu Julii o wszystkim, poczynając od ostatniej decyzji komisji planowania, która postanowiła nie przyznawać odremontowanym delikatesom w Layton licencji na sprzedaż alkoholu, aż po szczegóły nowego, kontrowersyjnego planu odzyskiwania surowców wtórnych (kontrowersyjnego, ponieważ wielu mieszkańców Layton uważało, że małe niebieskie koszyki, które mieli wystawiać przed dom raz w tygodniu, są tak brzydkie, iż mogą się przyczynić do obniżenia wartości ich posiadłości). Przy kawie zapytałam Julię, jak się miewa jej tajemniczy mężczyzna.

- Jaki tajemniczy mężczyzna? - rzuciła nonszalancko.

- Och, daj spokój. Spotykasz się z kimś. Wiem dobrze.

- Skąd ci to przyszło do głowy, Koff?

- Bo co wieczór jesteś niezwykle zajęta. Niemal zemdlałam z wrażenia, kiedy zaproponowałaś dziś wspólną kolację.

- To, że jestem zajęta nie oznacza wcale, że chodzi o mężczyznę. Życie nie musi się kręcić wokół mężczyzn, Koff.

- W porządku. Nie chcesz mi powiedzieć. Sprawa zamknięta.

Kiedy Julia chwyciła rachunek, przyniesiony przez kelnera, wyciągnęłam z torebki lusterko, sprawdziłam, czy nie mam resztek jedzenia na ustach i zaczęłam nakładać świeżą warstwę szminki na wargi. Nagle obok mojego odbicia w lusterku zmaterializowała się znajoma twarz.

- Pani Koff, prawda?

To był Cullie Harrington, niezwykle fotograf. By-

łam tak zakłopotana, że nie wiedziałam, co powiedzieć, a to mi się rzadko zdarzało.

- Nie poznaje mnie pani? W ubiegłym miesiącu robiłem zdjęcia u pani w domu - przypomniał mi Cullie. - Nie wpuściła mnie pani frontowymi drzwiami.

No tak. Zachowanie tego faceta było dokładnie takie, jak zapamiętałam. Cóż, nie zamierzałam sprawić mu satysfakcji i powiedzieć nic miłego o jego zdjęciach. Równocześnie jednak, z jakiegoś dziwnego powodu, na jego widok serce zaczęło mi walić jak głupie. Nigdy nie okazuj mężczyźnie, że cię zainteresował, stale powtarzała moja matka. Nigdy nie miej serca na dłoni. Nigdy nie pokazuj, jak bardzo ci na nim zależy. - Zdjęcia w moim domu? - powiedziałam, usiłując sprawić wrażenie autentycznie zdziwionej, mającej trudności w umiejscowieniu tego człowieka w swoim życiu.

- Tak rzeczywiście fotografowałem pani dom. - Cullie uśmiechnął się półgębkiem. - Klinowy... nie.. Klonowy Dworek.

- Istotnie tak się nazywa mój dom. A pan ma na imię Corny - o przepraszam - Cullie Harrington?

Cullie uśmiechnął się. Miał wspaniały uśmiech, a niech to. Z falującymi, jasnymi włosami, brodą i wąsami w kolorze pieprzu i soli, szczupłą sylwetką pływaka i tym wspaniałym uśmiechem był radością dla oczu, jeśli się lubiło ten typ urody.

- Jestem Cullie Harrington - zwrócił się do Julu i wyciągnął rękę.

- Julia Applebaum. Miło mi pana poznać - powiedziała, gdy uścisnęli sobie dłonie. - Czy zechciałby się pan do nas przyłączyć?

- Właśnie wychodziłyśmy - rzuciłam pospiesznie
 - Może innym razem.
 - Raczej nie. Podszedłem tylko dlatego, żeby się dowiedzieć, czy dostała pani prospekty, które wrzuciłem do pani skrzynki na listy. Chyba przypomina sobie pani prospekty, prawda?
 - Oczywiście, pamiętam prospekty - warknęłam. Czy ten człowiek nigdy nie przestanie mnie traktować jak rzesę na stawie?
 - Zaledwie sekundę temu nie pamiętała pani że robiłem zdjęcia domu.
 - No więc dostałam prospekty. Dziękuję.
 - I co?
 - I podobał się pani dom na zdjęciach?
 - Rzeczywiście zdjęcia były zupełnie dobre - powiedziałam, tłumiąc kichnięcie i rzuciłam się na poszukiwanie chusteczek do nosa w torebce. Prawdopodobnie byłam uczulona na tego faceta
 - Zupełnie dobre? To miło, że pani tak uważa - rzekł Culhe, zaskoczony moim brakiem entuzjazmu i lekko dotknięty moją odpowiedzią.
- Cóż, nie miałam zamiaru wychwalać pod niebiosa tych zdjęć. Wiedziałam, że jestem nieuprzejma ale nic mi mogłam na to poradzić. Fotografie były rewelacyjne, a Culhe niewątpliwie był niezwykle utalentowany Czemu więc nie mogłam mu tego powiedzieć? Dlaczego musiałam traktować go z góry? Z tego, że wychowano mnie na snobkę, nie musiało wynikać, że nią będę
- Odchrząknęłam, spojrzałam prosto w niebieskie przysłonięte okularami oczy i powiedziałam: -
Prawdę mówiąc, uważam, że fotografie są...
- Hej, skarbie, już jestem.

Zamierzałam właśnie przyznać, że zdjęcia naprawdę bardzo mi się podobały i że jestem wdzięczna Culliemu za pomoc w sprzedawaniu domu, kiedy młoda kobieta z długimi jasnymi włosami i bardzo dużym biustem wzięła go pod rękę.

- Przepraszam, że to tak długo trwało - powiedziała, wskazując damską toaletę. - Ale była kolejka.

- Nic się nie stało - odrzekł Cullie, wyraźnie szczęśliwy, że ją widzi. - Hadley, to jest Julia Applebaum i jej znajoma, pani Koff. Panie pozwolą, to jest Hadley Kittredge.

Hadley Kittredge. Litości. I co to za pomysł z tą panią Koff? Cullie doskonale wiedział, że na imię mam Alison.

Hadley Kittredge uśmiechnęła się do mnie i do Julii. Miała doskonałe włosy, skórę, zęby i nienawidziłam jej. - Miło cię poznać, Julio - powiedziała.

- I panią też, pani...

- Koff - podpowiedziałam. - Podobnie do tego, co się robi, kiedy się jest przeziębionym. - Prawdopodobnie Hadley Kittredge nigdy nie była przeziębiona.

- Chodźmy, Hadley - zwrócił się do niej Cullie.

- Za dziesięć minut zaczyna się film.

- Na co idziecie? - Julia zapytała gruchające gołąbki.

- Na *Moby Dicka* z Gregory Peckiem - odpowiedziała Hadley. - Wyświetlają ten film w kinie starych filmów. Cullie po prostu uwielbia historie o morzu.

- Życzę całego morza wrażeń - mruknęłam kwaśno.

- Ha, to doprawdy zbieg okoliczności - odezwała się podniecona Hadley, klepiąc się po udach. - Za-

uważyłeś, Cullie? Pani Koff życzyła nam morza wrażeń, a my idziemy obejrzeć film o morzu!

Mimo wszystko pan Bóg zachował się przyzwoicie. Dał tej panience wspaniałe ciało, ale za grosz rozumu.

- Tak, zauważyłem - skrzywił się Cullie. - Pani Koff ma umysł szybki jak błyskawica. Sęk w tym, że nikt nie chce być rażony błyskawicą. Miło było cię poznać, Julio.

Cullie i Hadley wyszli z McGavin's ramię w ramię, Julia płaciła rachunek, a ja popadłam w podły nastrój.

- O co w tym wszystkim chodziło, Koff? - spytała wreszcie Julia. - Dlaczego traktujesz tego sympatycznego człowieka, jakbyś była Leoną Helmsley, a on jakimś śmieciem? Facet starał się być miły, ty zaś miałaś muchy w nosie.

- Wiem i bardzo się tego wstydzę - przyznałam. - Zachowuję się jak wariatka, kiedy on jest w pobliżu. Wprawia mnie w nerwowy nastrój - mam palpacje serca, ręce mi drżą i w brzuchu wszystko się przekręca.

- Lepiej coś z tym zrób.

- Co na przykład? Mam wziąć prozac?

- Nie. Spotkaj się z nim. To mi wygląda na prawdziwą miłość.

6

Następnego dnia wyruszyłam z Klonowego Dworku o trzeciej po południu, żeby stawić się przed Melanie Moloney o wpół do czwartej. Nie wiedziałam, co mam na siebie założyć - czy powinnam być

ubrana jak gospośnia, czy jak właścicielka domu? - w końcu zdecydowałam się na prosty zestaw spódnicy i swetra, tym skromniejszy, że zrezygnowałam z wszelkiej biżuterii.

Bluefish Cove, gdzie mieszkała Melanie, znajdował się w odległości dziesięciu minut jazdy samochodem. Prywatne, ogrodzone osiedle zajmowało wąski pasek brzegu po przeciwnej stronie Layton niż Layton Harbor. Nazywano je także „Connecticutampton”, ze względu na tych wszystkich nowojorczyków, którzy kupili tu domy letniskowe, a którzy wcześniej mieszkali w Westhampton, Sag Harbor i tym podobnych miejscach. Wielu z nich twierdziło, że tutaj mają lepszy dojazd.

W przeciwieństwie do niedocenianych, ale nadal wartych miliony dolarów domów w Layton Harbor, znakomitą większość domów w Bluefish Cove stanowiły ostentacyjne współczesne rezydencje, które składały się z ogromnych szklanych tafli sięgających od ziemi aż po dach, marmurów, stylizowanych na antyki mebli i najnowocześniejszych łazienek, określanych mianem pokoi kąpielowych. Przedstawiciele zasiedziały, bogatych od pokoleń laytończyków lekceważyli mieszkańców Bluefish Cove, traktując ich jak nowobogackich karierowiczów. Bluefishcoversi uważali ludzi mieszkających w Layton Harbor za starych nudziarzy.

W drodze do domu Melanie usiłowałam sobie wyobrazić przebieg rozmowy. Potem próbowałam sobie wyobrazić, jak zmieni się moje życie, jeśli dostanę pracę. A w następnej kolejności, jak zmieni się moje życie, jeśli nie zdobędę tej pracy. Żadna perspektywa mnie nie zachwycała.

Dwanaście po trzeciej podjechałam do bramy wjazdowej na osiedle Bluefish Cove, gdzie zatrzymał mnie uzbrojony strażnik.

- Pani nazwisko? - warknął.

- Alison Koff - powiedziałam po otwarciu okna w samochodzie. - Przyjechałam na spotkanie z Melanie Moloney.

- Koff. Koff. Nie widzę żadnych Koffów na liście. Muszę zadzwonić do pani Moloney. Proszę tu czekać.

No świetnie, pomyślałam. Albo zapomniała, że jesteśmy umówione, albo wynajęła już kogoś innego.

- Proszę jechać - rzucił w końcu strażnik, otwierając bramę i machając w moim kierunku.

Manewrowałam samochodem, mijając parady plotów, kamiennych murów i bram z kutego żelaza, aż dotarłam do domu położonego przy Bluefish Cove pod numerem siódmym. Skręciłam w wysypaną różowym żwirkiem drogę dojazdową, wzdłuż której stały białe latarenki i zatrzymałam samochód na placu po lewej stronie drzwi frontowych.

Zewnętrzne ściany domu zostały pokryte listewkami ze ściemniałego w naturalny sposób cedrowego drewna, a liczne ganki i balkony sterczały z każdej strony. Na pierwszy rzut oka największe wrażenie wywierała liczba i rozmiary szklanych drzwi i okien. Wpadłam w panikę, gdy wyobraziłam sobie jak pucuję te pięćset metrów kwadratowych szklanej powierzchni.

Energicznym krokiem podeszłam do drzwi frontowych, nacisnęłam dzwonek i czekałam. Nikt się nie pojawił. Po mniej więcej minucie zadzwoniłam po raz drugi. Nadal nikogo. Był zimny, wietrzny dzień w połowie stycznia i powiewy wiatru sprawiały wra-

zenie mrozu. Owinęłam się płaszczem, żałując, że pozbyłam się futra z norek. Gdzie ona jest? pomyślałam. Czy nie obchodzi jej, że zaraz sobie odmrozę tyłek? Jak można być tak nieuprzejmym?

Jeszcze raz nacisnęłam dzwonek, tym razem przytrzymując guzik dłużej. Zaczynał mnie boleć czubek nosa, a w palcach u rąk i nóg powoli traciłam czucie. Gdzie, u diabła, była Melanie? Musiała wiedzieć, że nadjeżdżam, bo strażnik uprzedził ją telefonicznie. Może zażywa kąpieli, pomyślałam. A może odbywa niezwykle ważną międzynarodową rozmowę telefoniczną.

Odczekałam jeszcze parę minut, po czym zadzwoniłam znowu. Nikt nie zareagował. Potem przyszło mi do głowy, że może dzwonek jest zepsuty, więc kilka razy zapukałam do drzwi. Nadal nie było odpowiedzi. Czy przyjechałam za wcześnie na spotkanie? A może za późno? Może pomyliłam dzień? Czy znalazłam właściwy dom? We właściwym mieście?

Zacząłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie wyimagino wałam sobie całej tej rozmowy z Melanie. Przemarznięta do szpiku kości postanowiłam wrócić do samochodu, włączyć ogrzewanie i posiedzieć tam, dopóki nie wróci mi czucie w kończynach. O trzeciej trzydzieści pięć znów podeszłam do drzwi i jeszcze raz nacisnęłam dzwonek.

- Spóźniła się pani - powiedziała kobieta, która otworzyła mi drzwi. Miała na sobie czarno-fioletowe, aksamitne dresy i czarne buty na wysokim obcasie, ozdobione maleńkimi złotymi kokardkami. Była niska, chorobliwie chuda i miała platynowe, sięgające do ramion włosy, których połysk i struktura w naj-

lepszym razie przypominały plastik. Jej ciastowata, blada twarz, wielokrotnie rozciągana i modelowana, skojarzyła mi się z pańską skórką, którą moja matka przywoziła mi z Atlantic City. Jedynym źródłem koloru na tym obliczu były niebieskie, mocno podkreślone tuszem oczy i wąskie usta, przerysowane ciemnoczerwoną pomadką. Ile miała lat? W żaden sposób nie dało się zgadnąć. Wiedziałam jedynie, że stała w drzwiach wejściowych z rękami opartymi na wąskich biodrach i wyrazem twarzy, jaki moja matka przybierała zawsze wtedy, gdy popełniłam jakiś błąd gramatyczny.

- Umówiliśmy się o wpół do czwartej - powiedziała głosem Betty Boop.

- Byłam tu kwadrans po trzeciej - zaprotestowałam, trzęsąc się z zimna, gdyż podmuchy wiatru niemal zwiewały mnie ze schodów Melanie.

- Tak, ale miałyśmy się spotkać o wpół do czwartej. Nie o trzeciej trzydzieści pięć. O wpół do czwartej. Jestem kobietą wymagającą punktualności. Dlatego właśnie moja gosposia zarabia dwadzieścia pięć dolarów za godzinę, a inne dostają piętnaście.

Kiwnęłam głową, zbyt przemarznięta, żeby mówić.

- Proszę wejść - powiedziała w końcu.

Już miałam wejść do domu Melanie, kiedy zatrzymała mnie gestem podniesionej ręki.

- Nie tędy. Wejściem kuchennym - rzekła, pokazując na tył budynku.

Owinęłam się ciasno płaszczem, przygotowałam na następne parę minut na mroźnym powietrzu i zaczęłam okrążyć dom, by dojść do kuchennych drzwi, przeklinając przez całą drogę. Przeklinałam Melanie za jej głupie zgrywanie się na wielką panią. Prze-

klinałam Sandy'ego, że mnie rzucił dla Soozie. Przeklinałam gospodarkę, że tak trudno jest się teraz utrzymać. Przeklinałam matkę, że nie jest typem rodzica, do którego można się zwrócić o pożyczkę. Przeklinałam ojca, że umarł i zmarnował mi życie. Przeklinałam Janet Claiborne, że nie sprzedaje mojego domu. Przeklinałam nawet stan Connecticut, że bywa tu taka paskudna pogoda. Gdy byłam już blisko kuchennych drzwi Melanie, nagle pomyślałam o Culliem Harringtonie i o tym, jak go zmusiłam, by skorzystał z moich drzwi dla służby. Wtedy skłęłam siebie za takie pretensjonalne zachowanie. Fortuna kołem się toczy, mruknęłam.

Melanie zaprowadziła mnie do kuchni, błyszczącej i pełnej współczesnych rozwiązań, wyposażonej w drewniane szafki o różowym odcieniu, białe marmurowe blaty, białe kafelki na podłodze, najnowocześniejszy sprzęt kuchenny. Na środku kuchni, jak wyspa, stała super-kuchnia z grillem, za nią zaś drewniany blat do krojenia. W kącie umieszczono niewielki okrągły stół i cztery krzeselka z chromu i wikliny. - Proszę siadać - powiedziała Melanie, wskazując na jedno z krzesel. Nie zaproponowała, żebym zdjęła kapelusz i płaszcz, więc miałam je na sobie i myślałam tylko o tym, by móc przysłonić sobie kapeluszem nos. Perfumy Melanie (od razu rozpoznałam, że to Giorgio, zapach używany w tym roku przez wszystkie kobiety) były tak silne, że niemal się dusiłam.

- Jak widać, lubię, aby mój dom lśnił czystością - odezwała się, studiując nieskazitelnie białą podłogę pod naszymi nogami. - Moja poprzednia dziewczyna myła posadzkę dwa razy dziennie.

Moja poprzednia dziewczyna. Czy zniosę pracę u tej baby? - Nie powinno być z tym problemu - odparłam. Zaszłam tak daleko, że nie mogłam się już wycofać.

- Proszę mi opowiedzieć o sobie - zażądała. - Czy pochodzi pani stąd, czy też mieszka pani w Jessup?

Jessup było robotniczym miasteczkiem na północno-zachodnich obrzeżach Layton. Tam mieszkała większość „służących” u rezydentów Layton. - Jestem z Layton - powiedziałam, starając się, by moje słowa zabrzmiały rzeczowo. - Mieszkałam tu przez całe życie.

- Naprawdę? Od jak dawna zajmujesz się sprzątaniem domów? - zapytała.

- Od dziecka. - Moja matka miała zwyczaj oceniania porządku w moim pokoju w skali od jednego do dziesięciu. Jeśli ocena wypadła na dziesiątkę, zabierała mnie do kawiarni na deser lodowy. Utrzymywałam pokój w takiej czystości, że aż dziw, iż nie byłam najgrubszym dzieckiem w mieście.

- W rozmowie telefonicznej wspomniałaś, że ostatnio byłaś zatrudniona przez małżeństwo mieszkające przy Woodland Way?

- Zgadza się.

- I przestajesz tam pracować, bo nie stać ich już na to, aby ci płacić?

- Tak.

- Oczywiście chciałabym dostać ich nazwisko, aby móc sprawdzić referencje.

- Oczywiście. - I co teraz miałam zrobić?

- Jednak na początek oprowadzę cię po domu, żebyś miała pojęcie o zakresie prac.

- Czy mogłabym zdjąć płaszcz? Jest tu całkiem ciepło. - Zaczynałam tajać.

Melanie poleciła mi zostawić rzeczy na krześle, a potem poprowadziła mnie na wycieczkę po domu, urządzonego w stylu wczesnego Maurice'a Villency. Niemal wszystko było białe, tak jak twarz i włosy Melanie. W salonie, wyłożonym białym dywanem od ściany do ściany, stała obita białą skórą kanapa i rozmaite białe stoliki o szklanych blatach, a układ oświetlających pomieszczenie reflektorków zamocowany był na białej prowadnicy. Jedyne akcent kolorystyczny pochodził od kominka z zielonego włoskiego marmuru, który wyglądał, jakby nigdy nie był używany. Umeblowanie jadalni, także wyłożonej białym dywanem, składało się z gigantycznego, prostokątnego stołu ze szklanym blatem i dwunastu krzeseł, okrytych pokrowcami z białego jedwabiu. Jedna ze ścian jadalni była lustrzana, ze szklanymi półkami i barowym kontuarem. I salon, i jadalnia miały przesuwane przeszklone drzwi, które otwierały się na dziedziniec z basenem i zapewniały wspaniałą widok na cieśninę. Do kuchni przylegał pokój dla służącej i pralnia z suszarnią, w której znajdowała się winda kuchenna, łącząca pralnię z położonym pod nią garażem, piwniczka na trzysta butelek, wydrążona w skale dla zapewnienia odpowiedniej temperatury przechowywania wina, pokój będący skrzyżowaniem sali telewizyjnej i gimnastycznej (stał tam telewizor z ogromnym ekranem i zestaw urządzeń do ćwiczeń) i gabinet Melanie, którego nie mogłam obejrzeć przed podjęciem u niej pracy. Na pierwszym piętrze, również wyłożonym białym dywanem, znajdowały się przestronne pokoje prywatne pani domu: sypialnia o wysoko, jak w kościele, sklepieniem suficie i dostarczającymi pięknymi widoków na wodę przesuwana-

nymi szklanymi drzwiami, usytuowanymi po obu stronach rzeźbionego kominka z zielonego włoskiego marmuru; gotowalnia i łazienka z wanną z masażem wodnym, sauną i kabiną prysznicową, przebieralnia z lustrzanymi ścianami i wieszakami z dwudziesto-czterokaratowego złota, wreszcie dwie garderoby. W głębi korytarza położone były dwie sypialnie dla gości, każda z oddzielną łazienką.

Nic dziwnego, że Melanie nieźle płaci, pomyślałam. Nie chodzi o jej wredny charakter. Dom, ze wszystkimi szklanymi drzwiami, lustrzanymi ścianami i białymi dywanami byłby nocną zmorą każdej gosposi.

- A więc tak wygląda dom - rzekła Melanie, gdy powróciliśmy do kuchni. - Sądysz, że możesz się podjąć tej pracy?

Wzięłam głęboki oddech i skinęłam głową.

- Świetnie. Porozmawiajmy więc teraz o twoich referencjach - powiedziała. - Podaj mi numer telefonu małżeństwa, u którego sprzątałaś.

Nadeszła chwila prawdy. Czy miałam skłamać i powiedzieć, że wyjechali na wycieczkę i nie ma z nimi kontaktu? A może podać jej zły numer? Melanie nie była głupia; w końcu była dziennikarką i kiedyś na pewno odkryje prawdę. Nie miałam wyjścia - musiałam powiedzieć jej wszystko. No, prawie wszystko.

- To ja jestem tym małżeństwem - oświadczyłam, patrząc jej prosto w oczy.

- Co to znaczy, że jesteś małżeństwem?

- Dom przy Woodland Way, w którym sprzątałam, należy do mnie.

- Chwileczkę, o co chodzi? Kim jesteś i co robisz w moim domu? Jesteś z któregoś brukowca, czy

może z programu telewizyjnego? A może pracujesz dla Alistaira Downsa, albo coś takiego? To on przysłał cię tutaj, żebyś ukradła brudnopis książki, prawda?

Twarz Melanie była tak bardzo napięta, że w czasie gdy mówiła, poruszały się tylko jej wargi. Reszta twarzy pozostawała kompletnie nieruchoma.

- Nie, nie jestem z żadnego brukowca ani z telewizji. I nie jestem szpiegiem Alistaira Downsa - zapewniłam ją, wiedząc, że oszalałaby, dowiedziawszy się, że istotnie pracowałam dla Alistaira. - Nazywam się Alison Koff i mieszkam przy Woodland Way. Rozwiedliśmy się z mężem i dzięki jego finansowym kombinacjom musiałam sama sprzątać Klonowy Dworek.

- Klonowy Dworek?

- Tak się nazywa nasz dom - wyjaśniłam zdumionej Melanie. - I fakt, że nigdy nie byłam zawodową sprzątaczką, nie oznacza, że nie umiem fachowo posprzątać.

Melanie pozostała sceptyczna. - Nie wydaje mi się - powiedziała, wręczając mi mój płaszcz i kapelusz.

Tak łatwo się nie poddawałam. - Pani ogłoszenie w gazecie wspominało, że szuka pani kogoś o dużej wprawie w sprzątaniu, którą posiadam. Mówiło także, że chce pani kogoś uczciwego, a ja niewątpliwie taka jestem, wyznałam przecież pani prawdę o sobie. Chciała pani kogoś solidnego. Otóż zjawiłam się na nasze spotkanie kwadrans przed wyznaczonym czasem. Chciała pani kogoś dyskretnego, a ja nie powiedziałam żywej duszy, że się tu wybieram. I chciała pani kogoś mówiącego po angielsku. Proszę pomyśleć, jak wygodnie będzie mieć gosposię, która posługuje się prawdziwym, najuczciwszym angielskim.

Proszę pomyśleć, jak pewnie będzie się pani czuła za każdym razem, gdy poleci mi pani odebrać telefon i przekazać informacje pani znajomym czy współpracownikom.

Melanie zdawała się rozważać moje argumenty.

- Nadal mi się to nie podoba - powiedziała. - Nie masz żadnego doświadczenia w dbaniu o cudzy dom. Skąd mam wiedzieć, czy rzeczywiście umiesz sprzątać?

Był tylko jeden sposób, żeby przekonać Melanie, że wiem, jak czyścić muszle klozetowe. - Gdybym miała dobrą rekomendację, zatrudniłaby mnie pani, prawda?

- Bardzo możliwe. Inne osoby, które się zgłaszały, zachowywały się tak, jakby nigdy nie widziały ładnego domu, na dodatek czystego. Ty przynajmniej nie zemdlałaś w trakcie oględzin domu.

- Nie zemdlałam, bo też mieszkam w dużym domu, w którym sama sprzątam. Obiecuję, że będę traktować wszystkie pani piękne rzeczy, jakbym traktowała swoje.

- Nie wiem...

- Czy ma pani dwadzieścia minut? - spytałam Melanie, zagrywając swoją ostatnią kartą.

- A dlaczego?

- Żebym mogła zaprezentować pani referencje, których pani żąda.

- Mówiłaś chyba, że ich nie masz.

- Mam. Mój dom zaświadczy o mnie. Proszę pojechać ze mną.

Po paru minutach wykręcania rąk udało mi się przekonać Melanie, żeby przejechała się ze mną do Klonowego Dworku.

- Skąd mam wiedzieć, że nie masz gosposi, która wszystko tu robi? - zapytała, po dokonaniu inspekcji mojego domu.

- W tym przypadku mogę się do kogoś odwołać. Oto numer telefonu mojej peruwiańskiej pomocy domowej, która pracowała u mnie. - Na skrawku papieru napisałam numer Marii i wręczyłam go Melanie. - Ona potwierdzi, że musiałam ją zwolnić i że od tamtej pory sama sprzątam w domu.

- Ta Maria jest profesjonalną sprzątaczką. Może powinnam zatrudnić ją zamiast ciebie - powiedziała Melanie.

- Odniosłam wrażenie, że szuka pani kogoś mówiącego po angielsku.

Melanie zacisnęła wargi i kilkakrotnie lekko uderzyła swą drobną stopą o podłogę. - Zaryzykuję - stwierdziła w końcu.

- To znaczy, że dostałam tę pracę?

- Zacznie w przyszłym tygodniu - oświadczyła.

- Od wtorku do piątku włącznie, od wpół do dziewiątej do wpół do piątej. Załatwię, żeby strażnik przy wjeździe na osiedle wystawił ci przepustkę.

- Nie będzie pani żałować - powiedziałam, ściskając maleńką rączkę Melanie i potrząsając nią entuzjastycznie, gdy odprowadzałam ją do drzwi. Widziałam już to oczami duszy: Alison Koff i Melanie Moloney, przeprowadzające wywiady z największymi sławami na świecie, współtworzące jeden bestseller za drugim, przyjmujące oferty od sieci telewizyjnych i producentów filmowych...

- Ach, byłabym zapomniała - rzuciła Melanie, zatrzymując się przy drzwiach. - Jaki nosisz rozmiar?

- Jaki rozmiar czego?

- Jaki rozmiar ubrań. Będę musiała zamówić dla ciebie strój służącej.
- Strój służącej? - W ogłoszeniu nie było nic na temat stroju służącej. Czułam się upokorzona.
- Czy to dla ciebie jakiś problem? - spytała Melanie, a jej górna warga wygięła się w brzydkim uśmiechu. Nie było co do tego wątpliwości: ta kobieta miała skłonności sadystyczne. Miałam przeczucie, że będzie jej sprawiało przyjemność zmuszanie mnie do pełzania na czworakach i szorowania podłóg.
- Żaden - odparłam, z całej siły usiłując zachować klasę. Do tej pory mi się udawało. Sterczałam przed frontowymi drzwiami Melanie, zamierzając prawie na śmierć, podczas gdy ona rozkoszowała się odwlekaniem momentu wpuszczenia mnie do środka. Skorzystałam z wejścia kuchennego, tak jak sobie życzyła. Zaprosiłam ją do mojego lśniącego czystością domu, aby sama mogła się przekonać, że nadaję się do tej pracy. Nagle jednak pomyśl, żeby zostać gosposią - nie, służącą - wydał mi się zupełnie bez sensu. Bo co chciałam w ten sposób udowodnić? Że uda mi się zostać czyjąś pomocą domową? Do diabła, już to przecież dawno udowodniłam. Przez całe lata byłam pokojówką mojej matki. Chwileczkę, tu nie chodzi o to, żeby zostać czyjąś służącą, przypominałam sobie. Chodzi o to, żeby samodzielnie zarabiać na życie, bez liczenia na pieniądze jakiegoś mężczyzny. Chodzi o rozwiązanie moich problemów, wydobyć się z kłopotów. Chodzi o przetrwanie. - Noszę rozmiar szósty - powiedziałam Melanie i odprowadziłam ją do drzwi.

W ciągu weekendu, w czasie którego przygotowywałam się do roli służącej u Melanie Moloney, ulegałam zmiennym nastrojom. Z jednej strony, po jedenastu latach pracy w domu, byłam podniecona wizją posiadania miejsca, gdzie jeździłabym codziennie. Z drugiej zaś strony nie przestawała mnie dręczyć obsesja, związana z uniformem pokojówki. Ten niewielki kawałek materiału zdawał się symbolizować, jak dramatycznie zmieniło się moje życie od czasu wspaniałych lat osiemdziesiątych. Nawiedzały mnie koszmary, że zostałam zdemaskowana - sny, w których robiłam zakupy, gdy nagle wszyscy znajomi zaczęli pokazywać mi palcami i śmiać się; wtedy odkrywałam, że nie mam na sobie czarnej gabardynowej sukienki od Versace'a, którą wkładałam rano - ubrana byłam w czarny bistorowy strój służącej i nie miałam nic pod spodem! Ani stanika, ani majtek, nic! Nieważne, ile razy powtarzałam sobie, że nie dbam o to, co myślą o mnie ludzie, i tak nie mogłam się pozbyć strachu, że ktoś mógłby odkryć, że jestem służącą Melanie Moloney!

Nie mogłam zwłaszcza przestać myśleć o matce

i o tym, co by powiedziała, wiedząc, że zamierzam podjąć pracę jako gosposia. Miałam uczucie, że ją zdradzam, że nie jestem już tą dobrą córeczką, którą tak usilnie starałam się być. Moja wina była tak męcząca, że z trudem mogłam oddychać.

Gdy wreszcie nadciągnął wtorkowy poranek, byłam wyczerpana całym tym zamartwianiem się. Z podkrążonymi oczami wyruszyłam w kierunku Bluefish Cove dziesięć po ósmej, mając nadzieję, że pojawię się przy drzwiach kuchennych Melanie dokładnie o wpół do dziewiątej.

Strażnik przy bramie zapamiętał mnie z poprzedniej wizyty i powitał słowami: - Cześć, Alison. Tu

jest twoja przepustka, o którą prosiła pani Moloney.

- Przynajmniej Melanie nie zmieniła zdania. Dotarłam do domu przy Bluefish Cove dokładnie o czasie i zastukałam do drzwi kuchennych. Melanie, ubrana w ten sam co w ubiegłym tygodniu czarno-fioletowy dres i skropiona tymi samymi obrzydliwymi perfumami, wpuściła mnie do środka.

- Tu jest twoje ubranie - powiedziała, zanim zdążyłam się przywitać czy zdjąć płaszcz i kapelusz.

- Możesz się tam przebrać - dodała, wskazując na służbówkę obok kuchni.

Mój strój okazał się być dokładną kopią tego z koszmarów nocnych - czarna, bistorowa sukienka, którą miałam przewiązywać wykrochmalonym białym fartuszkim. Dostałam też parę czarnych, wyglądających jak ortopedyczne butów i parę białych rajstop. - Sama oceniłam, jaki numer obuwia możesz nosić - dodała Melanie.

Gdy skończyłam się przebierać w uniform pokojówki, przyjrzałam się sobie uważnie w wysokim, wąskim lustrze, wiszącym na drzwiach służbówki. Wyglądasz jak Hazel, pomyślałam kwaśno, przypominając sobie postać graną przez Shirley Booth z popularnego w latach sześćdziesiątych serialu komediowego. Boże, spraw, aby nikt tego nie odkrył, modliłam się.

W czasie pierwszych trzydziestu minut mojej pracy, Melanie (powiedziała, żeby zwracać się do niej „pani Moloney”) pokazała mi, gdzie jest sprzęt do sprzątania i wyjaśniła, w jakiej kolejności powinnam zabrać się do pracy. Miałam zacząć na piętrze, w głównej sypialni i łazience, potem zając się pokojami gościnnymi i łazienkami przy nich, bez względu na to, czy jacyś goście odwiedzali Melanie, czy nie.

Później sprzątaanie kuchni, jadalni, salonu i pokoju gimnastycznego. Wtedy Melanie planowała przerwę na lunch, a ja miałam posprzątać w jej gabinecie. Potem znów cała kuchnia i jadalnia po raz drugi, niezależnie od tego, czy był tam bałagan, czy też nie. W międzyczasie miałam też zrobić pranie wszystkiego, co znalazło się w koszu na brudy. Co wtorek rano zmiana pościeli w łóżku Melanie. Zostałam poinstruowana, aby nie odbierać telefonów, chyba że Melanie wyraźnie mnie o to poprosi, nie wolno mi też było samej dzwonić, poza wyjątkowymi sytuacjami. Miałam dostawać wynagrodzenie w gotówce, każdego dnia po zakończeniu pracy. I nie dostanę własnego klucza do posiadłości, ani kodu do alarmu przeciwwłamaniowego. - Nie dlatego, żebym ci nie ufała - powiedziała Melanie, bynajmniej się nie usprawiedliwiając. - To dlatego, że w tym domu znajduje się bardzo poufny rękopis. Bardzo poufny i bardzo wartościowy.

W porządku, ja jednak najbardziej chciałam wiedzieć, czy będę miała przerwę śniadaniową? W brzuchu mi skowyczało, a była dopiero za piętnaście dziewiąta.

- Jeśli uważasz, że wystarczy ci czasu - odpowiedziała Melanie, gdy postawiłam jej to pytanie. - Moje poprzednie dziewczyny nie miały nawet minuty na jedzenie. Ledwo kończyły pracę o wpół do piątej.

Nieźle. Może pracując dla Melanie uda mi się tak schudnąć, że strój gosposi nie będzie już na mnie pasował i pozwoli mi nosić inne ubranie.

Zanim zaczęłam porządki, Melanie zabrała mnie do swojego gabinetu, który, jak wyjaśniła, był zamknięty zawsze, gdy go nie używała. Był to duży,

nienagannie urządzony pokój, wyposażony w podstawowe meble biurowe - biurko, krzesła, półki z książkami itp. - a na dodatek długi stół, zajmowany przez dziesiątki pudełek z kartami katalogowymi, które, jak podejrzewałam, zawierały wszelkie brudy dotyczące Alistaira P. Downsa, jakie tylko dawało się wygrzebać. W pokoju rzucał się w oczy brak komputera; Melanie, co wiedział każdy, śledzący jej karierę, była komputerofobem i wszystkie swoje rękopisy pisała na starej, pocziwej maszynie do pisania.

W pokoju, za stołem, siedział niski i tłusty mężczyzna w średnim wieku, ale Melanie nie zadała sobie trudu, aby go przedstawić. Jakże to niegrzeczne, pomyślałam. A potem przypomniałam sobie, że jestem Służącą, a nikt nie rozmawia ze Służącą, przynajmniej w Layton.

- Jesteś tą nową pokojówką - powiedział w końcu mężczyzna, kiedy już wychodziłam z gabinetu Melanie.

Co za spryt, Sherlocku. - Tak, to ja - uśmiechnęłam się. - Mam na imię Alison.

- To jest Todd Bennett - wyjaśniła Melanie. - Wspólnie prowadzimy poszukiwania materiałów i zwykle będzie tutaj.

- Miło było cię poznać - powiedziałam do Todda, który miał dziobatą twarz, brązowe kręcone włosy i ważył dobrze ponad sto kilogramów. Mogę się założyć, że stary Todd ma przerwę śniadaniową, pomyślałam z zazdrością.

- Mnie też miło cię posnać - zaseplenił Todd i na tym zakończył manifestację przyjaźni. No cóż, komu potrzebni nowi przyjaciele? Mnie, ale to nie miało nic do rzeczy.

Zabrałam wiadro z ekwipunkiem do sprzątania na górę i postawiłam je na podłodze w sypialni Melanie.

Potem podeszłam do ogromnego łoża Melanie i zaczęłam ściągać fioletowoszarą pościel. Miałam właśnie zdjąć prześcieradło, kiedy zauważyłam kilka żółtawych, zaschniętych plam. Po chwili zastanowienia doznałam olśnienia: Melanie miała kochanka. Tak dawno już nie mieszkałam z żadnym mężczyzną, a co dopiero mówić o uprawianiu seksu, że niemal zupełnie zapomniałam, jak wyglądają plamy nasienia na pościeli. Czy Melanie sypia z Toddem? Ona była taka drobna, on zaś tak masywny, że za nic w świecie nie mogłam ich sobie wyobrazić W Akcji. Ale nigdy nie można powiedzieć, co przyciąga ludzi do siebie. Powiedziała przecież, że dużo przebywał w domu.

Kończąc ściągnięcie pościeli, musiałam się rozeźmiać sama z siebie. Czy to właśnie robiły pokojówki? Bacznie oglądały pościel gospodarzy i spekulowały na temat ich życia seksualnego? Czy tym zajmowała się Maria, gdy pracowała dla mnie i dla Sandy'ego? Jeśli tak, to musiała być rozczarowana; Sandy i ja byliśmy zbyt zajęci zdobywaniem antyków, ubrań i samochodów, żeby zajmować się czymś tak bezcelowym jak seks.

Zwinęłam pościel i wrzuciłam do brudów. Potem schwyciłam wiadro i zaczęłam sprzątać pokój. Co kilka minut Melanie wtykała do środka swoją platynową głowę. - Nie woskuj tej szafki. - Nie używaj tego środka wybielającego do szorowania umywalki. - Nie zostawiaj smug na lustrach. - Przemieniała mnie w strzępek nerwów. Jeśli nadal co pięć minut będzie mi przerywała robotę, nigdy nie wyjdę stąd o wpół do piątej.

Okazało się, że tego wieczora zakończyłam sprzątnięcie domu Melanie dopiero o wpół do ósmej, ona

zaś odmówiła zapłacenia za dodatkowe trzy godziny pracy. - Będiesz dostawać pieniądze za wykonaną pracę, a nie za czas, jaki ci to zajmie. Jeśli chcesz wychodzić stąd wcześniej, musisz pracować szybciej

- oświadczyła.

Zasnęłam natychmiast po powrocie do domu. Bez kolacji. Bez oglądania telewizji. Bez odpowiadania na trzy wiadomości od matki, nagrane na automatycznej sekretarce. Pierwsza z nich brzmiała: - Halo, Alison. Tu mówi twoja matka. Jest wpół do drugiej po południu. Nie dzwoniłaś do mnie od tygodnia.

- Druga wiadomość mówiła: - Halo, Alison. Tu mówi twoja matka. Jest wpół do trzeciej po południu i moi przyjaciele z klubu mówią, że ich córki dzwonią do nich codziennie. - Trzecie nagranie miało treść: - Halo, Alison. Tu mówi twoja matka. Jest wpół do czwartej po południu i twój brak zainteresowania bardzo mnie gniewa. - A więc moja matka była zła. Też mi nowina. Nie pamiętałam, abym kiedykolwiek w życiu była tak zmęczona, fizycznie i psychicznie. Ale zanim odpłynęłam w sen, jeszcze raz spojrzałam na pogniecione zielone banknoty, leżące na moim nocnym stoliku - całe dwieście dolarów. Miłych snów, powiedziałam sobie i zgasłam światło.

7

Myliliłam się, sądząc że z upływem czasu moje życie w roli pomocy domowej u Melanie będzie znośniejsze. Melanie okazała się kimś więcej niż wymagającym szefem: była szefem z piekła rodem. Jeśli za-

czynalam dzień pracy od wyszorowania sedesu w jej łazience, kazała mi go myć jeszcze raz po południu, przed wyjściem. Jeśli chciała, żebym wypolerowała sztukce, czekała, aż zacznę szykować się do wyjścia i wtedy dopiero mi o tym mówiła. Zmuszała mnie do szorowania podłogi w kuchni na kolanach, zamiast przy użyciu mopa; potem jadła lunch przy kuchennym stole, zostawiała stos brudnych naczyń w zlewie i kazała mi powtórnie szorować podłogę. Najgorsze jednak były jej „tortury dywanowe”. Kiedy kończyłam ścierać kurz ze wszystkich mebli we wszystkich pokojach, odkurzałam białe dywany, pokrywające większą część powierzchni podłóg w domu. W momencie, gdy składałam już odkurzacz, stuknęła mnie w ramię, wskazywała jakiś niedostrzegalny punkt na dywanie i mówiła - Jest w złą stronę. - Co ma pani na myśli? - zapytałam, kiedy ten problem pojawił się po raz pierwszy. - Włos w dywanie powinien się układać w jedną stronę. Nie podoba mi się, kiedy wygląda jak potargany - wyjaśniła.

Można by pomyśleć, że przy takim trzymaniu ręki na pulsie w sprawach prowadzenia domu Melanie nie będzie miała czasu na pisanie i przygotowywanie swoich książek. Cóż, pozwólcie, że zdradzę pewien maleńki brzydki sekret: Melanie Moloney istotnie nie miała czasu na pisanie i opracowywanie swoich książek - robił to Todd Bennett. Jedną z pierwszych rewelacji, jakie odkryłam w czasie mojej służby u Melanie, był fakt, że Todd Bennett wykonywał większość pracy nad książkami - i nie miał z tego żadnego pożytku. On ciężko pracował pod numerem siódmym przy Bluefish Cove, gdy tymczasem Melanie płała się w blasku reflektorów.

Czasami, kiedy Melanie nie było w domu, bo udzielała wywiadów, spotykała się w sprawach interesów, albo miała wizytę u fryzjera, siadaliśmy z Toddem w jej gabinecie na pogaduszki. Okazało się, że nie był tak nieprzystępny, jak wydawał się pierwszego dnia, był tylko przepracowany i niedoceniony.

- Oboje pracowaliśmy w „Chicago Sun-Times”

- wyjaśnił, gdy zapytałam, jak to się stało, że zaczął pracować dla Melanie. - Powiedziała mi, że pise biografie Deana Martina i spytała, czy bym jej nie pomógł. Od tamtego casu jestem jej współpracownikiem. A może powinienem powiedzieć muzynem.

- Ostatnie słowo wypowiedział z nieukrywaną goryczą.

- A więc w rzeczywistości to ty piszesz te książki. Naprawdę jestem pod wrażeniem, Todd - powiedziała wylewnie. Miałam pomysł, żeby pochlebstwami skłonić Todda do wynurzeń. Wydał mi się człowiekiem, którego nie za wiele chwalono w dzieciństwie. Nadal wyglądał jak tłusty, pryszczaty dzieciak, którego zawsze wybierano na samym końcu do drużyny baseballowej i który nigdy się z tym nie pogodził.

- Tak, to ja piszę te wszystkie książki i guzik mam z tego - przyznał. - Tak czy inaczej, wszystko się zmieni od następnej książki. Od tej chwili będę dostawał swoją dolę.

- Mówisz o książce o Alistairze Downsie?

- Tak.

- Twoje nazwisko znajdzie się na okładce, obok nazwiska Melanie?

- Dobrze zrozumiałaś. Moje nazwisko ukaże się na okładce - a także na liście bestsellerów, tus obok nazwiska Melanie. Mam z nią umowę.

- Och, to wspaniale - powiedziałam, myśląc o moich literackich aspiracjach. Skoro Todd Bennett mógł z pozycji reportera w gazecie stać się autorem best-sellerowych biografii, dlaczego ja bym nie mogła? - A tak nawiasem mówiąc, jak postępują prace nad książką?

- Jest już prawie skończona. Myślimy, że uda nam się ją oddać wydawcy w ciągu kilku najbliższych tygodni. __

- Och, to naprawdę podniecające. Na pewno znowu wywoła szok, tak jak poprzednie książki, które napisała - o, przepraszam, które napisaliście z Melanie.

- Powiedzmy, że na całym świecie ludzie spost-segą postać Alistaira P. Downsa w nowym świetle.

W nowym i niezbyt pochlebnym, tego byłam pewna. - Nie mam żadnej szansy, żeby zerknąć na rękopis? - zapytałam Todda.

- W żaden sposób - odparł.

- Czy to jest manuskrypt? - zadałam pytanie, wskazując na pudło, na oko zawierające ponad tysiąc stron maszynopisu. Pudło stało na podłodze koło biurka Melanie i ważyło chyba z tonę.

- Tak, ale niech ci nic nie psujdzie do głowy. Melanie miałyby atak, gdybyś tylko się do niego zbliżyła.

Popatrzyłam z tęsknotą na rękopis. - A może zdradziłbyś mi jeden malutki szczegół z książki, Todd? Opowiedz mi coś naprawdę smakowitego o Alistairze, proszę. Obiecuję, że nie powiem żywej duszy.

- Absolutnie nikomu - poprawił mnie. - Spsedaliś-my już prawo do pierwszych informacji magazynowi „People”. Nic nie może się pokazać na temat książki, dopóki oni tego nie podadzą.

- No już, Todd. Tylko jeden malutki kasek.

- Cós, sądzę, że mógłbym ci opowiedzieć o ca-sach, kiedy Alistair groził...

I właśnie w chwili, gdy Todd miał się ze mną podzielić historią, która, jak podejrzewałam, była jedną z większych sensacji, zawartych w książce, do gabinetu wkroczyła Melanie. - Co tu się dzieje?

- rzuciła pytanie. Zdumiewające, jak duży był zasięg tego cienkiego głosiku Betty Boop.

Oboje z Toddem wzdrgnęliśmy się jak para uczniów, przyłapanych na pisaniu brzydkich wyrazów na tablicy. - Nic nie robiliśmy - powiedziałam, jak pięciolatka.

- Masz cholerną słuszość, że nic nie robiliście

- zadrwiła Melanie. - Mielicie pracować. Oboje! Zabrałam swoje wiaderko i sprzęt do sprzątnia i wybiegłam z gabinetu, zostawiając Toddowi udobruchanie Melanie. Jeśli istotnie byli kochankami, czego nadal nie rozszyfrowałam, znajdzie sposób, żeby ją uspokoić.

Aby mnie ukarać za plotkowanie z Toddem w czasie kiedy powinnam sprzątać, Melanie kazała mi umyć wszystkie szklane drzwi w domu, od wewnątrz i od zewnątrz, co, zważywszy że był to mroźny lutowy dzień, w niczym nie przypominało pikniku. Czasami potrafiła być po prostu okrutna. A nawet złośliwa. Owszem, płaciła mi bardzo dobrze. I owszem, gdybym chciała, zawsze mogłam zrezygnować z tej pracy. Zawarłam jednak umowę sama ze sobą będę pracowała u Melanie tak długo, dopóki nie zdobędę wystarczającej ilości pieniędzy, żeby spłacić Layton Bank & Trust Company dużą część kredytu, który byłam im winna i może nawet wstrzymać

przejęcie przez nich Klonowego Dworku. Zamierzałam się tego trzymać, bez względu na to, jak bardzo zdruzgotana i połamana czułam się po zakończeniu każdego dnia pracy. Zamierzałam to kontynuować, aż zdarzy się coś, co odmieni mój los.

Jednym ze sposobów podtrzymywania się na duchu w czasie tych dni, spędzanych w Bluefish Cove, były marzenia o zamordowaniu Melanie. Choć mogło się to wydawać śmieszne, moje mordercze sny na jawie pomagały mi wykonywać nawet najgorszą czarną robotę z upodobaniem. Na przykład, ścieląc łóżko Melanie, nagle wyobrażałam sobie, że ją duszę poduszką. Albo też, szorując umywalkę, widziałam jak trzymam jej głowę zanurzoną pod wodą. Nie byłam dumna z tych myśli, proszę mi wierzyć. Pomagały mi jednak przetrwać ten czas.

Inna metoda podtrzymania się na duchu była jeszcze bardziej haniebna: fantazjowałam na temat Culliego Harringtona. Chociażby wtedy, gdy składałam pranie Melanie i nagle pojawiła się tuż przede mną twarz Culliego, na policzku czułam łaskotanie jego brody i wąsów, a jego usta szeptały: - Moja słodka pani Koff. Przykro mi, że zachowywałam się jak głupek, kiedy się ostatnio widzieliśmy. Nie wiem, co mnie napadło. I wcale nie kocham Hadley Kittredge. Kocham ciebie. Wyjdź za mnie. - Żalotne, prawda? Byłam taka drobnomieszczańska, że nawet moje romantyczne fantazje były drobnomieszczańskie: zawsze kończyły się ślubem.

Co ty sobie wyobrażasz, myśląc o Culliem Harringtonie? ganiłam się. Nienawidzisz go i on ciebie nie znosi. Czułam się znacznie lepiej wyobrażając sobie zabójstwo Melanie niż pożądam Culliego. Miałam

jednak podobny wpływ na swoje myśli jak na ilość szklanych drzwi w domu Melanie.

Innym przerywnikiem w moich zajęciach służącej były zlecenia z gazety, które od czasu do czasu dostawałam od Bethany. Mogłam przeprowadzać wywiady dla gazety w poniedziałki, dni wolne od pracy u Melanie. Raz zrobiłam wywiad z zawodową zastępczą matką, która przyjechała do Layton, aby wystąpić na zorganizowanym przez Julię spotkaniu z grupą walczących o prawa kobiet. Dwa tygodnie później przeprowadziłam wywiad z miejscową kobietą, która wygrała wycieczkę do Włoch w konkursie sponsorowanym przez producenta sosu do spaghetti. Kiedy udałam się do redakcji, żeby oddać artykuł, Julia zauważyła, jak kiepsko wyglądam.

- Tracisz na wadze, Koff? - zapytała. - Troszkę

- przyznałam. - Daj się zaprosić któregoś wieczoru do McGavin's - zaproponowała. Podziękowałam jej, ale stwierdziłam, że jestem zajęta. Iść na kolację? Kiedy po całym dniu sprzątnięcia w domu Melanie wracałam wreszcie do siebie, miałam tyle energii co ścierka do naczyń. A poza tym dotychczas udawało mi się zachować swój sekret przed Julią, Bethany i pozostałymi ludźmi z gazety, więc i teraz nie chciałam się zdradzić. Udawało mi się też utrzymać sprawę mojej pracy w gazecie w tajemnicy przed Melanie i oczywiście tego również nie chciałam zepsuć.

Chociaż raz byłam bardzo bliska wpadki. Pewnego ranka Melanie poinformowała mnie, że będzie miała na lunchu gości, przedstawicieli mediów z Manhattanu. - Będziesz obsługiwać - powiedziała i wyjaśniła, że mam stać przy bufecie i podawać wszystko, co

będzie na stole. W pierwszej chwili ucieszyłam się z tego zadania; oznaczało przerwanie codziennej rutyny szorowania i odkurzenia. Ponadto znaczyło to, że będę miała kontakt z prawdziwymi, najprawdziwszymi ludźmi ze środków masowego przekazu z Nowego Jorku, może nawet z samym dyrektorem wydawnictwa „People”! Lecz kiedy Melanie wymieniła nazwę firmy, wynajętej do urzędzenia przyjęcia, niemal umarłam. To były Pyszności Soozie! Tak, pier-wsza-i-już-wkrótce-trzecia-żona Sandy'ego, dziwka od przyjęć, Soozie, była w drodze do domu Melanie razem ze swoją Lekką i Zdrową Sałatką z Kurczaka!

Cała się spociłam. Co będzie, jeśli Soozie odkryje, że jestem gosposią? Rozpowie wszystkim w Layton. Diabła tam, wszystkim na świecie. - Nigdy byś nie zgadła, kto pracuje jako pokojówka - powie. - Alison, druga żona Sandy'ego. Czy to nie odjazdowe? - Tak właśnie wyrażała się Soozie - używała żargonu lat sześćdziesiątych. Nigdy nie pogodziła się z tym, że rodzice nie pozwolili jej jechać do Woodstock, więc żeby to sobie zrekompensować, często używała takich słów, jak „odjazdowe” czy „w dechę”.

Musiałam coś zrobić, żeby powstrzymać katastrofę. Ale co? Nie mogłam dopuścić, aby Soozie zobaczyła mnie w przebraniu Hazel, po prostu nie mogłam. Wymyśl coś! Wymyśl!

- Alison, przestań marzyć na jawie. Organizujący przyjęcie będą tu lada moment - warknęła Melanie. - Zetrzyj kurze z mebli w jadalni i przygotuj stół.

- Ścierałam kurze w jadalni dziś rano - powiedziałam.

- Zetrzyj jeszcze raz.

- Dobrze, pani Moloney.

Byłam w trakcie spryskiwania stołu w jadalni olejkiem cytrynowym, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi.

- Na co czekasz, Alison? Otwórz drzwi! - zawołała Melanie.

Jak mogłam otworzyć drzwi? Soozie by mnie zobaczyła. - Ale, pani Moloney, muszę skończyć ścieranie kurzu przed pojawieniem się gości - odparłam.

- No dobrze - powiedziała Melanie, wyraźnie zdegustowana moją niezdolnością do wykonywania dwóch czynności naraz.

Melanie udała się do kuchni i otworzyła Soozie drzwi dla służby. Wytężyłam słuch, żeby podsłuchać ich rozmowę.

- Witam, pani Moloney. Jestem z firmy Pyszności Soozie - odezwał się ćwierkający głos. - Gdzie mam położyć jedzenie? - Wsadź je sobie w swój podstępny tyłek, pomyślałam. I co teraz miałam robić?

- Zostaw wszystko na szafce, moja służąca za chwilę skończy robotę w jadalni - usłyszałam, jak Melanie mówi Soozie. - Powinna być tu za chwilę.

- Czy będę pani potrzebna na przyjęciu? - zapytała Soozie.

- Nie, moja gosposia obsłuży gości. Alison! Jeszcze tam nie skończyłaś? - krzyknęła Melanie.

O Boże, Melanie użyła mojego imienia. Zaczęłam się zastanawiać, czy Soozie domyśliła się, że chodzi o mnie. Ale dlaczego miałyby się domyślić? Z pewnością mnóstwo służących miało na imię Alison, prawda? - Idę - powiedziałam ochryple, usiłując zniekształcić mój głos. Soozie poznałaby mój głos. Po tych wszystkich latach, w czasie których spotyka-

łyśmy się na przyjęciach, wpadałyśmy jedna na drugą w salonach piękności, a nawet raz czy dwa rozmawiałyśmy przez telefon. W końcu Layton było małym miasteczkiem, gdzie należało się zachowywać tak, jakby potrafiło się znieść byłą żonę swojego męża, nawet gdyby rzeczywistość wyglądała inaczej.

- Czy mogłabym skorzystać z toalety? - usłyszałam pytanie Soozie. - Jestem w ciąży i zdaje się, że muszę siusiać co godzinę.

W ciąży?

- Moje gratulacje - powiedziała Melanie.

- Dziękuję - odparła Soozie. - Ojciec dziecka i ja wkrótce się pobieramy. Czekaliśmy tylko na jego rozwód, żeby powiedzieć ludziom o dziecku. To wszystko jest absolutnie wspaniałe, nie sądzi pani?

Pragnęłam umrzeć. Sandy'ego nigdy nie interesowało posiadanie dzieci, gdy był moim mężem. Teraz on i Soozie byli rodzicami, oczekującymi dziecka, a ja zostałam na lodzie. Bezdzienna. Samotna. Niekochana. Łzy napłynęły mi do oczu. Próbowałam je wytrzeć ścierką do kurzu, ale to tylko spowodowało, że kichnęłam. I kichałam. Kichałam.

- Co tu się dzieje, Alison? - zawołała Melanie po moim szóstym czy siódmym kichnięciu.

- Chyba się przeziębiłam - odpowiedziałam, przecierając oczy i wycierając nos.

- Tak czy inaczej, chodź do kuchni. Jesteś mi tu potrzebna - poleciła Melanie. Ta kobieta miała wielkie serce.

Co mogłam zrobić? Musiałam iść. Moja tajemnica miała się wydać.

Pozbierałam się, wzięłam głęboki oddech i z wysoko podniesioną głową weszłam do kuchni. Kiedy

się tam znalazłam, Soozie nadal siusiała w łazience. Byłam bezpieczna, na chwilę.

- Weź jedzenie i rozstaw je w jadalni - poinstruowała mnie Melanie.

Zaniosłam półmiski z sałatką z kurczaka i innymi zimnymi przystawkami do jadalni. Zamarłam, usłyszawszy Soozie wychodzącą z toalety.

- Zanim pójdę, chciałabym jeszcze rzucić okiem na jedzenie - powiedziała Soozie do Melanie w kuchni.

Słyszałam ich kroki, gdy razem ruszyły w stronę jadalni. Nadchodziły. Nadchodziły. Już tu były!

Tak, nie jestem dumna z tego, co zrobiłam, gdy Melanie i Soozie wkroczyły do jadalni: schowałam się w szafie z porcelaną. Tak, gdy oglądały „Pyszności” na stole, próbowały sałatkę z kurczaka i dyskutowały na temat zalet sałatki ziemniaczanej przyprawionej sosem vinaigrette wobec sałatki ziemniaczanej z majonezem, ja, Alison Waxman Koff, właścicielka Klonowego Dworku, siedziałam w kucki na podłodze w szafie z porcelaną, zwinięta w kłębek, wciśnięta pod najniższą półką i rozważałam, jak dziwaczny zakręt wzięło moje życie.

- Wszystko wygląda świetnie - usłyszałam mówiącą Soozie.

- Tak, tylko do tortellini z sosem pesto potrzebna jest łyżka. Każę ją przynieść. Alison? - zawołała Melanie.

Jestem tuż obok, przykucnięta i nieszczęśliwa, na dnie szafy z porcelaną! Wymyśliłam, że jeśli posiedzę w szafie wystarczająco długo, wreszcie Soozie i Melanie znudzą się swoim towarzystwem i zaborą za własne sprawy. Wtedy ja będę mogła zabrać się za

swoje. Musiałam tylko pozostać w zupełnym bezruchu i ciszy.

- Alison? - znowu krzyknęła Melanie.

- Może jest na górze? - zasugerowała Soozie.

- Kto to może wiedzieć. W dzisiejszych czasach niezwykle trudno znaleźć dobrą służącą - właściwie jest to niemożliwe - powiedziała Melanie, moja droga, słodka pracodawczyni.

Miałam zeszywniałe nogi i obolałe plecy, ale prawie wybrnęłam z kłopotów. Jeszcze kilka sekund i będziesz mogła wyjść z szafy, powiedziałam sobie. Nagle poczułam wszechogarniającą potrzebę kichnięcia. Błagam. Nie. Tylko nie to. Ścisnęłam nos palcami. Policzyłam do pięciu. Zaczęłam się modlić do Boga. Robiłam wszystko, byle tylko kichnięcie nie zrujnowało mi życia. Nic nie pomogło. Kichnęłam

- prosto w dłonie, jeśli musicie wiedzieć. Na szczęście ta technika stłumiła odgłos kichania. Na nieszczęście od siły samego kichnięcia zatrzęsała się porcelana, stojąca na półce nad moją głową.

- Co to było? - spytała Soozie.

- Zdaje się, że dobiegło z szafy z porcelaną - powiedziała Melanie.

- To musiała być mysz - oświadczyła Soozie.

- Wszyscy w Layton mają problem z myszami.

- Jeśli w tej szafie są myszy, na pewno do niej nie podejść. Zlecę mojej gosposi zajęcie się tą sprawą. Wreszcie ta dziewczyna będzie miała coś do roboty

- powiedziała Melanie, która zasługiwała na coś znacznie gorszego niż myszy.

Soozie poszła sobie. Melanie udała się z powrotem do gabinetu. A ja wydostałam się z szafy z zasmarkanymi rękoma i skurczami mięśni ud i łydek.

Udało mi się sprostać obowiązkowi jako pomoc przy lunchu Melanie, ale moje nadzieje na nawiązanie kontaktów z jej wysoko postawionymi przyjaciółmi reprezentującymi środki masowego przekazu w Nowym Jorku upadły, kiedy nawet nie zadała sobie trudu, by mnie komukolwiek przedstawić. Jedyne słowa, jakie z nimi zamieniłam, brzmiały: Czy mogę panu podać nową serwetkę? Albo: Czy ma pan ochotę na dokładkę sałatki z kurczaka? Kiepska podstawa do rozpoczęcia kariery.

Tego wieczora, po powrocie do domu byłam tak spięta, że nie mogłam zasnąć. Zamiast więc leżeć w łóżku, przewracając się z boku na bok, zapaliłam światło i postanowiłam poczytać prasę. Sięgnęłam na nocny stolik i chwyciłam plik magazynów, których nie miałam czasu przejrzeć. Chciałam właśnie zagłębić się w lekturze „Vanity Fair”, kiedy moją uwagę zwrócił duży napis na okładce: *Melanie Moloney zdemaskowana - Bliższe spojrzenie na Królową Demaskowania Sław*. Odnalazłam artykuł tak szybko, jak tylko moje palce były w stanie przewracać kartki i przez następne pół godziny przetrawiałam go. Nie mogłam się nasycić. Wyglądało na to, że nie tylko ja uważałam Melanie za trochę męczącą. Każda osoba, cytowana w cudownie złośliwym artykule miała wobec niej istotne zarzuty. Jej koledzy, dziennikarze z „Chicago Sun-Times” skarżyli się, że nie potrafiła napisać nic wartościowego i me zasłużyła na swój sukces. Przyjaciele z czasów poprzedzających powstanie jej bestsellerowych książek mówili, że porzuciła ich jak gorące kartofle gdy tylko stała się sławna. Jej dwaj byli mężowie donosili że była zanadto pochłonięta sobą, żeby być dobrą żoną jakiegokolwiek mężczyzny. Były sekretarz stwierdzał

niedwuznacznie, iż Melanie jest najwredniejszą babą, dla której kiedykolwiek zdarzyło mu się pracować. Wśród wypowiadających się najbardziej zjadliwie znalazł się były agent Melanie, Mel Suskind. Mel, prezes niewielkiej własnej agencji literackiej Suskind & Associates, współpracował z Melanie od pierwszych dni, kiedy pisywała biografie sławnych ludzi za pięć-cyfrowe wynagrodzenia. Opowiadał, jak Melanie porzuciła jego firmę i przeniosła się do znanego agenta z ICM natychmiast po tym, gdy jej czwarta książka, „Ann-Margret: Pamiętnik symbolu seksu”, znalazła się na liście bestsellerów „The New York Timesa”. - Pewnego dnia dostanie za swoje - stwierdzał po prostu. Równie gorzka była wypowiedź Roberty Carr, wydawcy Melanie z Sachs & Singleton. To wydawnictwo, jedno z największych w Ameryce, zapłaciło ponad trzy miliony dolarów za prawa do ostatniej książki Melanie, „Oporny Bohater: Nieautoryzowana Biografia Charltona Hestona” i wydało jeszcze pół miliona na promocję książki, która przez dwadzieścia siedem tygodni utrzymywała się na liście „Timesa”. A potem Carr i jej koledzy mogli jedynie obserwować, jak Melanie przenosi się do rywalizującego z nimi wydawnictwa Davis House, otrzymawszy od nich gigantyczną zaliczkę pięciu i pół miliona dolarów za książkę o Alistairze Downsie. - W obecnej dobie autorzy rzadko bywają lojalni wobec swoich wydawców - powiedziała Carr dziennikarzowi z „Vanity Fair” - i Melanie Moloney jest typowym przykładem tego zjawiska. Zazwyczaj wydawcy życzą wszystkiego dobrego opuszczającym ich autorom. Jednak trudno jest życzyć Melanie czegoś innego niż tego, na co sobie zasłużyła.

A więc nie byłam jedyną osobą, która chciała, żeby Melanie dostała za swoje. Najwidoczniej we wszystkich budziła mściwe myśli.

Następnego dnia rano, w drodze do Bluefish Cove byłam w całkiem niezłym nastroju, prawdopodobnie dlatego, że udało mi się nie nadziać na Soozie i zachować w tajemnicy moje zajęcie służącej.

Gdy dotarłam do domu Melanie, Todd poinformował mnie, że Melanie udała się na spotkanie ze swoim agentem na Manhattanie i wróci późnym popołudniem. Powiedział mi także, że spodziewa się przesyłki, którą mam mu przynieść, gdy tylko zostanie dostarczona.

Myłam właśnie podłogę w jednej z łazienek dla gości na piętrze, kiedy usłyszałam dzwonek u drzwi. Odłożyłam mopa i pospieszyłam na dół, aby otworzyć drzwi. Biegając minęłam lustro w przedpokoju i przez moment zerknęłam na siebie. Co za bałagan. Mój strój był cały poskręcany, fartuszek zwieszał się z talii, a włosy, których końce zmoczyły się w wiadrze z mydlinami, opadały niedbale na twarz. Kogo to obchodzi, pomyślałam. Najwyżej listonosz obejrzy mnie w takim stanie.

Byłam już przy drzwiach, gdy dzwonek zadzwieczał po raz drugi. - Wstrzymaj konia. Już nadchodzę - wrzasnęłam, trochę zirytowana. Czy ten facet nie może poczekać dwóch sekund?

- Już dobrze, dobrze. Już jestem - powiedziałam otwierając drzwi i stając oko w oko nie z listonoszem, ale z Culliem Harringtonem.

Byłam tak zaskoczona jego widokiem - widokiem człowieka, o którym fantazjowałam, tego człowieka, którego wyimaginowane słowa miłości pomagały mi

przetrwać wiele długich dni pracy - że umiałam tylko wstrzymać oddech.

I oto pojawiał się mężczyzna, którego rozpaczliwie pragnęłam jeszcze raz zobaczyć, a ja w co byłam ubrana na to wielkie spotkanie? W strój pokojówki! Teraz będzie wiedział, że jestem gosposią. A skoro on się dowie, dowiedzą się wszyscy. Skończy się cała ta maskarada, a wraz z nią moja reputacja w Layton.

Upłynęła cała wieczność najbardziej niezręcznej ciszy, jakiej kiedykolwiek doświadczyłam, gdy w końcu Cullie przemówił.

- Ha, czyż to nie pani Koff? Czy dzisiaj jest Halloween, czy też może pani i jej przyjaciele szykujecie się do wyjścia na jedno z tych przyjęć dobroczynnych, gdzie na jeden wieczór bogaci zamieniają się miejscami z biedakami?

Nadal byłam zbyt oszołomiona, żeby się odezwać. Szybko! Kawał! Kawał! Nie pozwól mu zauważyć, jaka jesteś upokorzona. Nie daj mu poznać, jak bardzo ci zależy na tym, co o tobie myśli. Szybko! Kawał!

Mój mózg poszukiwał jakiejś ciętej i błyskawicznej riposty, ale nic nie wykrzesał. Żadnego kawału. Żadnej dowcipnej uwagi. Nic.

- Cóż to? Nie ma zjadliwej odpowiedzi? - drażnił się Cullie. - Czy prawdziwa pani Koff mogłaby się wreszcie pokazać, a przynajmniej wyjść z tego kostiumu?

- To nie jest kostium - powiedziałam, patrząc w dół na moje czarne obuwie pokojówki. Wszystko było lepsze niż napotkanie wzroku Culliego.

- Zastanówmy się więc - rzekł, gładząc brodę. - Jeśli to nie jest kostium, w takim razie musi to być jakiś nowy trend w modzie: „na służącą”, jak pewnie

określają go projektanci. Ludzie pani pokroju lubią takie nowinki w modzie, prawda?

- Znów zaczynasz z tymi „ludźmi mojego pokroju”. A tak w ogóle, to nie twoje zmartwienie.

- Zmartwienie? Nie mam żadnych zmartwień. To nie ja otwieram drzwi cudzego domu, ubrany w strój pokojówki. Czy powie mi pani, co pani tutaj robi?

- Najpierw ty mi powiesz, co tu robisz.

- Przyjechałem fotografować dom Melanie Moloney. Ponieważ już prawie skończyła książkę, wystawia dom na sprzedaż - wyjaśnił Cullie. - Dobrze, a teraz pani kolej.

- Nie wiedziałam, że Melanie chce sprzedać dom - powiedziałam.

- Wróćmy do pani odpowiedzi, pani Koff.

- Mam na imię Alison. Możesz przestać mnie nazywać panią Koff.

- Dobrze, Alison. Czy jesteś przyjaciółką Melanie Moloney, Alison?

Zastanowienie się zajęło mi sekundę, po czym bez zmruczenia powiek oświadczyłam: - Tak, jestem. Znamy się z Melanie od dawna, jeszcze z czasów wspólnej nauki w szkole dziennikarskiej. - Nieważne, że Melanie była dobre dwadzieścia lat starsza ode mnie.

- Co ty powiesz - rzucił powątpiewająco Cullie.

- Właśnie tak - ciągnęłam dalej. - Przez te lata pozostałyśmy przyjaciółkami, obie zafascynowane sztuką reportażu.

- Jestem tego pewien - powiedział Cullie. - Co sprawiło, że przybyłaś do domu swojej przyjaciółki Melanie i założyłaś uniform pokojówki? Czy miał to być reportaż, czy też obie macie jakieś podejrzanе skłonności?

Przewróciłam oczami i posłałam Culliemu swoje najbardziej zdegustowane spojrzenie.

- Tak się złożyło, że mam na sobie strój służącej gdyż w przyszłym tygodniu Melanie wydaje bal kostiumowy i chciałam jej pokazać, jak się przebiorę. Stroje mają nawiązywać do postaci z seriali komediowych z lat sześćdziesiątych. Wystąpię jako Hazel. - Tak, tak, to jest droga.

- Ludzie pani pokroju świetnie potrafią miło spędzić czas - uśmiechnął się Cullie. - A jak zamierza się przebrać Melanie? Za konia, który mowi? _

- Jeszcze się nie zdecydowała. Zamierzamy zjesc dziś razem kolację i obgadać jej...

Miałam właśnie dodać więcej takich bajeczek, kiedy Todd Bennett wtoczył swoje okrągłe kształty do przedpokoju i wszystko zepsuł. - Czy to moja przesyłka? - przerwał nam.

- Och nie Todd. Ten człowiek przyszedł do Melanie - powiedziałam. Co teraz miałam zrobić? Za chwilę skończy się moja gra.

- Nie ma Melanie - Todd zwrócił się do Culliego, który nie chciał zostawić wiadomości i oświadczył, że zajrzy później. - Aha, Alison - zaseplenił Todd, zanim wrócił do swojego gabinetu - rozlałam kawę na dywan. Kiedy skończys tutaj, mozes psyjść na górę i to spsać?

To było to Zostałam zdemaskowana. Nie pozostawało nic innego, jak tylko być uczciwą wobec Culliego. - Jasne, Todd. Za minutę będę - powiedziałam.

Todd powędrował do gabinetu, a ja zostałam sama, stojąc w drzwiach domu Melanie twarzą w twarz z Culliem.

- Co tu się naprawdę dzieje? - zapytał.

Po prostu powiedz, Alison. Wyrzuć to z siebie. Chociaż raz udziel komuś prawdziwej odpowiedzi. Powiedzenie prawdy będzie ulgą po tych tygodniach prowadzenia podwójnego życia.

Zaczerpnęłam głęboko tchu i skoczyłam na głęboką wodę. - Mój mąż rzucił mnie dla swojej pierwszej żony. Mój dom miał przejąć bank. Nie byłam w stanie płacić swoich rachunków. Nie mogłam zarobić wystarczającej ilości pieniędzy, pisząc artykuły do „The Layton Community Times” a w żadnym innym miejscu nie mogłam znaleźć pracy dla dziennikarza. Toteż odpowiedziałam na ogłoszenie w prasie i przyjąłam pracę gosposi u Melanie Moloney. - No i powiedziałam to. Cullie wgapił się we mnie przez kilka sekund, potem potrząsnął głową. - Czy robisz mi jeszcze jedno cza-cza-cza? - zapytał w końcu.

- Jeszcze jedno co?

- Jeszcze jedno cza-cza-cza. Rozumiesz, robisz mnie w konia. Starasz się mnie przekonać, że jesteś kimś, kim naprawdę nie jesteś. Mój tata określał to robieniem cza-cza-cza.

- Mówię ci prawdę. I byłabym wdzięczna, gdybyś zatrzymał te informacje dla siebie. Nikt w mieście nie wie, że dla chleba szoruję cudze ubikacje.

- Przykro mi, ale nie wierzę ani jednemu pani słowu, pani Koff. Alison. - Cullie roześmiał się i odwrócił, żeby odejść. - Kobieta, która kazała mi wejść od tyłu do Klinowego Dworku, nigdy by nie została przyłapana na szorowaniu cudzych toalet.

- Nikt mnie nie przyłapał - aż do dzisiaj - powiedziałam do pleców Culliego, schodzącego po frontowych schodach Melanie.

Zatrzymał się, odwrócił do mnie twarzą, posłał w moją stronę długie, pytające spojrzenie, po czym jeszcze raz potrząsnął głową. - Nie kupuję tego - powiedział. - Nie jesteś gosponią. Nie moja pani Koff. Robisz mi cza-cza-cza, tak jak sądziłem.

Patrzyłam, jak Cullie wsiada do swojego czarnego jeepa i odjeżdża. Powiedział moja pani Koff. Przyjemnie zabrzmiało. Szkoda tylko, że guzik go obchodziłam. Szkoda, że przyjął taką obojętną postawę. Szkoda też, że gdy wreszcie zdradziłam komuś mój wielki sekret, ten ktoś nawet mi nie uwierzył.

Zupełnie załamana podreptałam do pralni i odszukałam środek do czyszczenia dywanów, który Melanie zaleciła używać. Potem przeszłam do gabinetu i zabrałam się za wywabianie wszystkich plam po rozlanej kawie Todda. Kiedy na czworakach szorowałam dywan, w myślach zaczęłam odtwarzać rozmowę z Culliem. Gdybym tylko to powiedziała. I gdyby on powiedział tamto. Gdyby Todd nie natknął się na nas. Gdyby Melanie była akurat w domu i sama otworzyła drzwi. Nagle przyszło mi do głowy, że strażnik przy bramie wjazdowej nie zadzwonił, żeby zapowiedzieć pojawienie się Culliego, jak to zwykle robił, gdy któryś z mieszkańców Bluefish Cove miał gości. Będę musiała spytać o to wielkiego laytonow-skiego fotografa, kiedy następnym razem na niego wpadnę, pomyślałam. Ku mojemu ogromnemu zdumieniu okazja nadarzyła się następnego dnia wieczorem - dzięki jego zaproszeniu.

Wróciłam właśnie z pracy do domu, gdy zadzwonił telefon. Założywszy, że dzwoniącym może być albo moja matka, albo też komornik z Layton Bank & Trust, pozwoliłam, aby wiadomość nagrała się na

automatycznej sekretarce. Kiedy przesłuchiwałam nagranie, po sygnale usłyszałam jakby skądś znajomy męski głos.

- Hej, pani Koff. Alison. Jutro wieczorem zabieram cię na kolację. Stolik z widokiem na wodę. Dobre jedzenie. Miłe towarzystwo. Co ty na to? Zadzwoń do mnie. 555-9080. Acha, tu mówi Cullie Harrington.

Cullie umawiał się ze mną na spotkanie? Prawie zemdlałam. Nie mogłam w to uwierzyć, dopóki nie przesłuchałam pozostawionej przez niego wiadomości dziesięć razy. Nie mogłam przejść nad tym do porządku dziennego. Już od tak dawna nie wychodziłam nigdzie z mężczyzną, że sama myśl o tym podniecała mnie i przerażała jednocześnie. Ale co sądzić o tej Hadley, z którą tamtego wieczora Cullie był razem w McGa-vin's? I co myśleć o jego kpiącym stosunku do mnie?

Och, zadzwoń wreszcie do niego, zrugalam się. I co z tego, jeśli przez cały wieczór będzie z ciebie szydził. Ty będziesz z tego miała bezpłatny posiłek.

O wpół do ósmej wykreśliłam numer Culliego.

- Halo - odebrał telefon.

- Tu Alison - powiedziałam rzeczowo, starając się, by mój głos brzmiał tak, jakbym regularnie rozmawiała przez telefon z Culliem.

- Świetnie, że znalazłaś moją wiadomość. Jesteśmy umówieni na jutro? A może w sobotnie wieczory także pracujesz u Melanie?

- Wydawało mi się, że nie uwierzyłeś, iż jestem gosposią Melanie - starałam się go wybadać.

- Tak i przykro mi z tego powodu. Teraz ci wierzę.

- Dlaczego?

- Dziś po południu zadzwoniłem do Janet Claiborne.

- Powiedziałeś jej, że jestem służącą u Melanie? - Powiedzenie czegoś Janet Claiborne było jak podanie wiadomości w kronice towarzyskiej.

- Uspokój się. Ona nic nie wie. Zatelefonowałem do niej, żeby sprawdzić pozostałą część twojej opowieści - o mężu, który cię zostawił i wrócił do pierwszej żony, o twoich problemach z domem. Potwierdziła wszystko, więc doszedłem do wniosku, że w sprawie służącej też musiałaś mówić prawdę.

- Bomba. Cullie Harrington uważa, że mówię prawdę. Wreszcie będę mogła spokojnie spać - mruknęłam.

- Hej, zawrzyjmy rozejm. Zadzwoń do ciebie, bo chciałem cię przeprosić, że ci nie uwierzyłem. To co sądzisz o moim zaproszeniu na kolację?

- W twojej wiadomości była jakaś wzmianka o restauracji na nabrzeżu. Którą masz na myśli?

- To niespodzianka - powiedział Cullie. - Przyjadę po ciebie jutro wieczorem o siódmej.

- Jak mam się ubrać? - W większości naprawdę dobrych restauracji w Layton obowiązywał strój wizytowy.

- Zwyczajnie. Masz chyba normalne ubranie?

- Czy nigdy nie przestaniesz?

- Przepraszam. Do zobaczenia jutro wieczorem.

- Do zobaczenia.

- Alison?

- Tak?

- Rozchmurz się. Obiecuję nie robić żartów z nazwy twojego domu i innych rzeczy, które cię dotyczą.

- Najwyższa pora.

- Przyjeżdżam więc po ciebie jutro wieczorem. O siódmej. Do Klinowego Dworku. - Brzdęk.

Punktualnie o siódmej Cullie zadzwonił do moich drzwi.

- Miło cię znów widzieć - powiedziałam, zdecydowana przyjemnie rozpocząć wieczór. - Czy chcesz wejść na drinka? - Jeśli o mnie chodzi, bardzo potrzebowałam kielicha. Byłam tak zdenerwowana, że można by pomyśleć, że jestem pensjonarką, a nie dwukrotną rozwódką.

- Nie, dziękuję. Mamy stolik zarezerwowany na wpół do ósmej i nie chciałbym się spóźnić.

Kurczę, ta restauracja nad wodą musi być jakimś popularnym lokalem. Ale którym? Chez Pascal była w Layton Harbor, ale obowiązywały tam stroje oficjalne, nie codzienne. Les Fruits de Mer także znajdowała się w Layton Harbor, ale na zimę ją zamykano. Gdzież to Cullie Harrington mnie zabierał? Zastanawiałam się nad tym, gdy pomagał mi założyć kurtkę. Nie sprawiał wrażenia konesera najmodniejszych lokali w mieście. Ale przecież niewiele go znałam. Wiedziałam tylko, że robi wspaniałe zdjęcia, zachowuje się z wyższością i w rzeczywistości wygląda równie pociągająco jak w moich wyobrażeniach. Jego niebieskie oczy błyskały za okularami w szylkretowej oprawie, twarz miał ogorzałą od częstego przebywania na dworze, a szczupłe, atletyczne ciało okrywały te same wyblakłe dzinsy i biało-granatowy sweter narciarski, w których po raz pierwszy go zobaczyłam. Jedynym nowym elementem była delikatna cytrynowa woń płynu po goleniu, sprawiająca, że pachniał jak bryza morska na Karaibach.

- Gotowa? Skinęłam głową.

- Chodźmy więc.

Kiedy prowadząc mnie do drzwi ujął mnie pod ramię, poczułam ognistą falę, ogarniającą moje ciało. Pewnie uderzenie gorąca, powiedziałam sobie. Miałam zaledwie trzydzieści dziewięć lat i nigdy nie doświadczyłam żadnego objawu menopauzy, ale nie mogłam zaakceptować ogarniającego mnie pożądania. Nigdy dotąd nie pożądałam żadnego mężczyzny i niezupełnie wiedziałam, co mam z tym zrobić.

Gdy jechaliśmy czarnym jeepem Culliego przez miasto, pokazywał domy, które fotografował. Zapytałam, jak to się stało, że za źródło utrzymania wybrał sobie fotografowanie luksusowych posiadłości.

- Wcześniej fotografowałem łodzie dla pośredników handlowych i firm czarterujących - wyjaśnił. - Łodzie są moją pasją. Ale gdy interes jachtowy zaczął podupadać, jeden z pośredników namówił mnie, żebym się przerzucił na ślizgacze. Przez jakiś czas robiłem więc zdjęcia motorówek, a potem zabrałem się za domy. Teraz fotografuję wyłącznie nieruchomości. Tam są pieniądze. Nie takie, żeby mogły zainteresować ludzi z twojej sfery, ale wystarczające na cheeseburgery.

- Wydawało mi się, że zawarliśmy pokój - upomniałam go.

- Słusznie. Przepraszam. To może opowiesz coś o sobie? Jak doszło do tego, że zaczęłaś zarabiać na swoje utrzymanie sprzątaniem luksusowych posiadłości? Pewnie trudno jest z właściciela domu przeistoczyć się w sprzątaczkę.

- Tak, to niełatwe. Ale to nie samo sprzątanie mnie dręczy. Dziwne, ale lubię prace domowe. Brud jest

chyba jedyną rzeczą w moim życiu, nad którą mam pewną kontrolę. Jeśli podłoga jest zabrudzona, myję ją. Jeśli zlew jest brudny, szoruję go. Dobrze by było, żeby inne problemy dawało się tak prosto rozwiązywać.

- Co więc tak cię męczy w pracy u Melanie Moloney?

- Sama Melanie. Nie traktuje mnie jak człowieka; traktuje mnie jak służącą. Możesz mi wierzyć, to jest zabójcze.

- Nie musisz mnie przekonywać. W grudniu poszedłem fotografować pewien duży dom w Layton. Na dworze było poniżej zera, a ta kobieta kazała mi skorzystać z kuchennego wejścia, więc musiałem wlec cały sprzęt dookoła domu, aby dotrzeć na tyły budynku. Niemal skręciłem sobie kark - i odmroziłem tyłek. A potem zmusiła mnie do pracy bez butów, żebym nie zabrudził jej posadzek.

Już miałam wyrazić swe współczucie, kiedy uświadomiłam sobie, że to ja byłam ową kobietą, na którą się uskarżał. - Nie dziwię się, że mnie nie lubisz.

- Hej, wcale tak nie jest. Zabieram cię na kolację, przypominasz sobie? Po prostu cieszę się, że zaczynasz coś dostrzegać.

- Zaczynam.

Natomiast wcale nie zaczynałam się domyślać, gdzie jest ta restauracja Culliego z widokiem na wodę! Wygląda na to, że wyjeżdżamy z Layton, pomyślałam, gdy mijaliśmy przedmieścia. Potem zobaczyłam napis na poboczu drogi *Wjazd do Jessup*. Jessup? W Jessup nie było przyzwoitej restauracji, ani nad wodą, ani w żadnym' innym miejscu. W Jessup nie było nic, poza parkingiem dla przyczep samochodowych, domem towarowym 7-Eleven i Kmartem. Co

więc robili mieszkańcy Jessup, żeby się rozerwać? Wieść gminna głosiła, że zabawiali się w sposób stary jak świat: pieprzyli się. W Jessup nie było delikatesów, salonów sprzedaży BMW i domów letniskowych, chociaż ostatnio zwalniani z pracy finansiści z Wall Street, których nie było już stać na utrzymanie drogich domów w Layton, zaczęli „odkrywać” miasteczko. Zgadywałam, że wkrótce Jessup stanie się modnym miejscem.

- Nadal mi nie powiesz, gdzie jedziemy? - spytałam Culliego.

- Nie. Już prawie jesteśmy.

Jechaliśmy w stronę wody. Tyle wiedziałam. Ale co mogliśmy... o Boże. Nagle zrozumiałam, gdzie mnie Cullie zabiera: do Mięczaków u Arniego na przystani w Jessup. Mówił, że pasjonuje się łodziami, ale Mięczaki u Arniego? Proszę, nie. Tylko nie tam. Ludzie prawie umierali od tamtejszego jedzenia. Oczywiście nigdy tam nie byłam, ale wszyscy mówili, że jest tam okropnie... miejsce uczęszczane przez najgorszy element... przesiąknięta piwem melina, wypełniona bezzębnymi mężczyznami z mnóstwem tatuaży... bar przy dokach, serwujący małże, w którym pachniało portem, a nie wyrafinowaną kuchnią.

I rzeczywiście, parę minut później Cullie zatrzymał jeepa na parkingu przy przystani. Tylko trzymaj mordę na kłódkę, przykazałam sobie. Skoro ten mężczyzna jest tak miły, że zaprasza cię na kolację, możesz chociaż okazać wdzięczność. Najwyżej nie tkniesz jedzenia. Możesz coś zjeść po powrocie do domu.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział z dumą Cullie, podchodząc do samochodu od mojej strony i otwierając przede mną drzwi.

- Tak - udało mi się wykrztusić.

- Czy byłaś tu kiedykolwiek? - zapytał, gdy wspieiliśmy się na pomost i ruszyliśmy w stronę restauracji, która mieściła się w dużym, zrujnowanym budynku z białych desek, pilnie potrzebującym odmalowania, nowego dachu i nowego neonu (teraz można było przeczytać: *Mi cz ki u A niego*).

- Nie, jestem tu pierwszy raz. - Staralam się, by moje słowa zabrzmiały entuzjastycznie.

Kiedy dotarliśmy do tarasu przed restauracją, zaczęłam się wspinać po schodkach ku wejściu, ale Cullie chwycił mnie za rękę. - Hej, gdzie się wybierasz? - powiedział. - To nie do tej restauracji nad wodą cię zaprosiłem. Zabieram cię w moje miejsce. - Uśmiechnął się szeroko, coś mu błysnęło w oczach.

Byłam zaintrygowana. Na przystani nie było innych restauracji, były tylko dziesiątki łódek wszelkich kształtów i rozmiarów, przycumowanych do nabrzeża i czekających na wiosnę.

Pozwoliłam Culliemu prowadzić się płataniną pomostów, aż zatrzymaliśmy się przy końcu jednego z nich. - Jesteśmy na miejscu - rozpromienił się.

- Tutaj? Ależ to jest czyjaś łódź. - Byłam zdezorientowana. Stałam przed czymś, co wyglądało jak czterdziestostopowy jacht i miało na rufie napis **MARLOWE. JESSUP, CT**. Nic nie wiedziałam o żaglówkach, każdy jednak mógł stwierdzić, że ta była piękna. Cała była z drewna - ciemnozielona, z pokładem z drewna tekowego - i pod gwiaździstym niebem błyszczała na wodzie.

- Wejdz na pokład - powiedział Cullie, pomagając mi stanąć na łagodnie kołyszącym się pokładzie **MARLOWE**.

- Ale to jest czyjś jacht - powtórzyłam, mając nadzieję, że nie zostaniemy zaaresztowani.

- Bez żartów, pani Koff. Co jest, nigdy nie byłaś na żaglówce?

- Ja?

- Cóż to? Gdzie się podziała twoja żądza przygód?

- Zwariowałaś? Dla mnie niebezpieczna przygoda to pojechać porsche do myjni samochodowej, w której zdarzały się wypadki porysowania karoserii.

Cullie zaśmiał się, otworzył haczyk, przypominający dziób pelikana i gestem zachęcił mnie do zejścia na dół, do kokpitu. Potem odryglował podwójne drzwi z tekowych deszczulek. - Jeszcze tylko uchylę luk i udamy się niżej - powiedział radośnie. - Voila.

Zajrzałam do kabiny w dole i zdumiałam się, widząc przytulną, romantycznie oświetloną kryjówkę, z dala od świata zewnętrznego. - Co to? - zadałam pytanie, gdy mój nos przyjemnie podrażnił zapach czosnku i ziół. - Pachnie niebiańsko.

- Chodź ze mną. - Cullie pomógł mi zejść po wąziutkich stopniach do kabiny. - No, jesteśmy. I co o tym sądzisz? - powiedział, wyciągając rękę i obrzucając wzrokiem wnętrze łodzi. - Witaj w Chez Cullie, mojej skromnej siedzibie, która na specjalne okazje pełni też rolę dwuosobowej restauracji z widokiem na wodę.

- W twojej skromnej siedzibie? Mieszkasz tutaj?

- Przez wszystkie dni w roku. Jak to się mówi, mieszkam na pokładzie.

Cullie Harrington był pełen niespodzianek. Jego łódź była wspaniała, poczynając od znajdującej się obok salonu, w pełni wyposażonej kuchni, z kuchenką z piekarnikiem, dwukomorowym zlewem, małą lodó-

wką i szafkami z drewna tekowego, a na samym salonie kończąc. Była to niezwykła kombinacja pracowni, jadalni i sypialni, gdzie znalazły swe miejsce koje z obiciem w biało-zieloną kratę, tekowe półki na książki i kasety magnetofonowe, gazowy piecyk, lampy naftowe i mahoniowy stół, który, nie używany, można było złożyć i oprzeć o ścianę, a teraz nakryty był lnianymi serwetkami i udekorowany żółtymi chryzantemami w pękatym wazonie. Na stole stał też mosiężny kubełek z lodem, w którym chłodziła się butelka białego wina.

Właśnie miałam powiedzieć Culliemu, jak wspaniale wszystko wygląda, gdy zadzwonił telefon. Wskazałam na telefon komórkowy, zawieszony na belce nad pulpitem nawigacyjnym, gdzie Cullie trzymał mapy, radio i sonar, i odezwałam się: - Nie zamierzasz odebrać?

- Jest sobotni wieczór - uśmiechnął się. - Odpoczywam.

Roześmiałam się w odpowiedzi i dalej oglądałam kabinę.

- Masz ochotę na drinka? Potem cię oprowadzę - powiedział.

- A co proponujesz?

- Białe wino albo rum Mount Gay.

- Poproszę białe wino. - Nigdy nie słyszałam o rumie Mount Gay, ale byłam pewna, że coś takiego pozbawi mnie wszelkich hamulców; potrzebowałam ich, aby nie rzucić się na Culliego i nie zrobić z siebie kompletnej idiotki.

Cullie podał mi kieliszek zimnego Pinot Grigio, przyrządził dla siebie rum z tonikiem i włączył magnetofon, wbudowany w półkę nad jedną z koi.

- Lubisz Everly Brothers? - zapytałam, gdy dźwięki *Bye, Bye Love* napełniły kabinę. Everly Brothers byli moimi ulubionymi wykonawcami z czasów dzieciństwa.

- Są najlepsi - odparł. - Jestem purystą, a ich brzmienie jest niezwykle czyste i proste. Podobnie jest z tą łodzią. To szkuner Johna Aldena, zbudowany w tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim roku przez najlepszych skutników z Maine, robiących drewniane łodzie.

- Oprowadź mnie - oświadczyłam z gotowością, kompletnie zafascynowana niezwykłym mieszkaniem Culliego.

- Najpierw toast - powiedział, unosząc szklaneczkę. - Za nowego gościa na **MARLOWE**.

- Chętnie wypiję. I za gospodarza **MARLOWE**. - Stuknęliśmy się kieliszkami. - A skąd się wzięła nazwa Marlowe?

- Tak się nazywał jeden z bohaterów powieści Josepha Conrada - wyjaśnił Cullie. - Jego książki marynistyczne są moją ulubioną lekturą.

- Nic dziwnego. Czy jednak Marlowe nie był raczej obserwatorem, a nie awanturnikiem?

- I być może dlatego nawiązuję do niego. Nie prowadzę pustego życia, pozbawionego prawdziwych uczuć, tak jak wiele osób w Layton, ale z pewnością jestem w stanie dostrzec horror takiej egzystencji.

- Nie chciałabym zrywać względnego pokoju, który zachowywaliśmy do tej pory, czemu jednak jesteś tak wrogo nastawiony do ludzi posiadających pieniądze?

- Wyjaśnię ci to, gdy się lepiej poznamy - rzekł Cullie, wykręcając się od odpowiedzi. - Wolałbym ci teraz opowiedzieć o **MARLOWE**.

- Niech będzie. Wspomniałeś, że łódź zbudowano w latach trzydziestych. W jaki sposób wszedłeś w jej posiadanie?

- Wraz z moją byłą żoną spędzaliśmy zwykle sierpień żeglując u wybrzeży Maine. Latem rodzina Preston odpoczywała w Northeast Harbor, w pobliżu którego znalazłem **MARLOWE**.

- Z byłą żoną? Jesteś rozwiedziony?

- Tak, od dziewięciu lat. Preston nie zaakceptowała pomysłu wyremontowania porzuconej łodzi od kilu aż po żagle, a potem zamieszkania na niej.

- Preston? Cullie? Hadley? Gdzie się podziały normalne imiona?

- Mam normalne pierwsze imię. Charles. W pełnym brzmieniu nazywam się Charles Cullver Harrington, ale zawsze mówiono na mnie Cullie. Czy nigdy nie używałaś zdrobnienia? Ally, a może Sonny?

- Mój drugi mąż zwykł na mnie mówić Alergia, lecz nie sądzę, by ci chodziło o takie zdrobnienia. Nie, zawsze byłam zwyczajną Alison.

Cullie zaśmiał się. - Nie ma w tobie nic zwykłego, pani Koff. Czy chcesz, żebym cię nazywał Sonny?

Skinęłam głową. Spodobało mi się przezwisko. - Powiedz mi jeszcze coś o łodzi. Odbudowałeś tę ślicznotkę z ruiny?

- Wyobraź sobie. Remont zniszczył moje małżeństwo i pochłonął każdego centa, jakiego miałem, ale warto było, nie sądzisz?

Znów kiwnęłam głową, chociaż nie uwierzyłam, że to uczucie Culliego do łodzi zrujnowało jego małżeństwo. Ostatnio zrozumiałam w końcu, że jeśli dwoje ludzi pobiera się z miłości, a nie dla pieniędzy, pozycji czy poczucia bezpieczeństwa, wówczas taki

związek niełatwo się rozpada, na pewno nie z powodu łodzi czy innych drobiazgów.

- Zobaczyłem ogłoszenie o łodzi w „Soundings”, miesięczniku żeglarskim z mnóstwem ogłoszeń.

Brzmiało ono:

43-stopowy szkuner ALDENA 1932. Wymaga naprawy.

John Alden był jednym z wielkich projektantów łodzi naszego wieku, toteż aż podskoczyłem na myśl o posiadaniu jednej z jego konstrukcji. A że ta konkretna łódź Aldena była szkunerem, więc naprawdę się zapaliłem.

- Cóż jest takiego specjalnego w szkunerze?

- Jak ci już mówiłem, jestem purystą. A nie ma nic godniejszego miłości żeglarza-purysty niż szkuner. Ma zupełnie niepraktyczne ożaglowanie, ale tak piękny wygląd. - Cullie przerwał i pociągnął rum z tonikiem. - Pojechałem więc do Maine, by obejrzeć łódź - kontynuował. - I chociaż miała połamaną połowę wręg, przegniły kil i wymagała obicia nowymi deskami, zakochałem się od pierwszego wejrzenia.

- Miłość od pierwszego wejrzenia? Teraz rozumiem, dlaczego Preston poczuła niechęć do MARLOWE. Pewnie była zazdrosna. - Żaden z moich mężów nigdy nie mówił z takim uczuciem o mnie jak teraz Cullie o swojej łodzi.

- Preston zazdrosna? Wątpię. Ale kocham ten jacht. Od dziesięciu lat jesteśmy razem. Po przewiezieniu go z Maine na przystań w Jessup, rozpocząłem mozolne dzieło remontowania.

- Gdzie wówczas mieszkałeś?

- W domku plażowym w Layton. Rodzina Preston miała pieniądze. - Cullie wykrzywił twarz.

- Czy to było naprawdę aż takie złe, że mieli pieniądze? Nie mógłbyś mieszkać nad wodą, gdyby ich nie mieli.

- To prawda, ale pieniądze znikły w dniu, w którym znikła Preston. Komu więc były potrzebne?

- Cullie upił następny łyk swojego drinka i dalej ciągnął opowieść o tym, jak remontował **MARLOWE** od dziobą po rufę. Nie rozumiałam wiele z tego, o czym opowiadał - używał tylu terminów żeglarskich, że powstałoby z nich cały słownik - ale byłam w stanie domyślić się, że Cullie Harrington należał do ludzi posiadających marzenia i nie mogących spocząć, dopóki ich nie zrealizują.

- Czas coś zjeść - odezwał się nagle Cullie, spojrzawszy na zegarek. Zerknęłam na mojego rolexa; była dziewiąta. Jak szybko płynął czas. Czułam się cudownie beztrosko, sącząc wino i poddając się delikatnie kołyszącym falom, uderzającym o nabrzeże. Gdy tak pogrążyłam się w przytulnej zaciszy kabiny, wszystkie myśli o Sandym, Soozie, Melanie i Klonowym Dworku uleciały z morską bryzą. Fakt, że byłam wściekle zainteresowana osobą gospodarza, nie pozostawał bez wpływu na mój nastrój.

- W czym mogę ci pomóc? - zapytałam, podążając za Culliem do kuchni.

- W niczym. To twój wolny wieczór, pamiętasz?

- odparł, obdarzając mnie szerokim uśmiechem.

- Świetnie - powiedziałam. - Cokolwiek gotujesz, pachnie wyśmienicie.

- Będę gotowy za jakieś dwadzieścia minut. Muszę tylko ugotować ryż, wrzucić małe i podgrzać pieczywo. Całą resztę przygotowałem, zanim pojechałem po ciebie.

Ten mężczyzna umiał gotować! Gdyby nie to, że nie był bogaty i nie chciał być bogaty, Cullie byłby doskonałą partią.

Wróciłam do salonu, usiadłam na koi, która pełniła też rolę siedzenia przy stole, i słuchałam piosenki *All I Have to Do Is Dream* w wykonaniu Everly Brothers. Czułam się, jakbym się znalazła w bajkowym świecie.

- Chciałbym, żebyś mi opowiedziała wszystko o Melanie Moloney - zawołał Cullie, burząc magię chwili.

- Sam mówiłeś, że to mój wolny wieczór.

- Tak, ale ona mnie ciekawi. Jak idzie jej praca nad książką o Alistairze Downsie?

- Todd, ten facet, z którym współpracuje, powiedział, że książka jest prawie skończona. Mówił też, że będzie to wielka sensacja, podobnie jak jej pozostałe biografie sławnych ludzi.

- Czy mówił, co w niej jest?

- Niewiele brakowało, żeby mi zdradził jakieś pikantne szczegóły, ale wkroczyła Melanie i zrugowała nas. Nie wiem, jaką karę wymierzyła Toddowi, ja musiałam umyć wszystkie szklane drzwi w całym domu.

- Brzmi niezwykle miło. I w ten sposób nie poznałaś żadnego pikantnego szczegółu z życia senatora Downsa? - Cullie uśmiechnął się szyderczo, wymieniając nazwisko najbardziej szanowanego obywatela Layton.

- Tak, ale nie tracę nadziei. W najbliższej przyszłości przekonam Todda, żeby mi coś opowiedział. Umieram z ciekawości, czyje szkielety Alistair chowa w swojej szafie. W końcu jest moim szefem. Moim drugim szefem.

- Zapomniałem, że pisujesz do jego gazety. A co ludzie z gazety mówią o książce?
 - Niewiele. Melanie zadała sobie dużo trudu żeby utrzymać w tajemnicy jej treść. Nawet mnie nie, wpuści w pobliże rękopisu, nie ma szans.
 - Nie trzyma tego w komputerze?
 - Nie. Melanie używa zwyczajnej, starej maszyny do pisania - i zwyczajnych kart katalogowych, na których przechowuje dane o źródłach
 - O źródłach?
 - No, rozumiesz. O ludziach, z którymi Melanie i Todd rozmawiali o Alistairze. O ludziach, którzy mają coś na Alistaira.
- Cullie zamilkł na parę minut. Założyłam, że w tym czasie wykańczał swoje dania.
- Voila - powiedział, wnosząc wreszcie dwa półmiski gorącego jedzenia na stół i siadając obok mnie
 - Dolać ci wina?
 - Poproszę.
- Cullie nalał wino mnie i sobie, po czym wznosił swój kieliszek. - Za parę szefów Sonny: Alistaira Downsa i Melanie Moloney. Oby dostali to, na co sobie zasłużyli.
- Proszę, proszę - powiedziałam, kiedy po raz drugi stuknęliśmy się z Culliem kieliszkami. - Rozumiem, że ja mam powód, by nie lubić Melanie i Alistaira, ale co ty masz przeciwko nim?
 - Melanie pisze książki, które naruszają prawo ludzi do prywatności.
 - Zgoda. A co chcesz od Alistaira? Co masz mu do zarzucenia, poza tym że jest bardzo bogatym człowiekiem, więc, jak wszyscy wiemy, nie różni się według ciebie od seryjnego mordercy?

- Nie. Wielokrotny morderca ma swój własny system wartości moralnych, obojętnie jak wypaczonych. Natomiast Alistair Downs jest kompletnie amoralny.

- Może jest pompatycznym bałwanem, ale amoralny? Czy to nie za mocne określenie?

- Jest amoralny, mówię ci. Ale nasza kolacja stygnie. Potrawka Culliego z owoców morza, specjalność domu. Bon appetit.

Potrawka Culliego okazała się aromatycznym daniem z mięczaków, krewetek i kalmarów w pysznym sosie pomidorowym, doprawionym czosnkiem i ziołami. Uzupełnienie stanowił pilaw z dzikiego ryżu o orzechowym posmaku i parzący palce chleb czosnkowy.

- Kolacja jest przepyszna, Cullie - oświadczyłam mojemu gospodarzowi. - Gdzie się nauczyłeś tak gotować? - Zdaniem Sandy'ego gotowanie polegało na odgrzewaniu białych pojemniczków z chińskim jedzeniem ze Złotego Lotosa.

- Mój tata był niezłym kucharzem.

- Był? Już nie żyje?

- Nie. Zmarł jakieś dziewięć lat temu.

- Jeśli dobrze pamiętam, to mniej więcej w tym samym czasie rozpadło się twoje małżeństwo. To musiał być dla ciebie trudny rok.

- Owszem, ale przebudowa **MARLOWE** stanowiła świetną terapię.

- A co z twoją mamą? - spytałam. - Czy żyje? - Moja na pewno dawno by umarła, gdyby mnie zobaczyła jedzącą kolację na przystani w Jessup, w warunkach dalece odbiegających od standardów klubu Grassy Glen.

- Umarła, kiedy się urodziłem. Nie znałem jej.
- A twój ojciec nigdy nie ożenił się ponownie?
- Chciał, ale twój przyjaciel Alistair Downs miał inne pomysły.
- Znali się?
- Paddy Harrington znał każdego człowieka, związanego z żeglarstwem.
- Paddy? To twój ojciec?
- Tak. Pochodził z Wyspy Wight u wybrzeży Anglii. W wieku dwudziestu paru lat wziął udział w regatach Fastnet Race, wchodzących w skład Admiral's Cup. Polegały one na przepłynięciu z Wyspy Wight wokół Fastnet Rock u wybrzeży Irlandii i z powrotem. Tak czy inaczej, po tamtym wyścigu mój ojciec spotkał pewnego bogatego Amerykanina, który powiedział mu, że w Ameryce żeglarz może znaleźć dobrze płatną pracę. Dał Paddy'emu spis nazwisk i adresów, i rok później mój ojciec był już instruktorem żeglarstwa w jachtklubie Sachem Point w Layton, którego komandorem był twój przyjaciel, Alistair Downs.
- Urodziłeś się więc w Layton?
- Aha. Ojciec poznał moją matkę w tym samym roku, kiedy tu osiadł. Była kelnerką w jachtklubie. Pobrali się, zamieszkali na terenie klubu i mieli mnie. Umarła przy porodzie, więc ojciec sam mnie wychowywał.
- Z twoich słów wynika, że był interesującym człowiekiem. A mieszkanie na terenie klubu musiało być czymś wspaniałym.
- Wspaniałym? To było piekło. Paddy Harrington był instruktorem żeglarskim - najemnym pracownikiem - a ja byłem jego dzieckiem. Mieszkaliśmy w części klubu, gdzie były mieszkania dla służby.

- I właśnie tam poznałeś swoją żonę? W jachtklubie?
- A jak inaczej? Rodzina Preston należała do ważniejszych członków klubu. Byli wstrząśnięci, gdy oświadczyła im, że chce wyjść za mąż za syna instruktora żeglarstwa.
- Nadal nie rozumiem, co ma do tego Alistair.
- Zostawmy dalsze wyjaśnienia na inną okazję
- powiedział Cullie. - Co powiesz na dolewkę wina? Kiwnęłam głową, popadając w stan coraz większego podchmielenia.
- Opowiedz mi coś jeszcze o Melanie i jej pracy. W jaki sposób udaje jej się utrzymywać zawartość książki w takiej tajemnicy?
- Po pierwsze, nie wpuszcza do domu nikogo obcego. A jeśli już wejdiesz do środka, nie spuszcza z ciebie wzroku, jak jastrząb. Kiedy pierwszy raz z nią rozmawiałam, sądziła, że jestem z jakiegoś brukowca, wyobrażasz sobie? - Cullie uśmiechnął się głupawo.
- Bluefish Cove jest dobrze strzeżone, więc ktoś usiłujący się dostać do domu Melanie, by zerknąć na książkę, miałby trudne zadanie. Hej, coś mi się przypomniało. Jak się dostałeś wczoraj? Strażnik przy wjeździe na osiedle nie zadzwonił, że jesteś przy bramie.
- Facet mnie zna. Fotografowałem wiele domów w Bluefish Cove. Jeszcze wina?
- Och, nie. Już wystarczy. Dziękuję. Opróżniłam talerz, wypłam wino i miałam teraz wyłącznie chęć wyciągnąć się na koi i pocierać o Culliego. - Może posłuchamy jeszcze muzyki?
- zaproponowałam. Taśma z nagraniami Everly Brothers dawno się już skończyła.

Cullie wstał i włączył kasetę Jamesa Taylora. Potem usiadł tuż obok mnie, otoczył ramieniem moje plecy i przyciągnął moją twarz ku swojej. - Kiedy nie rozkazujesz, Sonny Koff, przyjemnie jest być z tobą - wyszeptał mi do ucha, łaskocząc mnie brodą i wąsami. - Mam wrażenie, że **MARLOWE** cię polubiła.

- Ja też polubiłam **MARLOWE** - odszepnęłam w odpowiedzi, wdychając jego zapach, uderzającą do głowy mieszaninę aromatu płynu po goleniu i morskiego powietrza.

- Naprawdę, Sonny? - spytał cicho, przytulając mnie.

- Och, tak. - I nie mówiłam o **MARLOWE**. Ciało Culliego przywierało do mojego i pocziwa **MARLOWE** była ostatnią rzeczą, o jakiej mogłabym myśleć. Umierałam z chęci pocałowania Culliego, naprawdę umierałam. Tak często wyobrażałam sobie, że wsysam się w tę górną wargę, ukrytą pod kłującymi wąsami, że niemal to czułam. Proszę, pocałuj mnie, błagałam go bez słów, żałując, że nie jestem typem kobiety, która dobrze się czuje w roli osoby inicjującej zbliżenie, a nie czeka, aż samo przyjdzie. No, zaczynaj, Cullie. Weź moją twarz w dłoń i pocałuj mnie. Przyciśnij swoje wargi do moich. Wsuń język w moje usta. Ugryź mnie w ucho. Liź moje oczy. Zrób to wszystko. Zrób to. Zrób. Powiedz, że chcesz się ze mną kochać, proszę.

- Zupełnie zapomniałem. Przygotowałem ciasto cytrynowe. Zjedźmy coś na deser - powiedział zamiast tego, odrywając się ode mnie i ruszając w stronę kuchenki.

Deser? Byłam zdruzgotana. Muszę być niewyżyta seksualnie, pomyślałam skwaszona. A może to wcale

nie chodzi o mnie. Może Cullie interesuje się tylko Hadley Kittredge. Ale jeśli są ze sobą, dlaczego zaprosił mnie na kolację w sobotni wieczór? Bo zrobiło mu się mnie żal, gdy usłyszał, że zostałam porzucona dla pierwszej żony przez mojego męża? Bo dowiedział się, że jestem biedna i dlatego byłam właściwszym towarzyszem przy kolacji? Bo był wysłannikiem środków masowego przekazu i chciał zdobyć bliższe informacje o nowej książce Melanie Moloney? Zadawał takie mnóstwo pytań na temat Melanie. Ale nie, musi chodzić o tę Hadley, która nie tylko ma wielkie cycki, ale pewnie jeszcze żegluje jak zawodowiec. - Gdzie jest dzisiaj Hadley? - wyrzuciłam z siebie.

- Hadley? Czemu pytasz?

- Czyż nie jest twoją dziewczyną?

- Moją dziewczyną? Jest córką szefa doków. I ona, i jej ojciec byli dla mnie bardzo mili, odkąd zamieszkałam na przystani. Zimą jest tutaj całkiem pusto.

Świetnie, a więc to nie Hadley odepchnęła ode mnie Culliego. Więc pewnie ja. Nie interesował się mną. Ach, mam go gdzieś. - Jeśli chodzi o deser, myślę, że sobie daruję - powiedziałam zimno, wstając od stołu i przeciągając się. Spojrzałam na zegarek i zobaczyłam, że jest wpół do jedenastej. Udałam ziewanie, w nadziei, iż Cullie pomyśli, że się znudziłam. Znowu stosowałam stare sztuczki, swoim zachowaniem maskując uczucia, robiąc Culliemu, jak on to nazywał, stare cza-cza-cza. Skoro mnie nie chciał, to i ja za nic nie chciałam, by myślał, że go pragnę. Nigdy nie noś serca jak na dłoni, uczyła mnie mamusia. Nigdy nie daj mężczyźnie się rozszyfrować.

- Zmęczona? - spytał Cullie.

- Tak. To musi być efekt morskiego powietrza.

- Lepiej więc odwiozę cię do domu.

Widzicie? Nawet nie zaprotestował, nie zaproponował, żebym została na jeszcze jeden kieliszek przed spaniem, żebym dzieliła z nim koję. - Na pewno nie chcesz, żebym ci pomogła pozmywać? - zapytałam

- W tych dniach zmywanie należy do moich obowiązków.

- Nie, dziękuję. Zawiozę cię do domu. - Popatrzył na mnie i pokręcił głową. Potem bez słowa posprzątał ze stołu. Gdy skończył swoją robotę, podał mi płaszcz, ale me pomógł w nakładaniu go.

Nastrój na łodzi zdecydowanie skwaśniał. Zrzuciłam płaszcz na ramiona i czekałam, aż Cullie otworzy drzwi kabiny i pomoże mi wydostać się z luku. Kiedy wystawiłam głowę na zewnątrz poczułam uderzenie w twarz zimnego powietrza jak cios okrutnej rzeczywistości. Moja miła, romantyczna kolacja na jachcie pod koniec zimy skończyła się. Wracałam do cywilizacji. Do Świata długów i bankructwa. Do szorowania kibli, żeby mieć na życie.

Do Layton powracaliśmy w niemal całkowitej ciszy i zatrzymaliśmy się przed Klonowym Dworkiem około jedenastej. Cullie podszedł do samochodu od mojej strony, by mi otworzyć drzwi. Potem odprowadził mnie do schodów. Nie wziął mnie pod ramię. Kusilo mnie, aby go zaprosić na drinka, jednak byłam pewna że odmówi.

- Dziękuję za miły wieczór - powiedziałam gdy tak staliśmy zakłopotani przed drzwiami.

- Bardzo proszę. Mnie również było przyjemnie tak mi się wydaje. - Cullie patrzył tak, jakby ode

mnie oczekiwał potwierdzenia, czy miło spędził czas, czy też nie.

- Wydaje ci się? Nie jesteś pewien?

- Nie, nie jestem. Myślałem, że jest miło, ale coś się zepsuło. Nie czułaś tego? - Podszedł odrobinę bliżej i obdarzył mnie szybkim cmoknięciem w czubek nosa.

- Owszem, czułam. Czy jest szansa, żebyśmy spróbowali jeszcze raz? - Jak na mnie, było to wyjątkowo śmiałe. Lecz cóż miałam do stracenia? - Z radością znów zobaczę **MARLOWE**.

- A mnie? Mnie też zobaczysz z radością? - Tym razem pocałował mnie w prawy policzek.

- Tak. - Zamknęłam oczy i czekałam, żeby Cullie pocałował mnie w lewy policzek, albo jeszcze lepiej w usta. To było to, po prostu wiedziałam.

- Uściśnijmy się więc - powiedział pogodnie. Uściśnijmy? Uściśnijmy? Za kogo w końcu się ten facet uważał, za Leo Buscaglię? Byłam przekonana, że wreszcie chwyci mnie i zacznie całować jak głupi. Tymczasem chciał mnie uścisnąć. - Jasne, uściśnijmy się - powiedziałam kwaśno i chłodno go uściskałam. Szybko odsunęliśmy się od siebie i Cullie zszedł po schodach. Pomachaliśmy sobie na do widzenia, kiedy odjeżdżał.

Zmieszana i zde gustowana włożyłam klucz do zamka i weszłam do mojego dużego, pustego domu. Byłam zanadto podniecona, żeby zasnąć, toteż posprzątałam w kuchni, potem w salonie, jadalni i pozostałych pokojach na parterze. Zanim się zorientowałam, była już trzecia nad ranem, a ja czułam się kompletnie wyczerpana. Gdy wreszcie o wpół do czwartej wpelzłam do łóżka, nadal miałam kłopoty

z zaśnięciem, więc zamknęłam oczy i zaczęłam udawać, że jestem z Culliem na pokładzie **MARLOWE** i kołyszymy się w tę i z powrotem na naszej koi, jak w kołysce. W ciągu paru minut przestałam istnieć dla świata.

9

W niedzielę o wpół do dziesiątej rano obudził mnie telefon. Nie było mi do śmiechu. Niedziela była dniem, kiedy mogłam długo spać i rozkoszowałam się tą możliwością. Ktokolwiek o był, będzie musiał pogadać sobie z moją automatyczną sekretarką, pomyślałam i przekreśliłam się na drugi bok. Po paru minutach telefon znów zadzwonił. I znów pozwoliłam, by włączyła się automatyczna sekretarka. Gdy zadzwonił po raz trzeci, nie mogłam tego już dłużej ignorować, wyciągnęłam się więc, aby podnieść słuchawkę aparatu, stojącego na nocnej szafce.

- Halo - mruknęłam.

- Cześć, Sonny. Wydaje mi się, że jesteś śpiąca.

- Cullie? - Poderwałam się na łóżku.

- Tak. Próbowałem się do ciebie dodzwonić. Mam propozycję.

- Naprawdę? - Byłam już zupełnie rozbudzona.

- Tak. Jest rześki i słoneczny lutowy poranek. Co byś powiedziała na spacer po plaży, a potem drugie śniadanie na **MARLOWE**?

- Plaża? Na dworze jest mróz.

- Ejże. Tak cię opatulimy, że poczujesz się jakbyś spędzała czas w którymś z twoich modnych ośrodków

wypoczynkowych na Karaibach. Chodź, przekonasz

^{Me} jak miałam się opatulić? Sprzedałam wszystkie futra. Pozostał mi jedynie wyjedzony przez mole wełniany płaszcz, który nie ochroniłby mnie przed zimnem w wietrzny dzień na plaży.

- Mam dodatkową kurtkę puchową, którą możesz założyć. - Cullie zdawał się czytać w moich myślach. - Także czapkę narciarską i rękawiczki. Będziesz wyglądać prześlicznie.

- Cóż, skoro tak to przedstawiasz...

- Przyjadę po ciebie za pół godziny.

- Za pół godziny? Jestem jeszcze w łóżku!

- Lepiej więc wstawaj. Już wyjeżdżam. Czesc. Brzdęk

Popędziłam do lustra i jęknęłam. Wyglądałam fatalnie. Całe to szorowanie i odkurzanie do trzeciej nad ranem nie wpłynęło korzystnie na moją urodę.

Wskoczyłam pód prysznic, ubrałam się i byłam już na dole kiedy Cullie zadzwonił do drzwi. Rozsadzało mnie podniecenie. Dawał mi następną szansę i me mogłam jej zmarnować.

- O kurczę. Pięknie wyglądasz - powiedział, gdy otworzyłam drzwi.

- No pewnie. Nie mam na sobie nawet cienia makijażu. Nie dałeś mi czasu.

- I dobrze. Tak wyglądasz lepiej. Bardziej zrelaksowana, mniej... mniej... bo ja wiem... mniej spięta.

- Dziękuję. Ty też sprawiasz wrażenie wypoczętego, w gruncie rzeczy ten spontaniczny, beztroski sposób bycia Culliego był jedną z cech, która mi się w nim najbardziej podobała. Nie umiałam sobie wyobrazić, żeby popadał w stan wzburzenia, gdy ktos

spojrzał na niego w restauracji, jak bywało w przypadku Sandy'ego. Charles CulWer Hanington i Sanford Joshua Koff byli bowiem do siebie tak niepodobni, jak tylko różni mogą być dwaj ludzie. A ja cieszyłam się z tego.

Jechaliśmy na plażę publiczną w Jessup rozklekotanym jeepem Culliego, śpiewając piosenki i bawiąc się w zgadywanie ich tytułów. - Dobrze. A co to jest?

- mówił Cullie i mruzczał parę rockandrollowych taktów. - **The Lion Sleeps Tonight** - krzyczałam.

- A co sądzisz o tej? - rzucałam wyzwanie i nuciłam kilka taktów innego utworu. - To łatwe. To **See You in September** - zgadywał. - Dobrze - wrzeszczałam i oboje równocześnie wybuchaliśmy śmiechem. Nie było wzmianki o poprzednim wieczorze, kiedy oboje byliśmy sztywni i skrepowani za każdym razem, gdy tylko sytuacja zdawała się choć odrobinę prowadzić ku intymności.

Ku mojemu zdumieniu po dotarciu na plażę okazało się, że nie jesteśmy tam jedynymi ludźmi. Parę osób spacerowało po piasku, od czasu do czasu podnosząc jakąś muszelkę, rzucając okruchy chleba głodnym mewom i rozkoszując się morskim powietrzem.

- Idziemy? - spytał Cullie, wręczając mi kurtkę narciarską, czapkę i rękawiczki.

Nastawiłam się na podmuch zimnego powietrza, jednak podążając za Culliem na brzeg odkryłam ze zdziwieniem, że temperatura wcale nie jest taka straszna.

Cullie chwycił moją dłoń i poklepał mnie po niej, gdy szliśmy wzdłuż brzegu. Byłam taka wdzięczna za ten gest, że łzy napłynęły mi do oczu. Nie byłam

przyzwyczajona do takiej czułości. Ale przecież to był mężczyzna, który lubił obejmować kogoś w uścisku i być przytulany. Dlaczego wczorajszej nocy zbagatelizowałam ten przejaw uczucia? Pewnie dlatego, że żaden z moich dwóch mężów nigdy mnie nie przytulał; ich sposób okazywania uczuć polegał na kupowaniu mi różnych rzeczy.

- Spójrz! Nurogeśi - powiedział z ożywieniem Cullie, pokazując na wodę.

Nie miałam pojęcia, o czym mówi. Kiedyś latem byłam na obozie i ponadto od czasu do czasu brałam udział w wycieczkach krajoznawczych i spływach kajakowych, ale niezupełnie przypominałam Sheenę, królową dżungli. - Co to jest nurogeś? - spytałam.

- Rodzaj kaczki. Przyjrzyj się ich głowom. - Cullie puścił moją rękę i wskazał ptaki, spokojnie chlapające się w wodzie. - Widzisz, że mają na głowach coś w rodzaju wachlarzowatych koron, a może czubków? - Skinęłam głową. - Są śliczne, prawda?

- Są fantastyczne, wspaniałe - powiedziałam i naprawdę tak myślałam. Nikt dotychczas nie pokazał mi nurogeśi.

- A spójrz tam! Widzę kilka krzyżówek i uhli!

- Litości, co to jest uhla? - zapytałam, czując się, jakbym oglądała odcinek serialu *Królestwo zwierząt*.

- To jeszcze inny gatunek kaczki. Czy widzisz ich głowy? Czubek jest czarny, a boki białe.

Popatrzyłam w tę samą stronę co Cullie. Ale frajda, pomyślałam. Całe życie spędziłam w pobliżu plaż w Connecticut i nikt nigdy nie ukazał mi ich urody

- ich prawdziwego, naturalnego piękna. Nauczono mnie jedynie, że domy z wyjściem na plażę są najlepsze, czyli najwięcej warte.

Cullie znowu wziął mnie za rękę i poprowadził wzdłuż nieskończonej, zdawało się, linii brzegu. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek czuła się tak bezpiecznie i ciepło, pomimo zimowego chłodu. Większość czasu szliśmy w milczeniu, słuchając tylko delikatnego szumu fal, krzyków mew i ciszy lutowego poranka. Czasem zatrzymywaliśmy się nagle, patrzyliśmy na siebie i uśmiechaliśmy się, tylko dlatego, że nie mogliśmy się przed tym powstrzymać.

W pewnej chwili Cullie odwrócił mnie w swoją stronę i ujął w dłonie moją brodę. - To jest bardzo ładne - powiedział miękko i opuścił usta na moje wargi.

Automatycznie, bez śladu zwykłych zahamowań, zarzuciłam Culliemu ręce na szyję i oddałam mu pocałunek, wtulając się w niego.

- Marzną nam nosy - roześmiał się. - Może zabiorę cię do domu?

- Do domu? - musiałam wyglądać na zaalarmowaną. Czy Cullie się wycofywał? Zmienił zdanie? Czy będziemy musieli znów odgrywać nasze głupie gry?

- Na **MARLOWE** - powiedział i otoczył mnie ramieniem, patrząc, obserwując wyraz ulgi, malujący się na mojej twarzy. - Jesteś wielką niespodzianką, wiesz o tym? Nigdy nie spodziewałem się czegoś takiego.

Nie miałam zamiaru zepsuć tej chwili pytaniem, co ma na myśli. Milczałam. Czułam się szczęśliwa.' Chciałam, żeby to trwało wiecznie.

Poprowadził mnie z powrotem wzdłuż plaży na parking, wsiedliśmy do jeepa. W czasie pięciominutowej podróży do portu nie rozmawialiśmy ze sobą.

Spoglądaliśmy na siebie, żeby się upewnić, że ten dzień nam się nie przyśnił. Po dotarciu na przystań wspięliśmy się na pokład **MARLOWE**, pospieszyliśmy do głównej kabiny i rzuciliśmy kurtki na kozetkę.

- Teraz pewnie masz ochotę na drugie śniadanie - odezwałam się, przypominając sobie, jak ubiegłej nocy Cullie zepsuł naszą bliskość wzmianką o deserze.

- Jedzenie może poczekać - powiedział. - Jedyne, czego teraz pragnę, to pocałować cię.

Objął mnie i pocałował, z początku delikatnie, potem goręcej, z językiem, który wtargnął i poruszał się w moich ustach. Zanim się zorientowałam, leżeliśmy na sobie na kozetce, ciężko oddychając i całując się gorączkowo. Pragnęłam czuć jego dotyk na moim nagim ciele, ale nie nauczono mnie inicjowania seksu. Musiał to zrobić mężczyzna. Na szczęście zrobił.

Sięgnął pod sweter i pogładził moje piersi. Jęknęłam. Jęknęłam? Słyszysz, Sandy? Ja jęknęłam!

- Chodźmy tam - wyszeptał Cullie, prowadząc mnie do koi na dziobie łodzi. W tamtej chwili prze-szłabym za nim przez cieśninę Long Island.

Rozebraliśmy się i podziwialiśmy wzajemnie nasze nagie ciała. - Jesteś piękna - powiedział Cullie, patrząc na mnie w świetle słońca, sączącego się przez okienko kabiny.

- To ty jesteś piękny - odpowiedziałam mu. Bo był. Miał szerokie ramiona i płaski brzuch, z wyraźnie rysującymi się mięśniami. Piersi porastały mu złociste włosy, poprzetykane siwizną. Był wąski w biodrach, pośladki miał zwarte i wysoko osadzone. No i jeszcze jego członek. Prawdę mówiąc, nigdy w życiu nie widziałam tak doskonałego penisa. Nie dlatego, że-

bym była taką znawczynią. Ale w swoich ograniczonych kontaktach nigdy nie napotkałam organu równie naprężonego, równie błyszczącego i różowego... tak pociągającego. Przesunęłam po nim ręką. Nie mogłam się powstrzymać, ja, osoba zazwyczaj unikająca kontaktu z genitaliami w tym samym stopniu, co wizyt u dentysty.

- To takie przyjemne - jęknął Cullie. Nadal go głaskałam, gdy staliśmy koło koi. - Połóżmy się. Co o tym sądzisz?

- Uważam, że to dobry pomysł - powiedziałam cicho, odmawiając przerwania pieśczoły. Był taki gładki pod moją dłonią, jak fragment rzeźby, tak kuszący, że zapragnęłam otoczyć go wargami. Moimi wargami? Nagle ogarnęło mnie pragnienie, którego nigdy wcześniej nie doświadczyłam w czasie trzydziestu dziewięciu lat życia... paląca tęsknota, o którą bym sobie nigdy nie podejrzewała - chęć seksu oralnego.

Przesunęłam usta w dół jego ciała, pochłaniając go, aż zatrzymałam się przy członku, który był tak duży i twardy, że sprawiał wrażenie, jakby miał za chwilę wybuchnąć. Wzięłam go w usta, dziwiąc się swojemu brakowi zahamowań. Czy ta kobieta, uprawiająca miłość francuską z mężczyzną, którego prawie nie zna, mogła być Alison Waxman Koff, tą samą, która wolałaby szorować podłogi w kuchni niż pocałować członek faceta? Czy ta kobieta, paradująca nago po jachcie w środku lutego mogła być tą samą istotą, której skromność nakazywała spać w staniku i pizamie, nawet gdy była sama? Tak, to byłam ja, i przeżywałam najwspanialsze chwile w życiu.

- O Boże. To jest niebywałe, ale nie pozwól mi skończyć, Sonny. Chcę być w tobie.

Musiałam siłą oderwać usta od pulsującego członka. Tak wiele do ssania, tak mało czasu.

- Teraz - powiedział, delikatnie układając mnie na plecach. - Teraz.

Do południa zarejestrowałam siedem orgazmów w skali Richtera; Cullie zarejestrował dwa.

- Masz chęć na drugie śniadanie? - zapytał Cullie, gdy tarzaliśmy się na koi, w pełnej harmonii z delikatnym kołysaniem się łodzi na falach.

- Chcesz powiedzieć, że dostanę jeszcze jajka na boczku? Jajka na boczku i seks? Ten statek wycieczkowy zapewnia więcej atrakcji niż **QUEEN ELIZABETH 2** - uśmiechnęłam się, przerzuciłam gołą nogę przez nogę Culliego i połaskotałam go pod brodą.

- Chciałem tylko, żebyś miała wszystko, czego potrzebujesz, na pokładzie - powiedział zawstydzony Cullie.

- Mam - stwierdziłam, po czym oplotłam go rękami i pocałowałam.

We wtorek rano pędziłam do pracy jak na skrzydłach, daję słowo. Po boskim weekendzie z Culliein na **MARLOWE** dzień u Melanie nie wydawał się tak odstrasający. Och, oczywiście pozwoliłam sobie znów na kilka morderczych fantazji o Melanie. Wyobraziłam sobie, że rozpedzonym porsche rozjeżdżam ją bezbronię stojącą na podjeździe przed domem.. Potem oczami wyobraźni ujrzałam, jak dodaję amoniak do jej wody mineralnej i liczę sekundy do chwili, gdy trucizna zacznie działać. Widziałam nawet jak wpycham jeden z jej drobnych paluszków do gniazdko w ścianie i obserwuję, jak podnoszą się jej włosy na głowie. Byłam głęboko zawstydzona swoimi fan-

tazjami, podobnie jak wówczas, gdy zjadłam cały karton słoiczków z masłem fistaszkowym. Ale Melanie zdawała się wzbudzać złe, mściwe myśli.

Po dotarciu do wjazdu na teren Bluefish Cove pomachałam strażnikowi swoją przepustką i ruszyłam do domu Melanie. Gdy tam dojechałam, pani domu z nadmiernie uszminkowanymi, nadaśanymi ustami czekała na mnie w kuchni, z rękami opartymi na drobnych biodrach. Nic nie mów, niech zgadnę, powiedziałam sobie: pewnie odkryła, że jakaś mewa narobiła na jej szklane przesuwane drzwi i teraz chce, żebym zlizła to gówno.

- Dzień dobry, pani Moloney - powiedziałam pogodnie, zdecydowana nie dać sobie popsuć nastroju.

- Jest problem - stwierdziła, nie kłopotząc się, by mi życzyć dobrego dnia w odpowiedzi.

- Z góry przepraszam - uśmiechnęłam się.

- Nie, nie z tobą. Chodzi o Todda.

- Jaki jest problem z Toddem?

- Nie pokazał się od wielu dni. Miał wpaść w ten weekend i nie było go. Nie było go też wczoraj, nie przyszedł dzisiaj.

- Czy próbowała pani się z nim skontaktować? - zapytałam. Głupie pytanie, Alison. Ta kobieta była dociekliwą dziennikarką. Czy dopiero służąca miała jej powiedzieć, że powinna zadzwonić do faceta?

- Oczywiście, że próbowałam. Stale odzywa się automatyczna sekretarka.

- Musi się pani bardzo martwić o niego. Mówił mi, że od wielu lat jesteście współnikami.

- Wspólnikami? Tak ci powiedział? To bardzo śmieszne - zakpiła Melanie. Jej mocno ściągnięta twarz omal nie pękła, gdy usiłowała się uśmiechnąć.

- Nie nazwałabym nas współnikami. Todd dla mnie pracuje. Jeśli zaś chodzi o mój niepokój o jego los, to nie jestem zmartwiona. Od czasu do czasu odgrywa te swoje małe zniknięcia, zawsze, gdy jest zirytowany.

- Czy posprzeczałyście się o coś? - zapytałam.

- Nie wydarzyło się nic odbiegającego od normy. Ale to nie twoje zmartwienie, Alison. - Czemu więc mówisz mi o tym, ty wiedzmo? - Poruszyłam ten temat tylko dlatego, że jest coś, co mogłabyś dla mnie zrobić. Coś mającego związek z moją książką.

- Z książką o Alistairze Downsie? - nadstawiłam uszu. ,

- Dokładnie. Zastanawiałam się, czy chciałabyś mi pomóc przy niej, skoro Todd, wydaje się, porzucił swoje obowiązki.

- Ja? Pani chce, żebym pomogła przy książce/

- Moje marzenia stawały się rzeczywistością. Szczęście w końcu uśmiechnęło się do mnie. Moje życie uległo zmianie. Będę bogata. Będę sławna. Nie będę musiała ogłaszać bankructwa. Nie będę musiała czyścić kibli, żeby utrzymać się przy życiu. - Ach, pani Moloney, szansa pomocy pani w pracy nad książką to dla mnie zaszczyt. Prawdę mówiąc, posiadam pewne doświadczenie dziennikarskie...

- Nie ma teraz na to czasu - przerwała mi Melanie.

- Jest mnóstwo rzeczy do zrobienia.

Ruszyłam za nią przez korytarz do gabinetu. Oczami duszy widziałam już dalszy rozwój wypadków: Melanie Moloney i Alison Koff, piszące bestseller za bestsellerem, zarabiające jeden milion za drugim. Może powinnam wrócić do swojego panieńskiego nazwiska Waxman, pomyślałam. Dlaczego mam za-

chować Koff, dając Sandy'emu i Soozie szansę korzystania z mojej sławy?

Kiedy dotarliśmy do gabinetu Melanie, posadziła mnie przy biurku i zapytała, czy jestem gotowa. Powiedziałam, że jestem.

- Teraz więc - odezwała się. - Czy dobrze piszesz odręcznie?

- Nieźle, jak sędzę. - O kurczę. Chciała, żebym napisała parę stron książki.

- Dobrze. Tu jest kartka papieru i długopis. Będę dyktować, a ty zanotujesz wszystko, co powiem.

Cóż, nie będę więc pisać kawałka książki. Ale mój wkład będzie znaczący. Uzyskam też wgląd w życie Alistaira Downsa w dawnych czasach. Nie mogłam się doczekać, kiedy będę mogła zatelefonować i opowiedzieć o wszystkim Culliemu.

- Gotowa, Alison?

- Tak, pani Moloney.

- Cztery taśmy do maszyny do pisania... dwie buteleczki korektora... ryza papieru kserograficznego... dwa pudełka kart katalogowych... jedno opakowanie czarnych flamastrów... trzy paczki żółtego papieru w linie... toner do kserokopiarki... sześć podwójnych opakowań baterii... i cztery sześćdziesiąt-ciominutowe kasety magnetofonowe. Zapisalaś wszystko od góry do dołu, Alison?

Jedyną rzeczą, jaką zarejestrowałam w dole był mój humor - będę czyściła toalety do końca życia. - Tak, pani Moloney, jest tu wszystko. - Podałam jej listę zakupów. Czy na tym polegały obowiązki Todda? Nic dziwnego, że był zdenerwowany. Nic dziwnego, że nie pokazał się w pracy. Byłam tak rozczarowana, że prawie się popłakałam.

- Co się stało, Alison? Wyglądasz, jakbyś była chora.

- Nie, pani Moloney. Chodzi tylko o to, że gdy wspomniała pani, iż będę pomagać przy pracy nad książką, wyobraziłam sobie, że ma pani na myśli, że

- Że ty co? Że będziesz ze mną pisać? Że podzielę się z tobą zawartością unikalnego rękopisu?

Zastanów się, Alison. Jesteś moją służącą.

- Postawiła pani sprawę niezwykle jasno, pani Moloney. Czy to już wszystko?

- Wszystko na teraz. I proszę wracaj do swoich codziennych obowiązków.

- Dobrze, pani Moloney. - I do codziennych marzeń o zamordowaniu cię.

Wieczór spędziłam na **MARLOWE**, zabawiając Culliego opowiadaniem o moim koszmarnym dniu. Sprawiał wrażenie, jakby był bardziej ode mnie rozczarowany faktem, że nie udało mi się zajrzeć do rękopisu książki o Alistairze Downsie. Szybko jednak poprawiliśmy sobie nawzajem humor pewną dawką porządnego, staroświeckiego kochania i kiedy o wpół do dwunastej Cullie odwiózł mnie do domu, czuliśmy się znacznie lepiej. Przynajmniej mój nastrój istotnie się polepszył.

Następnego dnia wstałam rano, wskoczyłam do samochodu i pojechałam do Bluefish Cove. Przed bramą wjazdową na osiedle znalazłam się dwadzieścia pięć po ósmej. Machnęłam przepustką w stronę strażnika, on zaś kiwnął ręką i wpuścił mnie do środka. Przed drzwiami kuchennymi domu Melanie stanęłam punktualnie o wpół do dziewiątej, dokładnie

tak, jak sobie wiedźma życzyła. Nie widząc jej w oknie, nacisnęłam dzwonek i czekałam. I czekałam. Po minucie albo dwóch ponownie zadzwoniłam do drzwi. Nadal żadnej reakcji. Wspaniale. Melanie znów zabawia się w kobietę dominującą. O co tym razem chodzi? Czy przyjechałam trzy i pół sekundy za wcześnie? A może za późno? Może nacisnęłam dzwonek za słabo, a może właśnie za mocno? Głęboko westchnęłam i zadzwoniłam jeszcze raz. Ciągłe nie było odpowiedzi. Może Melanie jeszcze spała. I straciłaby szansę poznać się nade mną? Nigdy. Nacisnęłam dzwonek jeszcze raz i czekałam. Nadal nic. W pewnej chwili poczułam, że za moment kichnę, zaczęłam więc grzebać w torebce w poszukiwaniu chusteczki i przypadkowo zawadziłam łokciem o drzwi. Ku mojemu zdumieniu, uchyliły się. Otworzyłam je szerzej i zajrzałam do kuchni. Palilo

się światło, nigdzie jednak nie było śladu drobnej postaci Melanie ani zapachu jej porannej kawy czy perfum Giorgio. Pomyślałam, że pewnie rozmawia przez telefon w swoim gabinecie, wygrzebując nowe brudy, dotyczące Alistaira Downsa.

Nie było też ani śladu Todda, ale może jeszcze nie zakończyli swojej sprzeczki.

Może dla odmiany Melanie zatroszczyła się o mnie

1 pozostawiła otwarte drzwi, żebym nie musiała czekać na chłodzie. Wielkie dzięki, Mel.

Udałam się do służbówki i przebrałam w strój roboczy. Potem wzięłam z pralni przybory do sprzątnia i ruszyłam do głównej sypialni, zgodnie z codzienną rutyną. Kiedy otworzyłam drzwi, stanęłam jak wryta: łóżko Melanie było posłane. To bardzo dziwne, pomyślałam. Ta kobieta nigdy - ale to nigdy

nie słała swojego łóżka, nawet wówczas, gdy nie przychodziłam do pracy. Doszłam do wniosku, że musiała spać gdzie indziej, może u jakiegoś faceta. Dobrze jej to zrobi. Jedna noc namiętnego seksu na pewno ją zrelaksuje.

Następne dwadzieścia minut spędziłam ścierając kurze z mebli i jeżdżąc odkurzaczem po sypialni. Miałam właśnie zabrać się za odkurzanie pod łóżkiem, uniosłam więc narzutę i zatkało mnie: pod łóżkiem stały schowane dwa pudła, a każde z nich zawierało połowę książki o Alistairze Downsie! Co, u licha, te pudła robiły pod łóżkiem? zaczęłam się zastanawiać. Czemu miałyby chować je tutaj, a nie zostawić w swoim gabinecie? Żeby schować je przede mną? Niezbyt prawdopodobne. Musiała wiedzieć, że będę odkurzała pod łóżkiem - nalegała, żebym odkurzała pod wszystkimi łóżkami i kanapami w całym domu. Dlaczego więc miałyby zostawiać rzecz tak cenną i sekretną w miejscu, w którym łatwo mogłabym ją znaleźć? Żeby sprawdzić, czy przestrzegam ustanowionych przez nią zasad? Czy była to jeszcze jedna gierka Melanie - zobaczyć, czy połknę haczyk i przeczytam coś, czego czytać mi wyraźnie zabroniła?

Nagle przyszło mi do głowy, że najlepiej będzie, jeśli powiem jej o znalezieniu rękopisu. Jeśli tego nie zrobię, oskarży mnie o kłamstwo. Albo o to, że nie odkurzam pod łóżkami. Tak czy inaczej, oberwie mi się.

Popędziłam w dół po schodach, do gabinetu. Drzwi były zamknięte, więc delikatnie zapukałam. Żadnej odpowiedzi. Wiedziałam, że Melanie jest w środku, ponieważ można było dostrzec smużkę światła pod

drzwiami i usłyszeć ciche brzęczenie radia, ustawionego na ulubiony program Melanie. Przyłożyłam ucho do drzwi i wsłuchałam się uważnie. Nie ulegało wątpliwości, że nie rozmawiała przez telefon; rozpoznałabym jej charakterystyczny głosik małej dziewczynki. Zdecydowałam się jej przeszkodzić i zawołać przez zamknięte drzwi.

- Pani Moloney, chciałam tylko powiedzieć, że jestem w domu punktualnie od wpół do dziewiątej - zawołałam. - I dziękuję za zostawienie otwartych drzwi kuchennych dzisiaj rano. Naprawdę jestem wdzięczna.

Najzwyczajniej w świecie mnie ignorowała. Prawdopodobnie była zbyt pochłonięta wymyślaniami nowych sposobów bawienia się w grę „Tortury pokojówki”.

Mam ją gdzieś, pomyślałam i wróciłam do swoich zajęć. Jeśli się pospieszę, może uda mi się sprzątnąć resztę domu, odebrać wypłatę, wyjechać stąd o rozsądnej porze i spędzić wieczór z Culliem.

Posprzątałam w pokojach na piętrze, potem przeszłam na dół, do kuchni i do jadalni. Kiedy spojrzałam na zegarek, była już prawie pierwsza, a Melanie nie zrobiła sobie zwykłej przerwy na lunch. Jak miałam sprzątnąć jej gabinet?

Znów zastukałam w drzwi gabinetu, tym razem z większym zdecydowaniem. Ponieważ Melanie nadal nie reagowała, przyszło mi do głowy, żeby sprawdzić, czy w garażu stoi jej samochód. Stał. Wróciłam pod drzwi gabinetu i znowu zapukałam. - Pani Moloney, czy mogę wejść? - zawołałam. Nie było odpowiedzi.

Nadszedł czas, żeby powiedzieć sobie jasno, iż w domu Melanie coś się działo. Coś, o co, miałam nadzieję, nie będę obwiniana.

Nacisnęłam kławkę i powoli otworzyłam drzwi. A potem wydałam z siebie wrzask, nie gorszy niż Faye Wray w *King Kongu*. W gabinecie panował kompletny bałagan. Wszędzie porzucane były papiery. Długi stół, na którym zwykle stały pudełka z kartami katalogowymi, leżał na boku, a stosy kart walały się na podłodze. Książki, wśród nich bestsellery Melanie, były porzucane z zawieszonych na ścianach półek. Pokój, niegdyś niezwykle starannie urządzony, wyglądał teraz tak, jakby przeszło przezeń tornado albo bardzo wściekły człowiek.

- Melanie! - krzyknęłam, gdy wreszcie dotarło do mnie, że spoczywa na swoim krześle, z głową opartą na biurku, tyłem do mnie.

Podbiegłam do niej, wołając - Melanie. Czy mnie słyszysz? - O Boże. Ona nie żyje, stwierdziłam od razu, gdy dotknęłam jej ciała, twardego jak deska. Miała na sobie ten sam czarno-fioletowy dres, w który była ubrana w dniu naszego pierwszego spotkania - ten sam strój, który często zakładała, pracując w domu. Z tyłu głowy widniał ogromny guz, a na czole miała krwawą ranę. Jej twarz była bledsza niż kiedykolwiek, a dłonie i nadgarstki sine.

- Melanie, wstawaj! - wrzasnęłam na pozbawione życia ciało, starając się opanować mdłości. Odsunęłam się od Melanie i zaczęłam przemierzać pokój w tę i z powrotem, dużymi krokami omijając bałagan na podłodze. Co powinnam zrobić? Co powinnam zrobić? Kierowałam to pytanie do wyglądającej jak lalka, zadziwiająco spokojnej Melanie. Tyle razy wyobrażałam sobie jej śmierć, ale teraz, kiedy naprawdę do tego doszło, byłam jak sparaliżowana! Melanie nie żyje? Jak? Jak długo? Z czyjej ręki zginęła?

Z czyjej ręki? O mój Boże. Melanie została zamordowana! Szybko! Kawał! Kawał! Kiedy jest ci źle, zażartuj! Już sam fakt śmierci Melanie wyglądał paskudnie, a co dopiero morderstwo. O Boże. Moje odciski palców były wszędzie. I przez wiele godzin byłam tu sama z ciałem. Co będzie, jeśli ludzie pomyślą, że to ja ją zamordowałam? Co będzie, jeśli dojdą do wniosku, że jako niezadowolony pracownik wpadłam w szal, rąbnęłam swoją pracodawczynię w głowę, a potem kontynuowałam sprzątanie domu? Ciągłe się słyszy o podobnych przypadkach tyle, że zwykle są to niezadowoleni pracownicy poczty, a nie pokojówki. Ale jeśli ludzie pomyślą, że to ja zrobiłam? Co będzie, jeśli wsadzą mnie do więzienia? Co będzie, jeśli moje zdjęcie pojawi się we wszystkich brukowcach, opatrzone komentarzem: *Szalona pokojówka zabija Melanie?* Co będzie, jeśli zostanę osądzona, uznana za winną, skazana na dożywocie, a w więzieniu będę bezustannie gwałcona przez bandę zwariowanych lesbijek? Co będzie, jeśli w stanie Connecticut wykonuje się karę śmierci i zostanę na nią skazana? A ja się zamartwiałam, że ludzie dowiedzą się o mojej pracy w charakterze służącej! Szybko! Kawał! Jakiś kawał! Nie poddawaj się. Nie pozwól się rozszaleć swojej wyobraźni. Nie panikuj. Szybko! Kawał! Dobrze. Dobrze. Jest jakiś:

Dlaczego mafia zamordowała Einsteina?

Bo za dużo wiedział.

Ha ha ha ha ha.

Dobrze, tak trzymać. A teraz co? Przestań błaznować i zrób coś, skarciłam się. Zadzwoń pod 911, dzwoń pod 911. Trzęsącą się ręką wybrałam numer w panasonicu Melanie.

- Dziewięć-jeden-jeden, pogotowie policyjne - zgłosił się męski głos.
 - Ratunku! Ratunku! Zamordowano kogoś! - tymi słowami przedstawiłam problem.
 - Adres?
 - Bluefish Cove numer siedem.
 - Nazwisko?
 - Moje nazwisko, czy osoby, która została zamordowana?
 - Nazwisko powoda.
 - Powoda?
 - Tak, osoby, która dzwoni na policję.
 - Och, to znaczy moje. Alison Koff. - Boże, teraz stałam się powodem.
 - A nazwisko ofiary?
 - Melanie Moloney. Jest znaną pisarką. - Nie wiedziałam, czy ludzie pracujący w pogotowiu policyjnym są na bieżąco z notowaniami na liście bestsellerów książkowych, więc pomyślałam, że powinienam im powiedzieć o sławie Melanie, żebyśmy na pewno zostały potraktowane jak ważne osobistości.
 - Zaraz będziemy - odezwała się policja. - Proszę spróbować się uspokoić. Och, i jeszcze jedno, pani Koff.
 - Tak?
 - Proszę nie oddalać się z miejsca zbrodni i niczego nie dotykać.
- Odłożyłam słuchawkę i przyjrzałam się ciału Melanie. Nagle myślami poszybowałam ku manuskryptowi, ukrytemu pod łóżkiem. Czy to możliwe, żeby człowiek, który ją zabił, przyszedł tu w poszukiwaniu rękopisu? Czy książka zawierała jakieś rewelacje, których ujawnienia desperacko nie chciał morderca?

Coś mi podpowiadało, że najlepiej będzie, jeśli położę swoje małe gorące łapki na rękopisie przed policją. Może te notatki są kluczem do rozwiązania zagadki zabójstwa Melanie. W najgorszym przypadku rękopis będzie pikantną lekturą do poduszki.

Popędziłam na górę, wpadłam do sypialni, wpełzłam pod łóżko i wyciągnęłam oba pudełka. Zniosłam je na dół i przystanęłam w kuchni dla zaczerpnięcia tchu. Wyrzałam przez okno, czy nie przyjechała policja. Nie przyjechali. Otworzyłam drzwi kuchenne, podbiegłam do samochodu i wepchnęłam pudełka pod przednie siedzenia mojego porsche'a. Potem pędem wróciłam do domu i czekałam przy frontowych drzwiach, starając się nie wyglądać na winną. Chwilę później policyjny samochód i karetka pogotowia pojawiły się na podjeździe.

- Alison Koff? - równocześnie zapytali dwaj policjanci, kiedy otworzyłam drzwi, żeby ich wpuścić do środka razem z dwoma sanitariuszami. Melanie z pewnością kazałaby im skorzystać z kuchennego wejścia.

- Tak, to ja jestem Alison Koff - powiedziałam, usiłując nie okazywać podniecenia.

- Jestem posterunkowy Murphy, a to jest posterunkowy DeRosa - odezwał się jeden z policjantów.

- Pani Moloney jest w głębi domu - stwierdziłam, prowadząc ich do gabinetu Melanie.

Chłopcy z pogotowia pospiesznie badali Melanie, podczas gdy policjanci, machając w powietrzu bronią, rozbiegli się po domu w poszukiwaniu „przestępców”.

Gdy okazało się, że poza naszą szóstką (wliczając w to Melanie) w domu nie ma nikogo, policjanci powrócili do gabinetu i szybko przyjrzeni się ciału.

- Jest zasinienie - powiedział posterunkowy Murphy, oglądając rękę mojej byłej pracodawczyni.
- Zawsze była sina z wściekłości z jakiegoś powodu - powiedziałam. Kiedy jest ci źle, żartuj.
Obaj policjanci obrzucili mnie zdziwionymi spojrzeniami, wzruszyli ramionami i wrócili do sprawy.

- Możecie sobie darować, chłopcy - odezwał się posterunkowy Murphy do jednego z medyków.
- Jej nie jest już potrzebna reanimacja. Przydałby się raczej kierownik jakiegoś zakładu pogrzebowego.

Wszyscy zgodnie przytaknęli. - Pójdę zadzwonić

- powiedział posterunkowy DeRosa, wychodząc razem z sanitariuszami na zewnątrz. Kiedy wrócił, poinformował swojego partnera, że radio w samochodzie wysiadło. Przyniósł ze sobą gigantyczną rolkę żółtej plastikowej taśmy z napisem **OBSZAR DZIAŁAŃ POLICJI-NIE WCHODZIĆ**. Wokół gabinetu Melanie skonstruował mały żółty mur obronny. Potem wyszedł na zewnątrz, aby zamknąć dostęp do domu.

Tymczasem ja i posterunkowy Murphy pozostaliśmy w gabinecie Melanie. Paplałam coś nerwowo, on zaś robił notatki w zeszycie.

- Ten telefon działa? - zapytał, wskazując na aparat firmy Panasonic, stojący na biurku Melanie.
- Powinien. Niedawno dodzwoniłam się stąd na policję.

Posterunkowy Murphy omal nie podrzucił do góry sztywnego ciała Melanie, kiedy rzucił się na telefon i umieszczał odciski swoich palców na całej powierzchni słuchawki, najprawdopodobniej zacierając wszystkie inne - z odciskami mordercy włącznie. Wybrał parę cyfr i powiedział do kogoś, kto odebrał telefon.

- Wygląda na zabójstwo. Proszę przysłać techników i kogoś z nakazem rewizji.
- Co to jest nakaz rewizji? - zapytałam, kiedy się rozłączył. Bardzo wzbogacałam swoje słownictwo.
- Coś, co musimy dostać, aby przeszukać dom. Minęło parę minut. Posterunkowy Murphy był w trakcie pytań o moją pozycję w domu Melanie, kiedy do środka wtargnęło czterech, a może pięciu nowych policjantów.
- Co my tu mamy, Murphy? - odezwał się mężczyzna w dżinsach i podkoszulce.
- Zabójstwo - powiedział posterunkowy Murphy.
- Znana pisarka.
- Ktoś sławny? Ho, ho. Nigdy jeszcze nie mieliśmy takiego przypadku. Corsiniemu się spodoba.
- Mężczyzna spojrzał na mnie, po czym zapytał:
- A to kto?
- Pokojówka - odparł posterunkowy Murphy.
- Jak się nazywa? - spytał mężczyzna.
- Hazel - odpowiedziałam. Wiedziałałam, że zachowuję się dziwacznie, nawet jak na mnie, ale tylko dzięki żartom mogłam jakoś znieść tę ciężką próbę.
- Mówi, że nazywa się Alison Koff - oświadczył posterunkowy Murphy, jakby mnie tam nie było.
- Istotnie nazywam się Alison Koff. Kim pan jest i ci pozostali ludzie?
- Jestem detektyw Michaels. Tamten to detektyw Origi. Dalej jest sierżant Brown. A obok niego sierżant Petrovich.
- Miło was wszystkich poznać - powiedziałam, chociaż nikt mnie nie słyszał. Byli zbyt pochłonięci wzajemnymi powitaniem.

- Hej, doktorze Chen. Cieszę się, że pana widzę
 - powiedział posterunkowy DeRosa, machając w stronę żółtoskórego mężczyzny w ciemnoszarym garniturze.
 - Kim on jest? - rzuciłam głośno pytanie.
 - To koroner - wyjaśnił detektyw Michaels.
 - Chodźmy więc z nim porozmawiać. - Poprowadził mnie w kąt gabinetu.
- Jak miałam się skoncentrować w otaczającym mnie rozgardiaszu? Zastanawiałam się nad tym, obserwując policjantów fotografujących pokój, wydających sobie nawzajem polecenia w stylu policyjnych rozmów, znanych z filmów telewizyjnych, a potem witających sześciu techników, którzy wkroczyli do pokoju, niosąc sprzęt medyczny i małe plastikowe torebki.
- Jaki dokładnie jest pani związek z ofiarą? - zapytał detektyw Michaels, zaczynając coś notować w swoim notesie.
 - Jestem jej gosposią - powiedziałam. - Przepraszam, byłam jej gosposią. - Boże, teraz, kiedy Melanie nie żyła, zostałam bez pracy służącej. A gdy Alistair i Bethany dowiedzą się, że pracowałam u Melanie, stracę też pracę w gazecie. - Czy mam tu jeszcze zostać? - spytałam detektywa.
 - Tak. Muszę zanotować pani relację. A potem zabiorę panią na komisariat, gdzie przesłucha panią mój partner.
 - Pański partner?
 - Tak, detektyw Corsini. On także musi przyjąć pani zeznania.
 - Rozumiem - powiedziałam, choć nie rozumiałam niczego, co mi się przydarzyło w czasie ostatnich trzech lat.

- Sprawia pani wrażenie niewzruszonej tą sytuacją, hm? - Ton detektywa Michaela był bardzo podejrzliwy.

- Niewzruszona? Ja? Nie, jestem potwornie przejęta. Pracowałam dla pani Moloney niemal przez miesiąc i niezwykle lubiłam sprzątać jej dom. - Ha, co niby miałam powiedzieć? Przyznać, że nie znosiłam Melanie i przez całe dni marzyłam o zamordowaniu jej?

- Chciałbym zapytać panią o tę pracę, jak odkryła pani zwłoki, o takie rzeczy. Dobrze?

- Oczywiście. Nie mam nic do ukrycia - odparłam, wycierając spocone dłonie w mój uniform pokojówki.

- Zanim zaczniemy, chciałbym zapytać, czy wszystko wygląda dokładnie tak, jak w chwili, gdy znalazła pani ciało? - rzucił detektyw Michaels. - Nic pani nie zabrała z domu, prawda?

- Absolutnie nic - powiedziałam. Cóż, nie z tego pokoju.

- Proszę mi więc opowiedzieć, co się stało, pani Koff - powiedział detektyw. - I niczego nie pomijać.

Część druga

- Proszę tu usiąść, pani Koff - powiedział detektyw Joseph Corsini, odpowiednik Johna Travolty w komendzie policji w Layton, i wskazał mi krzesło po drugiej stronie biurka. Wysoki, ciemnowłosy i przystojny w stylu bywalców dyskotek w hotelach sieci Holiday Inn, detektyw Corsini był z pewnością najbardziej niespokojnym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałam. Gdy nie przeczesywał rękami swoich kręconych czarnych włosów, wówczas zajmował się polerowaniem paznokci o powierzchnię nogawki skórzanych spodni albo wygładzaniem krawata, żeby leżał płasko na koszuli. Z początku przypuszczałam, że jego bezustanne zabiegi stanowiły rodzaj taktyki, mającej na celu wytrącenie z równowagi i zdenerwowanie podejrzanych, tak aby wyrzucili z siebie pełne przyznanie się do winy i błagali o litość. Później zaczęłam rozumieć, że detektyw Corsini należał do ludzi, których Sandy określiłby jako „oszałałych na punkcie własnego wyglądu”. Innymi słowy, bardziej był zajęty prezentowaniem swojej postaci niż walką z przestępczością.

- Czy mogę zadzwonić? - spytałam go. Znajdowaliśmy się w jego gabinecie w komendzie, dwa bloki od domu towarowego Koffa.

- Dlaczego? Chce pani porozumieć się z prawnikiem, czy coś takiego?

- Z prawnikiem? Oczywiście, że nie. Nie zrobiłam nic złego.

- Nikt nie powiedział, że zrobiła pani coś złego, pani Koff.

- Słusznie. - Jeśli nie przestanę się zachowywać tak obronnie, detektyw pomyśli sobie jeszcze, że zamordowałam Melanie. Zachowaj spokój, poleciłam sobie. Udawaj, że to przesłuchanie jest tylko miłą pogawędką z lokalnym policjantem. Nic wielkiego. - Pomyślałam, że mogłabym zatelefonować do przyjaciół, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

- Proszę się czuć moim gościem.

- Dziękuję. - Świetnie, ale do kogo miałam zadzwonić? Zdumiewające, ale pierwszą osobą, która mi przyszła do głowy, był Sandy. Sandy, który kiedyś troszczył się o mnie. Sandy, który rozwiązywał nasze problemy wypisując czek albo błyskając swoją Złotą Kartą. Sandy, który pewnie był tak zajęty wożeniem Soozie na zajęcia szkoły rodzenia, że zapomniał, jak się nazywam, co dopiero myśleć o tym, żeby wpadł na komendę i poratował mnie w potrzebie. Nie, Sandy nie zrobi tego. Pozostawała jeszcze moja matka. Nie, też się nie nadawała. Myśl o tym, że musiałabym jej powiedzieć, iż jestem podejrzaną w sprawie o morderstwo - i że byłam pokojówką ofiary - była nie do zniesienia. Może więc Cullie? Tak, Cullie mi pomoże, byłam tego pewna.

Ruszyłam korytarzem w stronę automatu telefonicznego, wygrzebałam z torebki wizytówkę Culliego i ćwierćdolarówkę i wybrałam numer. Niestety, odezwała się automatyczna sekretarka. Przełknęłam ślinę, po czym powiedziałam: - Cullie, to ja, Alison. Jeśli znajdziesz tę informację niedługo, czy mógłbyś przyjechać na komendę policji w Layton? Wyjaśnię ci, po co, kiedy tu przyjedziesz. Potrzebuję... - Prze-

rwałałam i odwiesiłam słuchawkę. Zbierało mi się na płacz.

- Wszystko załatwione? - zapytał detektyw Corsini, gdy wróciłam do jego gabinetu.

Skinęłam głową.

- Świetnie. Posłuchajmy więc teraz pani relacji, dobrze?

- Dobrze. - Wzięłam głęboki oddech i spytałam: - Co dokładnie chciałby pan wiedzieć?

- Zadam pani tylko parę pytań o pani stosunki z panią Moloney, jak zaczęła pani u niej pracować, czy lubiła pani tę pracę, gdzie pani była w nocy, kiedy popełniono morderstwo i całą resztę.

- Ale przecież odpowiadałam już na te wszystkie pytania detektywowi Michaelsowi.

- Tak, wiem. Jednak musi pani odpowiedzieć na nie jeszcze raz. Mnie.

- To żaden problem.

Jeszcze raz opowiedziałam całą smutną historię - że pracowałam jako pokojówka u Melanie Moloney niemal od miesiąca, że w dniu morderstwa udałam się do pracy i znalazłam zimnego trupa Melanie w jej gabinecie, że poprzedzający fatalną noc wieczór spędziłam z Charlesem Cullverem Harringtonem na jego łodzi, przycumowanej na przystani w Jessup, że pan Harrington odwiózł mnie do domu koło jedenastej wieczorem i że od tego czasu nie widziałam nikogo i z nikim nie rozmawiałam, aż do pojawienia się policji w domu Melanie po południu następnego dnia. Mówiłam, a detektyw Corsini notował. Kiedy wyczerpał zapas pytań, przepisał notatki na maszynie i podał mi je.

- Proszę to przeczytać. Jeśli wszystko się zgadza, zaprzysiężemy panią.

W niemal niezrozumiałym policyjnym żargonie notatki streszczały wszystko, o czym mu powiedziałam. - Wygląda, że wszystko jest w porządku - stwierdziłam. - Co teraz?

- Przyjmę pani przysięgę. Proszę podnieść prawą rękę i powtarzać za mną: Ja, Alison Koff...

- Ja, Alison Koff...

- ...przysięgam uroczyście...

- ...przysięgam uroczyście...

- ...że złożone tu oświadczenie...

- ...że złożone tu oświadczenie...

- ...jest prawdziwe.

- ...jest prawdziwe. - Wszystko, z wyjątkiem fragmentu o tym, jak bardzo lubiłam pracę u Melanie i jak bardzo żałowałam, że umarła. Ach, i jeszcze tego kawałka, gdzie mówiłam, że nic nie wzięłam z miejsca zbrodni.

- Teraz proszę podpisać. Dać pani coś do pisania?

- Nie. Mam. - Pogrzebałam w torebce i wyciągnęłam srebrne pióro od Tiffany'ego, które kupił mi Sandy w podziękę za przeprowadzenie z nim wywiadu dla „Community Times” sześć lat temu. Sześć lat temu. Wtedy życie wydawało się dużo prostsze, ale może Bóg trzymał mnie w uśpieniu, szykując to wszystko, co miało nadejść.

Podpisałam dokument i wręczyłam go detektywowi.

- Teraz już tylko poproszę sierżanta o uwierzytelnienie podpisu i może pani pójść.

Dzięki Bogu.

Rytuał uwierzytelniania zabrał następne parę minut. Gdy wszystko wreszcie było zrobione, wstałam z krzesła. - Mogę już iść? - zapytałam.

- Jeszcze nie. Jest jeszcze coś, co chciałbym wiedzieć.
- Tak?
- No, jak to jest?
- Co jak jest?
- Jak to jest, gdy się pracuje dla takiej znakomitości jak Melanie Moloney. Czy stale odwiedzały ją gwiazdy filmowe? Czy udało się pani zobaczyć kogoś znanego? Kogoś naprawdę ważnego?
- Chodzi panu o kogoś ważnego w tym sensie, że miał motyw, aby ją zamordować?
- Nie, chodzi mi po prostu o ludzi znanych i wpływowych. Rozumie pani, o takich, których zaprasza do swoich programów Barbara Walters. - Detektyw Corsini puścił do mnie oko, po czym zajął się polerowaniem paznokci na nogawce spodni.
- Szuka więc pan podejrzanych wśród ludzi związanych z przemysłem rozrywkowym - domyśliłam się. Nadal tkwiłam w błędnym przekonaniu, że Joseph Corsini jest policyjnym detektywem, a nie zwariowanym wielbicielem osobistości ze świata mediów.
- Guzik - roześmiał się. - Szukam naprawdę smakowitych kąsków. Rzeczy typu wiadomości, publikowanych w „National Enquirer”.
- Facet był głupi, ale czułam się zmuszona mu asystować. Jeśli dostarczę mu jakichś pikantnych szczegółów, może da mi pójść do domu. - Istotnie, raz Melanie zaprosiła na obiad wydawców czasopism.
- Tak? - Corsini sapnął z na brodzie.
- Tak. Byli wydawcy „People” i „Entertainment Weekly”. Był też ktoś ze „Star”.

- Ze „Star”? Uf, moja ulubiona gazeta. Czy w czasie tego obiadu rozmawiali o czymś istotnym? Rozumie pani, o jakichś znanych postaciach?

-Nie przypominam sobie. Większość rozmów koncentrowała się na Alistairze Downsie i książce, którą pani Moloney o nim pisała. - Cholera, czemu to powiedziałam? Teraz Corsini spyta o rękopis

- Och pewnie. Tak. Niemal o nim zapomniałem. Nie jestem specjalnym miłośnikiem książek. Można powiedzieć, że nie czytam za wiele. Jestem jednym z tych facetów, którzy wolą dobry program telewizyjny. Dajcie mi pół godziny telewizji, a jestem szczęśliwy jak świnia w błocie.

- Jakie to przyjemne. .

- Tak cóż. Proszę posłuchać, zanim zapomnę, jesu ktoś zapyta panią o tę sprawę, proszę go odesłać do mnie.

- O co panu chodzi?

- O prasę Reporterów telewizyjnych. O każdego. Zaroi się od nich w okolicy, gdy tylko odkryją, że Melanie Moloney została zamordowana. Layton zamieni się w zoo. _

- Kiedy to się stanie? - Wydarzenia następowały zdecydowanie za szybko, jak na mój gust.

- Mój szef, porucznik Graves, zapowiedział dziś po południu konferencję prasową. Po niej to miasto przekształci się w centrum środków masowego przekazu. - Detektyw Corsini poprawił krawat.

- Czy ten porucznik Graves będzie wspominał o mnie? - spytałam.

- Jak to o pani?

- Że to ja znalazłam ciało Melanie?

- Jasne. To jest w moim raporcie.

- Ale czy porucznik musi podawać moje nazwisko?
- Nie, nie w tym momencie.
- Miło mi bardzo to usłyszeć. Na czym polega następny etap dochodzenia?
- Nasi specjaliści z zakładu kryminalistyki przeczesać miejsce zbrodni. W dzisiejszych czasach wykrywanie przestępców bazuje na technice. Wie pani, całe to badanie włosów i tym podobne. Chociaż jesteśmy tylko prowincjonalną jednostką policji, mamy nowoczesne metody, nic gorsze niż chłopcy z federalnej.
- Jestem tego **pewna**. - Zmusiłam się do uśmiechu, przypominałam sobie bowiem, jak policjanci z komendy w Layton stratowali miejsce zbrodni i ciało, niszcząc prawdopodobnie wszelkie istniejące dowody. A ponadto, to w moim posiadaniu znajdował się rękopis książki o Alistairze Downsie, który - byłam przekonana - zawierał więcej wskazówek dotyczących zamordowania Melanie niż wszystkie włosy z Layton razem wzięte. Nie mogłam się doczekać chwili, gdy zacznę go wertować, strona po stronie.
- Może pani już teraz iść - oświadczył detektyw Corsini.
- Nie będę już więcej potrzebna? - Umierałam z chęci pójścia do domu. Z całego tego napięcia skóra na szyi i brzuchu pokryła mi się wściekłą wysypką i tęskniłam do orzeźwiającej kąpieli w płatkach owsianych.
- Och, oczywiście, że jeszcze będę pani potrzebował. Nie ma pani alibi tej nocy, gdy została zamordowana Melanie Moloney. Innymi słowy, nie może pani wyjaśnić, co pani robiła między wpół do dwu-

następ i w pół do trzeciej w nocy. Ponadto przyznała pani, że dotykała pani ciała. Na pani miejscu nie opuszczalibyśmy miasta, pani Koff.

- Chce więc pan powiedzieć, że jestem podejrzana? Że uważa pan, iż to ja zabiłam Melanie Moloney? - Serce waliło mi jak oszalałe, a wysypka swędziała coraz bardziej.

- Podejrzana czy nie, ale jest pani kluczem do tego zabójstwa. Służące zawsze są kluczem do rozwiązania takich zagadek. Czy nie oglądała pani wywiadu z pokojówką Sonny'ego von Bulow w „Current Affair”? Nie obchodzi mnie, co myślą inni, ja jestem przekonany, że ta kobieta wie więcej, niż mówi, podobnie jak pani.

- Szkoda, że pan tak sądzi. Usiłowałam współpracować z policją we wszystkim.

- Nie mam nic przeciwko pani osobiście, pani Koff. Ale jestem detektywem. Moim obowiązkiem jest wiedzieć, kiedy ktoś coś ukrywa. Założę się, że jak tylko nasi chłopcy z laboratorium gruntownie zbadają miejsce zbrodni, będziemy wiedzieli, o co chodzi. Wy, służące, możecie uważać, że umiecie sprzątać, ale nie uprzątniecie wszystkich włosów. Nie da się tego zrobić.

- Sprzątanie, gadanie - mruknęłam, zbierając się do wyjścia.

- Słucham?

- Powiedziałam: Proszę przekazać porucznikowi Gravesowi życzenia połamania nóg na konferencji prasowej.

Uczciwie mówiąc, zamierzałam pojechać prosto do Klonowego Dworku, ale pożegnalne słowa detektywa

Corsiniego - że nie mam alibi, że nie powinnam wyjeżdżać z miasta, że jestem kluczem do rozwiązania zagadki tego morderstwa - huczały mi w głowie, powodując zbyt duże zdenerwowanie, żeby udać się do domu i zanurzyć w kującej kąpieli z owsianki. Musiałam coś zrobić, zacząć działać. Pal sześć wysypkę.

Przyszło mi na myśl, że istnieje człowiek, mogący poświadczyć moją niewinność, człowiek, który wie na pewno, że stawiałam się do pracy w Bluefish Cove we wtorek rano o wpół do dziewiątej, opuściłam dom Melanie we wtorek o wpół do piątej po południu i nie pojawiłam się w Bluefish Cove aż do wpół do dziewiątej dziś rano. Policja mogła sądzić, że zabiłam Melanie we wtorek w nocy, gdzieś między wpół do dwunastej a wpół do drugiej, ale jak miałam to zrobić? Nie było mnie tam i wiedziała o tym jedna osoba: strażnik przy wjeździe na teren osiedla Bluefish Cove. Widział, jak przyjechałam wczoraj rano, wyjechałam wczoraj po południu i wróciłam dzisiaj z rana. Pojadę do niego i poproszę, żeby za mną świadczył. Odwołam się do jego poczucia solidarności międzyludzkiej, jeden pokorny sługa ujmujący się za drugim.

Pojechałam do Bluefish Cove i zatrzymałam się przy bramie wjazdowej. Strażnik, którego imienia nigdy nie byłam ciekawa, a teraz tego żałowałam, wyszedł ze swojej budki i nachylił się do okna mojego samochodu, żeby porozmawiać.

- Okropna sprawa z panią Moloney, prawda? - powiedział. Do tej pory nigdy nie przysłuchiwałam się jego słowom. Podejrzewam, że ślady brytyjskiego akcentu w jego głosie były udawane, aby spełnić oczekiwania mieszkańców Bluefish Cove, którzy też

mieli swój udział w robieniu cza-cza-cza, zresztą tak jak my wszyscy.

- Tak okropna. Dlatego tu przyjechałam.

_ Nie będzie pani mogła wejść do domu. Niestety muszę panią uprzedzić. Policjanci zapowiedzieli, że obowiązuje zakaz wstępu.

- Nie szkodzi. Przyjechałam, żeby porozmawiać z panem.

- Ze mną?

- Tak Zastanawiałam się, czy prowadzi pan jakiś rejestr, zapisuje kto tu wjeżdża i kto wyjeżdża i o jakiej porze.

- Tylko gości.

- Prowadzi pan spis gości?

- Dokładnie.

_ A więc oznacza to, że ma pan zanotowane moje podróże do i od pani Moloney, tak?

_ Nie, nie była pani gościem. Była pani jej służącą. A to co innego. .

I to z ust strażnika. - W porządku, ale pamięta pan moje wizyty, prawda? To znaczy, chodzi mi o mój przyjazd do pracy wczoraj rano i wyjazd po południu, prawda?

- Jasne, że pamiętam.

- Naprawdę? Och, to cudownie - wykrzyknęłam. - Jestem taka zadowolona, że pan to powiedział, panie... - Gordon. - Panie Gordon.

- Nie, Gordon to moje imię. Może mi pani mówie Gordy.

- Dziękuję, Gordy. Nie umiem nawet wytłumaczyć, ile to dla mnie znaczy, że możesz potwierdzić to, co już powiedziałam policji. Widzisz...

- Nie powiedziałem, że mogę zaświadczyć, iż nie wróciłaś tu ostatniej nocy i nie zabiłaś jej.
 - Słucham?
 - Mówili, że zabito ją tej nocy. Kończę służbę o wpół do ósmej. Brama jest zamknięta do wpół do ósmej rano następnego dnia.
 - Ale przecież widziałeś mnie wyjeżdżającą wczoraj po południu o wpół do piątej. Nie możesz powiedzieć im chociaż tego? - Mój głos był bardziej przenikliwy, niż bym chciała, lecz opanowała mnie panika.
 - Powiedziałem im, że nie mam zielonego pojęcia, kto wszedł do domu ostatniej nocy i ją zabił. W nocy nie pracuję. Człowiek ma prawo do prywatnego życia, prawda?
 - Tak, oczywiście. Tylko...
 - Rozumiesz, nie uskarżam się na moją pracę. Przy całej tej recesji człowiek jest szczęśliwy, mając pracę. Właśnie parę dni temu mój przyjaciel Rocky, ochroniarz na osiedlu Casa Marina, znalazł się na bruku. Bank przejął całe osiedle i zwolnił personel. Parszywy świat, co?
 - Tak, rzeczywiście parszywy.
 - Popatrz choćby na siebie. Miałaś pracę służącej. Teraz nie masz tej roboty. Jesteś, jak to określają w prasie, „ofiara gospodarczej zapaści”.
- Nie, to Melanie była ofiarą. Ja byłem jedynie pokojówką bez pracy.

Została mi przynajmniej dorywcza praca dla „Community Times”, pocieszałam się, jadąc do Klonowego Dworku, umęczona swędzącą wysypką i moim nędznym losem. Włączyłam radio i stroiłam tak długo, aż

znalazłam WANE, jedyną stację w Layton, nadającą muzykę klasyczną. Miałam nadzieję na miły, uspokajający koncert fortepianowy; zamiast tego trafiłam na wiadomości.

...Te informacje udało się uzyskać z komendy policji w Layton. W skrócie, w czasie dwudziesto-pięciominutowej konferencji prasowej, która odbyła się dziś po południu, porucznik Raymond Graves potwierdził śmierć bardzo sławnej autorki biografii znanych osobistości w jej domu w Layton. Porucznik Graves powiedział, że oficjalnie stwierdzono, iż było to zabójstwo, które najprawdopodobniej miało miejsce między dwudziestą trzecią trzydzieści a drugą trzydzieści w nocy. Ciało pisarki zostało znalezione dziś po południu przez jej gosposię. Graves oświadczył, że gosposia, którą jest stała mieszkanka Layton, Alison Koff, będzie przesłuchiwana wraz z innymi domownikami Moloney. Mówił Rick O'Casey, radio WANE...

Ten nędzny łajdak Corsini! Powiedział, że Graves nie poda mojego nazwiska! Jeśli nie można wierzyć glinom, to komu, do diabła, można ufać?

Gdy skręciłam w Woodland Way, zauważyłam rząd samochodów, zaparkowanych naprzeciwko Klonowego Dworku. Pomyślałam, że pewnie u sąsiadów jest przyjęcie i zaczęłam się zastanawiać, kto w tych ciężkich czasach jest tak rozrzutny, by wydawać przyjęcia. Kto miał pieniądze? Kto miał przyjaciół?

Wjechałam na podjazd i zatrzymałam się przy skrzynce na listy. Otworzyłam drzwi samochodu i wyskoczyłam, by wyjąć korespondencję, gdy co najmniej trzy tuziny reporterów podetkało mi pod twarz

mikrofony i notesy, a inne dwa tuziny fotografów i fotoreporterów niemal przewróciły mnie na ziemię.

- Pani Koff? -
- Hej, Alison?
- Hej, skarbie? - wrzeszczeli.
- Co wiesz o śmierci Melanie Moloney?
- Byłaś jej służącą, prawda?
- Zabiłaś ją?
- Wiesz, kto to zrobił?
- Powiedz nam coś, Alison!
- Udziel wywiadu!
- Zapłacimy ci!

Próbowałam wsiąść z powrotem do samochodu, ale stado sepów prasowych mi nie dało. Dopadli mnie. Okrążyli. Nie mogłam się ruszyć. Nie mogłam oddychać. Czułam się jak Tippi Hedren w „Ptakach”. - Tylko parę słów! - Powiedz nam, co wiesz!

- Nienawidziłaś jej?
- Zabiłaś ją?
- Jesteś służącą, dlaczego więc masz taki duży dom?
- I czyj to dom?

Nie dawali mi spokoju. Ciągłe wrzeszczeli na mnie i robili mi zdjęcia. Och, Boże. Moje zdjęcia. Przed końcem dnia, różne moje ujęcia w stroju pokojówki obiegają cały kraj. Zostanę dziewczyną z okładki. Miliony kupujących w supermarketach będą się gapić na moją fotografię, stojąc w amerykańskich ogonkach do kas. Inne miliony przeczytają o mnie w pociągach, autobusach i samolotach, w salonach piękności, w lekarskich poczekalniach. Moja fotografia posłuży jako wyściółka ptasich klatek, rozpałka w kominkach, stanie się elementem lalek z papier-mache.

- Jak tam nasz wywiad, Alison?
- Tylko słówko komentarza!
- Czy miałaś coś przeciwko Melanie Moloney?
- Zwolniła cię z pracy, czy coś innego?

W momencie, gdy pomyślałam, że me zniosę ani sekundy dłużej tych dziennikarskich zniewagą dostrzegłam sunący po podjeździe samochód Sandy'ego.

- Sandy! - krzyknęłam. - Pomóż mi, proszę! Sępy były zdezorientowane. Odwróciły się ode mnie i skoncentrowały swą uwagę na Sandym.
- Kim jest ten facet?
- Jesteś przyjacielem Alison?
- Co wiesz o zamordowaniu Melanie?

Sandy zaparkował swojego mercedesa obok mojego auta i wyskoczył na zewnątrz. - Natychmiast zostawcie ją w spokoju! - warknął na dziennikarzy, jednocześnie usiłując ich przepędzić swoimi długimi, chudymi rękami.

Od miesiący nie widziałam Sandy'ego i, kurczę, to był kojący widok dla zboliałych oczu. Zauważyłam, że był opalony i poczułam cień niechęci na myśli o tym, jakim cudem stać go było na wycieczkę do Malliouhana, skoro utrzymywał, że nie ma grosza. Ale był tutaj, ratował mnie z tego koszmaru, byłam więc tak uszczęśliwiona jego widokiem, że zaczęłam płakać - co z pewnością zostało sfilmowane i ukaże się w wiadomościach o jedenastej.

- Ruszajmy, Alergio - szepnął mi do ucha Sandy. - Wzdłuż podjazdu. Teraz. Ty jedź pierwsza swoim wozem, ja za tobą moim. Kiedy będziemy w garażu, pobiegniemy do domu. Tam nikt nas me będzie

niepokoił.

- Dziękuję - powiedziałam.

- Juz dobrze. Tylko jedź. Będę tuż za tobą Mercedes Sandy'ego podążył za moim porsche wzdłuż długiego podjazdu, aż do naszego garażu na trzy samochody. Wyłączyłam alarm przeciwwłamawowy i otworzyłam drzwi do domu. Wbiegliśmy do środka i zamknęliśmy za sobą drzwi na klucz.

- Jesteśmy bezpieczni - westchnął Sandy Potem przytulił mnie.

Czułam się tak słabo, że mu na to pozwoliłam

- Chodźmy usiąść na górze - zaproponował. - Zrobię ci drinka. Masz może schłodzone Puligny Montrachet? ^y

- Nie sądzę. Teraz pijam Almaden, Sandy Liczę się z każdym groszem.

- Bardzo słusznie. My też.

- Ty i Soozie?

- Oczywiście. Nie możemy szastać pieniędzmi teraz, kiedy dziecko jest w drodze.

- Powinnam ci chyba pogratulować. Musisz być bardzo szczęśliwy. - Umierałam z ciekawości żeby się dowiedzieć, skąd ma tę opaleniznę, skoro tak uważa na każdy grosz, ale trzymałam język za zębami. Były ważniejsze sprawy do omówienia.

- Szczerze mówiąc, przyjechałem do ciebie w związku z dzidziusiem - powiedział Sandy prowadząc mnie do salonu i sadzając na jednej z kanap. Miło było mieć na powrót w Klonowym Dworku Sandy'ego, który mnie prowadził i sadzał Może mimo wszystko nie był takim paskudnym typem

Zniknął w kuchni, aby powrócić z kieliszkiem chłodnego wina. Przyłożyłam go do szyi, w nadziei że przyniesie ulgę przy mojej swędzącej wysypce! Potem upiłam łyk. I drugi.

- Przyjechałeś z powodu dziecka? - odezwałam się w końcu. - Myślałam, że przyjechałeś, bo dowiedziałeś się o śmierci Melanie - i o tym, że byłam jej gosposią.

- Cóż, jeśli mam być szczery, to informacja o gosposi była dla mnie pewnym szokiem, Alergio. Co cię napadło, żeby przyjąć pracę służącej?

- Co mnie napadło? Bieda.

- Ale przecież mogłaś sobie znaleźć inne, mniej poniżające zajęcie.

- Nic takiego nie znalazłam.

- Bardzo mi przykro z tego powodu, dziecinko. Ale wiesz, co zawsze powtarzam: „Przeciwności losu kształtują charakter”. Kiedy napotykam na przeciwności losu i moja dusza dziecka czuje się skrzywdzona, wówczas tylko zamykam oczy i wyobrażam sobie, jak wszystkie drobne komórki mojego ciała przybierają na wadze i stają się silniejsze.

- Komórki przybierają na wadze? - stłumiłam śmiech.

- Wiem, że to brzmi śmiesznie, ale działa. Kilka minut dziennie i twój mózg staje się potęgą. Ilekroć w życiu napotkasz na jakieś przeszkody, wyobraź sobie, że twoje komórki pompują żelazo. Raz dwa. Raz dwa. Raz dwa. - Sandy zaczął wdychać i wydychać powietrze, jakby chcąc zobrazować intensywność działań, do których zmusza swoje komórki.

- Wracając do twojej wizyty... - zaczęłam.

- Tak, dzisiaj po południu byłem u siebie w biurze, gdy sekretarka doniosła mi, że Melanie Moloney nie żyje i że ty jesteś wplątana w tę sprawę. Rozmawiałaś z adwokatem?

- Nie. Wszystko działa się tak szybko. Nie miałam czasu. A poza tym, nie stać mnie na adwokata. Z tego powodu zatrudniłam się jako pokojówka.

- Rozumiem. Naprawdę jednak powinnaś rozejrzeć się za jakąś poradą prawną. Zwłaszcza jeśli ten detektyw, cytowany w wiadomościach, będzie usiłował tobie przypisać morderstwo.

- Corsini? Znasz go?

- Widziałem go parę razy. Moim zdaniem to beznadziejny przypadek człowieka, który stracił kontakt sam ze sobą.

- Sandy, jaki to wszystko ma związek z twoim dzidziusiem? - zapytałam, opróżniając kieliszek.

- Pamiętasz, że parę minut wcześniej wspominałem o mojej duszy dziecka?

- Mgliście.

- Oboje z Soozie jesteśmy głęboko przekonani, że wszyscy dorośli noszą w sobie wszelkie urazy psychiczne z czasów dzieciństwa i że te urazy pozostawiają ślady. Oczywiście, my, dorośli, nie mamy możliwości pozbycia się tego emocjonalnego bagażu. Lecz z niemowlętami sprawa ma się inaczej. Zaczynają od początku, z czystym kontem. Przychodzą na świat absolutnie bez żadnych obciążeń, bez urazów i blizn z dzieciństwa.

- Cieszę się, że ty i Soozie tak poważnie traktujecie sprawę rodzicielstwa. Ale nie widzę, co to ma wspólnego z...

- Jak powiedziałem, niemowlętom powinno się stworzyć wszelkie warunki, chroniące przed urazami, przed bólem. Tymczasem ta nieszczęsna sytuacja, w którą nas wszystkich wplątałaś...

- Nas wszystkich?

- Tak. Soozie, dziecko i mnie.

Moja wysypka natychmiast się zaogniła. - Śmierć Melanie nie ma nic wspólnego z tobą, Soozie czy z twoim ukochanym dzidziusiem. - Mój głos podnosił się niemal tak samo szybko jak moje ciśnienie.

- To świetnie. Doceniam to. Soozie też doceni. Widzisz, nie chcemy, żeby nasze dziecko było skażone tą brudną historią, okaleczone przez plotki i pogłoski.

- Sandy, jesteś beznadziejny - powiedziałam, wygrzebując się z kanapy. - Jesteś głupim, egoistycznym człowiekiem. Idź już.

- Zgadzasz się więc spełnić naszą prośbę?

- Jakaż znowu prośbę?

- Że od tej chwili będziesz używać swojego panińskiego nazwiska? Że będziesz występowała jako Alison Waxman, w prasie, w sądzie, wszędzie? Że zrezygnujesz z „Koff” i dasz mojemu dzidziusiowi szansę, by jego dusza dziecka rosła i wzmacniała się - bez bólu, bez urazów, bez ludzi, rozmawiających o nim w restauracjach?

- Jeśli ty i twoja dusza dziecka nie wyniesiecie się stąd, zanim doliczę do dziesięciu, wezwę policję i każę aresztować was oboje. To dopiero dostarczy ludziom w restauracjach tematu do rozmów, prawda?

11

Po wyjściu Sandy'ego udałam się na górę, ściągnęłam strój pokojówki i założyłam szlafrok i kapcie. Potem powędrowałam przez hall do gabinetu i prze-

słuchałam wiadomości nagrane na automatycznej sekretarce. Biedne urządzenie było przeładowane. Znalazłam kilka oszalałych telefonów od mojej matki, kilka innych od Julii, jeden od Bethany, informujący mnie, że już nigdy nie napiszę nic dla jej gazety, od Janet Claiborne donoszącej, że teraz, kiedy odkryły mnie media, ludzie zrobili się nagle bardzo skorzy do oglądania mojego domu i jeden od Cul-liego, który mówił, że jest mu przykro, bo nie mógł wpaść na policję, ale teraz może mnie już pocieszać i udzielać rad. Były też telefony z programów telewizyjnych i radiowych, podobnie jak z redakcji gazet i czasopism. Była nawet wiadomość od producenta filmowego, który chciał kupić prawa do mojej historii. Mojej historii? Nie miałam żadnej historii... a może?

Zbyt zmęczona, żeby odpowiadać na telefony, wzięłam kąpiel. Wypryski na brzuchu, szyi i twarzy dużo mniej mi po niej dolegały, ale na wszelki wypadek posmarowałam je różowym płynem z tlenkiem cynku. Wyglądałam jak szmaciana lalka w różowe kropki, ale kto by się przejmował? Nie planowałam opuszczenia domu w najbliższym czasie, kto więc mnie będzie oglądał?

Koło wpół do ósmej zaczęłam rozważać możliwość wrzucenia jakiegoś gotowego dania do kuchenki mikrofalowej, ale nawet na to nie starczyło mi energii. Zamiast tego złożyłam swoje kropkowane na różowo ciało w bujanym fotelu przed kominkiem w sypialni i zaczęłam gapić się w sufit. Musiałam już tak siedzieć z pół godziny, gdy usłyszałam dzwonek przy drzwiach. Założyłam, że jest to detektyw Corsini, moja matka, albo jeden z reporterów, biwakujących

na trawniku przed moimi oknami i pozostałam na swoim miejscu, ignorując dzwonek. Pomyślałam, że ktokolwiek by to był, pojmie wreszcie wskazówkę i sobie pójdzie.

Mylłam się. Pozwoliłam, żeby dzwonek dzwonił i dzwonił, w końcu jednak miałam dość, więc zeszłam na dół, aby nawrzeszczyć na człowieka, który był takim utrapieniem.

- Kolacja podana - odezwało się utrapienie, gdy uchylłam drzwi.

- Cullie! - byłam jednocześnie zachwycona i upokorzona. Zachwycona widokiem mężczyzny, który mnie tak pociągał. Upokorzona faktem, że byłam pokryta wysypką, posmarowaną różową papką. - Co tu robisz? - zapytałam, szczerzej otulając się szlafrokiem. - I jak się przedostałeś przez to stado rekinnów?

- Nie było łatwo - roześmiał się. - Ale jestem żeglarzem, pamiętasz? Jestem przyzwyczajony do poruszania się po wodach, zamieszkałych przez rekiny. Przyjechałem, gdy tylko dowiedziałem się o tej okropnej historii.

- Trzeba było najpierw zatelefonować. No bo spójrz na mnie.

- Wyglądasz ślicznie.

- Akurat.

- Naprawdę. A teraz mogę wejść? Jedzenie zaczyna stygnąć.

- Co tam masz?

- Kolację. Przyszło mi do głowy, że możesz być spragniona odrobiny jedzenia i przyjaźni. Z tego, co usłyszałem w radio, ostatnie godziny nie były dla ciebie miłą rozrywką, Sonny.

- Nie, żadną rozrywką - powiedziałam miękko. Byłam tak poruszona troską Culliego, że zarzuciłam mu ręce na szyję i nie zważając na różową papkę, pocałowałam go. Wyglądało na to, że mu to nie przeszkadzało. - Jesteś naprawdę kimś wyjątkowym. Nigdy tego nie zapomnę, Cullie. Naprawdę.

- Proszę cię bardzo. A teraz zaprowadź mnie do kuchni, kobieto. Umieram z głodu.

Cullie przeszedł za mną do kuchni i postawił na kuchence ogromny garnek. - Chwilę potrwa, zanim się podgrzeje - powiedział, zdejmując kurtkę.

Miał na sobie ciemnozielony sweter, biały golf i, jak zwykle, niebieskie dżinsy i buty trapery. Policzki i nos zaróżowiły mu się od stania na powietrzu w chłodną lutową noc.

Mogłabym pokochać tego człowieka, pomyślałam zniecka i poczułam, jak czerwienieją mi policzki. W ostatnich tygodniach zalało mnie morze nowych uczuć, jakich nigdy nie odbierałam z taką intensywnością, strachu i gniewu, poczucie straty. Ale miłość? To chyba nieco przedwczesne. Przecież pierwszym moim wrażeniem była niechęć do Culliego. Jak taka niechęć mogłaby się przekształcić w miłość? Na tę myśl poczułam się ogromnie nieswojo i nie wiedziałam, co robić, byłam jednak zdecydowana nie uciekać.

- Przyjemnie pachnie. Co to jest? - spytałam, otaczając ramionami szczupłe biodra Culliego, który mieszał w garnku na kuchence.

- Dzisiejszy połów: połów-ki kurczaka po myśliwsku. Zrozumiałaś?

- Bardzo śmieszne.

- O co chodzi? Uważasz, że tylko ty możesz żartować? - Cullie pocałował mnie w czubek nosa.

- Kiedy zdążyłeś przygotować kurczaka? Nie było cię przez całe popołudnie.
- Nie gotowałem. Kupiłem.
- Gdzie?
- W Mięczakach u Arniego. Pamiętasz, na przystani.

Zatkało mnie. Wszyscy mówili, że tamtejsze jedzenie to trucizna. Jednak kurczak pachniał nieźle i to było takie miłe ze strony Culliego, że zadał sobie trud kupienia go, zapakowania do jednego ze swoich garnków i przywiezienia do mnie. Przynajmniej mogłam spróbować.

- Za Klonowy Dworek i jego uroczą właścicielkę - wznosił toast Cullie, gdy usiedliśmy przy stole, tym samym, przy którym jadaliliśmy z Sandym chińskie dania i zakończyliśmy nasze małżeństwo.

Rozumiejąc moją potrzebę odprężenia się, Cullie nie wypytywał mnie o zabójstwo Melanie ani nie starał się prowadzić jałowej rozmowy. Jedliśmy w ciszy, od czasu do czasu mrucząc *ten kurczak jest rewelacyjny* i wyrażając zadowolenie z tego, że jesteśmy razem. Kiedy skończyłam kolację, odezwał się do mnie.

- Chcesz mi opowiedzieć, co się zdarzyło?^ - zapytał łagodnym głosem, chwycił moją dłoń i uścisnął ją.

Opowiedziałam mu o śmierci Melanie tyle, ile mogłam wyjawic i podzieliłam się obawami na temat dochodzenia, prowadzonego przez policję. - Zdaje mi się, że jestem podejrzana - wyznałam. - Detektyw Corsini bardzo się interesował moim brakiem alibi na wtorkową noc, tym, że od kiedy mnie przywiozłeś z przystani o jedenastej wieczorem byłam w domu

sama przez resztę nocy i nie mogę tego udowodnić. Ale gdy tylko poczuję się silniejsza, zamierzam walczyć.

- Jak?

- Jeszcze nie wiem. Wiem tylko, że będę. - Uśmiechnęłam się na myśl o rękopisie książki, wciśniętym pod siedzenia porsche'a. Z podniecenia zupełnie zapomniałam przynieść pudełka z garażu. Ach, dobrze. Jutro rano też tam będą, pomyślałam.

O dziesiątej zaczęły mi opadać powieki. Usiłowałam powstrzymać ziewanie, ale Cullie przyłapał mnie.

- Marsz do łóżka - polecił. - Ja pozmywam i na paluszkach wymknę się z domu, nic nie będziesz słyszała.

- Och, proszę, nie - powiedziałam, dotykając jego ramienia.

- Mam nie zmywać, czy nie wychodzić?

- Nie zmywaj i nie odchodź. Pozmywam rano. Muszę mieć coś do sprzątnięcia, skoro straciłam pracę pokojówki. Jeśli zaś o ciebie chodzi, wołałabym, żebyś został.

- Zostanę więc - stwierdził Cullie, przytulając mnie. - Gdzie jest sypialnia? Nigdy jeszcze nie spałam w tak dużym domu, mogę się zgubić!

- Nie zgubisz się - powiedziałam, biorąc Culliego pod ramię i wiodąc go w górę po reprezentacyjnych schodach Klonowego Dworku.

Kiedy weszliśmy do sypialni, Cullie wziął mnie za rękę i zaprowadził do łóżka.

- Jestem potwornie zmęczona - mruknęłam, opierając mu głowę na ramieniu.

Cullie wziął mnie na ręce i położył na łóżku. - Wskakuj pod kołdrę, babo - rozkazał mi.

Posłuchałam z radością, przykrywając się puchową kołdrą, przekręcając na bok i zwijając w kłębek.
- A co z tobą? Zamierzasz też się położyć? - spytałam śpiąco.

- Zaraz - szepnął.

Usłyszałam, że się rozbiera i kładzie ubranie na szafce przy łóżku. Potem poczułam, że wpełza pod kołdrę i układa się koło mnie. - Mmmmm... - zamruczałam, kiedy przytulił się do moich pleców. - Opowiesz mi coś na dobranoc, Cullie? Opowiedz mi o **MARLOWE**, o wyprawach żeglarskich, o dalekich krajach i gatunkach kaczek. Opowiedz mi wszystko o...

Nawet nie zauważyłam, kiedy zasnąłam, w objęciach silnych ramion żeglarza Culliego, grzana jego delikatnym, słodkim oddechem na moim policzku...

Następnego dnia rano z kolei Cullie spał smacznie pod kołdrą, ja tymczasem zmywałam po wczorajszej kolacji w kuchni na dole. Właśnie kończyłam, gdy wszedł do kuchni, chwycił mnie od tyłu i pocałował.

- Jak ci się spało? - zapytał.

- Całkiem nieźle, zważywszy na okoliczności. A tobie?

- Wyśmienicie. Byłaś przecież tuż obok mnie. Facet był nieprawdopodobnie dobry, i to mnie martwiło. Moja mama, zawsze widząca ciemne, podstępne elementy, zwłaszcza w przypadku mężczyzn, zwykła była mówić, że jeśli mężczyzna wydaje się za dobry, żeby to było prawdziwe, to najpewniej tak jest. - Masz teraz ochotę na kawę?

- Z przyjemnością.

Nalałam kawę dla nas obojga i zaproponowałam, żebyśmy usiedli.

- Nie mogę - powiedział Cullie, biorąc łyk kawy i patrząc na zegarek. - Muszę jechać fotografować dom.

- Tak wcześniej? - Byłam rozczarowana.

- Tak. Dom ma północną ekspozycję, więc tylko rano jest dobre światło. Może spotkamy się później? Mogę tu wrócić, jeśli chcesz.

- Jasne, że chcę - odpowiedziałam. - Ale wybieram się do redakcji, żeby się zobaczyć z Bethany Downs. Chcę jej wytłumaczyć, dlaczego przyjąłam pracę u Melanie.

- Co więc sądzisz o kolacji? Moglibyśmy zjeść razem resztki kurczaka.

- Dziękuję, ale powinnam zjeść kolację z moją matką. Naprawdę muszę jej wyjaśnić, co się stało. Po tym wszystkim jest teraz na pewno w kiepskim stanie. - Aż się zatrzęsłam na myśl o tym, w jaki sposób odnoszą się teraz do niej w klubie jej partnerzy do gry w kanastę, którzy dowiedzieli się już, że byłam służącą.

- Chcesz, żebym poszedł z tobą?

- Co za rycerska oferta. Ale nie, lepiej sama z nią porozmawiam. Ona jest... cóż, powiedzmy, że trudno nawiązać z nią kontakt. - A ja usiłowałam to zrobić przez tyle lat.

- Dasz sobie radę? To znaczy, czy mogę cię spokojnie zostawić?

- Dlaczego jesteś taki miły dla mnie? - zapytałam Culhego. - Kiedy się spotkaliśmy, zachowywałam się jak idiotka.

- Po prostu robiłaś stare cza-cza-cza - zaśmiał się. Cullie postawił kubek na kuchennym blacie i wziął

mnie w ramiona. Pochylił głowę i pocałował mnie

w usta, wolno, mocno, z pożądaniem. Gdy po paru sekundach odsunęliśmy się od siebie, złapałam oddech, wdychając piżmowy zapach jego porannej wody kolońskiej.

- Zadzwoń do ciebie później - szepnął, a potem pocałował czubek mojego nosa.

- Zadzwoń, proszę - szepnęłam w odpowiedzi.

O drugiej po południu wyprowadziłam samochód z garażu i ruszyłam wzdłuż podjazdu, zastanawiając się, czy dziennikarskie sępy ciągle krążą. Krążyły, w pełni wyposażone w kamery, magnetofony i inne narzędzia swojej pracy. Postanowiłam się nie przejmować faktem, że naruszają teren mojej posiadłości i kiedy zaczęli biec w stronę samochodu, pokiwałam im palcem. Potem wcisnęłam gaz i przemknęłam obok nich. Recesja czy nie, porsche to był prawdziwy kawał maszyny.

Jadąc do redakcji, żeby się spotkać z Bethany, spojrzałam we wsteczne lusterko i zauważyłam, że ktoś mnie śledzi. Kierowca poruszającego się za mną samochodu podejrzanie przypominał detektywa Cor-siniego z komendy policji w Layton. Albo krążył po mieście, polując na sławnych ludzi, albo też pilnował, żebym nie uciekła z miasta.

Weszłam do budynku, zajmowanego przez redakcję „The Layton Community Times” i udałam się do gabinetu Bethany. Nie było jej tam. Zdjęłam płaszcz i rękawiczki, usiadłam na sofie i wpatrzyłam się w wiszący na wprost mnie olejny obraz nad biurkiem. Obraz przedstawiał - no, proszę zgadnąć! - papę Alistaira i jego jedyną, ukochaną córkę, sportretowaną nych mocnymi barwami na pokładzie jachtu Alistaira,

ARYSTOKRATY. Wyglądali o wiele młodziej i na tak zajętych sobą, że aż mnie zemdliło. Alistair miał na sobie granatową koszulkę od Lacoste'a, białe spodnie, tenisówki i białą czapkę kapitańską. Ona ubrana była w sweter w biało-czerwone paski z łódkowym dekoltem, bardzo skąpe białe szorty, tenisówki i czerwony daszek. Stali w kokpicie **ARYSTOKRATY**, obejmując się w pasie, wolne ręce oparli na polakierowanym kole sterowym z drewna tekowego. Byli opaleni. Byli uśmiechnięci. Mieli najbielsze zęby od czasów Leny Horne. Wyglądali jak w podróży poślubnej, na beztroskiej wycieczce, nieświadomi niczego, poza mile spędzonym czasem. Niesamowite, pomyślałam. Po prostu niesamowite.

- A ty co tutaj robisz? - zabrzmiał głos.

To była Bethany, pierwszy majtek Alistaira. Żarła pączek, rozsypując po całej podłodze cukier puder.

- Chciałam z tobą porozmawiać na temat wiadomości, którą zostawiłaś na mojej automatycznej sekretarce - powiedziałam.

- O czym tu rozmawiać? Zdradziłaś mojego ojca

- stwierdziła Bethany z pałającymi oczami.

- Ależ nie zdradziłam, Bethany. Mówię uczciwie. Wiesz, że mój mąż odszedł ode mnie. Musiałam znaleźć sposób na zdobycie ekstra pieniędzy. Giełda się załamała. Kraj jest pogrążony w recesji. Gdy zobaczyłam ogłoszenie Melanie w...

- Jak śmiesz wymieniać imię tej kobiety w tym gabinecie - parsknęła Bethany. - Próbowала zniszczyć mojego ojca. Teraz nie żyje i cieszę się z tego.

- Ale ja nie próbowałam zniszczyć twojego ojca. Usiłowałam tylko uchronić się przed bankructwem. Czy naprawdę można mnie za to winić?

- Mogłaś wziąć inną pracę. Nie musiałaś pracować dla tej kobiety. Co jej powiedziałaś o moim ojcu? Dostarczyłaś jej smakowitych plotek? Dostarczyłaś, Alison? Powiedz!

- Bethany, postaraj się uspokoić. - Denerwowała się za bardzo. To wszystko przez ten nadmiar cukru. - Chodźmy może do bufetu na kawę. A może lepsza byłaby herbata ziołowa.

- Nie zamierzam iść z tobą do bufetu, ani gdziekolwiek indziej. Chyba, że mi powiesz, co opowiedziałaś Melanie o tatusiu.

- Nigdy nie rozmawiałam z Melanie o twoim ojcu, Bethany. Naprawdę. Nawet nie wolno mi było zerknąć na książkę.

- Nie wierzę. Jak mogłaś sprzątać dom i nie zajrzeć do rękopisu?

- Uwierz mi. Byłam zanadto zajęta czyszczeniem.

- Słuchaj, Alison, ubijmy interes. Zrobię wszystko, żeby dostać w swoje ręce ten rękopis, a przynajmniej dowiedzieć się, co w nim jest. Pracowałaś w tamtym domu. Wiesz, gdzie ta kobieta trzymała różne rzeczy. Znasz Todda Bennetta, tego faceta, który z nią pracował. Pomóż mi ochronić tatusia. Ma siedemdziesiąt pięć lat i nie zasługuje na to, by obcy ludzie analizowali każdą chwilę jego życia. Kiedy książka zostanie wydana, nie będę mogła już nic zrobić. Ale jeśli teraz mi pomożesz, jeśli pomożesz mi zdobyć rękopis, pozwolę ci wrócić do pracy w gazecie. I będę ci płaciła podwójnie za każdy artykuł.

I co miałam teraz zrobić? Jeśli oddam rękopis Bethany, dostanę z powrotem swoją pracę. Jeśli jednak rękopis zatrzymam, dowiem się, kto zabił Melanie i pozbędę się gliniarzy, siedzących mi na karku.

Jakim cudem wplątałam się w takie kłopoty? - zastanawiałam się. W jaki sposób wplątałam się w kłopoty innych ludzi?

- Nie mogę ci pomóc, Bethany - powiedziałam, zabierając płaszcz i rękawiczki z sofy.

- Nie mamy więc sobie nic więcej do powiedzenia

- oświadczyła, po czym odwróciła się na pięcie i wypadła z gabinetu; pewnie popędziła do bufetu po następnego pączka.

Ostatni raz rzuciłam okiem na obraz ojca i córki, wiszący nad biurkiem Bethany i westchnęłam. Gdzie był mój tatuś, gdy go potrzebowałam? Gdzie był Seymour Waxman, łagodny, prosty człowiek, który bez kłamstw, oszustw i nie depcząc innych zbudował Królestwo Snów, odnosząc sukcesy firmę w branży materaców? Gdzie był ten człowiek, którego nie było stać na naukę w szkole średniej, ale który zapracowywał się na śmierć, żebym ja mogła studiować? Gdzie był ten mężczyzna, który znosił wszelkie pretensje mojej matki, bo wiedział, że dzięki temu jest szczęśliwa? Odszedł, ale nie został zapomniany. Nigdy nie będzie zapomniany. Roześmiałam się, wyobraziwszy sobie portret mojego ojca ze mną. Bylibyśmy na nim

- „Król Materaców” Waxman, chłopak z Queens, któremu się powiodło, i Alison Waxman Koff, księżniczka, która została pokojówką. Lecz zamiast stać obok siebie, mając za tło wspaniały jacht, my pozowalibyśmy przed łóżkiem Piękny Odpoczynek Simmonsa, opartym o ścianę sklepu, na której wisiałoby wielkie motto firmy: Królestwo Snów. Spij Smacznie. Poczułam ucisk w krtani, gdy dotarło do mnie, że pomimo całej potęgi i prestiżu senatora Downsa, zawsze wolałabym mieć takiego ojca jak „Król Materaców” Waxman.

Prószył śnieg, kiedy o szóstej po południu podjechałam pod numer 89 przy Pink Cloud Lane - które to miejsce od piętnastu lat było domem mojej matki, wdowy Waxman. Dom z pięcioma sypialniami, wzniesiony w stylu Tudorów na dwóch akrach nienagannie wymanikiurowanych gruntów w Layton, położony był w tej części miasta, jaką zwykle się określać mianem „dzielnicy żydowskiej”, przypuszczalnie dlatego, że obok znajdowała się jedyna w mieście synagoga i jedyne delikatesy.

Boleśnie odczuwając brak futra z norek, szczerzej otuliłam się moim wełnianym, czarnym płaszczem, energicznym krokiem podeszłam do frontowych drzwi i nacisnęłam dzwonek. Aktualna pokojówka mojej matki, pochodząca z Jamajki Nora Smali, o której dawało się powiedzieć wszystko, tylko nie to, że była mała, wpuściła mnie do środka.

- Pani Waxmam ogląda swoje filmy - powiedziała Nora, prowadząc mnie do pokoju, w którym moja matka rozłożyła się obozem na kanapie, oglądając nagrany na wideo odcinek serialu *As the World Turns*. Matka często nagrywała ulubione seriale, kiedy partyjka kanasty w klubie czy wizyta w salonie piękności Monsieur Marka kolidowała z terminem projekcji odcinka.

- Cześć, mamó - odezwałam się i zaczęłam kasłać. Jak zwykle moja matka paliła jak smok i cały pokój był tak zadymiony, że z trudnością mogłam ją dostrzec, a co dopiero mówić o oddychaniu. Jednak pomimo obłoku dymu w pomieszczeniu mogłam stwierdzić, że jest nienagannie ubrana w sukienkę z czarnej wełny od Alberta Nippona i czarne pantofle

Ferragamo i wygląda jak typowa, dobrze zadbana starsza pani z bogatego podmiejskiego osiedla. Wokół długiej, cienkiej szyi miała okręcony złoty łańcuszek, przypominający linę i pasujący do bransoletki na lewej ręce. Na serdecznym palcu lewej ręki ciągle połyskiwała wysadzana brylantami obrączka, którą dostała od mojego ojca. Paznokcie były świeżo pomalowane, jak zwykle w odcieniu Peach Melba, tym samym kolorem powleczone były również jej usta. Popielato-blond, siwiejące włosy, regularnie co cztery tygodnie przycinane przez Monsieur Marka do połowy policzków, jak zwykle uczesała na pazia i, jak zwykle, pokryła grubą warstwą lakieru do włosów, który tak mocno trzymał fryzurę, że nawet porywisty wicher nie mógłby jej zburzyć. Ma na sobie kostium, pomyślałam. Swój kostium Może-się-starzeję-ale-przynajmniej-mam-pieniądze. No cóż, westchnęłam. Każdy ma swój kostium.

- Chwileczkę, Alison - uciszyła mnie. - Zaraz powinni wyjaśnić, dlaczego cierpi na amnezję i nie może zapamiętać, o co prosi ją jej mąż.

Mój mąż stracił majątek, potem oszedł do swojej pierwszej żony, którą zapłodnił. Później zamordowano moją pracodawczynię i stałam się główną podejrzaną. Ponadto w ogólnokrajowym programie telewizyjnym ujawniono moje podwójne życie i rozpaczliwy stan finansów. Dla mnie nie było to prostsze od opery mydlanej. Najwidoczniej jednak koleje losu w prawdziwym życiu były zbyt monotonne, żeby oderwać moją matkę od „As the World Turns”.

Usiadłam obok niej na kanapie i jak grzeczna córka czekałam na zakończenie programu. Kiedy się wresz-

cie skończył, matka odwróciła się, żeby na mnie spojrzeć.

- Wyglądasz na bardzo chudą - powiedziała i zaciągnęła się swoim winstonem.

- Bo jestem chuda, mam. Zawsze byłam szczupłą.

- Nie, to wszystko przez tę historię z pracą służącą. Dostałam prawie ataku serca, kiedy usłyszałam. Możesz sobie wyobrazić? Matka dowiaduje się, że jej córka szoruje ubikacje. Twój ojciec by umarł.

- On już umarł.

- Nie bądź taka mądra.

- Przepraszam, że usłyszałaś to w radio, a nie ode mnie.

- Kto usłyszał przez radio? Dowiedziałam się w klubie od Edith Eisner. Właśnie od Edith Eisner, ze wszystkich możliwych osób. Myślałby kto, że jej córka jest taka nadzwyczajna. Jest stewardesą, na litość boską. Latająca służąca. Tym jest stewardesa.

- Tak, cóż, jest mi przykro, że usłyszałaś o tym od Edith Eisner, ale przyjąłam pracę pokojówki, bo potrzebne mi były pieniądze. Czy nie rozumiesz, że bałam się utraty domu, sytuacji, gdy nie będę miała gdzie wracać?

- Gdy nie będę miała dokąd wracać.

- Dobrze.

- Dlaczego nie poprosiłaś, żebym ci pomogła, Alison? Mam trochę odłożonych pieniędzy. Oczywiście niedużo, a poza tym w moim wieku muszę uważać, żeby nie wydawać za wiele.

- I właśnie dlatego nie prosiłam cię o pomoc. - I jeszcze dlatego, że chciałam się uwolnić od ciebie i pierwszy raz w życiu poczuć się niezależna.

- Ojej, już po szóstej - powiedziała moja matka, zerknąwszy na zegarek. - Stolik jest zamówiony na wpół do siódmej.

- Wychodzimy na kolację? Sądziłam, że będziesz wolała porozmawiać o tym wszystkim prywatnie.

- Będą warunki do prywatnej rozmowy. Idziemy do klubu. Dziś jest tradycyjna noc z homarem, a ja od trzydziestu lat nie opuściłam ani jednej.

Do Grassy Glen pojechaliśmy moim samochodem

- pełna męczarni dziesięciominutowa wycieczka, w czasie której matka ganiła mnie za beczeszczenie pamięci ojca, nie tylko dlatego, że zatrudniłam się jako służąca, gdy tymczasem ojciec zaharowywał się przy materacach, żeby mnie było stać na własną służbę, ale także dlatego, że pracowałam dla kogoś pokroju Melanie, dla takiego „śmiecia”, jak to określiła. Najwyraźniej moją matką targały silne uczucia, zarówno wobec Melanie, jak i Alistaira Downsa

- uczucia, których nigdy wcześniej nie ujawniła przede mną. - Kobieta, która świadomie zamierza zrujnować życie tak ważnego człowieka jak Alistair Downs, zasługuje na każde nieszczęście, które ją spotka - powiedziała.

Kiedy podjechaliśmy przed ceglany, porośnięty bluszczem budynek klubu, który niegdyś mieścił klasztor, a potem ośrodek rehabilitacyjny dla bogatych narkomanów, portier na parkingu podbiegł do samochodu, otworzył drzwi mojej matce i rzekł: - Dobry wieczór, pani Waxman. Jak się pani miewa dziś wieczorem?

Gdy weszliśmy do ogromnej sali jadalnej z ciężkimi zasłonami z jedwabiu i kryształowymi żyran-

dolami, podszedł do nas ciemnowłosa mężczyzna w smokingu, o wyglądzie człowieka prowadzącego teleturnieje i z namaszczeniem ucałował dłoń matki, już wyciągniętą w oczekiwaniu na ten wiernopoddańczy gest. - To cudownie znów panią widzieć, pani Waxman - powiedział. - Wspaniale pani wygląda dziś wieczorem.

- Ty też świetnie się prezentujesz, Marvinie - odparła moja matka bez uśmiechu, zmrużonymi oczami poszukując na sali znajomych.

- A to pani śliczna córka - powiedział Marvin.

- Tak, Marvinie - rozpromieniła się matka. Moja matka rzadko bywała promienna.

- Proszę tędy, moje panie - odezwał się Marvin, wiodąc nas do stolika w pobliżu dużego okna, z którego, jeśli na zewnątrz nie było ciemno, rozciągał się widok na zaprojektowane przez Jacka Nicklause pole golfowe z osiemnastoma dołkami i pole do treningu.

Gdy przemierzałyśmy salę jadalną o rozmiarach niejednej sali balowej, zaszokował mnie widok tak wielu pustych stolików. Trudno było powiedzieć, że klub jest zatłoczony. - Gdzie są wszyscy? - zapytałam matkę. - Myślałam, że noc z homarem jest największą atrakcją w klubie w tym tygodniu.

- Wszystko przez tę recesję - syknęła. - Niektórych członków nie stać na zapłacenie siedmiu i pół tysiąca rocznej składki, muszą więc zrezygnować z członkostwa. Wyobrażasz to sobie? - Pewnie, że mogłam sobie wyobrazić, i to bardzo dobrze.

Marvin posadził nas przy stoliku i rozłożył nam na kolanach białe płócienne serwetki. - Czy miałyby pani ochotę na swój ulubiony koktajl, pani Waxman?

Dubonnet Rouge z jedną kostką lodu i odrobiną cytryny?

- Wspaniale, Marvinie - odparła matka, zapalając winstona.

- A co dla pani ślicznej córki? Czy miałaby ochotę na koktail? - patrząc na mnie powiedział Marvin.

- Poproszę kieliszek białego wina - odezwałam się. I nagle przemknęło mi przez głowę wspomnienie pierwszej kolacji z Culliem na **MARLOWE** i uśmiechnęłam się. - Chociaż nie, Marvinie, poproszę raczej o rum Mount Gay z tonikiem.

- Co? - rzuciła matka, sprawiając wrażenie zaskoczonej.

Marvin także był zaskoczony, ale przyjął zamówienie, pokłonił się w pas i odszedł.

Bardzo bym chciała, żeby Cullie zobaczył to miejsce, zachichotałam w myślach. Może, kiedy się wszystko ułoży i lepiej się poznamy, przedstawię go mojej matce. A może nie.

- A teraz opowiedz mi o dochodzeniu, dotyczącym tego morderstwa - zachęciła matka, mając oczy utkwione nie we mnie, lecz w naszych współbiesiadnikach, z których niektórzy machali do niej i posyłali całusy.'

Opowiedziałam historię o tym, jak zostałam zatrudniona przez Melanie, jak znalazłam jej ciało w gabinecie i że nie miałam alibi na noc zabójstwa. Z początku matka, jak Bethany Downs, wydawała się interesować tylko tym, czy w okresie, gdy pracowałam w domu Melanie, zaglądałam do manuskryptu książki o senatorze. Potem, kiedy już wyjaśniłam, że nie mam zielonego pojęcia, co jest w książce, skoncentrowała się na tym, gdzie spędziłam noc morderstwa i dlaczego nie mam alibi.

- Byłam poza domem z mężczyzną - oświadczyłam. - Odwiózł mnie do domu koło jedenastej w nocy i odjechał. Resztę nocy spędziłam samotnie w Klonowym Dworku.

- Kim jest ten mężczyzna? - zapytała.

- Nazywa się Cullie Harrington, mamusiu. Jest fotografem. - Wiedziałam, co zaraz nastąpi i przygotowywałam się na to.

- Co to za nazwisko, Harrington? Na pewno nie żydowskie, mogę zaręczyć.

- Nie jest Żydem, mamusiu. Jest członkiem kościoła episkopalnego.

Moja matka zbladła, ale nie zemdląca. - A z czego żyje? Mówisz, że jest fotografem?

- Tak. Robił zdjęcia do prospektu Klonowego Dworku. Tak właśnie się poznaliśmy.

- A więc to była kolacja związana z interesami? Omawialiście sprzedaż twojego domu?

- Nie, temat domu nawet się nie pojawił. To był wieczór towarzyski. Cullie i ja... chodzimy ze sobą.

- Spotykacie się? Fotografowie nie mają pieniędzy. Co cię napadło, Alison?

Właśnie w chwili, gdy miałam wyjaśnić mojej matce, że się zmieniłam, że pieniądze nie są mi już więcej potrzebne do szczęścia, że Cullie jest miły, wspaniały i utalentowany, pojawił się Marvin z napojami. Zamieszałam swojego drinka. Moja matka upiła duży łyk swojego - tak duży, że przypadkiem połknęła plasterek cytryny, pływający pod kostką lodu i zaczęła gwałtownie kasłać. Nie minęła sekunda, a kawałek cytryny wylądował w tchawicy i zakrtusiła się. - Pomocy! Pomocy! - wyrzeźbiła, siniejąc na twarzy.

Przyznaję się. Przez jedną, króciutką chwilę nie byłam w stanie jej pomóc. Próbowałam wymyślić jakiś kawał. Szybko! Kawał! Kawał! - rozkazywałam sobie, a moja biedna matka siedziała przewieszona na krzeselku i walczyła o oddech. Na jej szczęście, instynkt córki obudził się we mnie, zerwałam się z krzeselka, objęłam ją ramionami i przyłożyłam pięścią w pierś. Raz, drugi, trzeci.

Ku wielkiej uldze matki i mojej, w końcu paskudny plasterek cytryny wystrzelił z jej ust i wylądował na stole, obok srebrnej solniczki i pieprzniczki.

- Już dobrze, mamusiu? - spytałam. - Czy nie powinniśmy wezwać lekarza? - Rozejrzałam się po sali w nadziei, że znajdzie się jakiś lekarz.

Ku memu zdziwieniu, nikt ze współbiesiadników nie okazał nawet odrobiny zainteresowania grożącą śmiercią przypadłością mojej matki. Po prostu siedzieli i opychali się jedzeniem, jak w scenie opisanej w *Tomie Jonesie*, osłonięci specjalnymi śliniaczkami z białego plastiku do jedzenia homarów, pracowicie rozrywając palcami swoje dwukilogramowe skorupiaki, ustami wysysając mięso ze szczypiec, z roztopionym masłem, ściekającym im po brodach. Byli tak pochłonięci swoim posiłkiem i zajęci sobą, że nie zauważyliby nawet pojazdu kosmicznego, lądującego na środku sali. Noc z homarem to noc z homarem, i tylko to się liczyło.

- Jesteś pewna, że wszystko w porządku? - ponowiłam pytanie. - Chcesz może trochę wody? A może chciałabyś wrócić do domu? Możemy poprosić Maryjną, żeby chłopak z parkingu przyprowadził samochód.

- Absolutnie nie - powiedziała ostro moja matka w swoim starym stylu. - Nigdzie się nie wybieram.

Jeszcze nie zjadłyśmy naszych homarów. Sporo za nie zapłaciłam, więc musimy zostać i je zjesc.

- Nie sądzę, żebyś teraz mogła jeść homara. Zadławiłaś się prawie na śmierć. Cytryną.

- Cytryna nie ma tu nic do rzeczy. Gdy powiedziałaś mi, że umawiasz się z fotografem, chrześcijaninem, wtedy mało nie umarłam.

- O tak, mamusiu.

Zaproponowałam, żebyśmy pominęły sprawę mojego życia uczuciowego i trzymały się mniej prowokacyjnych tematów, jak choćby tego, czy w czasie weekendu spadnie śnieg i czy następny aktor zrezygnuje z udziału w serialu *As the World Turns*. Była szczęśliwa jak ostryga - może powinnam raczej powiedzieć jak homar? - gdy Marvin podał nam jedzenie i ubrał nas w plastikowe śliniaczki, na których widniał napis:

KLUB GRASSY GLEN - NAJLEPSZY WYBÓR DLA WYBRAŃCÓW.

- Bardzo słodki i delikatny - oświadczyła moja matka, wydłubując z odwłoka homara czubaty widelec mięsa, zanurzając je w roztopionym maśle i wkładając do ust.

- Tak bardzo słodki i delikatny - zgodziłam się. Smak homara był chyba jedyną rzeczą, co do której byłyśmy zgodne. Różniłyśmy się diametralnie naszymi oczekiwaniami od życia i metodami osiągania naszych celów. Zmartwiłam się, uświadomiwszy to sobie, ale się nie przestraszyłam. Już nie. Nie po tym wszystkim, przez co przeszłam. Nie potrzebowałam już aprobaty mojej matki. Nie potrzebowałam aprobaty żadnego mężczyzny. Jediną osobą, na aprobacie której naprawdę mi zależało, byłam ja sama i byłam na najlepszej drodze, by ją uzyskać.

Na piątek zaplanowałam sobie wyciągnięcie rękopisu z porsche'a, przyniesienie go do domu i przeczytanie całej przeklętej książki. Ale nie dane mi było. Najpierw zatelefonowała Janet Claiborne z pytaniem, czy pokazałabym dom małżeństwu z Kansas. Wyjaśniła, że firma, w której pracuje mąż, przenosi się na Manhattan. Pragnąc oddłużyć Klonowy Dworek zanim przejmie go bank, zgodziłam się zmienić swoje plany i zaprezentować dom. Hreczkosieje z Kansas okazali się dziennikarzami z plotkarskiego programu telewizyjnego, o czym się przekonałam, przyłapawszy ich na myszkowaniu w szufladach z moją bielizną, które to zajęcie określili jako „kawał dobrego, solidnego dziennikarstwa telewizyjnego”. Potem zadzwonił Todd Bennett, marnotrawny sekretarz Melanie, i zapytał, czy może wpaść. Powiedział, że musi ze mną porozmawiać na ważny temat. I tyle, jeśli chodzi o zapadnięcie się w wygodny fotel i przeczytanie wszystkiego o senatorze Downsie.

Todd pojawił się koło południa. Widziałam go zaledwie kilka tygodni wcześniej, ale wydawało mi się, że ten niegdyś pulchny mężczyzna bardzo zeszczupłał. Gdy zapytałam go, czy jest na diecie, pokręcił głową. - Martwiłem się. Kiedy się martwię, nie mogę jeść.

- Wiem, że przed śmiercią Melanie o coś się posprzeczałyście, ale wiadomość o jej zamordowaniu musiała cię bardzo poruszyć - powiedziałam, usiłując pocieszyć Todda, który po wejściu do mojego domu

odmówił skorzystania z krzesła, wybierając chodzenie w tę i z powrotem po korytarzu.

- Wiesz o naszej kłótni? Skąd? - Sprawiał wrażenie zaalarmowanego.

- Melanie mi powiedziała. Nie o tym, o co się pokłóciliście, tylko o tym, że nie przyszedłeś do pracy, a ona nie wiedziała, gdzie się podziewasz.

- Tak, pokłóciliśmy się, to prawda. Babsko wycofało się z naszej umowy.

- To znaczy masz na myśli, że wcześniej zgodziła się, żebyś był współautorem książki?

- Dokładnie. Parę tygodni temu nas wydawca poprosił nas o zaopiniowanie okładki książki. Chcieli zacząć sprowadzać prawa do tłumaczenia, więc psygo-towali makietę okładki. Jej kopię przesłali Melanie i przypadkiem ją zobaczyłem.

- Przypadkiem ją zobaczyłeś?

- Tak. Nie zamiezała mi jej pokazywać. Musiałem ją wykraść, gdy Melanie nie było w gabinecie. A kiedy zobaczyłem okładkę, zrozumiałem, czemu nie pokazałaby mi jej. Byłem tak wściekły, że mógłbym ją chyba zabić.

- Co było na okładce?

- Napis: Cza-Cza-Cza: Historia Alistaira Downsa - Biografia pióra Melanie Moloney".

- Taki jest tytuł książki? Cza-cza-cza? - Rękopis wciśnięty pod siedzenia mojego samochodu nie miał strony tytułowej.

- Tak, w nawiązaniu do początków kariery senatora jako nauczyciela tańca. Ale możesz sobie wyobrazić, jak mnie Melanie osukała? Obiecała, że oboje będziemy autorami tej książki. A czyje nazwisko figurowało na okładce? Jej. Nie jej i moje. Tylko jej.

- A nie mogłeś z nią o tym porozmawiać? Przypomnieć jej o waszej umowie?
- Porozmawiać z Melanie? Żartujesz chyba? Pracowałeś u niej. Wies, jaka była.
- Ale mieliście umowę. Z pewnością prawnik byłby w stanie...
- Nic nie zostało spisane. Mieliśmy umowę słowną. Uścisk dłoni.

Todd był jeszcze głupszy, niż sądziłam. Ale co z tego, ja miałam pisemną umowę z Sandym - inter-cyżę - i co mi to dało?

- I powiedziałeś jej to wszystko? Co myślisz o jej postępowaniu?
 - Jasne, że powiedziałem. Roześmiała mi się prosto w twas i nazwała mięczakiem. Nienawidzę, gdy ktoś mnie tak nazywa.
 - Nikt tego nie lubi.
 - Powiedziała, że ona jest autorką bestsellerów, a ja jestem pierwszoźdny mięczak.
 - Tak powiedziała?
 - Aha. I jesce inne zeczy.
 - Więc zostawiłeś ją? Zrezygnowałeś z pracy?
 - Nie zrezygnowałem, tylko zrobiłem sobie małą pserwę urlopową. Miałem scery zamiar wrócić i pomóc Melanie w promocji książki.
 - Jak mógłbyś to zrobić po tym, jak zerwała waszą umowę i nazwała cię mięczakiem?
 - Bo istotnie jestem mięczakiem. Psez lata traktowała mnie jak śmiecia. Groziłem, że odejdę i zawsze wracałem. Wiedziała, że i tym razem wrócę.
- Czy tym razem wróciłeś, żeby ją zabić? pomyślałam. Czy to ty jesteś mordercą, ty, łagodny, mięczakowaty Todd? Czy masz alibi na noc, kiedy

zginęła Melanie, czy też w czasie twojej przerwy urlopowej wpadłeś do gabinetu Melanie na mały mecz, pełen przepychanek i uderzeń?

- Dlaczego chciałeś się ze mną spotkać? - zapytałam Todda.

- A tak. Słusznie. Zadzwoił do mnie wcoraj detektyw Corsini. Powiedział, że przesłuchuje osoby blisko związane z Melanie. Poprosił, żebym w wolnej chwili wpadł na posterunek policji.

- Poszedłeś więc tam?

- Jesce nie. Nie miałem wolnej chwili.

- Jak mogę ci pomóc?

- Wcoraj wieczorem oglądałem telewizję i zobaczyłem kawałek programu o tobie, jak znalazłaś ciało Melanie, jak byłaś przesłuchiwana przez policję i tym podobne. Psysło mi do głowy, że poproszę cię o radę, w jaki sposób rozmawiać z tym detektywem.

Od lat nikt nie prosił mnie o radę, może nawet nigdy nie prosił, ale byłem zbyt podejrzliwa, żeby mi to pochlebiało. - Po prostu powiedz mu prawdę - rzekłam. - Czy masz alibi na tę noc, kiedy zamordowano Melanie?

- Nie do końca. Cytalem w domu.

- Aha. A co czytales?

- Cza-cza-cza. Chcialem jesce raz psejzec cały manuskrypt, zanim go pseślemy do skopiowania.

Todd miał oryginał książki o Alistairze Downsie? Niemożliwe. Ja miałam rękopis. Oryginał. Wiedziałam, że mam oryginał, bo pudełka, w których był schowany, nosiły napis Oryginał. To musiał być autentyczny egzemplarz.

- Chcesz powiedzieć, że miałeś kopię rękopisu w domu - odezwałam się lekko, starając się nie

okazywać paniki. - Zawsze wydawało mi się, że Melanie trzymała oryginał w domu, pod kluczem.
- Nie, oryginał był u mnie. Prosiła, żebym pseczo-wał go psez pewien cas. Bała się, że córka Alistaira Downsa lub jakiś jego fagas znajdzie sposób, by go wykraść. Ktoś z obozu Downsa wydzwaniał do Melanie, grożąc jej śmiercią.

Todd musiał kłamać w sprawie manuskryptu. Oryginał miałam ja. Pytanie brzmiało, dlaczego Todd miałby kłamać?

- Czy Melanie mówiła policji o tych pogroźkach? - spytałam.

- Nie sędzę. Była do nich psyzwycajona. Wsycy jej nienawidzili. I to właśnie tak bardzo utrudni pracę policji. W jaki sposób ten detektyw Corsini ma dojść do tego, kto ją zamordował, skoro tylu z nas chciało, zeby umarła?

- Włosy - odpowiedziałam.

- O cym ty mówis, Alison?

- Nasze włosy uwolnią nas od zarzutów.

Tego popołudnia detektyw Corsini zadzwonił także do mnie z pytaniem, czy mogłabym odwiedzić komisariat i odpowiedzieć na parę pytań. Powiedziałam już im wszystko, ale odparłam, że z przyjemnością się stawię.

Kiedy dotarłam na posterunek, polecono mi czekać pod drzwiami gabinetu Corsiniego, dopóki ten nie skończy rozmowy. Dziesięć minut później drzwi otworzyły się. Stał w nich poczciwy detektyw Corsini ramię w ramię z jedynym i неповtarzalnym, niezrównanym nauczycielem-tańca-który-przedzierz--gnął-się-w-aktora-który-przedzierzgnął-się-w

- senatora-który-przedzierzgnął-się-w-wydawcę-gazety, Alistairem Downsem.
Doskonała para, pomyślałam. Znakomitość i łach-myta.
- Wspaniale się z panem rozmawiało - usłyszałam, jak Alistair mówił do Corsiniego.
 - Cała przyjemność po mojej stronie, senatorze
 - w rewanżu podlizał się Corsini. - Ach, pani Koff, proszę wejść - powiedział na mój widok.
 - Obywatelka Koff - odparłam wojowniczo.
 - Tak, tak, to pani Koff z gazety - przerwał Alistair, ignorując moją feministyczną demonstrację.
 - Cudownie móc cię znów zobaczyć. Ho, ho. Wygląd Alistaira był uderzający. Pod płaszczem z wielbłądziej wełny z kołnierzem i mankietami z karakułów miał na sobie ciemnogrnatowy garnitur w prążki. Gęste, rudobrazowe włosy zaczesane były do tyłu, z małymi falami, okalającymi twarz. Miał gładką skórę i bystre, zielone oczy. Ładnie się starzał, bez dwóch zdań.
 - Witam, senatorze Downs - powiedziałam i wyciągnęłam rękę, którą potrząsnął w obu swoich dłoniach.
 - Proszę nie być teraz dla niej zbyt surowym
 - zachichotał Alistair, wymierzając detektywowi Corsiniemu żartobliwego szturchańca między żebra.
 - Ona jest jedną z moich.
- Jedną z jego czego? - Cieszę się, że wpadłam dziś na pana, senatorze - rzuciłam pospiesznie. - Chcę, żeby pan wiedział, że przyjmując posadę gospośi u Melanie Moloney nie chciałam panu wyrządzić żadnej krzywdy. Pańska córka, Bethany, zdaje się traktować tamto moje zajęcie jak akt zdrady. Lecz

naprawdę powodowały mną wyłącznie względy ekonomiczne.

- A, tak. Ekonomia. Osobiście jestem ogromnym wielbicielem polityki ekonomicznej Ronny'ego. Świetny facet, Ronnie. Razem pracowaliśmy w filmie, razem pracowaliśmy w partii. Nancy też jest wspaniała.

- Jest pan przyjacielem Ronalda i Nancy Reagan?

- nie wytrzymał detektyw Corsini.

- Ależ oczywiście. Wiele razy gościłem ich na **ARYSTOKRACIE**. Wspaniali ludzie. Ho, ho.

- Czy chciał pan ze mną rozmawiać, detektywie?

- spytałam, krótko przerywając te pogaduszki.

- Może pani wejść do mojego gabinetu - powiedział Corsini. - Jeszcze minutę albo dwie porozmawiam tutaj z senatorem.

Weszłam do gabinetu i zostawiłam uchylone drzwi. Słyszałam, jak Corsini wylewnie dziękuje Alistairowi, że pomimo nawału obowiązków znalazł czas, aby wpaść na komendę i odpowiedzieć na te wszystkie nieprzyjemne pytania, gdzie był w nocy, kiedy zamordowano Melanie i jaki jest jego stosunek do książki, która jest mu poświęcona. Potem usłyszałam kilkakrotny śmiech Alistaira, mówiącego Corsiniemu, że jego zdaniem komenda policji w Layton jest najlepszą jednostką policji w całym okręgu, że jest dumny mogąc być mieszkańcem Layton i podatnikiem, i że planuje dużą darowiznę na rzecz Policyjnego Towarzystwa Dobroczyńnego. Co za szachraj.

- Teraz, pani Koff - powiedział detektyw Corsini oderwawszy się w końcu od Alistaira i powróciwszy do gabinetu, żeby mi dopiec. - Zamierzam zapytać panią o parę osób, które odwiedzały panią Moloney w jej domu. Co pani wiadomo o ludziach z tej listy?

Wręczył mi kartkę papieru. Rozpoznawałam niektóre nazwiska - Jason Roth, przyjaciel Melanie ze „Star”; Arlene Malkan, spełniająca czasami rolę chłopca na posyłki; Carmen Cordero, jej manikiurzystka i, oczywiście, Todd Bennett, jej cierpiący od dłuższego czasu asystent.

Opowiedziałam Corsiniemu wszystko, co wiedziałam o tych ludziach. Potem podał mi drugą listę. - A co może pani powiedzieć o tych? - spytał.

Druga kartka papieru zawierała, zdaniem Corsiniego, listę wrogów Melanie. Znaleźli się na niej, między innymi, ludzie cytowani w owym przeklętym artykule w „Vanity Fair”. Był jej pierwszy mąż, Ron Delano, księgowy; rzuciła go dla Scotta Whitehursta, aktora stale pozostającego bez pracy, który został jej drugim mężem, a potem, kiedy go porzuciła, procesował się z nią o alimenty w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów miesięcznie. Był też Mel Suskind, agent literacki, którego zdradziła dla ważnego agenta z ICM i Roberta Carr, która wydała poprzednie biografie Melanie, płacąc po trzy miliony dolarów od książki, po czym została wystawiona do wiatru, bo Melanie przyjęła propozycję konkurencyjnego wydawnictwa pięciu i pół miliona dolarów za biografię Alistaira Downsa.

Zaproponowałam Corsiniemu, żeby przeczytał artykuł w „Vanity Fair”, jeśli chce dowiedzieć się czegoś więcej o tych ludziach - w każdym razie więcej, niż mogłabym mu powiedzieć. Ja byłam tylko skromną pokojówką Melanie. Co mogłam, wiedzieć? Wiedziałam jedynie, że Todd miał rację: mnóstwo ludzi nienawidziło Melanie. Ale czy to wystarczało, żeby zabić? Byłam pewna, że chociaż jej były agent, wydawca czy mąż niewątpliwie mogli być niezado-

woleni, to jednak do unicestwienia Melanie trzeba było czegoś więcej niż samego niezadowolenia.

Gdy wracałam ze spotkania z detektywem Cor-sinim, który zakończył naszą rozmowę przypomnieniem, abym nie opuszczała miasta, włączyłam radio. Najważniejszą wiadomością w dzienniku WANE była informacja, że Alistair Downs zapowiedział na godzinę czwartą po południu konferencję prasową, na której zamierzał przedstawić swoje stanowisko wobec zamordowania straszliwej autorki biografii i odpowiedzieć na niepoważne zarzuty prasy brukowej i innych mediów, że w jakiś sposób jest odpowiedzialny za śmierć Melanie Moloney. O kurczę, pomyślałam. Nie mogłam się doczekać, co stary Alistair chce powiedzieć. Modliłam się, żeby telewizja sfilmowała tę konferencję prasową, żebym mogła na własne oczy zobaczyć, jak tańczy ten instruktor tańca.

Moje modlitwy zostały wysłuchane. Relacja z konferencji miała zostać wyemitowana w wiadomościach wieczornych o jedenastej.

- Chciałbyś wpaść do mnie i obejrzeć, jak twój ulubieniec robi z siebie błazna w telewizji? - spytałam Culliego, kiedy udało mi się połączyć z jego telefonem komórkowym na pokładzie **MARLOWE**. - Moglibyśmy skończyć kurczaka.

- Zgoda. Już jadę.

Wzięłam prysznic, przebrałam się w beżowe sztruksowe džinsy i czekoladowobrązowy sweter z golfem, i popędziłam na dół do kuchni, żeby odgrzać kurczaka. Byłam rozbawiona, łapiąc się na nuceniu. Nie należałam do podśpiewujących typów, a tu nagle nuciłam coś, co bardzo przypominało piosenkę Everly

Brothers *All I Have to Do Is Dream*. Najzwyczajniej w świecie byłam szczęśliwa. W moim życiu panował gigantyczny burdel, ale ja byłam szczęśliwa. Nie miałam męża, pracy, złamanego grosza, nie posiadałam domu, który należał już do banku. Ale byłam szczęśliwa. Radością nappełniła mnie myśl o spędzeniu wieczoru z Culliem.

Na dźwięk dzwonka u drzwi załomotało mi serce. Rzuciłam się ku drzwiom i otworzyłam je Culliemu.

- Cześć - powiedział. - To dla ciebie. Wręczył mi pudełko, owinięte w ozdobny papier.

Słodczyce, domyśliłam się. Bombonierka ze sklepu spożywczego. Dość banalny prezent, ale miło, że pomyślał. Przypomniałam sobie, jak Sandy gardził czekoladkami ze zwykłego sklepu. Dla niego istniały tylko czekoladki Godiva.

- Otwórz - ponaglił Cullie, wchodząc do domu, wieszając swoją kurtkę narciarską w szafie dla gości i całując mnie w czubek głowy.

Zerwałam papier z pudełka i zaskoczył mnie, zamiast bombonierki, widok pięknego pamiątnika, oprawionego w brązową skórę, zaopatrzonego w zameczek i kluczyk.

- Miałaś teraz ciężki okres - wyjaśnił. - Przyszło mi do głowy, że jako pisarka mogłabyś chcieć zanotować to wszystko, co ci się przytrafiło. Żeby łatwiej nad tym zapanować.

Byłam tak poruszona, że naprawdę nie wiedziałam, co mam powiedzieć. Co takiego zrobiłam, żeby zasłużyć na Culliego? Nie byłam jego warta. Był o wiele za dobry dla mnie. Był o wiele za dobry, żeby to była prawda. - Tak bardzo ci dziękuję - odezwałam się w końcu i objęłam go. - Dziękuję, że uczyniłeś mnie tak szczęśliwą.

Zjedliśmy z Culliem resztki kurczaka, pozmywaliśmy po kolacji i udaliśmy się do sypialni na górę, żeby obejrzeć wygibasy Alistaira Downsa w wiadomościach o jedenastej. Cóż to było za widowisko!

- Panie i panowie reprezentujący środki masowego przekazu - zaczął Alistair. - Panie i panowie, mieszkający w Layton. Panie i panowie, mieszkający w tych Stanach Zjednoczonych.

- O kurczę - mruknęłam równocześnie z Culliem i oboje roześmieliśmy się.

- Witam w moim domu, w Na Zawsze. - Alistair stał na schodach wejściowych do swojego domu, z Bethany u boku i tłumem dziennikarzy i fotoreporterów u swych stóp. Na lutowym, mroźnym powietrzu para buchała mu z ust. - W związku z tym, że ja i moi pracownicy zostaliśmy zasypani prośbami o zajęcie stanowiska wobec śmierci Melanie Moloney, zdecydowałem się wydać następujące oświadczenie: Nie znałem osobiście pani Moloney, nie czytałem też żadnej z jej książek, ale doceniałem jej sukces literacki i głęboko mnie zmartwiło jej tragiczne odejście. Jej rodzinie i przyjacielom składam wyrazy najszczerzego, płynącego z głębi serca współczucia. Pragnę też zgłosić moje całkowite, pełne poparcie dla komendy policji w Layton, która, chociaż mała, cieszy się dobrą opinią w społeczności stróżów prawa i porządku w kraju. Jestem przekonany, że bardzo niedługo policja laytońska ustali tożsamość zabójcy pani Moloney i szybko i sprawnie doprowadzi do postawienia go przed sądem. Bardzo dziękuję, panie i panowie, za poświęcony mi czas, dziękuję też Bogu za siłę do wykuwania przyszłości w tym czasie wielkiego smutku i żałoby, jaką nam ofiarował.

Spojrzeliliśmy z Culliem na siebie i wzruszyliśmy ramionami. - Czego mieliśmy się po nim spodziewać? Przyznania się do zabójstwa? - zapytał.

- Serio myślisz, że to on zrobił? - spytałam. Ten pomysł wstrząsnął mną. Alistair był pompatycznym głupcem, ale mordercą? Był senatorem Stanów Zjednoczonych, na litość boską! - Cullie, wiem, że twoim zdaniem jest niemoralny, myślałam jednak, że to ze względu na jego członkostwo w partii republikańskiej.

- Ciiii. Zadają mu pytania. Słuchaj.

Z powrotem skoncentrowałam się na telewizorze. Alistair zaczął właśnie oddalać się od dziennikarzy i zmierzał w stronę domu, gdy reporterzy zaczęli zasypywać go pytaniami.

- Gdzie pan był w nocy, kiedy popełniono morderstwo?

- Czy nie korci pana, żeby przeczytać książkę Moloney o panu?

- Czy wie pan, co w niej jest?

Alistair z uśmiechem pomachał zadającym pytania i pożegnał ich słowami: - Nasi wspaniali policjanci mają wszelkie interesujące państwa informacje. Miło było się z wami wszystkimi spotkać. Życzę miłego wieczoru. Ho, ho.

Alistair zniknął w Na Zawsze, Bethany podążyła za nim, a wiadomości wieczorne zajęły się innymi wydarzeniami dnia.

- Co o tym sądzisz? - zapytałam Culliego, kiedy wyłączyłam telewizor i odwróciłam się w jego stronę. Siedzieliśmy na łóżku, z poduszkami podłożonymi pod plecy.

- Sądzę, że facet jest łajdakiem, zdolnym do wszystkiego.

- Ale dlaczego? Bo ma pieniądze i władzę? Bo jest ważną figurą w jachtklubie Sachem Point, gdzie twój ojciec był najemnym pracownikiem?

- Paddy Harrington był wart dziesięć razy tyle co Alistair Downs - zachnął się Cullie.

- Hej, nie powiedziałam, że nie był. Jestem pewna, że twój tata był wspaniałym człowiekiem. Usiłowalam jedynie zrozumieć twoją niechęć wobec Alis-taira.

- Przepraszam. Nie chciałem na ciebie warczeć.

- Gdybym więcej o tobie wiedziała, może rozumiałabym lepiej. Opowiedz mi, jak dorastałeś w jachtklubie.

- Dobrze. Ale najpierw opowiem ci o moim ojcu. Przyjazd do tego kraju i praca dla ludzi pokroju Alistaira zniszczyły go.

- Słucham dalej.

- Jak ci wspominałem w czasie naszej pierwszej kolacji na łodzi, Paddy pochodził z Wyspy Wight.

- Pamiętam.

- Wyspa Wight jest żeglarską stolicą Anglii, punktem startowym wszystkich czterech regat Admiral's Cup, z których najważniejszym jest Fastnet Race. Przed wojną mój ojciec pływał jako załogant na największych i najszybszych jednostkach, biorących udział w wyścigach. Był poszukiwany. Ceniono go za jego umiejętności. Był wówczas, gdy pokazał się tam król George. Był zapraszany na te przyjęcia, na których bywały koronowane głowy. Uczciwie zarabiał na życie, podobnie jak jego ojciec - żeglowaniem. A potem nadeszła druga wojna światowa.

- I co się stało?

- Zaciągnął się do marynarki i czekał na rozkazy,

kiedy armia brytyjska starła się z Niemcami w osławionej bitwie pod Dunkierką.

- Historia świata lekko mi się przykurzyła. Odśwież mi pamięć.

- Dunkierka jest morskim portem, położonym na północnym wybrzeżu Francji, w pobliżu granicy belgijskiej. Wiosną 1940 roku około trzystu tysięcy żołnierzy brytyjskich i francuskich zostało otoczonych przez nadciągające siły niemieckie. Jediną drogą ucieczki pozostawała przeprawa przez kanał La Manche, ale jednostki marynarki aliantów zaangażowane były gdzie indziej. W obliczu Niemców, zacieśniających okrążenie, Brytyjczycy stworzyli zastępczą armadę, złożoną z jednostek cywilnych. Łodzie rybackie, żaglówki, małe frachtowce - każda łódka, jaką tylko można było sobie wyobrazić, została wciągnięta do akcji. I ta właśnie armada uratowała żołnierzy brytyjskich i przewiozła ich przez kanał w bezpieczne miejsce.

- Czy twój ojciec brał udział w tej ewakuacji?

- Tak. Był jednym z organizatorów, płynął też na jednej z łodzi. Po tej akcji został wcielony do marynarki i służył w niej aż do 1946 roku.

- Był więc bohaterem.

- Tak, był. A potem wszystko diabli wzięli. Kiedy w 1946 roku zwolniono go z wojska, gospodarka brytyjska leżała w gruzach. Zawieszono regaty żeglarskie i przyszłość żeglarzy w Europie wyglądała ponuro. Był bohaterskim żeglarzem i bohaterem wojennym, ale nie miał z czego żyć. Toteż kiedy zaczęto mówić, że Stany dają szansę żeglarzom, przyjechał tutaj.

- I rozpoczął pracę w jachtklubie?

- Tak, w 1946 roku. Był po trzydziestce i uważał się za szczęściarza, otrzymawszy posadę w jachtklubie w Connecticut. Jakże mało wtedy wiedział.

- Nie było chyba tak źle, prawda? W końcu Sachem Point jest ślicznym klubem.

- Nie, nie było tak źle. Jak ci mówiłem poprzednio, poznał tu moją matkę. Zamieszkali w małym domku na terenie odgrodzonym tylko drucianą siatką od reszty klubu. Na początku ojcu podobała się praca. Przebywanie wśród łodzi, między żeglarzami było mu niezbędne do życia. Ale praca była nonsensowna. Członkowie klubu nie potrzebowali doświadczonego żeglarza, który by nauczył żeglowania ich zepsute, rozpuszczone dzieciaki; potrzebowali niańki do dzieci. Ludzie należący do klubu w gruncie rzeczy nie są zainteresowani żeglarstwem. A nawet nie lubią żeglować. Lubią za to pokazywać się na swoich jachtach i demonstrować wokół swoje znaczenie. Mój ojciec był dla nich ulubioną brytyjską małpką. „Paddy, mój chłopcze” mówili. Zwracali się do niego „chłopcze”, chociaż miał już czterdziestkę. „Zabierz moją żonę i dzieciaki na małą przejażdżkę łódką, dobrze, Paddy?” Albo: „Dopilnuj, żeby na moim jachcie był zapas trunków, dobrze, Paddy?” Albo: „Nie ma potrzeby, żebyś przychodził na barbecue dziś wieczorem, Paddy. To będzie prywatne przyjęcie - tylko dla członków klubu”. Nie wiem, jak udawało mu się tak długo znosić takie traktowanie. Chociaż nie, wiem.

- Jak?

- Za dużo pił.

- Musiało ci być ciężko.

- Było.

- Dlaczego nie rzucił pracy w klubie i nie zabrał cię z powrotem do Anglii?

- Zakochał się.

- Och.

- I tu właśnie na scenę wkracza twój przyjaciel Alistair. Jeśli jednak nie sprawi ci to różnicy, chętnie odłożyłbym na kiedy indziej ciąg dalszy tej historii. Jestem trochę zmęczony. Ciężki dzień przede mną. Robię zdjęcia dwóch domów.

Cullie wstał z łóżka i przeciągnął się.

- Nie masz nic przeciwko temu, abym sprawdził nagranie na mojej automatycznej sekretarce? - powiedział.

- Proszę bardzo. Telefon jest tam.

Zeszłam na dół, żeby przygotować herbatę, a kiedy wróciłam, Cullie rozebrany leżał w łóżku.

Odstawiwszy herbatę na stolik nocny, rozebrałam się i położyłam obok niego.

- Wszystko w porządku? - zapytałam. - Wyglądasz na trochę przygnębionego.

- Przepraszam. I bez mojej skwaszonej miny masz dużo na swojej głowie.

- Znam sposób, żebyś przestał być skwaszony - drażniłam się. Pocałowałam go w usta i przytuliłam się do niego nagim ciałem. Potem sięgnęłam w dół, aby dotknąć jego członka. Był miękki. - Zaraz wracam - szepnęłam mu do ucha, po czym zanurkowałam pod kołdrę, wzięłam zwiotczały penis w usta i zaczęłam ssać jak szalona.

- Mmmmm - jęknął po paru sekundach mojej działalności. - Z każdą minutą staję się coraz mniej skwaszony.

- Cieszę się - mruknęłam. Trudno jest wyraźnie

wymawiać słowa, mając męski organ głęboko w ustach.

Nadal masowałam ustami twardy teraz jak kamień członek Culliego, a dłonią pieściłam jego jądra. Jego oddech stał się szybszy. Zaczął kręcić biodrami.

- Szybciej, szybciej - stęknął nagle.

O Boże, pomyślałam. Chce szczytować w moich ustach. Nigdy nie uprawiałam seksu oralnego z moim pierwszym mężem. A w czasie tych paru prób z San-dym, zawsze w odpowiednim czasie uprzedzał mnie, żebym zabrała usta i kończył sprawę w mojej dłoni. Ale to było moje nowe wcielenie. Nowa, otwarta, szukająca przygód ja. Nie stchórzę. Nie wycofam się. Nie odmówię Culliemu tego, co, według wszelkich przeczytanych przeze mnie artykułów i obejrzanych programów telewizyjnych, było podstawową rozkoszą dla mężczyzny: złożenie nasienia w ustach ukochanej.

Lizałam więc coraz szybciej i szybciej. W górę i w dół. W górę i w dół. Nie zbierało mi się na wymioty.

- O Boże. O Boże. Kochanie. Ja... ahhhhhhhhh! Równocześnie z odgłosem „ahhhhhhhh” Cullie wystrzelił cały wulkan płynnej lawy.

No już, łykaj to, ty głupia kuro, łąjałam się. Nie może być gorsze w smaku niż marynowany śledź w śmietanie, do jedzenia którego zmuszała cię w dzieciństwie matka.

Policzyłam do trzech i przełknęłam esencję Culliego. Wcale nie była taka paskudna, jak śledź w śmietanie. W gruncie rzeczy przypominała mi smak cierpkiego ciasta cytrynowego.

Zadowolona i dumna z siebie wynurzyłam się spod przykrycia i wróciłam na swoje miejsce na poduszce, obok Culliego.

- Dziękuję - szepnęła i pocałował mnie w usta. - Czy jest jakiś sposób, żeby ci się zrewanżować?
 - Jest, ale mówiłeś, że jesteś zmęczony, że masz jutro dwa domy do obfotografowania.
 - Jutro będziemy się martwić jutrzejszym dniem. Jeszcze nie skończyłem na dzisiaj.
- I nie skończył.

13

- Masz ochotę pojechać ze mną dziś rano robić zdjęcia? - zapytał Cullie, gdy piliśmy kawę w mojej kuchni. - Będę fotografował dla Prestige Properties dom w Layton Harbor, tuż obok tego mauzoleum, które Alistair Downs zwie swoją siedzibą.

- Koło Na Zawsze?
- Dokładnie.
- Nie będę przeszkadzała?
- Skąd.
- A dziennikarze telewizyjni i detektywi, którzy wszędzie jeżdżą za mną?
- Mam ich gdzieś.

Do portu pojechaliśmy jeepem Culliego. Był rześki, słoneczny poranek końca lutego i miałam radosny nastrój; byłam podniecona możliwością obserwowania Culliego przy pracy.

- Widzisz, Sonny? - odezwał się Cullie, pokazując coś przez okno po mojej stronie. Jechaliśmy drogą, z której rozciągał się widok na doskonały, godzin najlepszego płótna, port. - Dom, który będziemy fotografować, znajduje się tuż za Na Zawsze.

Gdy zbliżaliśmy się do posiadłości Alistaira, z bramy wjazdowej wyjechał z rajdową szybkością czarny cadillac. - Uważaj, Cullie! Ten samochód zaraz nas stuknie! - wrzasnęłam.

Cullie zбочzył w lewo, żeby uniknąć zderzenia z nadjeżdżającym autem, które prawie otarło się o moją stronę jeepa. Z piskiem hamulców zatrzymaliśmy się po niewłaściwej stronie drogi, tymczasem kierowca cadillaca odjechał, nie zatrzymując się.

- Kurczę, ale mamy szczęście - powiedział Cullie

i oparł głowę na kierownicy, żeby się jakoś pozbierać. - Nic ci nie jest?

Byłam oszołomiona, ale nie możliwością zderzenia, którego cudem uniknęliśmy. O zawrót głowy przyprawiło mnie uprzytomnienie sobie, że osobą, która niemal nas rozjechała, była moja matka - lub ktoś bardzo do niej podobny. - Cullie, czy przyjrzałeś się kierowcy cadillaca? - spytałam.

- Nie bardzo. Widziałem tylko, że to kobieta.

- Tak, i jestem prawie pewna, że tą kobietą była moja matka.

- Co by twoja matka robiła u Alistaira Downsa? Nigdy nie wspominałaś, że się przyjaźnią.

- Nie przyjaźnią się. I dlatego to jest takie dziwne.

- Czy twoja matka jeździ czarnym cadillaciem?

- Tak.

- Świetnie. Ale to niczego nie dowodzi. Mnóstwo ludzi jeździ cadillacami. Czy twoja matka jest fatalnym kierowcą?

- Nie. Dobrze prowadzi.

- Cóż, kobieta, która omal nas nie staranowała, była fatalnym kierowcą. Pewnie nie była to więc twoja matka.

- Mówię ci, że to ona. Dowodem może być dym w samochodzie. Moja matka pali jak smok. Nigdzie się nie ajsza bez swoich winstonów.

- Dobrze, a więc to była twoja matka, i nie jest wcale tak dobrą kierowcą, jak myślałaś. Ale co robiła w domu Alistaira?

- To, mój miły panie, jest bardzo dobre pytanie. W ciągu jedenastu lat mojej pracy w gazecie Alistaira matka nigdy nie napomknęła, że znała czy choćby spotkała kiedyś senatora. W rzeczywistości często wyciągała ode mnie informacje o nim - jak wygląda, co o nim sędzę, czy „stale towarzyszył” jakiejś konkretnej kobiecie i tym podobne rzeczy. Czemu więc wyjeżdżała z ogromną prędkością z jego domu o dziesiątej rano? Najłagodniej mówiąc, byłam zaintrygowana.

- Chcesz pojechać za nią i zapytać, co tu robiła?

- zaproponował Cullie.

Kusiło mnie. Ale Cullie miał dom do sfotografowania i nie chciałam, żeby z mojego powodu się spóźnił. - Zadzwońię do niej zaraz po powrocie

- powiedziałam, zastanawiając się, jak długo potrważą zdjęcia i jak długo uda mi się spokojnie czekać, aż będę mogła uzyskać od matki odpowiedzi na parę pytań.

Dom, który Cullie miał fotografować dla Prestige Properties, nie był ani w stylu kolonialnym, ani klasycystycznym, ani w stylu Tudorów. Najbliżej mu było do neogotyku. Ta masywna budowla o powierzchni co najmniej dwóch tysięcy trzystu metrów kwadratowych powstała niedawno, miała jednak wyglądać tak, jakby stała tam od czasów średniowiecza.

- Kto pragnie domu z wieżyczkami? - zapytał Cullie, wyładowując swój sprzęt z jeepa. - Czy ci ludzie nie wiedzą, że to Connecticut? Wybrzeże Connecticut? Warowne wieże nie są tu chyba potrzebne, prawda?

Roześmiałam się. - Bądź grzeczny. Nie każdy został obdarzony twoim nienagannym gustem.

- To nie ma nic wspólnego z gustem. To po prostu przesada.

Cullie nie żartował. Nawet ja, dawna Królowna Zbytku, byłam przygnieciona ostentacją tej budowli którą, nawiasem mówiąc, właściciele nazwali Kolosem.

- Ile kosztuje ta kruszynka? - spytałam.

- Sześć milionów.

- Kpisz sobie ze mnie? Nie wygląda, żeby tu było więcej niż cztery tysiące metrów kwadratowych ziemi.

- To prawda, za to większość zajmuje dom Poczekaj, to zobaczysz.

Cullie miał rację. Dom był gigantyczny - i nigdy chyba nie spotkałam czegoś równie przesadnego. Gdzie tylko spojrzałam, widziałam marmury, lustra i złoto, i znów następne marmury, lustra i złocenia. Pokoje były olbrzymie, ponad dwunastometrowej wysokości. W kuchni stał nie jeden, ale trzy zestawy składające się z kuchenki, zmywarki do naczyń i lodówko-zamrażarki. W hallu znajdowały się niejedna ale dwie łazienki dla gości - pokój-gotował ni a dla pan i odrobinę mniejszy salonik dla panów - obie z kominkami. Na piętrze główna część mieszkalna, do której wchodziło się po oświetlonych przez okno w suficie marmurowych schodach, nie składała się

z sypialni z łazienką, lecz z trzech - do tego dochodziły garderoby, studio, trzy kominki i w pełni wyposażony salon kąpielowy. Na drugim piętrze, gdzie można było dotrzeć windą, mieściły się trzy sypialnie, każda z łazienką i kominkiem oraz pięć pokoi dla służby z łazienkami, normalnej wielkości kuchnia i salonik.

- Uf! Jestem wyczerpana - powiedziałam, kiedy odbyliśmy z Culliem wycieczkę. Właściciele domu to para bardzo energicznych, kosztownie ubranych, pracujących zawodowo ludzi, którzy oświadczyli, że muszą pędzić na spotkanie, ale wrócą i sprawdzą wszystko w czasie przerwy śniadaniowej. - Dlaczego sprzedają ten dom? - zapytałam. - Za mały dla nich?

- Kupili go w beztróskich latach osiemdziesiątych. Teraz cierpią na brak pieniędzy, tak jak ty.

- Oboje pracują. Czyż nie mówili, że są maklerami giełdowymi?

- Że byli maklerami. Zwolniono ich.

- To o co chodziło z tym spotkaniem, na które musieli biec?

- Chodzi o spotkanie cierpiących, wylanych z pracy pracowników umysłowych. No wiesz, taka grupa terapeutyczna dla kadry kierowniczej, która straciła pracę.

- Aha. A skąd to wszystko wiesz?

- Od agenta. Pośrednicy w handlu nieruchomościami wiedzą wszystko o sprawach prywatnych każdego i nie mają nic przeciwko podzieleniu się tą wiedzą z innymi. - Tego już doświadczyłam. -

Wzdrygnęłam się na myśl o tym, jaki kapitał zbije Janet Claiborne na mojej obecnej popularności.

Tego ranka zadanie Culliego polegało na sfotografowaniu kolosalnego salonu Kolosa - pokoju, za-

wierającego, bez żartów, co najmniej siedemdziesiąt pięć mebli we wszystkich możliwych stylach ze wszystkich okresów. Krzesła, stoły, sofy i co tylko może przyjść do głowy. W pokoju znajdowały się też liczne i bardzo duże kamienne figury nagich kobiet o tak wydatnych biustach, że nie sposób było na nie nie wpaść. Jednak największą trudność przy fotografowaniu stanowiły lustra. Były wszędzie, nawet na trzymetrowej półce nad kominkiem.

- Jak mam zrobić tu zdjęcia, jeśli bez względu na to, gdzie umieszczę reflektory, zawsze będą odbicia'? - zapytał.

Wzruszyłam ramionami.

Następne dwie godziny Cullie zużył na przestawianie mebli, zonglowanie światłem i próbowanie wszystkiego, aby uzyskać zdjęcie bez odbić. Widziałam że jest rozgoryczony, kiedy opadł na jedną z kilkunastu kanap w pokoju i rzekł: - Gdyby to nie był luty powiedziałbym, żebyśmy machnęli ręką na to składowisko i poszli popływać.

Pocałowałam go. - Jest południe. Teraz słońce jest po drugiej stronie domu. Czy dzięki temu będzie łatwiej fotografować?

- Niespecjalnie, ale jeszcze popróbuje. Przynajmniej właściciele nie siedzą mi na karku.

Błąd. Cullie nie zdążył skończyć tego zdania gdy pojawili się państwo Eks-Maklerzy.

- Zastanawialiśmy się - powiedział pan Eks-Makler przechadzając się w tę i z powrotem przed Culliem. Zajęcia w grupie terapeutycznej nie pozbawiły go poczucia wyższości. - Chcielibyśmy, aby pan wrócił i sfotografował salon później.

- Ile później? Mam jeszcze inne prace do zrobienia

- odparł Cullie, najwyraźniej nie w nastroju, żeby akceptować wtrącanie się.
- Koło trzeciej w nocy - powiedział pan Eks-Makler.
- O trzeciej w nocy? Zwariowaliście? - parsknął Cullie.
- Sprawdziliśmy w kalendarzu - wyjaśnił pan Eks-Makler, ignorując wybuch Culliego. - Dziś w nocy będzie pełnia. O trzeciej w nocy światło księżycy powinno wpadać przez okna do salonu, dając wyjątkowo dramatyczną poświatę w całym pomieszczeniu, umożliwiającą zrobienie wspaniałego zdjęcia.

Pełni niedowierzania popatrzyliśmy na siebie z Culliem, z całych sił usiłując nie wybuchnąć śmiechem. Wróciłam myślami do tego, jak pretensjonalnie potraktowałam kiedyś Culliego i pokręciłam głową. Nic dziwnego, że jest taki wojowniczy, pomyślałam. Wielu ludzi z pieniędzmi jest kopniętych.

- Ludzie, posłuchajcie - powiedział gorączkowo.
- Będę fotografować wasz salon teraz. Nie o trzeciej w nocy. Nie o trzeciej po południu. Teraz. Zdjęcie wyjdzie świetnie, nawet bez pełni i sprawi, że każdy zapragnie kupić wasz dom. Dobrze?

Państwo Eks-Maklerzy krzywili się. - Fotografowie

- usłyszałam, jak mąż mruczy do żony - są jedną wielką zgrają primadonn.

Chwilę później zadźwięczał dzwonek u drzwi. Wyjrzałam przez okno salonu i dostrzegłam ogromną ciężarówkę, zaparkowaną tuż pod domem.

Państwo Eks-Maklerzy poszli otworzyć drzwi. Po chwili usłyszeliśmy z Culliem krzyki, później płacz. Potem do salonu wkroczyli czterej mężczyźni i za-

częli wynosić siedemdziesiąt pięć mebli i ładować na ciężarówkę. Byliśmy zaintrygowani.

- Co się tu, do diabła, dzieje? - zapytał Cullie Mam zrobić zdjęcia. Jak mam fotografować pokój bez mebli?

- Nic nie można na to poradzić - z trzęsącą się dolną wargą odparł pan Eks-Makler. - Bank wybrał ten dzień, żeby zająć wszystkie nasze meble.

Zrobiło mi się słabo - ze względu na tych ludzi i ze względu na siebie. Z tego, co wiedziałam czterech facetów z ciężarówką, wysłanych przez Layton Bank&Trust Company w celu zajęcia moich mebli mogło właśnie czekać przed Klonowym Dworkiem. To była tylko kwestia czasu.

- Coś wam powiem - Cullie zwrócił się do właścicieli znacznie łagodniejszym tonem niż chwilę wcześniej. - Wrócę tu o trzeciej w nocy i sfotografuję wasz salon - z meblami czy bez. Zrobimy z tego zdjęcia artystyczne, ukazujące to pomieszczenie jako architektoniczne arcydzieło, jakim niewątpliwie jest Będzie dobrze, w porządku?

Pan Eks-Makler był tak poruszony propozycją Cul-hego, że się rozplakał. - Brak mi słów, żeby wyrazić moją wdzięczność - powiedział. - Jeśli te zdjęcia pomogą sprzedać Kolosa, uratuje nam pan życie

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie. Potem spakowaliśmy z Culliem jego sprzęt i wyszliśmy. Już w jeepie w drodze powrotnej do Klonowego Dworku pochyliłam się i pocałowałam go w brodaty prawy policzek.

- Przyjemnie będzie wrócić tam o trzeciej nad ranem z takim miłym facetem jak ty i sfotografować dom nieszczęsnego drania - ze wszystkimi wieżyczkami i innymi ozdóbkami - powiedziałam.

- Jestem głupim facetem - poprawił mnie. - Będę sterczał w pełnej luster potworności, zgięty nad aparatem o trzeciej w nocy, zamiast leżeć z tobą w ciepłym, przytulnym łóżku. To głupota!

Przed powrotem o trzeciej w nocy na zdjęcia do Kolosa Cullie miał sprawy do załatwienia, klientów do obsłużenia i spotkanie z przyjacielem na kolacji, toteż pocałował mnie na do widzenia, obiecał spotkać się ze mną następnego dnia i wysadził mnie przed Klonowym Dworkiem.

Weszłam do środka, przesłuchałam nagrania z automatycznej sekretarki i znalazłam sześć wiadomości: trzy z telewizji, błagające mnie o podanie przed kamerami „prawdy o zamordowaniu Melanie Moloney”; jedną od Todda Bennetta, pytającego, czy powiedziałam policji o jego kłótni z Melanie; jedną z Layton Bank&Trust Company, informującą, że jeśli nie zapłacę raty kredytu w przyszłym miesiącu, zostanie wszczęta procedura przejęcia domu; i jedną od detektywa Corsiniego, z prośbą, abym odwiedziła komendę i odpowiedziała na następne parę pytań.

Musicie wszyscy poczekać, powiedziałam na głos, wybierając numer mojej matki.

- Halo - odezwała się.

- Cześć, mamusiu. To ja. Czy byłaś dzisiaj rano w domu Alistaira Downsa? - Wydawało mi się, że najlepiej będzie zadać pytanie wprost, ale przygotowałam się na zaprzeczenie.

- Dlaczego pytasz?

- Bo widziałam cię wyjeżdżającą z jego bramy. Prawie zderzyłaś się z samochodem, którym jechałam.

- Czyżbyś przeprowadzała śledztwo, kochanie¹?
- Odpowiedz na pytanie. Byłaś u niego w domu dziś rano czy nie?
- Prawdę powiedziawszy, byłam.
- Ale dlaczego? Nawet nie znasz tego człowieka
- Zrobiłam to dla ciebie.
- O czym ty mówisz?
- O czym mówię? O tym, że w czasie naszej kolacji w klubie opowiedziałas mi, że Bethany Downs wyrzuciła cię z gazety. Doszłam do wniosku, że najwyższy czas wstawić się za tobą.
- Nie rozumiem.
- Odwiedziłam senatora, prosząc go, aby cię przyjął z powrotem.
- Dotychczas nigdy nie przejmowałaś się moim życiem zawodowym.
- Bo nigdy dotąd nie musiałaś pracować jako pokojówka. Służąca! Jak mogłabym stać z boku i pozwolić swojej córce zmarnować życie? Alison, kochanie, musiałam coś zrobić. Postanowiłam, że nadszedł czas zaangażować się w twoją pracę dziennikarki
- 1 dlatego spotkałam się z Alistairem Downsem
- Chwileczkę, mamusiu. Sądysz, że uwierzę iż podniosłaś słuchawkę, zadzwoniłaś do Alistaira przedstawiłaś się jako matka jednej z jego dziennikarek - którą z trudem kojarzy - i wprosiłaś się do jego posiadłości na krótką pogawędkę?
- Dokładnie tak było. Matka musi robić to, co do niej należy.
- A on powiedział *Ależ oczywiście, pani Waxman Czy już pani jedzie?*
- Tak, istotnie to powiedział. Senator jest uprzejmym, pełnym zrozumienia człowiekiem, kochanie.

Ho, ho. - Co powiedziałaś Alistairowi? Co on ci powiedział?

- Powiedziałam mu, że masz największy talent literacki ze wszystkich jego pracowników; że wszyscy w klubie czytają twoje wywiady od deski do deski; że ucierpi całe miasto, jeśli pozbawieni zostaniemy twoich artykułów.

- Naprawdę to powiedziałaś, mamusi? - Byłam zaszokowana. Moja matka nigdy, naprawdę nigdy, nie interesowała się moją pracą, a cóż dopiero mówić o pochwałach. - Jak zareagował Alistair? - spytałam.

- Był czarujący, doprawdy przemiły. Ale nic nie obiecał, kochanie - powiedziała, zaciągając się papierosem. - Był straszliwie zajęty. Jest senatorem, rozumiesz sama.

- Był senatorem. - Aktualnie mógł się pochwalić tytułem wydawcy „The Layton Community Times”

i komandora jachtklubu Sachem Point. - A więc nie zadeklarował, że przyjmie mnie z powrotem do redakcji?

- Ale nie powiedział, że nie przyjmie.

- Czy była tam Bethany?

- Poszłam, kiedy się pojawiła.

- Czy dlatego opuszczałaś jego posiadłość w takim pośpiechu? Jeśli tak, to świetnie to rozumiem.

Uwierz mi na słowo - jej towarzystwo nie należy do przyjemności.

- Przebywanie w jej towarzystwie. Nie, nie należy.

- Cóż, nie wiem, co powiedzieć - przerwałam. Czy powinnam nakrzyczeć na moją matkę, że się wtrąca, czy też podziękować jej za próbę pomocy? Nadal nie byłam pewna, jaki był prawdziwy powód jej wizyty u Alistaira, musiałam jednak uznać, iż jeśli jej spot-

kanie z nim miałoby mi przywrócić pracę, należało się jej podziękowanie.

- Nie musisz nic mówić - powiedziała. - Chcę tylko, żebyś wiedziała, że twoja matka zawsze będzie przy tobie.

Może naprawdę zależało jej na moim dobru. Może był to początek nowych stosunków między matką i córką, opartych na zaufaniu, wspólnej odpowiedzialności i wzajemnym szacunku.

- Oczywiście, w dosłownym sensie, nie będę zawsze przy tobie - dodała. - Starzeję się i mój czas na tej ziemi kurczy się. - Zaciągnęła się winstonem, potem wypuściła dym. - I dlatego tak ważne jest, żebyś odzyskała swoją posiadkę w gazecie.

Posadkę. Załamalam się.

- Widzisz, kochanie - kontynuowała - związanie nazwiska z „Community Times” ma pewne znaczenie w mieście. To świetny sposób, żeby zwrócić na siebie uwagę ważnych osób - ludzi, którzy będą mogli cię wesprzeć, gdy mnie już nie będzie.

- Ludzi? Masz na myśli mężczyzn? - zaczynałam pojmować intencje mojej matki. Nie chodziło jej o moją karierę. Chodziło o bogatych mężczyzn, których łatwiej mi będzie upolować dzięki mojej pracy.

- Tak. Wpływowych mężczyzn. Takich jak Sandy. Nie zapominajmy, że poznałaś go dzięki swojej pracy w gazecie.

- Nie zapominajmy.

- I nie zapominajmy, co ci stale powtarzałam, gdy byłaś jeszcze małą dziewczynką. Pieniądze to bezpieczeństwo. Pieniądze są ochroną przed wszelką krzywdą na świecie. Pieniądze są... cóż, sama znasz

moją filozofię życiową: nieważne, kim jesteś, ważne, co posiadasz.

Co zrobić, kiedy rodzona matka przedstawia swoją filozofię życiową: nieważne, kim jesteś, ważne, co posiadasz? Przerywasz rozmowę, próbujesz przywrócić jej choć odrobinę zdrowego rozsądku, albo dochodzisz do wniosku, że choćbyś nie wiem co robiła, i tak nic nie pomoże.

- Ktoś dzwoni do drzwi, mamó. Muszę iść - tak wyglądało moje rozwiązanie.

Po odpowiedzeniu na wiadomości pozostawione na mojej sekretarce automatycznej (z wyjątkiem tej od detektywa Corsiniego), zjedzeniu spóźnionego lunchu i uporządkowaniu domu doszłam do wniosku, że przyszedł wreszcie czas na lekturę rękopisu Melanie. Pobiełam do garażu, wyciągnęłam około tysiąca kartek z samochodu i wtargałam pudełka do sypialni na górę. Chwyciłam pierwszych pięćdziesiąt stron, wyciągnęłam się na łóżku i w nerwowym oczekiwaniu oblizałam wargi. Dobra, Melanie, pomyślałam. Zobaczmy, co wygrzebałaś na temat Alistaira i kto mógł cię zabić, żeby zachować to w sekrecie.

Zgodnie ze spisem treści biografia została podzielona na trzy główne części i każda z nich dotyczyła innego aspektu życia Alistaira P. Downsa. Była część opisująca jego karierę filmową, inna koncentrowała się na karierze politycznej, zaś ostatnia nosiła prosty tytuł „Sprawy osobiste”.

Czytałam powoli, wolno trawiając każde słowo, ostrożnie, aby nie przegapić nawet najmniejszej rewelacji czy choćby drobnej poszlaki. Do piątej przeczytałam zaledwie jedną czwartą części poświęconej

hollywoodzkiemu okresowi życia Alistaira i byłam zdumiona marnością czytanego materiału - i jego bohatera.

Największe zaskoczenie, rewelacja, która z pewnością byłaby szeroko omawiana w ogólnokrajowych programach publicystycznych, to informacja, że po przybyciu do Hollywood Al Downey zaprzyjaźnił się ze zbirem, o nazwisku Frankie Fuccato, człowiekiem, który stał się potem jednym z najślawniejszych w kraju szefów mafii. Według Melanie przyjaźń Alistaira i Fuccato przetrwała do dziś. Dzięki związkom z mafią trafił najpierw do świata filmu, a potem również do Senatu.

Alistair członkiem mafii? Komandor jachtklubu Sachem Point i najukochańszy obywatel Layton gangsterem? Czy mafia mogła rąbnąć Melanie, aby ją uciszyć i ochronić swojego chłopca?

Zabierałam się za dalszą lekturę, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Cholera! Nie mogłam pozwolić, aby ktokolwiek odkrył, że mam manuskrypt.

Zebrałam kartki, wyniosłam wszystko na dół, do mojego pokoju do ćwiczeń i wcisnęłam w kąt sauny. Potem zamknęłam drzwi do sauny i pobiegłam zobaczyć, kim jest mój gość.

- Poczta, pani Koff - powiedział stojący przed drzwiami mężczyzna, który trzymał różne listy, gazety, czasopisma i w każdym calu wyglądał na amerykańskiego listonosza.

- Coś się stało ze skrzynką na listy? - zapytałam. - Dlaczego dzwoni pan do drzwi?

- Po prostu chciałem pomóc - powiedział. - Może wpuści mnie pani do środka, żebym mógł gdzieś położyć pani pocztę?

Kiedy, nie czekając na zaproszenie, zaczął wchodzić do domu, zauważyłam maleńki magnetofon w kieszeni pocztowego munduru.

- Zrobi pan jeszcze jeden krok i wzywam policję - oświadczyłam, wyciągając z jego kieszeni magnetofon i wymachując mu nim pod nosem.

- Hej. Proszę to oddać - krzyknął, a pogodny sposób bycia listonosza ustąpił miejsca desperackiemu zachowaniu dziennikarza z goniącego za sensacją programu telewizyjnego, który właśnie został zdemaskowany.

- Coś panu zaproponuję - powiedziałam. - Ubijmy interes. Pan da mi moją pocztę i zniknie stąd, a ja zwrócę panu magnetofon i zapomnę o wzywaniu policji.

Cisnął moją pocztę na podest i czekał, abym mu podała magnetofon. Nie podałam. Zamiast tego schyliłam się i podniosłam przesyłki, a potem wrzuciłam magnetofon w sam środek ośnieżonego krzewu rododendronu.

- Dlaczego... ty... ty - wybuchnął, wygrażając mi pięścią. - Powiedziałaś, że mi go oddasz!

- Skłamałam - powiedziałam i zatrzasnęłam mu drzwi przed nosem.

Wniosłam pocztę do domu i położyłam na blacie kuchennym. Instynktownie, zapomniawszy, że już nie pisuję dla „Community Times”, najpierw sięgnęłam po jego najnowszy numer. Główna wiadomość na pierwszej stronie brzmiała:

Nowe informacje ujawnione w czasie śledztwa w sprawie zamordowania Moloney. Artykuł donosił, że policja, pod wodzą detektywa Josepha Corsiniego z komendy policji w Layton,

pełną parą pracowała nad sprawą morderstwa Melanie. Według autora artykułu, bezpośrednią przyczyną śmierci był wylew krwi do mózgu. Policja przypuszczała, że Melanie została uderzona w tył głowy, gdy siedziała przy biurku, a cios był tak silny, iż uderzyła czołem o biurko, co spowodowało pęknięcie czaszki i w następstwie wylew. Aktualnie policja poszukiwała tępego narzędzia, którego najprawdopodobniej użył morderca.

W dalszej części artykuł stwierdzał, że niemal każdy człowiek, odgrywający jakąś rolę w życiu Melanie już był, bądź będzie wkrótce przesłuchany przez detektywa.

Wśród mieszkańców Layton, którzy rozmawiali już z detektywem Corsinim - donoszono - znajduje się Alison Koff, gosposia pani Moloney; Todd Bennett, jej asystent oraz wydawca „Community Times”, Alistair P. Downs, bohater jej mającej się właśnie ukazać książki. Z tej trójki jedynie senator Downs może dowieść, co robił w nocy, gdy popełnione zostało morderstwo. Pani Koff i pan Bennett utrzymują, że tamtej nocy byli sami w swoich domach, ale nie mają nikogo, kto by potwierdził ich alibi. Tymczasem senator Downs twierdzi, że spędził wieczór w domu swojej przyjaciółki, zaś kobieta przyznała, że senator towarzyszył jej owej nocy. W rezultacie senator Downs jest wolny od podejrzeń w tej sprawie.

W porządku, a więc był z przyjaciółką tej nocy, kiedy zabito Melanie. Może miał kogoś, kto rąbnął w łeb diabelną autorkę biografii - może mafijnego

specjalistę od mokrej roboty? Szybko się przekonywałam, że wszystko jest możliwe. Nawet w bogatych osiedlach podmiejskich.

I kim była ta przyjaciółka? Dlaczego nie podano jej nazwiska? Pewnie dlatego, że Alistair polecił Corsiniemu nie zdradzać jej tożsamości. Alistair dostaje wszystko, czego zapragnie.

Naprawdę wkurzył mnie ton artykułu. Jak gazeta mogła sugerować, że Todd albo ja mieliśmy coś wspólnego z morderstwem? Przykład stronniczego dziennikarstwa. Powód, by wnieść sprawę o zniesławienie!

Naturalnie artykuł nie był podpisany. Bethany była zbyt wielkim tchórzem, żeby umieszczać pod tymi brudami swoje nazwisko, ale wiedziałam, że to ona jest za nie odpowiedzialna. Wszędzie zostawiła ślady swoich lepkich od pączków paluchów.

Odłożyłam gazetę i podeszłam do telefonu, żeby odpowiedzieć na telefon detektywa Corsiniego. Kierunek, jaki przybierało prowadzone przez niego śledztwo, przyprawiał mnie o nerwowość. Wiedziałam, że powinnam wziąć prawnika - bardzo dobrego prawnika - ale jak mu miałam zapłacić? Przypadek morderstwa był zbyt skomplikowany dla umiających się procesować o duże odszkodowania adwokatów z firmy Jacoby&Meyers. Nie miałam ochoty na adwokata z urzędu, który prowadzi sprawę za darmo, ale niekoniecznie ma potrzebne kwalifikacje. Ponadto, po doświadczeniach związanych z namówieniem mnie do podpisania tej fikcyjnej intercyzy przez kosztownego adwokata Sandy'ego, nie byłam najlepszego zdania o prawnikach. Gdyby się tak zastanowić,

nie wiedziałam, kto stał niżej - prawnicy czy sępy dziennikarskie, kocujące przed moim domem.

- Corsini - zabrzmiał głos w słuchawce.

- Tu Alison Koff, detektywie. Pozostawił pan wiadomość, że chce mi pan zadać jeszcze parę pytań.

Całkiem szczerze, powiedziałam już panu wszystko, co wiem o Melanie i dniu, w którym zginęła.

- Musi pani przyjść jeszcze raz na posterunek. Zrobimy testy narkotykowe. Chcielibyśmy zrobić analizę moczu i coś tam jeszcze.

- Narkotyki? Nigdy w życiu nie brałam narkotyków! - Hmm, nie całkiem. Nie można jednak brać pod uwagę marihuany i haszyszu, które paliłam w szkole średniej.

- Nie ma pani obowiązku poddać się tym testom, pani Koff. To zależy wyłącznie od pani. Ale na pani miejscu zgodziłbym się na nie - oczywiście jeśli zależy pani na oczyszczeniu się z zarzutów.

- Oczywiście, że się zgadzam. Będę współpracować z policją w prowadzonym śledztwie, jak tylko będę umiała.

- Świetnie. Będziemy także potrzebowali próbki pani włosów.

- Z odżywką czy bez?

- Co pani powiedziała?

- Powiedziałam „Moje włosy i ja stawimy się za chwilę”.

Gdy wyjeżdżałam z Klonowego Dworku, moje porsche musiało torować sobie drogę przez tłum dziennikarzy i fotoreporterów, tłoczących się przed domem. Zastanawiałam się, kiedy wreszcie dotrze do tych sępów, że nie zamierzam z nimi rozmawiać i znikną. Potem zaczęłam rozważać, kiedy moje życie stanie się na powrót normalne. A potem zastanawiałam się, co właściwie oznacza normalność.

Gdy pojawiłam się na posterunku policji, pod drzwiami gabinetu detektywa Corsiniego kłębił się drugi tłum dziennikarzy i fotoreporterów.

Kiedy poczciwy detektyw otworzył swoje drzwi, zasypali go pytaniami i wycelowali w jego stronę aparaty. Rozkoszował się każdą minutą tej sytuacji.

- Czy to prawda, że na miejscu zbrodni znaleziono narkotyki?
- Czy Melanie Moloney zażywała kokainę?
- Czy morderca sprzedawał jej kokę?

Słuchałam z niedowierzaniem. Melanie na kokainie? Nie mogłam uwierzyć w to, co słyszałam. Owszem, stale chodziła spięta i poirytowana. Zakładałam jednak, że cierpi na obstrukcję, przechodzi klimakterium albo po prostu taka się już urodziła. Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby jej okropne zachowanie kojarzyć z narkotykami.

Poza tym była okazem zdrowia. Nie paliła i nie piła, i regularnie ćwiczyła w pokoju gimnastycznym w swoim domu. Być może morderca brał narkotyki, ale byłam pewna, że nie Melanie. Albo może mafijny specjalista od mokrej roboty, wynajęty przez Alis-taira, celowo wysypał na jej biurko trochę kokainy.

- O co chodzi z tymi narkotykami? - szeptem spytałam jednego z reporterów.
- Dzisiejsze oświadczenie policji stwierdza, że podejrzewają, iż znaleźli kokainę na biurku Moloney
- poinformował mnie.
- Czemu pan powiedział, że policja podejrzewa, że znaleźli kokainę na jej biurku? Nie są pewni?

- Muszą wysłać materiał do zbadania.
- Jak długo to zajmie?
- Jakies sześć tygodni. Muszą to zrobić w laboratorium stanowym w Meriden.
- Sześć tygodni? Wtedy zabójca może już być w Bejrucie.

Reporter obrzucił mnie podejrzliwym spojrzeniem.

- Dlaczego zabójca miałby jechać do Bejrutu? Sądzi pani, że to libański terrorysta?

- Nie. Ja tylko żartowałam.

- Ach, rozumiem.

- Świetnie. - Facet wyraźnie potrzebował rozrywki. - To mi przypomniało jeszcze jeden kawał

- powiedziałam. - Znajduje się pan w jednym pokoju z seryjnym mordercą, terrorystą i prawnikiem i ma pan tylko dwa naboje w rewolwerze. Co pan robi?

- Nie mam pojęcia.

- Zabija pan dwukrotnie prawnika. I znów zdumione spojrzenie.

- Nieważne - powiedziałam reporterowi. - I tak ten kawał nie był zbyt śmieszny.

Od jakiegoś czasu nie opowiadałam kawałów. Może wyszłam z wprawy. Może straciłam wyczucie. A może facet był wielkim fanem prawników. Miałam poważniejsze zmartwienia - chociażby jak nasikać, żeby nie uwikłać się jeszcze bardziej w morderstwo Melanie. Kto mówił, że życie na przedmieściach jest nudne?

- Dałabyś się zaprosić dziś wieczorem na kolację? - zagaił Cullie. Gadaliśmy przez telefon już pół godziny, zabawiając się nawzajem opowiadaniem naszych najnowszych koszmarów - ja zrelacjonowałam produkcję próbki moczu na posterunku policji, on zaś swoje przeprawy z państwem Eks-Maklerami, którzy, kiedy o trzeciej w nocy zrobił zdjęcia ich salonu w świetle księżyca, zaczęli nalegać, aby poczekał jeszcze do wschodu słońca, bo dopiero wówczas zdjęcia oddadzą urodę pokoju.

- Zgoda, panie Harrington, ale nie chcę, żebyś zabierał mnie do lokali czy kupował rzeczy. Więcej już się nie bawię w takie układy.

- Słyszę. Ale szybka przekąska w McGavin's chyba nie zaszkodzi twojej świeżo zdobytej niezależności, prawda?

- W porządku. Wpadnij po mnie za godzinę.

Byłam zachwycona perspektywą spędzenia wieczoru z Culliem po następnym, wyprowadzającym z równowagi dniu z rękopisem Melanie, którego drugą część zdążyłam przeczytać tego ranka. Ponieważ ukryłam książkę w saunie, postanowiłam upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu i czytać rękopis, biorąc saunę. Niestety książka okazała się tak pochłaniająca, że pozostałam w saunie o wiele za długo i omal nie zemdlałam z gorąca.

W drugiej części książki znalazłam zdumiewające twierdzenie, dotyczące kariery politycznej Alistaira, o tym, że na początku lat pięćdziesiątych, kiedy był

coraz popularniejszym członkiem społeczności Hollywood, ten kandydat na senatora został informatorem w rządowej komisji Josepha McCarthy'ego, wskazywał komisji komunistów spośród swoich kolegów aktorów i przyczynił się do zniszczenia kariery niektórych czołowych artystów amerykańskich. Melanie utrzymywała również, że po kryjomu aktywnie wspierał różne organizacje rasistowskie i że prawdziwym powodem wycofania się z senatu była groźba publicznego ujawnienia jego zaangażowania w działalność takich grup.

Byłam wstrząśnięta. Zgoda, Alistair był konserwatywnym republikaninem. Podobne przekonania miała większość mieszkańców Layton. Ale członek mcarthowskich polowań na czarownice, a do tego rasista? Jeśli twierdzenia Melanie były prawdziwe, to ten człowiek był potworem! Zapomnijmy o koncepcji, że to mafia zabiła Melanie; prawdopodobnie Alistair uczynił to osobiście. Nieważne alibi, pewnie po prostu rąbnął ją w głowę, aby nie zepsuła mu reputacji. Może w nocy, gdy popełnione zostało morderstwo, nie był z kobietą. Może nie istnieje żadna „przyjaciółka”. Może Alistair wypisał detektywowi Josephowi Cor-siniemu czek na okazałą sumę, a Corsini, ten sprzedawczyk, sprokurował solidną bajeczkę, skrywającą prawdę.

Ależ szmata z tego Alistaira, rozmyślałam leżąc w saunie, osłabła na skutek utraty wody. I pomyśleć, że pracowałam dla niego. Pomyśleć, że moja biedna, niczego nie podejrzewająca mama wybrała się do jego domu, aby porozmawiać o mojej przyszłości w jego gazecie. Pomyśleć, że udało mu się zmylić całe nasze miasto - ba, cały nasz kraj - każąc ludziom wierzyć,

iż jest jakimś bohaterem, ideałem, przywódcą moralnym. I kto tu wspominał o robieniu cza-cza-cza!

O wpół do ósmej pojawiliśmy się z Culliem w McGavin's i od razu zostaliśmy posadzeni przy stoliku w rogu sali. - Czy chcieliby państwo coś do picia? - zapytał kelner.

- Rum Mount Gay z tonikiem - odpowiedzieliśmy równocześnie i roześmieliśmy się.

- Hej, od kiedy pijesz Mount Gay? - zadał pytanie Cullie.

- Od czasu nocy z homarem.

- Słucham?

- Nieważne. Doszłam do wniosku, że lubię Mount Gay. Doszłam do wniosku, że ciebie także lubię.

Cullie wyciągnął rękę i uściśnął moją dłoń. - Cieszę się - oświadczył i uśmiechnął się.

Zabieraliśmy się właśnie za studiowanie menu, kiedy dostrzegłam Julię, podnoszącą się ze stołka przy barze i idącą w stronę drzwi. Była sama. - Hej, Applebaum! - zawołałam do niej. Miałam nadzieję, że na nią wpadnę. Nie widziałyśmy się od czasu gdy wiadomości o śmierci Melanie i mojej pracy w charakterze służącej dostały się do środków masowego przekazu. - Julio! - krzyknęłam jeszcze raz, ale szła nadal, jakby mnie nie słyszała. - Julio! - ryknęłam i zamachałam rękami, żeby zwrócić jej uwagę. - Tutaj!

Przystanęła i popatrzyła w moją stronę, ale nie uśmiechnęła się ani nie kiwnęła głową.

- Hej, to ja, Alison. Przyłącz się do nas - krzyknęłam, kiwając, by podeszła do naszego stolika.

Wtedy obdarzyła mnie naprawdę dziwnym spojrzeniem - spojrzeniem złapanej w potrzask łani,

sugerującym, że przyłapałam ją na czymś, czego się wstydziła albo obawiała. - Cześć, Koff - powiedziała pospiesznie. - Muszę lecieć, przykro mi. - I wyszła z restauracji.

- Nie rozumiem - zwróciłam się do Culliego.

- Julia jest moją przyjaciółką. Nigdy mnie nie ignorowała.

- To nie wyglądało na ignorowanie - stwierdził.

- Raczej na unik.

- Wiem. Sprawiała wrażenie, jakby chciała ode mnie uciec. Czy to możliwe, żeby uwierzyła we wszystko, co napisano w gazecie? Czy to możliwe, żeby moja stara przyjaciółka Julia sądziła, że to ja zamordowałam Melanie?

- Jestem pewien, że to nie to, Sonny. Może była spóźniona na spotkanie i nie chciała tracić czasu na pogaduszki.

- Może. Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, odniosłam wrażenie, że się z kimś spotyka. Nie mogłam jej jednak zmusić, żeby mi powiedziała, kim jest ten tajemniczy mężczyzna.

- Musi istnieć jakieś racjonalne wytłumaczenie jej zachowania - stwierdził Cullie. - Nie pozwólmy, aby ten incydent zepsuł nam wieczór, dobrze?

- Zgoda.

Na szczęście Julia nie zrujnowała nam wieczoru. Niestety, omal tego nie uczynił ktoś inny.

Braliśmy właśnie z Culliem do ust pierwsze kęsy zamówionych cheeseburgerów, kiedy pojawił się Sandy ze swoją dziwką od przyjęć. Stanęli przy drzwiach, czekając na stolik, ubrani jak bliźnięta w ciemnowiśniowe kombinezony narciarskie. Wyglądali jak para bakłażanów.

- O Boże - przełknęłam. - Nie odwracaj się. Jest tu mój były mąż ze swoją pierwszą żoną w ciąży. To gwarantowane. Gdy ktoś ci mówi, żebyś się nie odwracał, odwrócisz się na pewno. Cullie wykręcił głowę, żeby spojrzeć na Sandy'ego i Soozie. - To jest twój były mąż? Facet z opalenizną? - zapytał.

- Tak. Dotarły do mnie wieści, że interesy w sklepie idą tak źle, iż pracuje na pół etatu w Layton Health Club, w zamian za bezpłatne korzystanie z ich łóżka samoopalającego. Zdumiewające, prawda?

Zanim Cullie zdążył odpowiedzieć, Sandy i Soozie zbliżyli się do naszego stolika. Co u diabła mój były drugi mąż robił w McGavin's, restauracji, którą określał zawsze jako melinę darmozjadów? W dawnych czasach jego noga by tu nie powstała.

- Dobry wieczór Alison - odezwał się Sandy.

- Miło widzieć, że wychodzisz z domu i korzystasz z rozrywek w tych trudnych czasach. A to musi być...

- Odwrócił się w stronę Culliego.

- To jest Cullie Harrington - powiedziałam. - Cullie, poznaj, proszę Sandy'ego Koffa i jego przyjaciółkę Dianę. - To była taka frajda, doprowadzić Soozie do szafu nazywając ją jej zniechęconym, prawdziwym imieniem.

- Miło mi - powiedział Sandy, potrząsając ręką Culliego. Ja i Soozie nie uścisnęłyśmy sobie rąk, tylko skinęłyśmy głowami.

- Co was sprowadza do McGavin's? - zapytałam. Sandy, którego znałam, preferował jadłodajnie słynne ze swoich dań, takich jak chrupiący rekin w sosie vinaigrette z karmelizowanymi szalotkami czy opiekany medalion jagnięcy z sosem gruszkowym i frytkami z selera.

- Otacza nas nowa rzeczywistość, Alison, która się zwie recesją - wyjaśnił Sandy swoim najbardziej mentorskim tonem. - McGavin's świetnie współgra z nową rzeczywistością. Właśnie mówiłem o tym Soozie po drodze: życie polega na rozwoju osobowości, a jądanie w McGavin's też składa się na ten rozwój. Rozwój osobowości polega na przekraczaniu granic, wychodzeniu ze schematów, jądaniu w restauracjach, w których nigdy wcześniej się nie jądło...

Po sposobie, w jaki Cullie ścisnął cheeseburgera mogłam poznać, że umierał z pragnienia wciśnięcia go w psychobelkoczącą buzię Sandy'ego. Udało mu się pohamować.

- Ależ Sandy - powiedziałam. - przecież nigdy nie znośiłeś restauracji, w których grano muzykę rockandrollową. - W McGavin's stała szafa grająca, z której bez przerwy płynęły przeboje z lat pięćdziesiątych, sześćdziesiątych i siedemdziesiątych i miałam duże trudności z wyobrażeniem sobie wytrzymującego z tą muzyką Sandy'ego. Nie znośił rockandrolla, a szczególnie muzyki soulowej. W czasach naszego małżeństwa nie pozwalał mi nigdy jej słuchać - nawet w samochodzie.

- Mają tu niezłe jedzenie - powiedział Sandy, dalej tłumacząc swoje pojawienie się w McGavin's. - Próbuję jakoś znieść tę muzykę w tle. Życie jest pełne czynników, które drażnią.

- Nie musisz mi mówić. - Dwa z nich stały właśnie przede mną.

Gotowość Sandy'ego do jądania w McGavin's nie była jego jedynym ustępstwem, związanym z recesją. Jego buty również wskazywały, że radykalnie zmienił styl życia. Tego wieczoru Sandy, dotychczas ubiera-

jący się w buty od Gucciego, Bally'ego czy Cole-Haana, miał na sobie parę tanich mokasynów. Byłam wstrząśnięta. Dawny Sandy nienawidził takiego obuwia. Razem z pogardą dla butów ze sklepów obuwniczych w centrach handlowych szło absolutne lekceważenie dla centów. Mówię poważnie. Sandy tak bardzo nienawidził centów, że gdy zaczynały mu się gromadzić w kieszeni, po prostu je wyrzucał. Próbowałam go przekonywać. „Sto centów daje jednego dolara”, mówiłam. On jednak mnie ignorował. Co dziwniejsze, w znacznie większym poważaniu miał monety pięcio- i dziesięciocentowe.

- Co tutaj masz, Curly? - rzucił Sandy, głodnym spojrzeniem wpatrując się w talerz Culliego.

- Jestem Cullie - Cullie z groźną miną poprawił Sandy'ego.

- Cullie. Wybacz mi. Co jecie dzisiaj wieczorem? Jakiś rodzaj pasztetu? Wygląda bardzo zachęcająco.

- To się nazywa cheeseburger. Dzisiejsza recesyjna specjalność.

Wybuchnęłam śmiechem i śmiałam się tak głośno, że wszyscy w lokalu odwrócili się, aby zobaczyć, co jest tak zabawne. A śmieszne było to, że mój eks-mąż tak oderwał się od rzeczywistości, że nie potrafił rozpoznać głupiego cheeseburgera. Nowa rzeczywistość, trele-morele.

Sandy wlepił we mnie wzrok. Potem, jakby przypomniawszy sobie, że biesiadnicy w McGavin's mogą go obserwować, zmusił się do błęgiego uśmiechu. - Zostań w pokoju - powiedział, układając palce w kształt litery V i pozdrawiając mnie znakiem z lat sześćdziesiątych, po czym odszedł ze swoją pierwszą żoną do własnego stolika.

- Byłaś żoną kogoś takiego? - odezwał się Cullie z uśmiechem.
 - Hej, zanim zabierzemy się za mojego byłego męża, przyjrzyjmy się może lepiej twojej eks-mażonce, co? - odparowałam.
 - W porządku. Wątpię jednak, aby Preston w niedługim czasie wkroczyła do McGavin's. Dotarły do mnie wieści, że mieszka w Kalifornii. Ściśle mówiąc, w La Jolla.
 - Opowiedz mi o niej - jeśli nie jest to zbyt bolesne.
 - Wcale nie jest. Nie widziałem jej dziewięć lat. A powiedzenie, że czas leczy rany, jest prawdziwe.
 - Poznałeś ją w jachtklubie Sachem Point, gdzie pracował twój ojciec?
 - Aha. Parkerowie należeli do klubu. Podejrzewam, że nadal należą. Preston uczyła się żeglować u mojego ojca, a że czasami mu pomagałem, uczyła się też ode mnie. Od słowa do słowa i zaangażowaliśmy się uczuciowo.
 - Czy była ładna?
 - Bardzo.
- Poczułam ukłucie zazdrości, wiedząc, że w związku ze swoją energią mogę uchodzić za atrakcyjną kobietę, ale nigdy nie piękną. - Zaczęliście chodzić ze sobą, kiedy nauczyłeś ją żeglować?
- Nie nazwałbym tego chodzeniem ze sobą. Nie wychodziliśmy nigdzie razem. Jej rodzice by się przerazili. Spotykaliśmy się potajemnie. Wykradała się do naszego domku w klubie podczas nieobecności mojego ojca. Albo umawialiśmy się w jakimś odludnym miejscu i jechaliśmy gdzieś razem. Tego typu rzeczy.

- Ale w końcu jej rodzice musieli się jakoś dowiedzieć. Pobraliście się, prawda?
- Pewnie, że się pobraliśmy. Uroczystość zaślubin odbyła się w ich kościele, przyjęcie zaś w jachtklubie. O naszym weselu mogłaś czytać w „Town & Country”, albo w „The New York Times”, w rubryce poświęconej wydarzeniom towarzyskim. To była wielka impreza. Znalazła się na niej cała rodzina Parkerów i wszyscy ich przyjaciele.
- A twoi przyjaciele i rodzina? Nie było tam Harringtonów?
- Paddy pragnął, żeby z Europy przyleciał jego brat i siostry, ale żadnego z nich nie było na to stać. Jestem przekonany, że Parkerowie byli z tego zadowoleni. Jeśli chodziło o nich, im mniej słychać było o Harringtonach, tym lepiej.
- Nie rozumiem. Skoro rodzice Preston byli tak bardzo przeciwni waszemu romansowi, to dlaczego wyprawili wam takie huczne wesele?
- Nie mieli wyjścia. Preston była w ciąży.
- Och. - Spojrzałam na resztki cheeseburgera na moim talerzu i straciłam apetyt. A więc Preston i Cullie mieli dziecko. Facet był pełen niespodzianek. - Dlatego się z nią ożeniłeś? Z powodu jej ciąży?
- Nie potrafię powiedzieć. Może zrobiłbym to i tak. Była dziką, impulsywną dziewczyną, spontanicznie podchodziła do życia, czego ja nie umiałem. Byłem nią zafascynowany.
- Gdzie jest teraz dziecko? Z Preston w La Jolla?
- Nie, Preston poroniła w miesiąc po naszym ślubie. Wtedy właśnie coś się zaczęło psuć w naszym związku.
- Tak szybko?

- Nie mieliśmy ze sobą nic wspólnego, poza żeglarstwem. Zająłem się fotografowaniem i zacząłem wyrabiać sobie nazwisko. Ona tymczasem spędzała dnie na lunchach z przyjaciółmi, wizytach u mamusi i tatusia i rozmyślaniu, kim chciałaby zostać, gdy dorośnie. Łączyła nas tylko woda, żeglowanie.

- Musiała więc być zachwycona, gdy pojechałeś do Maine kupić **MARLOWE**.

- Na początku była. Ta łódka miała być naszym wspólnym przedsięwzięciem. Mieliśmy ją razem wyremontować, a potem wspólnie na niej zamieszkać. Ale od pierwszej chwili, kiedy wynieśliśmy się z domu i osiedliśmy na **MARLOWE** można było zauważyć, że nie mamy rady. Jeśli chcesz się przekonać, czy pasujesz do jakiejś kobiety, zamieszkać z nią na łodzi.

- Zostawiła cię.

- Tak szybko, jak szybko wypowiada się zdanie „Tatusiu, znajdź mi dobrego adwokata od spraw rozwodowych”.

- Przykro mi.

- Niepotrzebnie. Nie byłem facetem dla niej. Facet, którego żoną jest teraz, nie tylko jest bilionerem, ale jeszcze właścicielem **SHARPSHOOTERA**.

- Co to jest **SHARPSHOOTER**?

- To osiemdziesięciostopowa, łódź wyścigowa, która trzy razy z rzędu zdobyła puchar w regatach Trans-Pacific. Krótko mówiąc, Sonny, facet otoczył Preston biżuterią i srebrnymi pucharami.

Dość podobnie traktował mnie Sandy. - Przykro mi - powtórzyłam.

Podszedł kelner i zabrał talerze, po czym zapytał nas, czy mamy ochotę na deser lub na kawę. Nie mieliśmy. Cullie uścił rachunek i odwiózł mnie do

domu. Kiedy podjechaliśmy pod Klonowy Dworek, powitał nas gniewny rój reporterów i kamer telewizyjnych - bardziej rozwścieczony i żądający niż kiedykolwiek.

- Alison, opowiedz nam, jak ją zabiłaś.

- Czy sprzedawałaś Moloney kokainę?

- Czy jesteś narkomanką?

Lawina pytań, teraz podsyconych dodatkowo nowiną o znalezieniu kokainy na biurku Melanie, zdawała się nigdy nie mieć końca. Nie wiedziałam, jak sobie z nimi poradzić. Miałam tak bardzo dosyć dziennikarzy - pał sześć policję - siedzących mi na karku, że chciało mi się wyć.

- Może powinnam uciec - odezwałam się do Culliego, gdy siedzieliśmy w jeepie, bojąc się wysiąść z samochodu i stanąć przed tym tłumem sępów. - Może powinnam ufarbować włosy, zmienić nazwisko i wyjechać na południe.

- Do Meksyku?

- Nie. Może na Florydę. Do Palm Beach. Cullie roześmiał się. - Mam lepszy pomysł. Może pozwolisz mi sobie pomóc?

- Właściwie, to wszystko twoja wina.

- Moja wina?

- Jasne. Gdybyś się nie uparł, żeby w nocy, gdy zamordowano Melanie, odwiedzić mnie o jedenastej do domu, te sępy czyhałyby pod domem kogoś innego. Gdybyś pozwolił mi spędzić noc na **MARLOWE**, miałabym alibi, potrzebne detektywowi Corsiniemu i żaden z tych głupków by mnie nie dręczył. Ale nie. Oświadczyłeś, że rano masz ważne zdjęcia do zrobienia i musisz zawieźć mnie do domu. Sam więc widzisz, że to twoja wina.

Cullie sprawiał wrażenie dotkniętego.

- Hej, ja tylko żartowałam. Nic nie mogłeś poradzić na to, że miałeś rano dużo roboty. Nie winię cię o nic, naprawdę.

- Na pewno?

- Na pewno. Chodź tutaj. - Przyciągnęłam twarz Culliego do swojej i pocałowałam go. - Oto coś, co powinno zainteresować kamery telewizyjne.

- Sonny, poważnie mówiłem, że chciałbym ci pomóc. Potrzebujesz miejsca, gdzie mogłabyś się schronić, miejsca, gdzie te bałwany nie będą cię nachodzić, gdzie będziesz mogła przeczekać, aż policja rozwiąże zagadkę morderstwa Melanie.

- Kamery telewizyjne są przenośnymi urządzeniami, mogą podążać za mną wszędzie.

- Ale nie na moją łódź. Poza tym kręcący się na przystani obcy nie są mile widziani. Strażnik pilnuje basenu co noc.

- Proponujesz, żebym zamieszkała z tobą na MARLOWE? - Byłam zdumiona. Spotykaliśmy się z Cul-liem zaledwie od paru tygodni. Zdawało mi się, że wspólne mieszkanie najmniej go interesuje.

- Nie denerwuj się, Sonny. To nie oświadczyły, ani nic w tym rodzaju. To po prostu sposób, żeby zapewnić ci odrobinę spokoju, abyś mogła się jakoś pozbierać. Łódź jest do tego idealnym miejscem.

- Nie wiem, co mam powiedzieć. Po wszystkim, co mi opowiedziałeś o sobie i o Preston, nie jestem pewna, czy lepiej nam wyjdzie dzielenie koi.

- Warto spróbować, nie sądzisz?

Zerknęłam na Culliego, potem na dziennikarzy biwakujących przed Klonowym Dworem, potem znów na Culliego. - Wygrałeś - powiedziałam. Cullie

sprawił wrażenie zadowolonego. - Ale nie dziś w nocy. Jutro rano.

- Czemu nie teraz?

- Muszę się spakować.

- Sonny, widziałaś Marlowe. To nie jest **QUEEN ELIZABETH 2**, to czterdziestostopowa łódź. Nie ma miejsca na wiele rzeczy, więc nie pakuj za dużo.

- Aj, aj, kapitanie. - Zrzuciłam Culliemu ręce na szyję i pocałowałam go. - Dziękuję - szepnęłam. - Za wszystko.

- Proszę bardzo. Mam po ciebie przyjechać rano?

- Niekoniecznie. Przyjadę sama na przystań. - Znów go pocałowałam. - Dobranoc, kapitanie.

- Dobranoc, marynarzu.

Wysiadłam z jeepa i przedarłam się przez tłum dziennikarzy i ekip telewizyjnych, aż dotarłam do frontowych drzwi Klonowego Dworku. Pomachałam Culliemu na dobranoc, weszłam do domu i zaczęłam się szykować do życia na pokładzie **MARLOWE**.

Następnego ranka wrzuciłam do samochodu trzy torby od Louisa Vuittona - jedna zawierała podstawowe ubranie (bieliznę, skarpetki, buty, dżinsy, swetry, podkoszulki, parę powieści i mój nowy pamiętnik), w drugiej były przybory toaletowe, do makijażu i suszarka do włosów, zaś w trzeciej cały rękopis książki o Alistairze Downsie. Traktując mój pobyt na **MARLOWE** jako pewien rodzaj obozu wędrownego o nieokreślonym czasie trwania, swoje kreacje od projektantów mody zostawiłam w domu.

Kiedy przyjechałam na przystań, Cullie czekał na mnie z uśmiechem i wyciągniętymi ramionami. Lecz

jego nastrój zmienił się raptownie, gdy dostrzegł bagaż, który ze sobą przywiozłam.

- Mówiłem ci, żebyś zabrała mało rzeczy.

- Jak na mnie - to jest mało.

- Sonny, tam nie ma miejsca na wszystkie trzy walizki. Czy są naprawdę potrzebne?

Skinęłam głową.

- A ta? Co w niej jest? - Rozpiął suwak torby, zawierającej kosmetyki i suszarkę.

Zanim zdążyłam go powstrzymać wysypał całą zawartość torby do bagażnika samochodu - mój tonik ściągający, mleczko nawilżające, nawet moją Retinę--A. Wściekłam się.

- Dlaczego to zrobiłeś? - wrzasnęłam.

- Nie będziesz potrzebowała tego wszystkiego na **MARLOWE** - wyjaśnił. - Mam tam mnóstwo mydła, pastę do zębów i szampon. Reszta to śmieci.

- A co z tonikiem? Jak mam mieć napiętą skórę na twarzy?

- Dzięki morskemu powietrzu. Wyjdiesz rano na pokład jachtu i będziesz miała napiętą skórę.

- A moja suszarka?

- Będziesz mieszkała na **MARLOWE**, nie w Klonowym Dworku. Prąd na łodziach jest zupełnie inny niż w domach. Och, mógłbym wydać dwa tysiące dolarów na konwerter, aby twoja suszarka pasowała do instalacji na **MARLOWE**. Ale wiesz co - nie zamierzam tego zrobić. Będziesz musiała się z tym pogodzić.

Urażyłam Culliego pierwszorzędnym grymasem.

- No już, rozchmurz się, Sonny. Ani trochę nie będzie ci brakować suszarki, obiecuję. Kiedy tylko twoje włosy będą wymagały suszenia, ja się nimi zajmę. Uwierz mi, będzie dobrze.

- Jasne, że ci wierzę. Tobie i kapitanowi Queegowi.
- A teraz zobaczmy twoje pozostałe walizki - powiedział. - Tylko je rozepnę i...
- O nie, nie rozepniesz! - krzyknęłam, wrywając mu torbę z rąk. To była walizka z rękopisem.

Nikommu nawet nie pisnęłam, że go ukradłam, a patrząc na zachowanie Culliego też nie miałam zamiaru mu nic mówić. - Trzymaj swoje łapy z dala od moich rzeczy - sarknęłam. - Jeśli jeszcze raz dotkniesz mojej własności, wrócę do domu i będziemy mogli zapomnieć o naszej małej umowie.

- Proszę bardzo - szydził. - Jedź do domu, jeśli masz ochotę. Jestem pewien, że będziesz szczęśliwa, mając do czynienia z bankiem, policją i dziennikarzami.

- Nie muszę wracać do domu. Mam inne możliwości.

- No jasne, zapomniałem. Zawsze możesz się zatrzymać w Hotelu Plaża.

- Dobrze wiesz, że nie mam na to pieniędzy. Ale mogę zamieszkać z moją matką. - Kiedy to powiedziałam, ugryzłam się w język. Wolałabym raczej wrzucić wszystkie swoje walizki do cieśniny Long Island niż wprowadzić się do matki.

Co tu się działo? Tak nam dobrze się z Culliem układało. Pewnie, na początku toczyliśmy pojedynki, ale sądziłam, że mamy to już za sobą. Może wydarzenia następowały za szybko. Może nie byliśmy jeszcze gotowi do wspólnego życia, nawet przez jakiś czas. Byliśmy zbyt odmienni, zbyt jednotorowi, za mało elastyczni.

- Posłuchaj, Sonny - powiedział Cullie, zbliżając się do mnie. - Wiem, że to dla ciebie wielka zmiana. Przepraszam, że tak na ciebie wsiadłem. Jak jednak

usiłowałem ci wytłumaczyć, mieszkanie na **MARLOWE** oznacza zmianę stylu życia.

Oczywiście Cullie miał rację. - Przepraszam - powiedziałam. - Byłeś tak miły, pomagając mi wybrnąć z trudnej sytuacji, a ja zachowałam się jak Joan Collins w *Dynastii*. Chcę spróbować jeszcze raz. Cofnijmy taśmę i rozegrajmy tę scenę od nowa.

- Zgoda - odparł, wyraźnie się rozpogadzając.

- Dzień dobry, kapitanie. Marynarz gotów do wejścia na pokład - powiedziałam radośnie, udając, że właśnie przyjechałam na przystań.

- Dobrze, marynarzu.

Cullie poniósł jedną z pozostałych walizek, a ja niosłam drugą - z rękopisem Cza-cza-cza w środku. Gdy zbliżyliśmy się do pomostu, przy którym zacumowany był **MARLO WE**, poczułam przyspieszenie tętna. Prawdę powiedziawszy, nie mogłam się doczekać tej nowej przygody. Podobał mi się czas spędzony na łodzi i podniecała mnie możliwość zaznania żeglarskiego życia. Jednak najbardziej podniecała mnie perspektywa mieszkania z Culliem. Wprowadzenie się do niego na jacht było najbardziej spontaniczną rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobiłam.

- Dom, miły dom - powiedział, schodząc w dół i wkraczając do kabiny.

- Och, Cullie, róża! - Wazon z pojedynczą czerwoną różą o długiej łodydze stał na stole w jadalni.

- Chciałem cię powitać na **MARLOWE W** stylu, do którego wiem, że przywykłaś - powiedział, krzywiąc się.

- Jesteś najwspanialszy. Absolutnie najwspaniał-

szy! - Ucałowałam go. - A teraz pokaż mi, gdzie mam położyć swoje rzeczy. Rozpakuję walizki i zabiorę je ze środka.

Cullie zaprowadził mnie na dziób i wskazał małą szafkę, zawieszoną nad koją dziobową. - Tu możesz włożyć parę rzeczy - powiedział. - Reszta może pójść pod koję.

Nie zamierzałam grymasić. Rozpakowałam torby i upchnęłam ubrania w szczupłej objętości, która została mi przyznana. Rękopis książki pozostawiłam w walizce, którą umieściłam na dnie szafki.

Niedługo zabiorę się za niego, obiecałam sobie.

- Uff, naprawdę tu jestem - westchnęłam. Siedzieliśmy z Culliem na siedzisku w salonie.

- I jak się czujesz?

- Troszkę dziwnie, ale podniecająco.

- Jeszcze nie klaustrofobicznie?

- Skądże - roześmiałam się.

- Nie masz choroby morskiej?

- Nie bądź śmieszny.

- Może chcesz coś do picia? Sok albo kawę? Nie jesteś gościem. Czuj się swobodnie i częstuj wszystkim, co się tu znajduje.

- Dzięki - powiedziałam. - Ale jeśli mam być szczerą, najchętniej wzięłabym teraz miły gorący prysznic. Wyjechałam z domu tak wcześnie, że nie miałam czasu na kąpiel. A przy tej mroźnej pogodzie gorący prysznic jest koniecznością - żeby zmusić krew do krążenia w żyłach.

- Zgadza się - powiedział Cullie. - To tylko pięć minut spacerem.

- Gdzie jest pięć minut spacerem?

- Do pryszniców.

- Nie rozumiem. - Prysznic jest tam - stwierdziłam, pokazując na dziób łodzi.
- Tak, jest tam prysznic, to prawda, ale nie można z niego korzystać. Na zimę zamknąłem zawory. Gdybym tego nie zrobił, woda w instalacji by zamarzła.
- Przeraziłam się. - Chcesz powiedzieć, że na jachcie nie ma łazienki? Nie ma prysznica? Umywalki? Ubikacji?
- Dokładnie to miałem na myśli.
- Chcesz powiedzieć, że za każdym razem, kiedy zachce mi się siusiu, będę musiała opuścić jacht?
- To właśnie mówię. Lecz jak wspomniałem, publiczne toalety na przystani są w odległości zaledwie pięciu minut od naszego doku. I jest tam dużo miłych gorących pryszniców - wykrzywił się Cullie. Widziałam, że ma świetną zabawę.
- A kuchnia? - spytałam jak oszalała, z nadzieją, że to jakieś nieporozumienie, że zaraz Cullie powie „prima aprilis” i oboje będziemy się śmiać z jego kawału. - Masz tam bieżącą wodę. Gotowałeś dla mnie kolację, pamiętasz?
- Kuchnia to zupełnie inna historia. Woda dopływa tu z bojlera.
- Rozumiem - powiedziałam przygnębiona, chociaż zrozumiałam jedynie, że zostałam skazana na wiele tygodni kąpieli w publicznej łaźni na przystani w Jessup. - Chyba zrezygnuję z miłego, gorącego prysznica.
- Może zamiast tego zrobię miłą gorącą kawę? - zaproponował Cullie, obejmując mnie i próbując poprawić mi humor.
- Miłą gorącą kawę po irlandzku - tylko zrezygnujmy ze wszystkiego, poza whisky - powiedziałam

ponuro. Upicie się wydało mi się wspaniałą alternatywą dla mycia się w publicznej łazience.

- Naszykuję ci kawę po irlandzku - stwierdził Cullie. - Ale potem będę musiał iść.

- Iść? Gdzie? - spytałam.

- Do pracy.

- Chcesz mnie tu zostawić samą? Teraz? Co będzie, jeśli coś się stanie? Jeśli łódź zacznie tonąć?

Jeśli banda piratów przyplynie, żeby łupić i plądrować?

Cullie roześmiał się i mocno mnie przytulił. - Nic się nie stanie, Sonny. Dasz sobie radę. **MARLOWE** zaopiekuje się tobą, obiecuję.

Nie byłam tego taka pewna.

Cullie zrobił kawę po irlandzku, pocałował mnie na do widzenia i poszedł. Nagle znalazłam się kompletnie sama na jachcie. Na jego jachcie. Na łodzi, którą przebudowywał dziesięć lat. Która była dla niego najważniejsza na świecie. Co będzie, jeśli ją w jakiś sposób uszkodzę? Co będzie, jeśli niechcący naciśnie niewłaściwy guzik albo odkręcę gaz i łódź stanie w ogniu? Co będzie, jeśli do kabiny zacznie się wdzierać woda i **MARLOWE** pójdzie na dno? Co będzie jeśli? Co będzie jeśli? Co będzie jeśli?

Im więcej „co będzie” sobie wyobrażałam, tym bardziej robiłam się przerażona. Byłam tak przerażona, że wypić kawę po irlandzku w ciągu pięciu minut. Zanim zdążyłam się zorientować, zrobiło mi się niedobrze z powodu kołysania łodzi i irlandzkiej whisky, chlupoczącej w żołądku. Już po chwili nowe „co będzie” wdarło się do mojego mózgu: co będzie, jeśli będę musiała zwymiotować? Gdzie mogę wymiotować? Łazienka nie wchodziła w rachubę, jak się

właśnie przekonałam, zaś kuchnia wydała mi się miejscem zupełnie niewłaściwym. Co mam zrobić i gdzie? W publicznych toaletach? Nawet nie wiedziałam, gdzie się znajdują.

Kiedy upewniłam się, że mdłości są silniejsze niż moja wola, aby je powstrzymać, chwyciłam płaszcz, wspięłam się po schodkach na pokład, zesłam z łodzi i popędziłam przez parking na przystani tak szybko, jak tylko byłam w stanie stawiać marynarskie kroki. Biegłam w kierunku baraku z szarej dykty, na którym widniał napis: **ŻEGLARZE MILE WIDZIANI**. Założyłam, że są to publiczne toalety. I modliłam się, żeby to były publiczne toalety.

Wpadłam do środka, znalazłam wolną kabinę, podniosłam deskę i czekałam na wymioty. Szybko! Kawał! Kawał! Pomyślałam, siedząc na podłodze ubikacji z głową zwieszoną nad miską sedesową. Szybko! Kawał! Nie pozwól się załamać tą sytuacją. Oderwij się. Pomyśl o czymś śmiesznym. Dobra, dobra. Oto kawał, Alison. Czy słyszałaś o wieczorze kawalerskim bulimika? Ciastko wyszło z dziewczyny.

Zgoda, to nie był najlepszy kawał. Czego jednak można się spodziewać po osobie z głową nad miską sedesową, pierwszorzędnym żartów?

Złą stroną tej przygody było to, że parę sekund po wygenerowaniu tego kiepskiego dowcipu zwymiotowałam. Zaś dobra strona polegała na tym, że dowiedziałam się, gdzie są publiczne toalety.

Od owego pierwszego, trudnego dnia, życie na **MARLOWE** radykalnie się poprawiło. Po pierwsze, nigdy więcej nie cierpiałam na morską chorobę. A po drugie, ja, Alison Waxman Koff, prawdziwy szczer lądowy, który nie potrafił odróżnić bomu od zęzy czy koła sterowego od fału, odkryłam, że kocham życie na jachcie.

Byłam tu taka spokojna, taka zadowolona odgrywaniem roli Robinsona Cruzoe, tak bardzo oderwana od chaosu życia w Klonowym Dworku, że powrót między przedstawicieli banku, detektywów policyjnych i sępów prasowych wydawał mi się koszmarnym przedsięwzięciem. Zamiast, jak z początku sądziłam, tęsknić za wygodami życia, czułam się bez nich bardzo swobodnie. Cullie miał rację: komu potrzebny był płyn ściągający, skoro otaczało go świeże, morskie powietrze?

Najwspanialsze ze wszystkiego było to, że świetnie nam się z Culliem układało. Po początkowych sprzeczkach i niezręcznościach okazało się, że współistniejemy tak, jak byśmy spędzili razem całe nasze życie. Ani przez chwilę nie czułam się jak w pułapce, ograniczona czy choćby znudzona. Tęskniłam za Culliem, gdy go nie było i wyczekiwałam jego powrotu. A jego entuzjastyczne powitania każdego wieczoru dowodziły, że czuł podobnie.

W czasie następnych kilku tygodni coraz bardziej zadomowiałam się na jachcie, coraz bardziej godziłam się z codziennymi wyprawami do publicznych toalet, rosła moja wdzięczność dla Culliego, że po-

dzielił się ze mną tym specjalnym miejscem. Do połowy marca na jachcie ustaliła się wygodna i bardzo przyjemna codzienna rutyna. Budziliśmy się obok siebie na koi, kochaliśmy się, jeśli był czas, gdy zaś go nie było, gnaliśmy pod prysznic. Potem wracaliśmy na łódź, szykowaliśmy śniadanie, zmywaliśmy naczynia i wykonywaliśmy wszelkie potrzebne prace - porządkowanie łodzi, ustalanie, kto zrobi zakupy, napełnianie lamp naftowych i wypompowywanie wody z zęzy. Później spotykaliśmy się przy pulpicie nawigacyjnym Culliego, żeby skorzystać z telefonu komórkowego - on potwierdzał swoje fotograficzne sesje i planował zdjęciowe dni, ja odbierałam wiadomości z mojej automatycznej sekretarki i odpowiadałam na ogłoszenia o pracy. Tak, o pracy. Nie chciałam pozwolić Culliemu, aby za mnie płacił. Wystarczająco długo byłam utrzymanką.

Oczywiście opuszczanie jachtu, żeby ruszać na poszukiwanie pracy, mając w perspektywie zatrzaśnięcie drzwi przed nosem, gdy tylko jasne się stanie, że jestem Tą Służącą, Podejrzaną O Zamordowanie Melanie Moloney, było najmniej przyjemnym wydarzeniem w ciągu dnia. Nie byłam taka głupia i nie zajrzałam na posterunek policji, aby detektyw Corsini mógł przetestować następne cebulki moich włosów. Jak przeczytałam w „Community Times”, policja była równie odległa od schwytania mordercy Melanie, jak od ustalenia jakiegoś motywu zbrodni - a może powinnam powiedzieć konkretnego motywu zbrodni. Problem polegał na tym, że każdy, kogo Corsini przesłuchiwał w sprawie zabójstwa, miał motyw, żeby zabić biedną Melanie. Fakt, że wszyscy jej nienawidzili, czynił jego zadanie niemal niemożliwym do

wykonania. W wywiadach ciągle powtarzał, że gdy tylko stanowe laboratorium policyjne w Meriden przebadają przesłane próbki narkotyków i włosów, będzie miał mordercę. Ale to mogło trwać nawet następny miesiąc, zaś w tym czasie, jak kiedyś powiedziałam, morderca może być już w Bejrucie.

I dlatego stale wracałam do dwóch pierwszych części rękopisu Melanie, grzebiąc w nich w poszukiwaniu klucza do jej morderstwa. Nie byłam panną Marple, ale za każdym razem, gdy Cullie zostawiał mnie samą na jachcie, spieszyłam do wiszącej szafki, wyciągałam walizkę z rękopisem i czytałam parę stron w nadziei, że odkryję jakiś szczegół pełnego pozorów życia Alistaira, który potwierdzi jego rolę w śmierci Melanie. Jak dotąd dowiedziałam się, że był gangsterem i bigotem. W sumie nic wielkiego, ale czy ją zabił? Nie mogłam się doczekać trzeciej części książki, dotyczącej jego życia prywatnego. Niestety, za każdym razem, kiedy zaczynałam jej lekturę, wracał Cullie i musiałam z powrotem wpychać książkę do walizki. Nie miał pojęcia, że ukradłam rękopis z domu Melanie i że teraz schowany jest pod jego nosem. Nie miało sensu mieszanie go w tę sprawę i ściąganie mu na kark policji, która, jak donosił „Community Times”, po przesłuchaniu Todda Bennetta, agenta Melanie i wydawcy - a wszyscy oni utrzymywali, że nie widzieli rękopisu - doszła wreszcie do wniosku, że książka zaginęła.

To śmieszne, pomyślałam, przeczytawszy artykuł. Todd powiedział mi, że w nocy, gdy zamordowano Melanie, siedział w domu, czytając *Cza-cza-cza*. Ktoś tutaj kłamał. Co to mogło oznaczać? Niewątpliwie Melanie wiedziała, że morderca będzie szukał ręko-

pisu, w przeciwnym wypadku nie chowałyby go pod łóżkiem. Ale kto szukał rękopisu? I dlaczego? Pora skończyć przekłętą książkę i odkryć, o co chodzi.

Usiłowałam więc zabrać się za trzecią część książki, ale stale coś mi przerywało. Kiedy wreszcie usadowiłam się z rękopisem na koi, zadzwonił telefon Culliego. Był to mój czwarty tydzień pobytu na pokładzie Marlowe - słoneczny sobotni poranek. Przyszło mi do głowy, żeby pozostawić sprawę automatycznej sekretarce, bo Cullie wyszedł robić zdjęcia, ale zdecydowałam się odebrać telefon.

- Czy mogę prosić Alison? - zapytał kobiecy głos w słuchawce.

- To ja.

- Dzwoniła pani w sprawie naszego ogłoszenia w „Community Times”? Dotyczyło opiekunki do dzieci.

- O tak. Dzwoniłam. W ubiegłym tygodniu.

- Ogłoszenie wspominało o pracy opiekunki do dziecka, która trzy razy w tygodniu zajęłaby się dwójką dzieci pracującego małżeństwa. Nie miałam żadnego doświadczenia w opiece nad dziećmi, ale co tam. Niania to niania, pomyślałam sobie i wykręciłam numer, podany w ogłoszeniu. Zajmę się więc dwójką dzieci, podczas gdy ich młodzi i przedsiębiorczy rodzice będą w pracy. Nie była to praca neurochirurga, ale z pewnością stanowiła większe wyzwanie niż szorowanie kibli u Melanie, prawda?

- Czy chciałaby pani przyjechać i poznać dzieci?

- zapytała kobieta.

- Ależ tak - odpowiedziałam, zachwycona, że kobieta ani nie spytała mnie o wcześniejsze doświadczenia w pracy z dziećmi, ani nie zaniepokoiła się,

że jestem Alison Koff, służąca - morderczyni. Może mając pracę, męża i dwójkę dzieci, nie miała czasu na oglądanie goniących za tanią sensacją programów telewizyjnych.

- Świetnie - powiedziała. Nasz adres to Harbor-view Terrace 102. Nazwisko jest na skrzynce na listy: Sil Verberg.

Harborview było jednym z najlepszych adresów w Layton. Niewątpliwie Silverbergowie nie byli biedni. Nie miałam pojęcia, ile może zarabiać opiekunka do dzieci, ale doszłam do wniosku, że jeśli dostanę tę pracę, nie będę miała problemów z serwowaniem sobie i Culliemu wykwintnych, pieczonych kurczaków.

- O której godzinie mogłabym wpaść? - spytałam.

- Może pani przyjechać zaraz? - rzekła dość żalonym głosem. - Znalazłam się w kropce. Mój mąż wyjechał z miasta, za godzinę mam umówione spotkanie z klientem, a nie ma nikogo, kto mógłby zostać z dziećmi. Jeśli spodoba im się pani i odwrotnie, mogłaby pani zacząć od razu.

- Będę za kwadrans - powiedziałam. Co za przełom. Miałam tylko wydać się miłą dzieciaczkom i praca była moja!

Dom przy Harborview Terrace 102 był starą budowlą o dwuspadowym dachu, typową dla obszarów kanadyjskiej Nowej Anglii. Roztaczał się z niego „zimowy widok” na cieśninę Long Island - to znaczy z domu można było dostrzec wodę tylko wtedy, gdy na drzewach nie było liści. Budynek, często nazywany Domostwem Johna Hogginsa, został zbudowany w 1767 roku przez pierwszego duchownego kościoła

episkopalnego w Layton, który odziedziczył ziemię po swoim ojcu, wiernym rojaliście i popieczniku króla Anglii w czasie rewolucji. Chociaż w 1779 roku Brytyjczycy spalili dużą część Layton, dom nie zamienił się w pochodnię angielskich żołnierzy i pozostał w rękach rodziny Hogginsów do roku 1850. Kolejni właściciele zadali sobie wiele trudu, aby zachować zabytkowy charakter domu, aż po Silverbergów, którzy, co z przerażeniem odkryłam, odcisnęli na Domostwie Johna Hogginsa swoje własne piętno. Nie, podłoga z szerokich desek, rzeźbione oparcia foteli, wyeksponowane belki stropowe i gliniane piece nadal były na swoim miejscu. Ale zdaniem Silverbergów, zachowanie autentycznego klimatu tamtej epoki polegało na dołożeniu każdego wymyślnego przedmiotu, jaki widzieli w czasopiśmie „Country Living” - ozdobnych narzut, siedel, koszyków ze słomy, narożnych szafek, bujanych foteli, flag amerykańskich i tym podobnych bibelotów. Aż rzygać się chciało od tych wszystkich ozdóbek. Koncepcja Silverbergów unowocześnienia domu wyrażała się w zainstalowaniu najnowocześniejszych udogodnień lat dziewięćdziesiątych naszego wieku tuż obok autentycznych, starych detali: halogenowych reflektorków na topornie obciosanych belkach, elektrycznego piekarnika wewnątrz starego glinianego pieca, wykładziny dywanowej na deskach podłogi i tak dalej. Ale cóż, dom należał do Silverbergów. Ze smakiem, czy bez, mieli prawo zaśmiecać dom do woli.

- Proszę wejść - powiedziała pani Silverberg, otworzywszy (cóż by innego) stare panelowe drzwi z zawieszoną u góry amerykańską flagą.

- Dziękuję - odparłam. - Jestem Alison Koff. Miło mi panią poznać. - Przygotowałam się na reakcję,

oczekując, że na dźwięk mojego nazwiska cofnie się, ale nie zrobiła tego. Może od niedawna mieszkała w mieście.

- Zaraz zawołam dzieci - rzekła pospiesznie, sprawiając wrażenie nieco zmęczonej. Miała trochę ponad trzydzistkę i gęste, sięgające ramion kasztanowe włosy, przytrzymywane opaską z różowego aksamitu. Nosiła okulary w drucianej oprawce, bardzo przypominające fasonem okulary, jakich używała Gloria Steinem, zanim doszła do wniosku, że najslynniejszej amerykańskiej feministce wypada nosić soczewki kontaktowe. Ubrana była w stylu Laury Ashley - od przybranej falbankami bluzki w różowe i zielone kwiatki po kwiecistą, sięgającą do połowy łydek różowo-zieloną spódnicę, pod którą miała wysokie buty z brązowej skóry. Ach, i jeszcze perły - cienki sznurek wokół szyi i pojedyncze perełki w uszach. Pani SiWerberg wywarła na mnie wrażenie osoby usiłującej wyglądać bardzo autentycznie, ale nie umiałam rozszyfrować, co to miał być za autentyzm.

- Jak się nazywają dzieci? - zadałam pytanie, zanim zdążyła wybiec na korytarz, tak przeładowany drewnianymi malowanymi kaczkami, że niemal słyszałam ich kwakanie.

- Tiffany i Amber - odparła z dumą. - Nasze dwa małe aniołki.

Tiffany i Amber SiWerberg. A ja myślałam, że przykrywanie podłogi z desek wykładziną dywanową jest pomieszaniem pojęć.

Pani SiWerberg zaprowadziła mnie do salonu i zaproponowała, żebym tam poczekała, aż przyprowadzi Tiffany i Amber, bawiące się, jak wyjaśniła, swoją nową lalką Barbie, otrzymaną od ubóstwiającego je

ojca, którego nigdzie nie było widać. Poinformowała także, że Tiffany ma sześć lat, a Amber pięć.

Bawiące się na górze swoją lalką Barbie? Ta praca to pestka, pomyślałam, wyobraziwszy sobie dwie małe dziewczynki, na zmianę czeszące długie jasne włosy Barbie, ubierające jej anatomicznie ukształtowane ciało w pretensjonalne, obszyte złotymi cekinami suknie balowe i szczęśliwie dające mi święty spokój w czasie, gdy ich matka uda się na swoje spotkanie.

Kiedy czekałam, aby zeszły i poznały ciocię Alison, zauważyłam koło kamiennego kominka jeszcze jeden przedmiot, udający autentyk z czasów wojny o niepodległość: najprawdziwszy muszkiet! Miałam nadzieję, że nie był nabity.

- Dziewczynki, to jest Alison. Przywitajcie się
- odezwała się pani SiWerberg, wprowadzając Tiffany i Amber do salonu.

Powiedziały dzień dobry i dygnęły. Bez żartów. I nie tylko to. Były ubrane identycznie jak ich matka

- aż po różowe, aksamitne opaski, przytrzymujące ich długie, gęste rude włosy. Nie miały tylko takich butów jak matka. Na nogach miały czarne skórzane balerynki. Na tyle jednak wyglądały jak miniaturowe panie Silverberg, by cała sytuacja sprawiała dziwaczne wrażenie. Trudno pojąć, dlaczego były tak wystrojone na sobotnie przedpołudnie w domu. Może SiWerbergowie to bardzo formalna, bardzo cywilizowana, bardzo perfekcjonistyczna rodzina, pomyślałam. I może ich dzieci zachowują się lepiej niż większość dzieciaków. Pogratulowałam sobie znalezienia tej pracy, która, nie miałam teraz wątpliwości, będzie jak bułka z masłem.

- Miło mi was poznać, dziewczynki - powiedziałam klękając, żeby zbliżyć się do nich wzrostem. - Słyszałam, że macie nową Barbie. Chciałybyście zaprowadzić mnie na górę i pokazać mi ją?

- Możemy, mamusiu? - ochoczo zapytała Tiffany.

- O tak, mamusiu - dodała Amber.

Pani SiWerberg skinęła głową. - Pokręcę się tutaj jeszcze jakieś dziesięć minut - szepnęła do mnie. - Żeby się upewnić, że wszystko jest w porządku.

- Świetnie - powiedziałam. Tiffany ujęła mnie za jedną rękę, Amber za drugą i obie siostry zaprowadziły mnie po schodach do pokoju Tiffany, ogromnego różowego pomieszczenia, zapelnionego tak wielką liczbą zabawek, że z powodzeniem mogło konkurować ze „Światem zabawek”. - Ależ śliczny pokój - powiedziałam.

- Dziękuję - uprzejmie odparła Tiffany. - Pokój Amber też jest śliczny.

- Jestem tego pewna. - Nie mogłam wyjść z podziwu, jak dobrze wychowane są te dziewczynki.

Całą trójką usiadłyśmy na podłodze i przez parę minut oswajałyśmy się ze sobą. Tiffany pokazała mi część ubranek Barbie, a Amber usadowiła mi na kolanach swojego pluszowego żółwia Ninja. Po chwili pani SiWerberg przysła na górę i zapytała córki, czy podoba im się ich nowa przyjaciółka Alison.

- Jest fajna - stwierdziła uradowana Tiffany.

- Tak, fajna - powtórzyła jak echo Amber. Byłam wzruszona.

- Porozmawiajmy parę minut, a potem pójdę - powiedziała pani SiWerberg, dając mi znak, żeby zejść za nią na dół.

Kiedy zeszliśmy na parter, pani Sil Verberg zaprowadziła mnie do kuchni i wyjaśniła, że istotnie cała rodzina właśnie przeniosła się do miasta i nie było jeszcze czasu na znalezienie opiekunki dziewczynek. Potem poprosiła mnie o referencje. Zaczęłam kręcić. Kluczyłam. Usiłując zmienić temat, spytałam, kto im sprzedał dom. - Janet Claiborne z Prestige Properties - odpowiedziała. Miałam szczęście.

- Znam kogoś, kto może mnie polecić - powiedziałam z ulgą. - Janet Claiborne jest również moim pośrednikiem. - Och, skoro zna pani Janet, wszystko jest w porządku. Uważamy, że jest bardzo sympatyczną osobą i świetnym agentem. - Być może pani Silverberg była lepszą matką niż znawcą agentów w handlu nieruchomościami.

Po zamknięciu sprawy moich referencji oprowadziła mnie po kuchni i pokazała sałatkę z jajek, którą przygotowała na kanapki dla dziewczynek. Potem zanotowała numer telefonu, pod którym można ją łapać w ciągu najbliższych trzech godzin.

- Potraktujmy dzisiejszy dzień jako okres próbny

- powiedziała. - Jeśli się uda, porozmawiamy o czymś na dłuższy czas, dobrze?

- Oczywiście. - Wreszcie miałam pracę.

Koło jedenastej pani Silverberg, która była dekoratorem wnętrz, a jej mąż gastrologiem, udała się na spotkanie, powierzając mej pieczy swoje małe aniołki. Spojrzałam na zegarek. Trzy godziny z dwójką dobrze wychowanych dzieci. Łatwo zarobione pieniądze.

Wróciłam na górę do pokoju Tiffany, aby kontynuować naszą zabawę. Dziewczynek tam nie było.

- Tiffany! Amber! Gdzie jesteście, słoneczka? Żadnej odpowiedzi.

- Alison ma niespodziankę dla Tiffany i Amber
- skłamałam, w nadziei, że obiecując im coś uda mi się wywabić je z kryjówki. Co to ma być, zdecyduję później, gdy przyjdzie czas.
Żadnej odpowiedzi.
- No dobra. Jeśli nie interesuje was moja niespodzianka, pójdę na dół napić się czegoś.
Zacząłam schodzić po schodach, kiedy obie dziewczynki wyskoczyły zza moich pleców i wrzasnęły mi
- Ooooo! - prosto w uszy. Niemal spadłam ze schodów. Prawie ogłuchłam. Miałam chęć je zamordować. Zamiast tego uśmiechnęłam się. - Ach, tak. Tutaj jesteście - rzekłam słodko. - Może pójdziemy z powrotem do pokoju Tiffany pobawić się jeszcze trochę Barbie?
- Chcemy niespodziankę - zażądała Tiffany, prowodyrka.
- Tak, niespodziankę - powtórzyła Amber.
- Och, dobrze - powiedziałam. - Niespodzianka polega na... na... na tym, że opowiem wam wszystko o lalkach, którymi się bawiłam, kiedy byłam w waszym wieku.
- Nudy - stwierdziła Tiffany.
- Tak, nudy - Amber naśladowała siostrę.
- Założę się, że nie miała żadnej niespodzianki
- skrzywiła się Tiffany. - To wielka głupia kłamczucha.
- Tak, i jeszcze wielkie głupie gównno - dodała Amber.
To tyle, jeśli chodzi o ich nienaganne maniery. - To niezbyt ładne zachowanie - powiedziałam spokojnie
i wyciągnęłam rękę, żeby pogłaskać Amber po głowie i przywrócić poprzednie pozytywne relacje między

nami. Okazało się to być złym posunięciem: Amber usiłowała ugryźć mnie w rękę.

- Hola - nie wytrzymałam. - Uspokój się, dobrze?

- Nie możesz rozkazywać mojej siostrze - warknęła Tiffany, usiłując zepchnąć mnie ze schodów.

- Co wy sobie wyobrażacie? - wrzasnęłam.

- Chcecie, żebym powiedziała waszej matce? - Tak, wiem. Stary chwyt Chcecie, Żebym

Powiedziała Waszej Matce był dość wyświechtany, ale w tym przypadku zadziałał - przynajmniej na pewien czas. Dziewczynki zgodziły się pójść do pokoju Tiffany, jeśli obiecuję, że udam się tam z nimi. Obiecałam.

- Może zagramy w „Drabiny i zjeżdżalnie” - zaproponowałam, dostrzegłszy grę planszową na półce u Tiffany.

- To dla dzidziusiów - jęknęła Amber. - Pobawmy się lepiej w krowie placki. - Ewidentnie Amber zwariowała na punkcie nie wykorzystywanych produktów. Może czytała medyczne rozprawy swojego ojca.

- Tak, w krowie placki! - uradowała się Tiffany i wytarła nos w spódnicę od Laury Ashley.

- Zobacz, co zrobiła Tiffany - poskarżyła Amber.

- Tiffany jest ogromną babą z nosa. Tra la la.

- Już dobrze, dziewczynki. Wystarczy tego gadania - powiedziałam niecierpliwie. - Tiffany, proszę iść do łazienki i umyć ręce.

- Tiffany, proszę iść do łazienki i umyć ręce

- przedrzeźniała mnie Tiffany.

- Mówię poważnie. Higiena jest bardzo ważna

- powiedziałam.

- Mówię poważnie. Higiena jest bardzo ważna

- znów mnie przedrzeźniła.

- Schodzę na dół - powiedziałam.

- Schodzę na dół - powiedziała Tiffany.

- Zrób nam teraz kanapki z sałatką jajeczną - poleciała Amber.

Byłam tak wdzięczna za przerwę w przedrzeźnianiu, że zgodziłam się przygotować lunch. Był dopiero kwadrans po jedenastej, miałam jednak nadzieję, że zapchanie buź tych potworków jakoś je uciszy.

Podczas gdy ja usiłowałam rozsmarować jajeczną sałatkę, przygotowaną przez matkę dziewczynek na „Cudownym Chlebie”, który zostawiła na blacie, Tiffany i Amber obracały się w kółko po kuchni, chcąc żeby zakręciło im się w głowach.

- Dobrze, dziewczynki. Tu są wasze kanapki. Siadajcie - powiedziałam, kierując je w stronę autentycznego osiemnastowiecznego stołu, zajmującego róg kuchni.

Tiffany i Amber rzuciły się do stołu, walcząc ze sobą o to samo krzeselko.

- To moje miejsce - krzyczała Tiffany.

- Nie, moje! - darła się jej siostra.

Zanim zdążyłam zainterweniować, Tiffany tak mocno uderzyła pięścią w ramię Amber, że ta popłakała się.

- Rąbnęła mnie - wyła Amber, rozcierając ramię.

- Chodźcie tu obie. Jedzcie kanapki - powiedziałam, ignorując łzy Amber.

Obie zajęły miejsca przy stole, ja razem z nimi.

- Popatrz, popatrz, Alison - odezwała się Amber, zatopiwszy zęby w kanapce.

- Obrzydliwość - sapnęła Tiffany. Okazało się, że Amber otworzyła usta i zademonstrowała swoją na wpół przeżutą kanapkę z sałatką jajeczną w całej papkowatej żółtej krasie.

- To niekulturalnie - powiedziała Amber.

- To niekulturalnie - powtórzyła za mną Tiffany. Zabawa zaczynała się od początku.

Sprawdziłam godzinę. Była dopiero za dwadzieścia dwunasta. Chciałam już wracać na łódź. Nie nadawałam się na opiekunkę do dzieci.

- Daj mi coś do picia - rozkazała Tiffany.

- A może powiedziałaś proszę? - zasugerowałam.

- Proszęęęę - powiedziała Tiffany, po czym zaczęła dłubać w nosie.

Wstałam i podeszłam do lodówki. Kiedy zaczęłam wyjmować pepsi, Tiffany wrzasnęła - Nie. Chcę sprite'a.

Wstawiłam pepsi z powrotem i zanurzyłam się głębiej w lodówce w poszukiwaniu sprite'a.

- Neeee - zawyła. - Chcę pepsi. Odstawiłam sprite'a i wyjęłam pepsi.

- Mówiłam, że chcę sprite'a - krzyknęła.

Stało się. Wybuchłam, przyznaję się. Może brak doświadczenia w kontaktach z dziećmi, a może ostatnie stresujące zderzenie z przedstawicielami prawa spowodowały, że łatwo traciłam panowanie nad sobą. Otworzyłam obie butelki, ze spritem i z pepsi, i wylałam ich zawartość na przewiązane różowymi aksamitnymi wstążkami głowy Tiffany i Amber Silverberg. - Chciałyście coś do picia? Macie - powiedziałam i zabrałam się za szykowanie kanapki z sałatką jajeczną dla siebie.

- Zabrudziłaś nam całe ubranie - załkała Tiffany po paru sekundach ciszy. Mój nieoczekiwany akt zemsty wyraźnie zaszokował obie dziewczynki.

- Tak, nasze włosy też są brudne - odezwała się Amber.

- A stół kuchenny cały się lepi - dodała Tiffany.
- Mam dla was propozycję - powiedziałam. - Obiecacie, że będziecie się już przyzwoić zachowywać, a ja pozwolę wam iść na górę się przebrać. Chyba nie przepadacie za noszeniem w sobotę tych strojnych kreacji, prawda?
- Niiieeee. Mama nam kazała - odpowiedziała Tiffany.
- Powiedziała, że mamy się spodobać nowej opiekunce - dodała Amber.
- Cóż, nowa opiekunka pozwala wam ubrać się w to, na co macie ochotę.
- Naprawdę? - zapiszczały.
- Jasne.
- Co tylko chcemy? - zapytała Tiffany.
- Tak. A teraz biegnijcie na górę się przebrać, a ja tymczasem sprzątnę w kuchni, dobrze?
- Tak! Chodźmy - rzuciła Tiffany.
- Już idę - powiedziała Amber.

I poszły. Nareszcie sama. Skończyłam jeść kanapkę i starłam napoje ze stołu. Potem zaczęłam nasłuchiwać. Potwory były cicho. Pogratulowałam sobie opanowania sytuacji. Nie, doktor Spock na pewno by tego nie zaaprobował, jednak ja znalazłam sposób, aby dzieciaki się zamknęły i zajęły się czymś co najmniej przez godzinę.

O pierwszej udałam się na górę sprawdzić, co robią dziewczynki. Nie było ich w żadnym z ich pokoi. Sądząc po mokrych ręcznikach, rozciągniętych na podłodze w ich łazience, doszłam do wniosku, że próbowały umyć sobie głowy. Ale nie miałam pojęcia, co zrobiły potem.

- Tiffany? Amber? Gdzie jesteście? - zawołałam.

- Tutaj! W garderobie mamusi! - odkrzyknęła któraś z nich.

Idąc za tym głosem doszłam do końca korytarza, do głównej sypialni.

- Tutaj, Alison! - powiedziała Tiffany. - Popatrz na nas!

Znalazłam dziewczynki. Istotnie zmieniły ubranie. Teraz wystrojone były w wieczorowe suknie swojej matki, długie białe rękawiczki, buty na wysokich obcasach, w rękach miały błyszczące torebki. Wymalowały się też kosmetykami matki - czerwoną szminką, niebieskim cieniem do powiek, czarnym ołówkiem do brwi. Byłam pewna, że na ich widok pani Silverberg dostałaby zawału, ja jednak zaczęłam się śmiać tak serdecznie, aż nie mogłam złapać tchu. Wyglądały rewelacyjnie.

- Kochane - powiedziałam, trzepocząc rzęsami i odgrywając rolę wielkiej damy. - Jak cudownie znów was obie widzieć. Wyglądacie zachwycająco.

Dziewczynki roześmiały się i przyłączyły do zabawy.

- Czy widziałaś już Barbie? - spytała Tiffany.

- Nie, ale słyszałam, że była na przyjęciu - odpowiedziałam. - Może zajrzemy do innych pokoi?

- Tak, chodźmy poszukać Barbie - odezwała się Amber.

Ruszyłam do pokoju Tiffany, gdzie ostatnio widziałam nową lalkę Barbie. - Jest tutaj, drogie panie. Barbie? Czy to ty, kochanie?

Tiffany i Amber pogawędziły z Barbie i ze mną. Potem zaczęłam śpiewać *The Itsy Bitsy Spider* - jedyną dziecięcą piosenkę, która przyszła mi do głowy - i zaprosiłam obie dziewczynki do tańca.

Przyjęły

zaproszenie z radością. Zaczęłyśmy tańczyć. Kiedy ja wirowałam w tańcu z Tiffany wokół pokoju, Amber płażała z Barbie. Potem zamieniałyśmy się partnerami. Byłyśmy tak pogrążone w zabawie, że nie zauważyłyśmy powrotu pani SiWerberg do domu. Tak jak się spodziewałam, nie uznała przebrania dziewczynek za zabawne. Najwyraźniej jej garderoba była terenem zakazanym.

- Ale Alison kazała nam zmienić ubranie - szlochała Tiffany, gdy matka zabroniła jej grać przez miesiąc w gry nintendo.

- Tak. Powiedziała, że możemy ubrać się w co chcemy, kiedy wylała nam na głowy picie - dodała Amber.

- Wylała wam picie na głowy? - powtórzyła pani SiWerberg.

- To prawda - przyznałam. - Ale...

- Wylewanie picia dzieciom na głowy jest czystym aktem przemocy - przerwała mi.

- Sądzę, że karanie dzieci za zabawę w przebieranie się jest czystym aktem przemocy - odparowałam.

- Proszę - powiedziała i wręczyła mi pięćdziesięciodolarowy banknot. - Obawiam się, że będę musiała znaleźć kogoś innego dla dziewczynek. Może pani odejść.

Byłam więc bez pracy. I co w tym nowego?

Następnego ranka Cullie wstał i ubrał się przede mną.

- Hej, Sonny. Jest siódma - powiedział, targając mi włosy, gdy leżałam na koi. - Na dworze jest wspaniale. Włączyłem radio, gdzie powiedzieli, że ma

wiać wiatr z prędkością dziesięciu węzłów, a temperatura przekroczy szesnaście stopni - idealny dzień na rejs.

- Szesnaście stopni? Niemożliwe. Jest dopiero koniec marca. Za zimno, żeby pływać - powiedziałam, nadal w półśnie.

- Mówię ci, dziecino. Dziś jest jeden z tych niezwykłych zimowych dni - już jest dziesięć stopni. Mam jeden dom do obfotografowania, a potem wypływamy.

- Naprawdę? Będziemy żeglować? Dzisiaj? - Teraz byłam już w pełni rozbudzona. Myśl, że po wielu dniach rozmów o wypłynięciu na **MARLOWE** wreszcie to zrobimy, była uskrzydlająca.

- No. Ubierz się, a ja będę z powrotem za kilka godzin. Po drodze do domu zrobię trochę zakupów żywnościowych. Potem pomożesz mi przygotować łódź i popłyniemy.

- Tak jest, kapitanie.

- Cześć, marynarzu. - Cullie pocałował mnie na pożegnanie i poszedł.

Zerwałam się z koi, zarzuciłam na siebie podkoszulkę i spodnie od dresów i ruszyłam do łazienki. O ósmej byłam już po prysznicu, ubrana i przygotowana do pierwszej w moim życiu żeglarskiej przygody. Ale Cullie miał wrócić dopiero za parę godzin.

Postanowiłam skrócić sobie czas oczekiwania czytając kawałek rękopisu Melanie.

Z wiszącej szafki wyciągnęłam walizkę. Rozpięłam suwak i wydobyłam rękopis. Usadowiłam się na koi w mojej ulubionej pozie do czytania i rozpoczęłam lekturę trzeciej części książki, zatytułowanej „Sprawy osobiste”.

Kilka pierwszych rozdziałów poświęconych było dzieciństwu Alistaira, dość buntowniczego irlandzkiego dzieciaka z Queens, który więcej czasu spędzał na ulicy niż w szkole. Potem książka opisywała okres, gdy był nastolatkiem, jego zainteresowanie filmem, jego talent taneczny i pracę nauczyciela w miejscowej szkole tańca Arthura Murraya. Nie znalazłam żadnych wielkich rewelacji. Ale Melanie rzeczywiście umiała wyciągać brudy. Według niej, młody Al Downey nie był zwyczajnym nauczycielem tańca, był żigolakiem, któremu płacono za znacznie więcej niż tylko lekcje z paniami z Queens. I jakby te informacje nie były wystarczająco plugawe, Melanie stwierdzała także, że utrzymywał intymne kontakty z innym instruktorem tańca w szkole - również z siostrą owego instruktora!

Boże, jak ludzie mogą znieść takie książki? mruknęłam. Buntowałam się przeciwko takiemu sposobowi przedstawiania człowieka. I pomyśleć, że miałam aspiracje, aby zostać współpracownicą Melanie, chciałam ujrzeć moje nazwisko, pojawiające się obok jej nazwiska na okładce książki takiej jak ta. Co ja sobie wyobrażałam? Wiem, co sobie wówczas wyobrażałam: pieniądze. Ludzie bogacili się, pisząc plugawe biografie. Ale nie ja. Stanę się bogata w jakiś inny sposób. A może w ogóle nie będę bogata. Może zdobycie bogactwa to nie wszystko.

Wstałam, żeby nalać sobie szklankę soku pomarańczowego, po czym wróciłam na koję, do rękopisu. Dobra, powiedziałam sobie. Pomęcz się nad tym dziełem. Może znajduje się tu klucz do morderstwa Melanie.

Miałam właśnie zacząć czytać dalej, kiedy dotarło do mnie, że nie mam jak: kolejny fragment tej części

książki zniknął! Zostało tylko około pięćdziesięciu stron bibliografii Melanie, jej notatek i źródeł oraz podziękowań. Brakowało ponad stu stron trzeciej części o nieocenionej wartości - stu stron, które najprawdopodobniej dotyczyły małżeństwa Alistaira z Annette Dowling, narodzin ich ukochanej córki Bethany, tragicznej śmierci Annette i podawały pikantne szczegóły o kobietach, które przeszły przez jego łóżko po jej śmierci. Gdzie się podziały te strony?

Przerzuciłam jeszcze raz cały rękopis, aby się upewnić, że brakujące kartki nie zaplątały się gdzieś w poprzednie części książki. Ale nie. Przepadły. Tylko gdzie?

Dobra, uspokój się, przykazałam sobie. Może Melanie nigdy nie skończyła książki. Stwierdzenie Tod-da, że skończyła, wcale jeszcze nie oznaczało, że tak było naprawdę. Po tym jak skłamał, że miał oryginał rękopisu u siebie w domu tej nocy, gdy zamordowano Melanie, nie wierzyłam ani jednemu jego słowu. Może zaginione strony jakimś cudem się oddzieliły od reszty manuskryptu. Może w dalszym ciągu były w mojej saunie w Klonowym Dworku, albo pod siedzeniem mojego porsche, albo w domu Melanie, pod jej łóżkiem. A może były gdzieś tu, na jachcie.

Podbiegłam do szafki i sprawdziłam, czy nie ma tam jakichś luźnych kartek. Nie było. Potem zjrzałam do walizki. Pusto. Zabierałam się właśnie za powtórne kartkowanie rękopisu, kiedy usłyszałam, że Cullie wchodzi na pokład **MARLOWE**. Wcisnęłam rękopis z powrotem do walizki, którą wrzuciłam na dno szafki w chwili, gdy Cullie zszedł na dół.

- Gotowa do pierwszego rejsu? - zapytał radośnie. - Zdobyłem kanapki z indykiem, chipsy ziemniaczane

i mnóstwo zimnego heinekena. Będziemy mieli świetną zabawę.

Objęłam go w pasie. - Nie mogę się doczekać. Kiedy wypływamy?

- Kiedy tylko przygotujemy jacht. Biedny **MARLOWE** nie pływał przez całą zimę.

Pomogłam Culliemu zdjąć pokrowce, po czym przyglądałam się uważnie, jak stawiał trzy żagle.

- Szkunery mają dwa maszty i trzy żagle - wyjaśnił. - Ten żagiel nazywa się kliwer, ten to fok, a tamten to grot. Zapamiętałaś?

- Tak jest.

- Teraz włączę silnik, niech się troszkę pogrzeje - ciągnął dalej. - Silniki dieslowskie wymagają rozgrzania.

- Co mam robić? - zapytałam, gdy staliśmy w kokpicie. Bardzo chciałam być kimś więcej niż tylko widzem.

- Ty wyprowadzisz nas stąd, kiedy będę odcumowywał - oświadczył Cullie, kładąc moje dłonie na tekowym kole sterowym.

- Ja? - powiedziałam zaalarmowana. - Nigdy w życiu nie sterowałam łodzią.

- Wspaniale. Będzie to dla ciebie nowe doświadczenie.

- Ale jeśli ją przedziurawię?

- Mam propozycję - rzucił Cullie, widząc moją panikę. - Wyprowadzę nas z portu, potem przejmiesz ster.

Cullie ustawił silnik na wsteczny bieg i wyprowadził jacht z przystani. Kiedy znaleźliśmy się daleko, w cieśninie Long Island, w bezpiecznej odległości od portu, znów oparł moje ręce na kole sterowym. - Twoja kolej - oświadczył.

- Powiedz mi, co mam robić.

- Widzisz tamte czerwone i zielone boje? Po prostu celuj stale pomiędzy nie. Płyniemy z prędkością zaledwie czterech mil na godzinę, więc nie powinnaś mieć żadnych problemów. Tylko płyn między bojami, a ja pójde na pokład postawić żagle.

Mając słońce na twarzy i wiatr we włosach przywarłam do koła sterowego i poczułam dreszczyk emocji. Ja, Alison Waxman Koff, najmniej awanturnicza, najbardziej przewidywalna osoba, jaką znałam, stałam za sterami szkunera Aldena. W tym niezwykle ciepłym jak na tę porę roku, marcowym dniu znajdowałam się w cieśninie Long Island, gdzie prowadziłam łódź, od tygodni będącą moim domem. Wrażenie było nie do opisanania. Ale najbardziej oczarował mnie widok Culliego, stawiającego wszystkie trzy żagle. Były tam - kliwer, fok i grot, trzepotały na wietrze, łomotały i furkotały pod jasnym, błękitnym niebem. Ich majestat zapał mi dech w piersiach.

Cullie zszedł do kokpitu i wyłączył silnik. Potem pokazał mi, jak wybierać żagle i nauczył mnie wszystkiego o bloczkach i szotach. - Płyniemy pod żaglami - ucieszył się, patrząc w dal, na morze. - Czyż nie jest to najwspanialsza przygoda w twoim życiu?

- Jest. Naprawdę.

- Pierwszy rejs w sezonie jest zawsze czymś bardzo specjalnym. Jestem taki szczęśliwy, że jesteś tu, aby dzielić te chwile ze mną, Sonny. - Pocałował mnie. - Gdyby ktoś mi powiedział, że pod koniec zimy popłynę w rejs z właścicielką Klonowego Dworku, myślałbym, że oszalał.

Trąciłam go łokciem w zębra. - Przeszliśmy długą drogę, prawda?

- Tak. I będziemy szli dalej.

Gdy wiatr wypełnił żagle i **MARLOWE** zaczął się ślizgać po wodach cieśniny Long Island, ogarnęło nas poczucie głębokiego spokoju. Kiedy tak płynęliśmy, w pewnej chwili jacht przechylił się.

Przestraszyłam się.

- Przewracamy się - krzyknęłam, szarpiąc Culliego za rękaw sztormiaka.

- To się nazywa przechył - wyjaśnił. - Wiatr dmucha w żagle i wygląda, jakby łódź za chwilę miała się przewrócić, ale tak się nie stanie, obiecuję.

- Skąd możesz wiedzieć? Naprawdę wygląda, jakbyśmy mieli się przewrócić.

- Cztery i pół tony ołowiu na dnie kilku utrzyma naszą pozycję. Zaufaj mi.

- Ufam ci. Ufam. - Naprawdę mu ufałam. Wierzyłam Culliemu tak, jak nigdy dotychczas nie ufałam żadnemu mężczyźnie. Uświadomienie sobie tego faktu jednocześnie zaskoczyło mnie i podnieciło.

Płynęliśmy wzdłuż wybrzeży Connecticut, a dźwięki piosenek Jimmy'ego Buffeta, Jamesa Taylora i Everly Brothers dobiegały z magnetofonu w kabinie. Koło pierwszej zjedliśmy lunch w kokpicie i na cześć naszego pierwszego wspólnego rejsu wznieśliśmy toast zimnym piwem.

- Życie nie może być dużo lepsze niż w tej chwili

- powiedział Cullie.

- Nawet nie chcę myśleć o powrocie - rzekłam.

- Pobyt na łodzi powoduje, że czuję się tak... tak...

- Taka wolna? - podpowiedział Cullie.

- Tak. I taka potężna. Teraz mam wrażenie, że sprostałabym każdemu wyzwaniu.

Cullie kiwnął potakująco. - Chodź tutaj - powiedział, wyciągając do mnie ręce.

Pozwoliłam mu się objąć ramionami i przytrzymać przez moment. To takie wspaniałe uczucie, takie właściwe, pomyślałam. - Cullie - odezwałam się, zacinając. - Ja... ja...

- Ja też - szepnął.

Czy to była miłość, o której baliśmy się mówić głośno? Czy tylko odurzenie marcowym rejssem albo urok nowości naszego związku? Wiedziałam, że czas przyniesie odpowiedź. Czas przyniesie odpowiedź na wiele moich pytań.

- Uch - powiedziałam, w obawie o swoje cenne życie przywierając do Culliego, gdy łódź przechylała się. - Ufam ci, naprawdę, ale czy jesteś pewien, że się nie wywrócimy?

- Jestem pewien - roześmiał się.

- A tak w ogóle, gdzie jesteśmy? - zapytałam, osłaniając oczy przed słońcem i patrząc na horyzont.

- Mniej więcej w połowie drogi między wybrzeżem Connecticut a Long Island.

- Skąd wiesz? Nic nie widzę.

- Jeśli zejdziesz na dół do kabiny, w moim pulpicie nawigacyjnym znajdziesz mapę, na której zobaczysz dokładnie, gdzie jesteśmy. Przynies ją tutaj, to ci pokażę.

- Masz mnóstwo map. Którą mam przynieść?

- Oznaczoną jako Zachodnia część cieśniny Long Island.

Zeszłam na dół do kabiny i przetrząsnęłam pulpit nawigacyjny Culliego, ale nie udało mi się zlokalizować mapy, o której wspomniał.

- Nie mogę znaleźć - zawołałam.

- Musi tam gdzieś być. Spróbuj podnieść blat

biurka i zajrzeć, czy nie ma jej pod spodem. W szufladzie jest bałagan, ale powinnaś ją znaleźć.

Wróciłam do kabiny, do pulpitu nawigacyjnego i, jak polecił Cullie, uniosłam blat biurka. Miał rację, w szufladzie był straszny bałagan. Różne papiery i mapy walały się wszędzie.

Grzebiąc w szufladzie natrafiłam ręką na niewielki plik papierów, przewiązany gumką. Sądząc, że może zawierać poszukiwaną mapę, wyciągnęłam papiery. Ku mojemu ogromnemu zaskoczeniu to nie był plik map nawigacyjnych - to były brakujące strony rękopisu Melanie!

Co, do licha, robiły w biurku Culliego? zadałam sobie pytanie. Co miałyby go interesować w książce Melanie o Alistairze? I dlaczego ukrył w biurku trzecią część książki? Czemu Cullie wykradł te właśnie strony z mojej walizki?

Pytania przyprawiły mnie o zawrót głowy. Kiedy jacht się przechylił, poleciałam przez kabinę i omal nie rozbiłam głowy o półkę z zapasami w kuchni. Spokojnie, Alison, dziecino, przykazałam sobie. Nie wyciągaj pochopnych wniosków. Musi istnieć jakieś racjonalne wyjaśnienie tego wszystkiego. Kochasz Culliego. Ufasz mu. Nie kłamałby ci. Nie zraniłby cię. Co więc robił z fragmentem rękopisu Melanie, rękopisu, który bez wątpienia zniszczyłby reputację Alistaira Downsa?

Czy Cullie planował dostarczenie tych stron dziennikarzom, aby zniszczyć Alistaira? Czy aż tak mocno nienawidził tego człowieka? A może chciał coś ukryć przede mną-jakiś fragment rękopisu, którego rozpaczliwie nie chciał mi dać przeczytać? Ale o co chodziło?

Usiadłam na koi i próbowałam się uspokoić. Za-

częłam analizować miesiące mojej znajomości z Cul-liem. Pobiegałam myślami do dnia, kiedy przyszedł sfotografować mój dom... do wieczoru, gdy wpadliśmy na siebie w McGavin's, ja byłam wtedy z Julią, on z Hadley Kittredge, córką szefa doków... do popołudnia, kiedy zjawił się przed drzwiami Melanie, a ja otworzyłam mu, ubrana w strój pokojówki... do naszej pierwszej wspólnej kolacji na **MARLOWE**, w czasie której mówił z pogardą o Alistairze i zasypywał pytaniami na temat książki Melanie... do nocy śmierci Melanie, kiedy odwiózł mnie do domu, zamiast pozwolić mi spać na jachcie... do nocy, gdy zaproponował mi przeprowadzkę na **MARLOWE**, kiedy czułam się zaszczerca przez dziennikarzy.

Coś się nie zgadzało w zainteresowaniu Culliego moją osobą. Kiedy się poznaliśmy, był wobec mnie otwarcie wrogi. Potem odkrył, że pracuję dla Melanie i zaprosił mnie na kolację na łodzi. Później pojawił się w Klonowym Dworku z prezentami i jedzeniem na wynos. Wreszcie zaproponował mi, żebym się do niego wprowadziła. Dlaczego? zadałam sobie pytanie. Skąd to nagle zainteresowanie?

I jaki był prawdziwy powód pojawienia się Culliego w domu Melanie wówczas, gdy zastał mnie w stroju pokojówki? Mówił, że przyszedł robić zdjęcia jej domu dla agencji. Ale gdzie był cały ekipunek? Przyszedł z pustymi rękoma. I dlaczego strażnik przy wjeździe do Bluefish Cove nie uprzedził telefonicznie o jego przybyciu? Nikt nie miał prawa wjazdu na teren osiedla bez przepustki albo potwierdzenia telefonicznego. A ponadto Melanie nigdy nie wspomniała o żadnych zdjęciach. Gdyby oczekiwała fotografa, kazałaby mi myć szyby do utraty tchu. Co

naprawdę robił tam Cullie owego dnia? Czy znał Melanie? Czy byli przyjaciółmi?

Daj spokój, Alison. Weź się w garść. Jak zwykle twoja wyobraźnia bierze górę nad rozsądkiem. Dobrze, ale co robił tamtego dnia w jej domu?

Czy przyszedł ukraść rękopis, ten sam, który teraz ukradł mnie? Czy wrócił do domu Melanie, żeby go ukraść tej nocy, gdy została zabita? Czy to on zabił Melanie?

Zatkało mnie, gdy uświadomiłam sobie, że nie ma alibi na noc, kiedy została zamordowana. Twierdził, że po podrzuceniu mnie o jedenastej wieczorem do Klonowego Dworku pojechał prosto na łódź i poszedł spać. Ale czy naprawdę? A może pojechał do Bluefish Cove, wśliznął się do gabinetu Melanie, żeby ukraść rękopis, zaskoczył ją siedzącą za biurkiem, więc uderzył ją w głowę i zabił? Czym? I dlaczego? I czemu miałby tak bardzo pragnąć zdobycia manuskryptu, żeby zabić z tego powodu? Aby móc zrujnować Alistaira, człowieka, który zniszczył jego ojca? Czy dlatego zaproponował mi wspólne zamieszkanie na jachcie? Bo wiedział, że mam rękopis?

Nie mogłam jasno myśleć. Wiedziałam jedynie, że desperacko chcę wydostać się z łodzi, wrócić do Klonowego Dworku, gdzie będę mogła spokojnie myśleć i spróbować uporządkować sobie to wszystko. Ale nigdzie nie mogłam pójść - byłam uwięziona na środku cieśniny Long Island.

Ściskając kartki rękopisu Melanie wspierałam się po schodkach na pokład i weszłam do kokpitu. Cullie stał przy kole sterowym i gwizdał razem z Everly Brothers piosenkę *Bye, Bye Love*. Modliłam się, żeby ten tytuł nie okazał się złym omenem.

- Znalazłaś mapę? - zapytał radośniutkim głosem Cullie, gdy zauważył, że wróciłam do kokpitu.
- Nie - odparłam wyzywająco. - Natomiast znalazłam to. - Pomachałam mu przed nosem zaginionymi stronami rękopisu, aby je na pewno dostrzegł. Kartki zatrzepotały na wietrze.
- Znalazłaś więc - stwierdził bez emocji Cullie.
- Chciałabym się dowiedzieć, dlaczego ukradłeś ten rękopis.
- Ja ukradłem rękopis? To ty go ukradłaś.
- No tak, ale ty ukradłeś go mnie, więc chciałabym wiedzieć, dlaczego. Czego tam szukałeś? Dlaczego rąbałeś właśnie te strony, a nie całą resztę książki?
- Uwierzyłabyś, gdybym powiedział, że lepiej się je czyta niż całą resztę?
- W tej chwili zawróć łódź - zażądałam. - Skoro nie zamierzasz udzielić mi prostego wyjaśnienia, to może udzielisz go policji.
- A dlaczego miałbym rozmawiać z policją? - spytał z wyraźnym zdziwieniem. - Dużo bardziej chcę zostać tutaj i rozmawiać z tobą.
- Dobrze więc. Odpowiedz na moje pytanie: Dlaczego ukradłeś rękopis Melanie?
- Z tego samego powodu co ty. Chciałem wiedzieć, co jest w środku.
- Ja go ukradłam, bo sądziłam, że może zawierać jakiś klucz do zabójstwa Melanie - klucz, który mógłby się przydać, gdyby policja doszła do wniosku, że jestem podejrzana o tę zbrodnię. A jaki był twój

motyw? Martwiłeś się, że policja może zacząć podejrzewać ciebie?

- Mnie? O czym ty do diabła mówisz?

- Mówię o kłamstwach. Co robiłeś w domu Melanie tamtego dnia, kiedy odkryłeś, że jestem jej służącą? I nie opowiadaj, że przyszedłeś z zamiarem zrobienia zdjęć jej domu do agencyjnego prospektu. Przypadkiem wiem, że to wierutna bzdura.

- No dobrze. To była bzdura. Nie przyszedłem w sprawie zdjęć. Przyszedłem, żeby z nią porozmawiać.

- Aha! A więc kłamałeś.

- Pewnie, że kłamałem. Prawie wcale cię wtedy nie znałem. Nie miałem powodu, żeby ci się zwierzać z osobistych spraw.

- Przyznajesz więc! Miałeś osobiste sprawy z Melanie. Znaliście się!

- Chciałem z nią przedyskutować parę rzeczy.

- Rzeczy, o których raczej nie chciałbyś dyskutować z policją?

- Poczekaj, Sonny - odezwał się Cullie, kierując się w stronę fału grotu. - Przerwijmy na trochę tę rozmowę. Wiatr się wzmaga. Jeśli nie zarefuję żagli, zdmuchnie nas do Ameryki Południowej.

Ameryka Południowa? - Zgoda - powiedziałam. - Rób co musisz na tej łodzi. Tylko dopłynijmy z powrotem do przystani.

- Tak jest, proszę pani. Tak, pani Koff - Cullie pokłonił się w pas.

Pognałam do kabiny i już tam zostałam. Przez następne dwie godziny siedziałam sztywno koło telefonu komórkowego, w każdej chwili gotowa dzwonić na policję, gdyby zaszła taka potrzeba. O czwartej

Cullie zszedł na dół, żeby mnie poinformować, że dopływamy do portu.

- Pogadamy, jak tylko znajdziemy się z powrotem przy pomoście, dobrze? - powiedział, demonstrując w końcu odrobinę zainteresowania.

- Świetnie. - Mogłam go przynajmniej wysłuchać.

- Może byśmy się czegoś napili? - zaproponował, gdy już znaleźliśmy się z powrotem w portowym doku.

- Nie chcę pić. Chcę usłyszeć prawdę.

- Jak sobie życzysz. Ja się napiję. A potem powiem ci prawdę.

Cullie nalał sobie rum Mount Gay z tonikiem i stanął obok mnie przy pulpicie nawigacyjnym.

- Tamtego dnia wybrałem się w odwiedziny do Melanie, żeby porozmawiać z nią o moim ojcu - powiedział cicho.

- Czy Paddy znał Melanie?

- Nie, za to znał Alistaira.

- I co z tego?

- Jak ci już mówiłem, Alistair zrujnował ojcu życie. Bałem się, że w książce Melanie rozgrzebie całą tę historię.

- Ale czemu miałbyś się tym przejmować? Powinieneś być zachwycony książką, obsmarowującą Alistaira. Nie znosisz tego typu.

- Owszem, nie znoszę faceta, ale kochałem ojca i nie chciałem, żeby jego imię wiązało się z którymkolwiek z obleśnych skandali Alistaira.

- Nic z tego nie rozumiem - stwierdziłam. - Dlaczego twój ojciec miałby się pojawić w biografii Alistaira?

- Pamiętasz, jak ci opowiadałem, że Paddy miał dosyć pracy w jachtklubie i chciał wynieść się ze mną z powrotem do Europy?

- Pamiętam. Mówiłeś też, że w końcu jednak został w Connecticut, bo się tutaj w kimś zakochał.

- Dokładnie. Zgadnij, w kim się zakochał? Zastanawiałam się zaledwie przez sekundę.

- W Alistairze P. Downsie - powiedziałam z takim sarkazmem, na jaki tylko mogłam się zdobyć. Czyż książka Melanie nie wspominała, że młody Al Downey miał romans z nauczycielem tańca?

- Ciepło. Zakochał się w Annette Dowling, pani Alistairowej P. Downsowej.

Na chwilę odebrało mi mowę. - Twój ojciec zakochał się w żonie Alistaira? Nic dziwnego, że senator zbytnio za nim nie przepadał.

- Senator nie przepadał też zbytnio za swoją żoną. Traktował ją jak śmieć, przez cały czas podróżował, sypiał z innymi kobietami. Dla małżeństwa z Alis-tairem Annette zrezygnowała z życiowej kariery w Hollywood, a kiedy się przeniosła do Connecticut, znalazła się bez przyjaciół, bez pracy, nie miała czym zappełnić wolnego czasu - poza wychowywaniem Bethany, a i tak zajmowała się tym niania. Toteż kiedy Alistair kręcił filmy, bawił się w politykę i pieprzył się na prawo i lewo z innymi kobietami, ona stała się zaniedbywaną żoną z bogatego przedmieścia - bardzo piękną zaniedbywaną żoną.

- Tak piękną, że oczarowała twojego ojca?

- Tak, ale to było coś więcej niż sama uroda. Zabierał ją na wycieczki jachtem. Byli razem szczęśliwi.

- I co się stało?

- Planowali wspólną ucieczkę. Mój ojciec zamierzał zabrać mnie i Annette z powrotem do Anglii.
 - A co z Bethany?
 - Annette uważała, że będzie jej lepiej z Alis-tairem. Dziewczynka ubóstwiała swojego ojca. Nadal go ubóstwia.
 - Jak mogłabym o tym nie wiedzieć. Pozwól mi uporządkować fakty. Annette poprosiła Alistaira o rozwód, żeby móc poślubić twojego ojca?
 - Żartujesz sobie? Myślisz, że Alistair Downs dałby rozwód żonie po to, by mogła związać się z instruktorem żeglarskim w jachtklubie? Myślisz, że zgodziłby się na takie upokorzenie?
- Pokręciłam głową.
- Dowiedziawszy się o planowanej ucieczce Annette i mojego ojca, nasz senator, ten wzór cnót wszelakich, zagroził, że deportuje ojca, jeśli ten nie zerwie z Annette.
 - Ależ to szantaż.
 - Owszem, specjalność Alistaira. Wezwał ojca do Na Zawsze, posadził w bibliotece i odezwał się „Paddy, mój chłopcze, daję ci do wyboru: albo skończysz tę małą aferę z moją żoną, albo pogadam z moimi kolegami w Immigration, żeby odesłali cię z powrotem do Anglii”. Alistair miał mojego ojca w garści.
 - Ale przecież i tak planowaliście przeniesienie się we trójkę do Anglii.
 - Ojciec miał obywatelstwo brytyjskie. Ja jestem obywatelem amerykańskim. Gdyby został deportowany, musiałby mnie zostawić. Pozostałbym pod opieką stanową. Nie zamierzał na to pozwolić.

- Oczywiście, że nie. Jestem pewna, że bardzo cię kochał. Ale wygląda na to, że kochał też Annette. I Alistair kazał mu wybierać między wami dwojgiem?

- Zgadłś.

- I naturalnie wybrał ciebie.

- Tak, i zapłacił za to z nawiązką. Kiedy Alistair postawił swoje ultimatum, ojciec rąbnął poczciwego senatora pięścią w szczękę, po czym wyszedł. Nie spodziewał się, że Annette widziała, jak wychodził.

- I co się stało?

- Stała przed mężem i zażądała wyjaśnień, co Paddy Harrington robił w ich domu. Alistair z radością oświadczył, że jej najdroższy przyjął od niego pieniądze, w zamian za co obiecał się już z nią nie spotykać.

- Bydlak! Nic dziwnego, że go nienawidzisz. Jak mógł postąpić tak paskudnie? - powiedziałam, potrząsając głową. - Annette musiała być zdruzgotana, kiedy dowiedziała się, że twój ojciec ją porzucił.

- Zdruzgotana to świetne określenie. Mając w perspektywie spędzenie reszty życia z mężem, który jej nie kochał i córką, która jej nie potrzebowała, wybrała się na przejażdżkę swoim autem - prosto w słupy przy Merritt Parkway. Alistair skłonił policję i media do uznania jej śmierci za tragiczny wypadek. Ale to nie był wypadek. To było samobójstwo. Wiedział o tym i Alistair, i mój ojciec.

- Aż mi trudno w to wszystko uwierzyć. Jak zareagował twój ojciec na śmierć Annette?

- Upił się. I przez długi czas był pijany. Ten człowiek się załamał, Sonny. Po odejściu Annette lata spędzone w klubie były dla niego czystą torturą.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że po tym wszystkim, co się stało, nadal tam pracował.

- Oczywiście, że pracował. Nie zapominaj, że miał mnie na utrzymaniu. A na rynku nie było setki miejsc pracy dla instruktora żeglarstwa w średnim wieku, który lubił whisky i zajmował się dziećmi. Pozostał więc w klubie i przepijał dzień za dniem.

- A Alistair nie usiłował wyrzucić go z klubu?

- Nie rozumiesz chorej psychiki Alistaira Downsa. Ilekroć członkowie klubu skarżyli się na słabość ojca do alkoholu, grubiaństwo czy też wytykali jego wiek, Alistair zawsze nalegał, aby klub go nadal zatrudniał. Uwielbiał patrzeć, jak mój ojciec cierpi. Cieszył się widząc, jak pomiatają nim członkowie klubu. Jednak najbardziej lubił opowiadać historię o zarozumiałym instruktorem żeglarstwa, który przystawiał się do jego żony i rozpił się, gdy ta go odtrąciła. Naprawdę opowiedział tę historię innym członkom klubu. I wszyscy mu uwierzyli. Mój ojciec stał się pośmiewiskiem. Biedny angielski pijaczek. Bolało go to, mnie także. Gdyby nie ja, mógłby opuścić klub i żyć szczęśliwie w Anglii. Z Annette.

- Nie wiem, co powiedzieć. Czemu nie opowiedziałeś mi tego wszystkiego wcześniej?

- Kiedy? Zanim się zakochaliśmy? Teraz, gdy już wiesz, że mój ojciec był przedmiotem kpin znamienitego jachtklubu Sachem Point, wstydzisz się ze mną pokazywać?

- Cullie, chodziło mi o... - wyciągnęłam rękę w stronę jego policzka, ale szybko cofnęłam dłoń. Nadal pozostawało za dużo pytań, wymagających odpowiedzi. - Nie powiedziałeś mi, co robiłeś tamtego dnia w domu Melanie - odezwałam się.

- Kochałem ojca i nie chciałem, żeby ta paskudna historia pojawiła się w książce. Wybrałem się więc

do Melanie, aby z nią porozmawiać o jej pominięciu. Gdy mi powiedziałaś, że jej nie ma, wróciłem później, tego samego wieczoru. .

- Czy wówczas udało ci się z nią porozmawiać/

- Usiłowałem. Wysłuchiła wszystkiego, co miałem do powiedzenia, a potem podziękowała mi za dostarczenie jej „użytecznego materiału” na temat Alistaira. Jakimże byłem idiotą! Zamiast przedstawić historię mojego ojca w ten sposób, by skłonić Melanie do jej opuszczenia w książce, sam podałem jej fakty, których nie знаła. Błagałem, żeby nie użyła ich w książce. Powiedziałem: „Moj ojciec nie żyje. Pozwólmy mu spoczywać w spokoju. Czy trzeba wyciągać to wszystko, żeby powstał bestseller o Alistairze?” Zaśmiała mi się w twarz, Sonny Wyśmiała mnie i powiedziała, żebym przestał jej zawracać głowę. Ja walczyłem o godność mojego ojca, a ona mi oświadczyła, że jej zawracam głowę Ale to mnie nie powstrzymało. Próbowałem się z nią targować. Powiedziałem: „Dobrze, opisz historię mojego ojca, jeśli musisz. Ale nie podawaj jego nazwiska. Miej choć tyle przyzwoitości, by nie używać jego nazwiska”. Wiesz, co odpowiedziała? Odparła: „Z pewnością wymienię jego nazwisko. On nie żyje. Nie może mnie pozwać do sądu To nad nazwiskami żywych muszę się czasem zastanowić. Żywi mają prawników, a prawnicy denerwują mojego wydawcę”. „A co z Ahstairem? spytałem. „Facet żyje i ma całą armię prawników do dyspozycji”. Roześmiała się. „Nie bądź naiwny, powiedziała. Alistair Downs nie będzie się ze mną procesował. Zaszedł już za wysoko i za wiele znaczy aby brudzić ręce procesem mogącym mu przy-

nieść zbyt wiele złej sławy. Nie, nie pozwie mnie. Może mnie zabić, ale na pewno mnie nie pozwie".

Być może Cullie mówił prawdę. Ale jak mogłam być tego pewna? Już niczego nie byłam pewna. - To wszystko bardzo ładnie, Cullie, ale co skłoniło cię do przypuszczenia, że Melanie zna historię twojego ojca i Annette? Skąd ten pomysł, że napisze o tym w książce?

- Pamiętasz Hadley Kittredge?

- Kiepsko. - Pamiętałam. To była ta panienka z gigantycznym biustem i miniaturowym mózgiem.

- Jednym z powodów, dla których spotkałem się z nią tego wieczoru, gdy nadziałem się na ciebie, były informacje na temat Melanie, które chciała mi przekazać.

- Skąd Hadley Kittredge miałaby znać Melanie? Czyż nie mówiłaś, że jest córką kierownika doków?

- Słusznie. A ludzie pracujący w porcie opowiadają sobie różne rzeczy. Tak czy inaczej, Hadley powiedziała, że Melanie i jakiś facet, który dla niej pracował, węszą wokół jachtklubu, pytając o związek mojego ojca z Annette Downs. Chciała mnie ostrzec. Dlatego wybrałem się do Melanie.

- Poszedłeś więc do Melanie i wpadłeś w szal, bo nie chciała cię potraktować poważnie - stwierdziłam, prowokując Culliego w sposób, jaki podpatrzyłam w telewizyjnych reportażach z przesłuchań świadków przez prawników. - Byłeś tak zły na nią, że wróciłeś do jej domu, usiłowałeś ukraść rękopis i zabiłeś ją.

- Co? - Cullie zaczął się śmiać. - Możesz to jeszcze raz powtórzyć? Sądzisz, że zabiłem Melanie?

- Musisz przyznać, że próbowałeś ukraść rękopis z jej domu.

- Nic z tych rzeczy. Po koszmarnym spotkaniu z tą kobietą nigdy już nie wróciłem do jej domu. Doszedłem do wniosku, że jeśli jest na tyle niewrażliwa, aby historię, którą jej opowiedziałem o ojcu, umieścić w swojej książce, to nic na to nie mogę poradzić. Nie byłem szczęśliwy z tego powodu, lecz byłem bezradny.

- I nie wróciłeś do domu Melanie, żeby spróbować ukraść rękopis i zabić ją? Wyjaśnij mi więc, dlaczego ukradłeś te strony z mojej walizki. - Wyciągnęłam brakujące strony i pomachałam mu nimi przed nosem.

- Z ciekawości. Wiedziałem, że masz rękopis od dnia, kiedy przeprowadziłaś się na **MARLOWE**. Pamiętasz, jak ci powiedziałem, że zabrałaś na łódź o jedną walizkę za dużo?

- Jak mogłabym zapomnieć.

- Cóż, pomyślałem, że pewnie pozostałe torby są tak samo niepotrzebne, więc sprawdziłem, co w nich jest. Zobaczyłem rękopis na dnie szafki. Czytałem go po kawałku, kiedy cię nie było. Omal nie zwariowałem kiedy odkryłem, że Melanie wykorzystwała materiał, który jej tak głupio podsunąłem.

- Świetnie, tylko dlaczego mi nie powiedziałaś, że wiesz o rękopisie? Dlaczego musiałeś go czytać za moimi plecami?

- Nie chciałem, żebyś się dowiedziała, co się stało z moim ojcem. Nie chciałem, żeby ktokolwiek się dowiedział.

Współczułam Culliemu. Naprawdę. Lecz czy mówił mi prawdę? Skąd miałam wiedzieć, że nie próbuje mnie oszukać, udając kogoś, kim naprawdę nie jest, że jakby to wyraził jego ojciec, nie robi mi starego cza-cza-cza?

Upuściłam kartki rękopisu i opadłam na krzesło. Nie miałam pojęcia, w co mam wierzyć - jeśli chodzi o Culliego, o Alistaira, o morderstwo Melanie.

- Skąd mam wiedzieć, czy to wszystko nie jest jednym wielkim kłamstwem? - spytałam Culliego. - Naprawdę zaczynałam wierzyć w ciebie, w nas. Właściwie zaczynałam nawet wierzyć w to, że się kochamy. Przeżyłam właśnie najbardziej wstrząsające miesiące w całym życiu, byłam jednak szczęśliwa. Byłam szczęśliwa z tobą. Byłam szczęśliwa ufając ci. Powiedz mi, proszę, jak mam ci teraz zaufać.

Cullie przysunął się do mnie i wziął mnie w objęcia.

- Odpowiedź znajduje się na tych stronach - powiedział cicho, patrząc na plik kartek manuskryptu, leżących na jego biurku. - Przeczytałem je. Wszystko tu jest. Melanie nie opuściła najmniejszego szczegółu. Teraz zależy mi jedynie na tym, żebyś przeczytała te strony i przekonała się, że mówię prawdę. Proszę, Sonny. Chcę, żeby wszystko wróciło do normy.

- Przeczytam te strony - powiedziałam mu. - I mam nadzieję, że dostarczą mi odpowiedzi na moje pytania.

- Dobrze - powiedział. - Robi się już późno. Co myślisz o kolacji? Czy mam przynieść twojego ulubionego kurczaka po myśliwsku?

- Nie, Cullie. Wracam do Klonowego Dworku. Potrzebuję trochę czasu, żeby przez to przebrnąć. Naprawdę sędzę, że będzie lepiej, gdy wrócę do domu.

Sprawiał wrażenie rozczarowanego, zaraz jednak przybrał pozę nie-zależy-mi-jeśli-tobie-nie-zależy, co robił zawsze, gdy czuł się zraniony. - Do domu

- sapnął. - Tamto miejsce nigdy nie było twoim domem. Było cennym nabytkiem, sposobem demonstrowania świata, że jesteś kimś. Ale ty byłaś kimś nawet w tym ubraniu pokojówki, Sonny. Dostarczyłaś mi takiej radości, jakiej nigdy wcześniej nie doświadczyłem, wiesz o tym? - Oczy wezbrały mu łzami, lecz wytarł je szybko, z nadzieją, że tego nie zauważę.

- Ha, skoro chcesz wracać do domu, wracaj. To zależy od ciebie.

To istotnie zależało ode mnie, ja zaś potrzebowałam chwili wytchnienia od napiętej atmosfery, panującej na jachcie.

Spakowałam walizki, a Cullie pomógł mi je załadować do bagażnika mojego auta. W chłodzie i ciemności staliśmy koło mojego porsche'a, ociągając się z pożegnaniem.

- Mogę do ciebie zadzwonić, czy też potrzebujesz „przeźreni”? - zapytał.

- Przypominasz mi Sandy'ego - roześmiałam się.

- Stale wspominał o ludziach, potrzebujących „przeźreni”.

- Nie ma we mnie nic z Sandy'ego - stwierdził uroczyście. - Sandy zostawił cię w chwili, gdy go najbardziej potrzebowałaś. A teraz to nie ja zostawiam kogoś.

- Wiem - szepnęłam, czując ogromną kulę w gardle. - Naprawdę wiem.

Cullie otoczył mnie ramionami i przytrzymał przez kilka sekund. Potem mnie puścił i otworzył drzwi samochodu. - Pozdrów ode mnie Klinowy Dworek

- powiedział, bezskutecznie usiłując się uśmiechnąć. Pomógł mi wsiąść, zatrzasnął drzwi i odszedł.
Nie

zapalałam silnika. Patrzyłam, jak idzie przez parking do Mięczaków u Arniego, wspina się po schodkach i wchodzi do środka zatłoczonego baru. Wyobraziłam sobie, że wyciąga stołek i zamawia rum Mount Gay z tomkiem. Wyobraziłam sobie, że bierze łyk swojego drinka, wpatrzony w coś ponad głowami tłumu w barze, cierpiący tak samo, jak ja cierpiałam. Kiedy cierpienie stało się tak ogromne, że dłużej nie mogłam już sobie wyobrazić Culliego, uruchomiłam silnik, włączyłam światła i rozpoczęłam długą jazdę do domu.

17

Kiedy po tak długim okresie, spędzonym na czterdziestostopowej łodzi żaglowej weszłam do domu i zapaliłam światło, Klonowy Dworek wydał mi się większy niż zwykle. - Hop, hop! - zawołałam do pustych pokoi i korytarzy. - Czy jest tu ktoś?

Wniosłam walizki na górę i cisnęłam je w sypialni na podłogę koło łóżka. Potem włączyłam telewizor i zostawiłam go, żeby brzęczał. Potrzebowałam jakichś dźwięków. Nigdy nie czułam się bardziej samotna.

Rozpakowałam torbę - ale nie tę z rękopisem - i położyłam się na łóżku. Zamknęłam oczy i pozwoliłam, by dźwięki dobiegające z telewizora spływały po mnie. Byłam zbyt zmęczona, żeby zasnąć

Pomyślałam o Culliem. Usiłowałam sobie wyobrazić, gdzie jest, co robi, czy o mnie myśli. Zastanawiałam się, jak zaczęłam na nim polegać, jak

obdarzyłam go tak wielkim szacunkiem, jak zazdrościłam mu zalet. Myślałam o tym, jak mu zaufałam i czy będę potrafiła ufać mu teraz. Ufałam mojemu pierwszemu mężowi, a on mnie zostawił. Ufałam Sandy'emu, który też mnie porzucił. Zaufałam Cul-liemu, a on kłamał. Jeśli zaś mógł kłamać, podając powód swojej wizyty w domu Melanie, mógł też kłamać w innych sprawach, znacznie istotniejszych. Jak choćby mógł powiedzieć, że mnie kocha, by potem zostawić mnie, tak jak zrobili inni.

Wierzyłam, że nie zabił Melanie, ale czy mogłam uwierzyć w historię Paddy'ego i Annette? Był tylko jeden sposób, żeby się przekonać: mogłam przeczytać książkę Melanie. „Prawda zawarta jest na tych stronach” powiedział Cullie.

Podniosłam się z łóżka, odnalazłam walizkę, zawierającą rękopis i wyciągnęłam strony, które Cullie ukrył przede mną. Przeniosłam je na łóżko, usiadłam oparta o dwie poduszki i zaczęłam czytać. Nie musiałam długo czytać, żeby dojść do rozdziału, zatytułowanego *Alistair/Annette/Paddy: Miłosny trójkąt z tragicznym zakończeniem*. Wszystko tam było, dokładnie tak, jak mówił Cullie, cała ponura saga, opisana w niebywale kwiecistym stylu. Wzdrygnęłam się na myśl o tym, jaka byłaby reakcja Alistaira na książkę. Pomyślałam też o Bethany, zastanawiając się, jak przyjęłaby napaść Melanie na charakter tatusia. Nie najlepiej, tego byłam pewna. Czy któreś z nich mogłoby zabić Melanie, gdyby wiedzieli, jakie szkody ta książka może wyrządzić?

Powinnam zadzwonić do Culliego i powiedzieć, że mu wierzę, pomyślałam. Głupotą było opuszczać łódź. Mogłam przeczytać brakujące strony rękopisu

na **MARLOWE**, z Culliem tuż obok mnie. Powinnam była zostać. Powinnam była mieć więcej zaufania do mężczyzny, którego kocham. Głupia, zbesztalam się. Głupia, głupia.

Odłożyłam na bok rękopis i sięgnęłam po telefon, żeby zadzwonić do Culliego. Spojrzałam na zegarek. Było wpół do jedenastej. Wybrałam numer i czekałam.

- Cześć, tu Cullie Harrington - odezwała się automatyczna sekretarka.

- Cullie, to ja - wydusiłam z siebie, po usłyszeniu sygnału. Czułam, że coś ściska mnie za gardło. - Przeczytałam rękopis. Czy sądzisz, że moglibyśmy porozmawiać? - przerwałam. - Proszę, zadzwoń do mnie, o dowolnej porze. Tęsknię za tobą.

Rozłączyłam się i głęboko odetchnęłam. Proszę, zadzwoń do mnie, modliłam się. Proszę, daj mi jeszcze jedną szansę. Kocham cię.

Zeszłam na dół do kuchni, zrobiłam kawę i zabrałam ją na górę. Potem znów rozsiadłam się na łóżku i zapatrzyłam w rękopis Melanie. Zostało mi jeszcze do przeczytania jakieś dwadzieścia stron z tej części, którą schował Cullie, ale miałam dość lektury na jeden wieczór. Już miałam odłożyć kartki rękopisu na nocny stolik i zabrać się za ilustrowane pismo, gdy wpadł mi w oczy tytuł następnego rozdziału w części poświęconej życiu prywatnemu Alistaira. Nosił on tytuł „Żydowska księżniczka Alistaira: Kobieta, której nie mógł poślubić”. Byłam co najmniej zaintrygowana - na tyle, by kontynuować czytanie. Musiałam oddać Melanie sprawiedliwość: miała dar przyciągania uwagi czytelnika.

Rozdział rozpoczynał się od stwierdzenia, że w czasie, gdy pracował jako nauczyciel tańca w Queens,

Al Downey miał stałą sympatię, żydowską dziewczynę, która pobierała lekcje tańca w tamtejszej szkole Arthura Murraya. Zdaniem Melanie, Al obiecywał dziewczynie, że się z nią ożeni, ale mówił, że nie zarabia tyle pieniędzy, aby ją utrzymać. Kiedy został odkryty przez łowcę talentów z Hollywood, powiedział dziewczynie, że pojedzie do Kalifornii, wyrobi sobie pozycję w przemyśle filmowym i przyśle po nią. Pojechał do Kalifornii, wyrobił sobie pozycję w przemyśle filmowym, lecz nie posłał po nią. Zamiast tego zerwał z nią - po pierwsze dlatego, zdaniem Melanie, że uważał posiadanie żony Żydówki za niepotrzebne obciążenie; po drugie dlatego, że dostał się do Hollywood i jako świeżo ochrzczona gwiazda filmowa Alistair Downs mógł przebierać wśród pięknych kobiet; po trzecie zaś, bo skończyło się to wszystko małżeństwem ze wspaniałą aktorką rewiową Annette Dowling. Biedna dziewczyna z Queens miała złamane serce i na przekór wyszła za mąż za młodego biznesmena z Manhattanu. Nadal jednak usychała z tęsknoty za Alistairem. Kiedy przeczytała, że zakupił posiadłość w Layton, w stanie Connecticut i zamierza się tam osiedlić ze swoją żoną, namówiła męża, aby również kupił tam dom. Nie upłynęło wiele czasu, a Alistair i jego dawna kochanka odnowili swój romans, w tajemnicy przed współmałżonkami. Sądząc, że tym razem ją poślubi, kobieta czekała, aby Alistair rozwiódł się z Annette. Tak się nigdy nie stało. Alistair miał polityczne aspiracje i rozwód nie wchodził w rachubę. Alistair oszukał ją po raz drugi. Wiele lat później, chociaż oboje nadal mieszkali w Layton, nie kontaktowali się już ze sobą.

Ach, Melanie, znów zrobiłaś to samo, westchnęłam. Wydobyłaś na światło dzienne jeszcze jeden smutny epizod z życia Alistaira. Biedna, zropanzona istota, powiedziałam na głos, myśląc o kobiecie z Queens, którą wzgardził Alistair. Sądząc z opisu Melanie, wyglądała jak jedna z tych żalonych, wечно cierpiących bohaterek ulubionych seriali mojej matki - takich, które rok za rokiem znoszą złe traktowanie przez jakiegoś chama. Zaczęłam się zastanawiać, kto to mógł być. Czy należała do klubu mojej matki. Zaczęłam rozważać, jak jakakolwiek kobieta mogła kochać takiego typu jak Alistair. Facet był skończonym oszustem.

Moje rozważania przerwał dzwonek telefonu. Podskoczyłam, słysząc ten dźwięk.

- Cullie?

- Skąd wiedziałaś, że to ja? - powiedział niewyraźnie, wypiwszy, jak się domyślałam, o jeden rum z tonikiem za dużo.

- Miałam nadzieję, że to będziesz ty, Cullie. Przeczytałam rękopis i chcę, żebyś wiedział, że...

- Czy to właścicielka Klinowego Dworku? - zabelkotał. Z ledwością mogłam go zrozumieć.

- Cullie, posłuchaj mnie. Chcę ci powiedzieć, jak mi przykro...

- Czy twój dom składa się z samych wieżyczek?

- Nie. Proszę, Cullie, pozwól mi...

- Aha. Wobec tego musi w nim być kryty basen i kort do squasha.

- Nie. Proszę cię, czy mógłbyś przestać...

- Już wiem. Wiem. To ten z salą kinową w piwnicy.

- Może porozmawiamy, kiedy będziesz się lepiej czuł - powiedziałam łagodnie.

- Czuję się świetnie. Wspaniale. A ty?
- Świetnie. Czuję się świetnie. O ciebie się martwię.
- Sonny?
- Tak?
- Kocham cię.
- Ja też cię kocham. Dlatego do ciebie dzwoniłam.
- Czemu więc nie spędzamy razem tej nocy? Dlaczego ja jestem tutaj, a ty tam?
- Bo za szybko źle cię osądziłam - przyznałam.
- Czy dłużej byś się zastanawiała nad oceną, gdybym miał mnóstwo pieniędzy i pochodził z rodziny takiej jak twoja?
 - Oczywiście, że nie. - Cóż, może nie. Czy bardziej zaufałabym Culliemu, gdyby jego rodzice należeli do tego samego klubu co moja matka? Czy uwierzyłabym w same najgorsze rzeczy na temat Culliego, gdyby był „na topie” - majątnym lekarzem, prawnikiem, szefem domu towarowego - kimś, kogo aprobowałaby moja matka? Nie chciałam nawet o tym myśleć.
 - Sądzisz, że damy sobie z tym radę? - powiedział, z trudnością wymawiając słowa.
 - Tak. Ale najpierw musisz się wyspać. Ja też.
 - Nie chcesz, żebym teraz do ciebie przyjechał?
 - Nie pozwolę ci prowadzić w takim stanie. Kocham cię, pamiętasz?
 - Tak, pamiętam. Tak mi dobrze, że mnie kochasz, Sonny... - jego głos zamarł.
 - Zobaczymy się jutro, dobrze?
 - Twoje łóżko, czy moje?
 - Moje. Muszę tu zostać i załatwić parę spraw. Chociażby uregulować sprawę światła, gazu czy te-

lefonu. Wszyscy mi grożą odcięciem, jeśli im nie zapłacę.

- Jak zamierzasz to rozwiązać? Jesteś zrujnowana.

- Zastosuję metodę Scarlett O'Hara: zastanowię się nad tym jutro. A skoro o jutrze mowa, przyjedziesz tutaj, gdy skończysz pracę?

- Załatwione. Czy twój dom ma mnóstwo wieżyczek?

- Och, zamknij się i idź spać - roześmiałam się.

- Dobranoc, Sonny. Spij smacznie.

- To mi przypomina hasło reklamowe fabryki materaców mojego ojca: Królestwo Snów. Śpij Smacznie.

- Chwytiliwe. Żałuję, że nie poznałem twojego ojca. Powiedziałbym mu, że kocham jego córkę.

- Jesteś słodka. Pokochałby cię, jestem tego pewna. - Co innego moja matka.

- Czy zaakceptowałby mnie jako mężczyznę twojego życia? Chociaż jestem tylko synem instruktora żeglarstwa?

- Nie jesteś tylko synem instruktora żeglarstwa. Znaczysz dużo więcej. A teraz powiedz mi dobranoc i rozłącz się.

- Dobranoc i rozłącz się.

- Mówię poważnie. Idź spać. Zobaczymy się jutro.

- Tak, Sonny, zobaczymy się.

Następny dzień spędziłam na uspokajaniu moich wierzycieli,- którzy nie byli rozbawieni faktem, iż winna im jestem tak dużo pieniędzy. Obiecałam, że zwrócę im część gotówki, którą zamierzałam zdobyć organizując dużą wyprzedaż swoich rzeczy - wszystkich ubrań, mebli i zastawy stołowej, a także biżu-

terii, której dotąd nie udało mi się sprzedać. Sprawiali wrażenie zadowolonych z tego pomysłu. Zadzwoiłam do kobiety, która prowadziła wyprzedaże w mojej okolicy.

- Halo - powiedziałam. - Czy to sklep z rzeczami używanymi Rosy?

- Tak. Czym mogę służyć?

- Chciałabym sprzedać swoje rzeczy na wyprzedaży. Jak szybko mogłaby ją pani przygotować?

- Za jakieś dwa miesiące.

- Moi wierzyciele nie będą czekać tak długo!

- Wygląda na to, że wszyscy w Layton wyprzedają się teraz. Nigdy dotąd nie byłam tak zajęta.

- A nie mogłaby pani poprowadzić dodatkowo jeszcze jednej? Do sprzedania jest pełne wyposażenie mojej posiadłości przy Woodland Way. - Pomyślałam, że przekonam ją do zmiany zdania, kusząc ją wysoką prowizją, gdy zostanie jej klientką.

- Aha, Woodland Way. Dobry adres. - Była pod wrażeniem. Moja strategia zadziałała. - Tak się składa, że mam troje innych klientów z Woodland Way, którzy będą mieli wyprzedaże w ten weekend.

- Naprawdę? Nie wiedziałam, że ktoś z moich sąsiadów się wyprowadza.

- Kto mówi o przeprowadzce? Wszyscy oni znajdują się na krawędzi bankructwa i muszą zdobyć pieniądze. To przez tę paskudną recesję, wie pani. Okropny czas dla gospodarki. Wspaniały dla mnie.

Miło było się dowiedzieć, że ktoś się bogacił na recesji. - Nie ma więc możliwości, aby zorganizowała pani wyprzedaż dla mnie zaraz? - spróbowałam jeszcze raz.

- Absolutnie nie. Są inni przed panią. Jak już wspominałam, jestem bardzo zajęta.

Nie zamierzałam się poddać. - Czy przeprowadziłaby pani moją wyprzedaż natychmiast, gdybym zaproponowała ubicie interesu?

- Jakiego?

- Zamiast zwykłych dwudziestu procent zysku z mojej wyprzedaży, dam pani trzydzieści procent od wpływów.

Zastanowiła się. - Czterdzieści procent.

- Trzydzieści pięć.

- Urządzą wyprzedaż w przyszłym tygodniu.

- Doceniam to.

Tego wieczoru Cullie zjawił się u mnie o szóstej. Pofrunęłam w jego objęcia, oplotłam mu szyję ramionami.

- Uff. Ja też się cieszę, że cię widzę - roześmiał się, gdy omal go nie przewróciłam.

Nasza rozłąka trwała zaledwie jeden dzień, ale czułam się tak, jakbym go nie widziała od miesięcy.

- Wyglądasz tak przystojnie - zamruczałam, głaszcząc jego brodę. Miał na sobie dzinsy i złocistożółty sweter, który ładnie kontrastował z pszeniczną czupryną.

- Powinniśmy się chyba częściej rozstawać

- uśmiechnął się. - To dopiero powitanie. - Potem spochmurniał. - Kiedy jednak lepiej się zastanowić, nie powinniśmy się nigdy rozstawać. To mi szkodzi na wątrobę.

- Masz kaca? - spytałam.

- Można to tak nazwać. Kiedy dzisiaj przy robieniu zdjęć spojrzełam przez wizjer aparatu, zobaczy-

łem dwa domy zamiast jednego. Każda czynność zajmowała odrobinę więcej czasu, niż zazwyczaj. Przyjechałem prosto po zakończeniu pracy.

- Tak się cieszę, że przyjechałeś. Chodźmy na górę, żeby się na nowo zaprzyjaźnić - zaproponowałam kuszaco.

- Z przyjemnością. Ale najpierw chciałbym ci coś dać. - Cullie wręczył mi zawinięty w ozdobny papier pakunek, wyglądający na czasopismo.

- Następny prezent? Zepsujesz mnie.

- To niezupełnie prezent, Sonny. Może pójdziemy usiąść w kuchni?

Udałam się za nim korytarzem do kuchni i usiadłam przy stole koło niego. - Co tam jest? - spytałam, potrząsając paczką jak dziecko prezentem spod choinki.

- W związku z naszą nową polityką pełnej otwartości chciałem, żebyś to dostała. To część zaginionych stron z rękopisu Melanie. Nie znalazłaś ich wczoraj w szufladzie biurka, gdyż musiały wypaść z całego pliku i spaść na podłogę. Owinąłem je w papier, który kupiłem, aby zapakować pamiątnik dla ciebie. Chcę ci je podarować. Rozumiesz, taki symboliczny gest. Nie chcę, żebyś myślała, że coś przed tobą ukrywam.

- Powiedziałaś ci już dziś w nocy. Nie miałam racji, nie ufając ci. A teraz popatrzmy, jaką to nie-godziwość planowała wyrzucić Melanie jakiejś biednej, niczego się nie spodziewającej istocie.

Rozwinęłam pakunek i wyjęłam niewielki plik odbitek kserograficznych zdjęć.

- To chyba te, które miały zostać zamieszczone w książce - wyjaśnił Cullie. - Melanie musiała je skopiować, żeby pokazać wydawcy, co zamierza włączyć do biografii.

- Obejrzymy sobie - powiedziałam przekornie. Na każdej kartce formatu A4 znajdowała się czarno-biała odbitka fotografii i krótki opis na maszynie. - Weź kilka i ja wezmę parę.

- Bierz ty. Ja już je oglądałem - odparł. - Chciałem sprawdzić, czy Melanie nie zdobyła podstępnie zdjęcia mojego ojca w jachtklubie i nie użyła go w książce.

- I co? - spytałam.

- Nie zrobiła tego. A przynajmniej nie ma go w tej grupie zdjęć.

Zacząłam przeglądać fotografie. Nie były ułożone w jakimś określonym porządku albo chronologicznie, stanowiły zbiór przypadkowych obrazków z życia Alistaira Downsa. Na jednym stał u boku swojego kołosa z mafii, Frankiego Fuccato, przed restauracją w Beverly Hills. Było ujęcie jego i Annette w jej nowiutkim kabriolecie. Było zdjęcie młodego Ala Downeya w szkole podstawowej w Queens, na innym obserwował, jak Giants grają w baseball na dawnym boisku do gry w polo.

- Hej, spójrz na to - odezwał się Cullie, podając mi zdjęcie. - To fotografia Alistaira z okresu Ala Downeya/Arthura Murraya. Wygląda, jakby w latach czterdziestych wygrał ze swoją partnerką jakiś konkurs taneczny.

- Daj zobaczyć - powiedziałam, wyrywając zdjęcie z ręki Culliego. Najpierw zerknęłam na podpis: Al Downey i jego dziewczyna wygrali konkurs tańca jazzowego w Forest Hills Dance Studio. Potem przyjrzałam się uważnie starej, ziarnistej fotografii i odniosłam wrażenie, że kogoś rozpoznaję - wrażenie było tak wstrząsające, że omal przestałam oddychać.

Na czarno-białym zdjęciu, na parkiecie Szkoły Tańca Arthura Murraya w Queens, stał przystojny młody człowiek, otaczający ramieniem atrakcyjną młodą blondynkę. Mężczyzną był niewątpliwie Alistair: kobieta wyglądała jak moja matka.

- Cullie? - odezwałam się nerwowo. - Wspomniałeś, że przyjechałeś tu prosto ze swojej ostatniej pracy. Czy to oznacza, że masz ze sobą cały swój sprzęt?

- Jasne. Jest w samochodzie.

- A czy przypadkiem nie masz czegoś, co powiększa obraz?

- Masz na myśli lupę? Tak, mam jakąś.

- Czy mógłbyś ją przynieść?

- Teraz?

- Natychmiast, jeśli możesz. - Cullie poderwał się z fotela i pobiegł do swojego jeepa. Był z powrotem, zanim nawet zauważyłam, że zniknął. Byłam tak zahipnotyzowana widokiem fotografii w mojej dłoni, że przestałam dostrzegać cokolwiek innego.

- Wiesz, jak się tym posługiwać? - zapytał.

- Tak. Trzeba położyć na zdjęciu i patrzeć przez szkło, prawda?

- Owszem.

Przyłożyłam lupę do twarzy kobiety na zdjęciu i pochylłam się, żeby przyjrzeć się powiększeniu. Nie było żadnych wątpliwości, że tą kobietą była bardzo młoda Doris Waxman. Wyglądała dokładnie tak, jak na zdjęciach w naszym starym albumie rodzinnym - ubranie, uczesanie, makijaż, wszystko w stylu lat czterdziestych. Jedyne, co różniło tę fotografię od znanych mi z albumu, to uśmiech. Nigdy nie widziałam, żeby się uśmiechała tak jak do mężczyzny na

zdjęciu - ani do mnie, ani do mojego ojca, nigdy. To spojrzenie, pełne czystego, niczym nie maskowanego uwielbienia, najwyraźniej było zarezerwowane dla Alistaira Downsa. Przebiegł mnie dreszcz.

- Hej, dziewczyno, co się stało? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha. - Cullie objął mnie ramieniem, tak jak Alistair obejmował moją matkę na fotografii, spoczywającej teraz na kuchennym stole.

- Nie zobaczyłam ducha, Cullie. Zobaczyłam moją matkę.

- O czym ty mówisz?

- Kobieta na tym zdjęciu - kobieta, opisana jako przyjaciółka Ala Downeya - jest moją matką.

- W ustach mi zaschło ze strachu i coś ścisnęło mnie w gardle.

- Twoją matką? Wydaje mi się że cierpisz na to, co my nazywamy kompleksem matki - wyrecytował Cullie. - Wszędzie widzisz tylko swoją matkę, Sonny. Pamiętasz, jak sądziłaś, że to ona prowadziła cadil-laca, który wypadł z bramy Alistaira i omal się z nami nie zderzył?

- To ona omal nas nie stuknęła. Pytałam ją. Potwierdziła.

- Żartujesz? A co robiła w Na Zawsze? Mówiłaś, że nigdy nie spotkała Alistaira.

- Tak mi się wydawało. Najwyraźniej myliłam się.

- Rzuciłam okiem na zdjęcie leżące na stole i wzdrygnęłam się. -« Powiedziała mi, że pojechała do niego, aby go namówić do przyjęcia mnie na powrót do gazety.

- Może mówiła prawdę.

- Spójrz na tę fotografię, Cullie. Podpis stwierdza, że kobieta na zdjęciu jest przyjaciółką Alistaira. Jego

dziewczyną. To wszystko jest takie dziwne, że sama nie wiem, co mam myśleć.

Cała zaczęłam dygotać. Cullie podszedł do szafy, przyniósł swoją marynarkę i zarzucił mi ją na ramiona.

- Słuchaj, może coś było między Alistairem i twoją matką, kiedy byli młodzi - powiedział. - I co z tego? To nie znaczy, że byli kochankami przez te wszystkie lata...

Cullie przerwał i spojrzał na mnie z mieszaniną przerażenia i współczucia. Czytał końcowe strony rękopisu Melanie i wiedział, że też je przeczytałam. Oboje widzieliśmy rozdział zatytułowany *Żydowska księżniczka Alistaira: Kobieta, której nie mógł poślubić*. Nagle oboje uświadomiliśmy sobie wszelkie przeraźliwe wnioski, wynikające z tego rozdziału i fotografii przed nami.

- O mój Boże - jęknęłam, opierając się ciężko o stół. - To moja matka jest kobietą, o której pisała Melanie. Ale jak? Jak mogła przez wszystkie te lata kochać Alistaira? Kochała mojego ojca. Byli ogromnie szczęśliwi. Sama tak mówiła. Nigdy nie miałyby romansu za plecami ojca. Nigdy! I nigdy z Alistairem! To nie może być, nie może!

Cullie usiłował mnie uspokoić, ale zignorowałam jego próby.

- Wszystkie te lata - krzyczałam. - Wszystkie te lata, kiedy pouczała mnie, rządziła i próbowała układać mi życie. Wszystkie te lata, kiedy budowała obraz tak doskonałego małżeństwa z ojcem, że nie mogłam nawet marzyć, by osiągnąć ten ideał. Pieprzona hipokrytka! Moja matka przez całe życie uganiała się za człowiekiem, który miał ją gdzieś. Jeśli to, co pisze

Melanie, jest prawdą, to całe małżeństwo matki było oszustwem.

- Ale pozostaje to pytanie, „jeśli” - przypomniał mi Cullie. - Może Melanie koloryzowała, żeby książka się lepiej sprzedawała.

- Napisała prawdę o twoim ojcu i Annette, tak? Sam przyznałeś, że nie ubarwiła tej historii.

- To prawda. Ale nie chcę, żebyś...

- Żeby co? Żeby, odkrywszy taki sekret mojej matki, nie dostała szału?

Nagle przyszło mi do głowy, że właściwie mogę dołączyć nazwisko matki do listy podejrzanych o popełnienie morderstwa. Okazało się, że stać ją było na zdradę. Może to ona nie mogła znieść stania z boku i przyglądania się, jak Melanie publikuje swoje rewelacje. Może to ona wdarła się do domu, wyrznęła Melanie w głowę i usunęła ją.

Wizja była tak okropna, że nie śmiałam spojrzeć Culliemu w oczy. Zastanawiałam się, co też musi sobie teraz o mnie myśleć. A taki był zmartwiony, że nie dorównuje mojej rodzinie. Co za ironia.

Szybko! Kawał! Jakiś kawał! Nie pozwól sobie na rozpamiętywanie tego bólu, Alison. Opowiedz Culliemu jakiś żart o Doris Waxman, jego przyszłej teściowej. Musisz mieć jakiś kawał o teściowej w swoim repertuarze, prawda? Szybko! Kawał!

- Cullie - odezwałam się. - Jaka jest definicja mieszanych uczuć?

Spojrzał na mnie bezradnie, jakby chciał ulżyć mi w bólu, ale nie wiedział, jak ma to zrobić.

- Kiedy widzisz swoją teściową spadającą z urwiska w twoim nowym porsche. - Zaczęłam się histerycznie śmiać. Nie potrafiłam się normalnie za-

chowować. Biedny Cullie nie wiedział, jak ma mi pomóc.

- Chodźmy na górę - zaproponował. - Może położysz się na chwilę...

- Położę się? Położę się? - powiedziałam, wstając od stołu i ruszając ku drzwiom. - Jadę do mojej ukochanej mamuśki. Chcę usłyszeć całą tę historię prosto z ust tej dziwki.

- Beze mnie nie pojedziesz. Jadę z tobą.

- Jesteś pewien? To nie będzie przyjemne.

- A musi być?

- Dla niektórych musi. Niektórzy ludzie chcą, żeby wszystko było ładne, miłe i przyjemne. Choćby Sandy. Gdy tylko coś się zepsuło, zwinął żagle.

- Powiedziałem ci już wczoraj, nie jestem Sandym. Jestem tu na dobre i na złe.

- Nie zasługuję na ciebie - stwierdziłam z oczami pełnymi łez.

- Nie zasługujesz także, żeby cię okłamywano - odparł Cullie, chwytając mnie za rękę i prowadząc w stronę drzwi. - Złóżmy wizytę twojej mamie. Samochód czeka.

Czesc trzecia

Na Pink Cloud Lane 89 dojechaliśmy o ósmej. Kiedy zaczęłam pędzić po kamiennej ścieżce w stronę frontowych drzwi domu mojej matki, Cułlie złapał mnie za ramię i przytrzymał.

- Wydaje mi się, że powinnaś zwolnić - poradził mi. - Spróbuj zachować spokój. Nie ma sensu wpadać gwałtownie i spychać twoją matkę do defensywy - jeśli chcesz usłyszeć od niej prawdę.

- Chyba masz rację - powiedziałam i głęboko zaczerpnęłam powietrza.

Nacisnęłam dzwonek przy drzwiach i niespokojnie czekałam, aż matka nam otworzy, ale w drzwiach pojawiła się Nora Smali, mieszkająca razem z nią gosposia.

- Witaj, Noro - powiedziałam i, nie czekając na zaproszenie, weszłam do środka. - Mama jest w domu?

- Nie, panienko Alison - odpowiedziała ze śpiewną jamajską modulacją. - Pani Waxman wyszła.

- Wyszła? Gdzie? - Nie przyszło mi do głowy, żeby wcześniej zatelefonować i upewnić się, że matka będzie w domu.

- Z jakimś panem.

- Z panem? Czy przypadkiem znasz jego nazwisko?

- Nie, panienko. Pani mama nie podała.

- Czy widziałaś, jak wygląda, gdy po nią przyjechał? - zadałam pytanie Norze.

- Nie, panienko. Po mamę przyjechał szofer tego pana.
- Jego szofer? - parsknęłam. - To na pewno Alistair. Ma szofera, który prowadzi jego limuzynę.
- Czy coś się stało, panienko Alison?
- Ach, nie. Przepraszam, Noro. Czy mogę poczekać z przyjacielem do powrotu mamy do domu?
- Naturalnie. Jeśli będziecie czegoś potrzebowali, znajdziecie mnie w kuchni.

Przez parę minut siedzieliśmy z Culliem w milczeniu w salonie mojej matki. Potem podniosłam się z kanapy i pociągnęłam go za sobą. - Chodź - powiedziałam, biorąc go za rękę. - Pozwól, że ci pokażę izbę pamięci Seymoura Waxmana.

- O czym ty mówisz?
- Chodź za mną.

Zaprowadziłam go do głównej sypialni. - Tutaj. Właśnie o tym mówię - powiedziałam, wskazując na szereg fotografii, trofeów zdobytych w turniejach tenisowych i innych pamiątek, zdobiących ściany, półki regałów i blaty szafek. - Witaj w mauzoleum mojego ojca - w pokoju, mającym za zadanie uspokoić sumienie pogrążonej w żałobie wdowy Waxman.

- Zdumiewające - odparł, kręcąc głową. - Tu musi być ze sto zdjęć twojego ojca. Jedno mogę powiedzieć o twoich rodzicach: sprawiają wrażenie szczęśliwej pary - dodał, trzymając fotografię Sy i Doris z podróży poślubnej w hotelu Fontainebleau w Miami Beach.

- Teraz nie mogę znieść tego widoku - odparłam. - To wszystko kłamstwo. Wielkie, paskudne łgarstwo matki. Ciągnąć romans z Alistairem Downsem, mając

do kochania takiego wspaniałego człowieka jak mój ojciec.

- Poczekajmy i posłuchajmy, co nam powie - poradził Cullie. - Chodź, naszykujemy sobie coś do picia.

Około wpół do dziesiątej usłyszałam odgłos otwierania frontowych drzwi. Potem doszedł mnie zachrypnięty od papierosów głos mojej matki. - Dziękuję za boski wieczór. Jesteś uprzejmym i szlachetnym człowiekiem. Dobrej nocy.

Rozległy się przytłumione dźwięki, następnie odgłos odjeżdżającego samochodu, wreszcie kroki mojej matki na marmurowej podłodze w przedpokoju. Uprzejmy i szlachetny, cholera. Nie rozpoznałam głosu mężczyzny, ale musiał należeć do Alistaira, tej świni. Pewnie całował ją na dobranoc tymi swoimi siedemdziesięcioletnimi wargami. Nieprzyzwoite. To wszystko było nieprzyzwoite.

Kiedy matka weszła do salonu, oboje z Culliem powstaliśmy, jakbyśmy byli parą wiernych poddanych, którym udało się uzyskać audiencję nie u królowej pretensjonalności, ale u królowej brytyjskiej.

- Alison, skarbie. Co za niespodzianka. Nie poznałam tej ciężarówki przed domem - odezwała się, podchodząc ku mnie z wyciągniętymi ramionami. Swoje ręce trzymałam opuszczone, jednak pozwoliłam, aby złożyła na moim policzku jeden z tych nierealnych pocałunków - pocałunków w powietrze, które rozdawała, gdy nie chciała rozmazać szminki.

- To nie ciężarówka, to jeep - odparłam krótko. - Ten sam, którego omal nie stuknęłaś, wyjeżdżając tamtego ranka z domu Alistaira Downsa.

- Ach, wiem. A kto to jest? - powiedziała, mając na myśli Culliego, ale nie zadając sobie trudu, aby na niego spojrzeć. Zamiast tego przyjrzała się swojej kraciastej spódnicy od Perry Ellisa i zdjęła z niej jakiś pyłek.

- To jest Cullie Harrington. Cullie, poznaj moją mamę, Doris Waxman - powiedziałam.

- Miło mi - odezwał się Cullie, bez uśmiechu wyciągając dłoń. Moja matka nie podała swojej.

- Harrington... Harrington - zadumała się. - Znamy jakichś Harringtonów? - spytała mnie.

- Tak, jednego. Stoi właśnie przed tobą - warknęłam.

- Jednak muszą być jeszcze jacyś inni. Nazwisko jest mi skądś znajome - powiedziała.

- Dlatego, że wymieniłam nazwisko Culliego tamtej nocy, gdy zabrałaś mnie do klubu na kolację z homarem. Zadławiłaś się niemal na śmierć, pamiętasz?

- Tak, chyba sobie przypominam. - Nastąpiła przerwa. - Siadajcie, proszę - poleciła Culliemu i mnie. Zajęliśmy miejsca na kanapie, ona zaś przysiadła na pobliskim fotelu bujanym. - A więc, młody człowieku - powiedziała, wyjmując ze złotej papierośnicy winstona i zapalając go. - Opowiedz mi o sobie, o swoich bliskich.

O swoich bliskich. Boże, z mojej matki był niezły model. Pamiętam pewne popołudnie, gdy byłam jeszcze w szkole podstawowej i przyprowadziłam do domu chłopca o imieniu Chuck, którego ojciec był pomywaczem w okolicznym barze. Było mi go żal, bo powiedział, że mają tylko jeden telewizor, podczas gdy my mieliśmy cztery - trzy kolorowe i czarno

-biały, dla służącej. Pewnego dnia po szkole zaprosiłam Chucka na oglądanie *American Bandstand*, kiedy nagle do pokoju telewizyjnego, w którym właśnie tańczyliśmy, wtargnęła moja matka. Zamarła w pół kroku i odezwała się swoim najniższym, najbardziej peszącym, pełnym dezaprobaty głosem:

- Kogo tu zabawiasz, Alison?

- Och, cześć, mamó - powiedziałam. - To jest Chuck. Chodzi do mojej klasy.

- Skąd Chuck pochodzi? - zapytała z taką miną, jakby właśnie wdepnęła w psią kupę.

- Nie wiem. Chuck, na jakiej ulicy mieszkasz?

- spytałam go.

- Na Hitchcock Avenue - odparł Chuck, czując od razu, że udzielił niewłaściwej odpowiedzi.

- Nigdy nie słyszałam o Hitchcock Avenue

- stwierdziła moja matka, po raz pierwszy zwracając się bezpośrednio do Chucka. - Jak masz na nazwisko i kim są twoi bliscy.

To było to. Pamiętam, że miałam ochotę ją udusić. Zawsze chciałam ją udusić, kiedy pytała o czyichś krewnych, tak jakby mówiła „Z jakiego plemienia pochodzisz?” albo „Z której jaskini wypełzłeś?”, albo „Jak śmiesz zanieczyszczać otaczające mnie powietrze swoją obecnością?”. W końcu za kogo się uważała? Była żydowską dziewczyną z Queens, której „bliscy” byli węgierskimi imigrantami, tak ciężko pracującymi na to, żeby zapewnić córce wszystko, co najlepsze w życiu, że zapomnieli nauczyć ją odrobiny skromności. No tak, pomyślałam. Byli siebie wari z Alistairem.

- Moi bliscy? - ze zdziwioną miną zapytał Cullie.

- To znaczy chodzi o moich rodziców?

Moja matka kiwnęła głową.

- Mój tata był żeglarzem.

- Rozkoszne hobby. A jak zarabiał na życie?

- Uczył żeglarstwa w jachtklubie Sachem Point.

- Bardzo interesujące - powiedziała, zaciągając się papierosem. - Jest teraz na emeryturze?

- Nie, zmarł dziewięć lat temu.

- To przykre. A twoja matka?

- Była kelnerką w klubie. Też już nie żyje.

- Ojej. Jakże to bolesne dla ciebie. - Widziałam, że jest zdruzgotana. - Sądzę, że to cię łączy z Alison.

- Ma pani na myśli utratę rodziców? - zapytał Cullie.

- Właśnie. Ojciec Alison, a mój najdroższy mąż, Seymour, opuścił nas na zawsze, gdy Alison była jeszcze małą dziewczynką. Bardzo mi go brak. - Moja matka wydmuchała przez nos długą smugę dymu.

- Skoro o tacie mowa - przerwałam, niecierpliwie pragnąc przejść do sedna naszej wizyty - kim jest ten dżentelmen, z którym wychodziłaś dziś wieczorem?

- Dżentelmen, z którym spędziłam wieczór?

- Dokładnie.

- Nie jestem pewna, czy powinnam ci mówić - oświadczyła kokieteryjnie moja matka, dla lepszego efektu trzepocząc rzęsami.

- Daj spokój, mamu. Nie mamy przecież przed sobą żadnych sekretów. Przyznaj się. Kim jest ten facet? Nowy absztyfikant? Dawny absztyfikant? Tak dawny, że wygrałaś z nim konkurs tańca w latach czterdziestych?

- Oczywiście, że nie - powiedziała. - Nie było nikogo od czasu twojego ojca.

- Naprawdę? Z kim więc byłaś dziś wieczorem?

- Jeśli musisz wiedzieć, jadłam kolację z Louistem Obermeyerem. Z klubu. Chodziłaś do szkoły z jego córką, Betsy, przypominasz sobie?

Czy było to nowe cza-cza-cza w wykonaniu mojej matki? - Co robiłaś z panem Obermeyerem?

- Chciałam z nim porozmawiać o tobie, kochanie.

- O mnie?

- Tak. Nie jestem jednak pewna, czy powinniśmy dyskutować na ten temat w obecności...

- Culliego? Dzielimy ze sobą wszystko.

- Ach, tak?

- To prawda, pani Waxman - odezwał się Cullie.

- Jesteśmy sobie bardzo bliscy z pani córką.

- Och. - Moja matka zbladła, tak jak w czasie naszej kolacji z homarem, kiedy po raz pierwszy powiedziałam jej o Culliem. Dzięki Bogu nie było teraz w pobliżu plasterków cytryny.

- O czym rozmawiałaś z panem Obermeyerem?

- naciskałam.

- Nie chcę cię denerwować, Alison, kochanie. Ale tak bardzo się martwiłam tym śledztwem w sprawie morderstwa, w które zostałaś wmieszana. Louis jest prawnikiem, bardzo zręcznym prawnikiem sądowym. Bronił syna Edith Eisner, Freda, aresztowanego za nieuczciwe spekulacje. Dzięki Louisowi Fred przebywa teraz na wolności. I na dodatek jest bardzo bogatym człowiekiem. Edith mówiła mi, że zbił fortunę na giełdzie.

- Brawa dla Freda - powiedziałam.

- Zwróciłam się po radę do Louisa - ciągnęła dalej

- ponieważ chciałam mieć absolutną pewność, że gdyby policja oskarżyła cię o zamordowanie Melanie Moloney, miałabyś najlepszego obrońcę na świecie.

Jeśli istnieje ktoś, kto może cię wyciągnąć z tego, w co się wpakowałaś, to jest to na pewno Louis.

- Wzruszona jestem twoim zaufaniem do mnie - powiedziałam, ziejąc sarkazmem. - Sama wykaras-kam się ze swoich kłopotów, dziękuję bardzo za pomoc. Ale to mi coś przypomina, mamó. Opowiedz mi coś więcej o swoim spotkaniu z Alistairem sprzed paru dni. Wyprawa do Na Zawsze, żeby wstawić się za mną, musiała być dla ciebie sporym przeżyciem.

- Po to właśnie są matki - odparła.

- Czy senator zachowywał się czarująco? Czy był serdeczny? Czy podniecił cię seksualnie?

- Alison! Co cię opętało? Nigdy nie odzywałaś się do mnie w ten sposób. Kiedy byłaś żoną Sandy'ego, okazywałaś szacunek swojej matce. A teraz zupełnie cię nie poznaję. - Spojrzała na Culliego, jakby to on był przyczyną mojego upadku moralnego.

- Co mnie opętało? - rzuciłam podniesionym głosem. - Prawda. To właśnie mnie opętało.

- Jaka prawda?

- O tobie i Alistairze. Opowiedz mi, jak się spotkaliście.

- Mówiłam ci już. Udałam się do jego posiadłości, aby porozmawiać o twoim zatrudnieniu w gazecie. Chciałam...

- Opowiedz mi, jak spotkaliście się po raz pierwszy, kiedy Alistair uczył tańca w szkole Arthura Murraya w Queens. - To tyle, jeśli chodzi o sugestię Culliego, żeby nie spychać mojej matki do defensywy.

Twarz mojej matki zbladła, a wraz z nią wszystkie kłamstwa, którymi karmiła mnie przez całe moje życie. Dolna warga zaczęła jej się trząść, a lewy policzek wykrzywił skurcz.

- Co... co... daje ci prawo, żeby... odzywać się do mnie... w ten sposób? - wykrztusiła z siebie, przenosząc wzrok z Culliego na mnie i z powrotem.

- Jestem twoją córką, i to mi daje prawo. To oraz fakt, że udawałaś kogoś, kim nie jesteś. Po śmierci tatusia robiłaś z siebie biedną, zrozpaczoną wdowę. A przez cały czas ciągnęłaś romans z naszym amerykańskim senatorem z Connecticut.

- To kłamstwo! - sapnęła moja matka. - Al i ja nie byliśmy...

- Al? - uśmiechnęłam się drwiąco. - Opowiedz mi wszystko o sobie i Alu. Dalej, mamó. Równie dobrze możesz zrzucić z siebie ten ciężar.

- Jaki ciężar? Nie mam sobie nic do zrzucenia, Alison.

- Dobry Boże! Moja matka właśnie popełniła błąd językowy! Chciałaś chyba powiedzieć: „Nie mam sobie nic do zarzucenia”, prawda, mamó? - Przyznaję się. Podobało mi się to. Doprowadzenie matki do tego, żeby się wiała, po tych wszystkich latach, kiedy to ona zmuszała mnie do wicia się, stanowiło rozkosz nie do opisania.

- Skąd czerpiesz swoje informacje? - spytała moja matka, patrząc na Culliego.

- Z biografii twojego kochanka, napisanej przez Melanie Moloney - powiedziałam.

- Czytałaś tę książkę? Píše o mnie? Wymienia mnie z nazwiska? - Moja matka sprawiała wrażenie przerażonej. Nie było mi jej żal.

- Nie podaje twojego nazwiska, ale cały rozdział poświęcony jest twojemu nieszczęsnemu romansowi z Alistairem - och, przepraszam - z Alem.

- Skoro nie wymienia mojego nazwiska, dlaczego przypuszczasz, że pisze o mnie?
- Spójrz na to, mamó. - Podałam jej kopię zdjęcia jej i Alistaira.
- Mój Boże! Nie mogę w to uwierzyć. Skąd wytrzasnęłaś tę starą fotografię?
- Niewątpliwie nie z twojej prywatnej kolekcji
- powiedziałam, krzywiąc się. - Była razem z rękopisem. Melanie musiała ją gdzieś wygrzebać.
- Po prostu nie mogę uwierzyć - powtórzyła moja matka, zapalając następnego winstona.
- Uwierz, mamó. Ja uwierzyłam. Cullie też.
- Cullie? A kim niby jest ten Cullie i co ma do mojego życia?
- Na twoim miejscu nie osądzałabym tak pochopnie Culliego - odparłam tak spokojnie, jak tylko mogłam. - To nie on zdradzał swojego męża, tylko ty. - Przerwałam, czekając aby do mojej matki dotarł cały jad tych słów. - A teraz, mamó, może powiesz nam całą prawdę. Słuchamy.

Matka z westchnieniem opadła na bujany fotel.

- Dooooobrze - wydusiła z siebie długi jęk. Przypominała mi Złą Czarownicę z Zachodu z *Czarnoksiężnika z Oz*, która, tracąc swą moc na skutek polania wiadrem wody przez Dorotę, załkała cienkim głosem „Rozpuuszczam się...”

- Spotkałam Ala, kiedy miałam szesnaście lat - zaczęła, zaciągawszy się swoim papierosem. - Byłam wrażliwą młodą dziewczyną. Nigdy nie byłam z mężczyzną. Nie miałam żadnego doświadczenia w tych sprawach. - Przerwała. - Moje przyjaciółki chciały poznać najnowsze tańce. Powiedziały, że będą chodzić na lekcje do szkoły tańca Arthura Murraya

w Forest Hills. Poszłam z nimi. Gdybyście wiedzieli, ile bym dziś dała za to, żebym wówczas nie poszła.

Wydawało się, że w głosie mojej matki słychać było prawdziwy ból, ale któż potrafił jeszcze powiedzieć, co jest prawdziwe?

- Al był tam jednym z instruktorów - kontynuowała. - Przerazał mnie. Był przystojny, czarujący i bezlitośnie ze mną flirtował. Nigdy się nie dowiem, dlaczego właśnie ze mną.

- Ach, mamo, nie bądź taka skromna - sarknęłam.

- Jeśli wziąć pod uwagę zdjęcie z książki Melanie, to byłaś wtedy prawdziwą piękną.

- No tak, przypuszczam, że nie byłam najbrzydsza. To Al sprawił, że poczułam się piękna. - Wargi jej zadrżały. - Zainteresował się mną, a ja byłam nim oczarowana. Był tak różny od chłopców ze szkoły, taki gładki, taki światowy, taki... zakazany.

- Taki nieżydowski - dodałam i mrugnęłam do Culliego, który siedział na kanapie tak sztywno, że wyglądał jak eksponat z wystawy figur woskowych. Nagle przyszło mi do głowy, że cała ta scena może nie być najlepszą scenografią do przedstawienia matce przyjaciela.

- Tak, taki nieżydowski - zgodziła się moja matka.

- Moi rodzice byli przeciwni zadawaniu się z chłopcami innej religii, musiałam więc spotykać się z Alem po kryjomu. Bardzo mnie to martwiło.

- Nie musisz mi tego mówić. - Kiedy byłam w liceum, matka była tak bardzo przeciwna moim randkom z chłopcami innej wiary, że gdy tylko podejrzewała, iż myślę o umówieniu się z Mike'em Metodystą czy Eddiem Episkopalistą, natychmiast wynajmowała detektywa, aby mnie śledził.

- Al miał wielkie plany - ciągnęła dalej matka. - Zamierzał wziąć wszystkie pieniądze, zarobione lekcjami tańca i pojechać do Kalifornii, do Hollywood. Odkrył go łowca talentów i oferował pomoc w dostaniu się do filmu. Byłam taka dumna. Już wtedy wiedziałam, że pewnego dnia będzie sławnym człowiekiem. Miał w sobie coś takiego - coś takiego, co sprawiało, że błyszczał w tłumie.

- No tak, miał coś takiego, dzięki czemu błyszczał w tłumie. Pewnie jaja z mosiądzu.

Moja matka obrzuciła mnie zgorszonym spojrzeniem. - To, co go wyróżniało, Alison, to była ambicja. Odrobina ambicji nigdy nie zaszkodzi. - Znowu zerknęła w stronę biednego Culliego. - Obiecał, że gdy tylko ustawi się w Hollywood, natychmiast po mnie przyśle i się pobierzemy.

- Naprawdę zamierzałaś go poślubić? - Sypiać z kimś takim, to jedno, ale wychodzić za mąż?

- Ależ tak. Z radością bym za niego wyszła. Tak bardzo oszalałam na jego punkcie, że zrobiłabym dla niego wszystko.

Ścisnęło mnie w dołku. Moja matka oszalała na punkcie Alistaira Downsa? Ta sama kobieta, która zawsze przestrzegała mnie, abym nie nosiła serca na dłoni? Ta sama kobieta, która zachowywała się tak, jakby miłość do mężczyzny była prawnie zakazana? Znowu poczułam skurcz w brzuchu. Żałowałam, że niczego nie jadłam.

- Czekałam sześć miesięcy. Sześć miesięcy, bez jednego telefonu czy kartki pocztowej.

Dowiadawałam się o nim z notatek w prasie. Nie mogłam tego zrozumieć. Przecież planowaliśmy nasz ślub.

- Zapomniał więc o tobie, kiedy stał się sławny, tak?

- To wcale nie tak - obruszyła się na mnie. - Al doszedł do wniosku, że życie w Hollywood nie jest dla mnie odpowiednie. Przysłał mi list, w którym pisał, że jestem zbyt wielką damą, aby być narażoną na kontakt z zepsutym, dekadentycznym stylem życia, tak popularnym wśród ludzi filmu. Pisał, że chce mnie przed tym uchronić. Stwierdził, że lepiej będzie, jeśli pójdziemy każde swoją drogą. I że zrezygnowanie ze mnie było najtrudniejszą i najmniej egoistyczną rzeczą, jaką uczynił w życiu.

Moja matka wytarła łzę w lewym oku. Tymczasem ja pozostałam niewzruszona. Cullie zaś nadal był niemal w stanie paraliżu.

- Kupiłaś te brednie? - zapytałam ją. - Uwierzyłaś mu? - Nigdy do tej pory nie uważałam mojej matki za głupią. Może trochę oderwaną od rzeczywistości, ale na pewno nie głupią.

- Oczywiście, że mu uwierzyłam. Kiedy naprawdę kochasz mężczyznę, wierzysz mu. - Poczułam ukłucie winy, gdy przypomniałam sobie, jak łatwo uwierzyłam, że Cullie, mężczyzna, którego kocham, jest mordercą. - A kiedy się dowiedziałam, że poślubił Annette Dowling, byłam pewniejsza niż kiedykolwiek, że mówił prawdę. Annette żyła w świecie rozrywki, podobnie jak Al. Wiedział, że lepiej się nadawała do życia w Hollywood niż ja.

- Świetnie. I wtedy poznałaś ambitnego, wspinającego się po szczeblach kariery Sy Waxmana, miłego żydowskiego chłopaka, doskonale pasującego do wyobrażeń twoich rodziców. Traktował cię jak królową. Kupował ci wszystko, czego tylko zapragnęłaś. Kochał cię. Nie przeszkadzało mu, że ty go nie kochałaś. Pomyślałaś, czemu nie wyjść za mąż za tego męż-

czyzną? Skoro nie mogę mieć Ala, dlaczego chociaż nie mieć pieniędzy? Zgadłam, mamó?

- Kochałam Sy. Przyznaję, nie tak jak Ala, ale zależało mi na nim. Traktował mnie jak królową. Był bardzo dobry i dla mnie, i dla ciebie, Alison.

- Tak, był bardzo dobry. Był tak dobry dla mnie, że nie mogę myśleć o tym, jak go oszukiwałaś, jak nakłoniłaś swojego miłego, łagodnego męża do kupienia domu w Layton, jak odnowiłaś swój związek z Alistairem i ciągniesz tę aferę aż do dzisiaj.

- To nieprawda. Zerwaliśmy ze sobą zaraz po ataku serca Sy.

- Przyznajesz więc, że powtórnie związałaś się z Alem. Za plecami swojego męża.

- Tak, przyznaję. - Zaciągnęła się głęboko papierosem, po czym wydmuchała dym do góry, w stronę sufitu. - Alę to, że Al mieszkał w Layton, nie było jedynym powodem, dla którego chciałam się tu przenieść. Czytałam o tym mieście w wielu pismach. Odniosłam wrażenie, że tutejsi mieszkańcy mają pewną klasę. Ich domy są dopracowane architektonicznie. Szkoły mają doskonałą reputację. Chciałam wszystkiego, co najlepsze dla swojej rodziny.

- Jasne, a na dodatek trochę igraszek dla Doris.

- Alison, nie bądź okrutna.

- Przykro mi, mamó. Okrucieństwo przychodzi z łatwością, gdy się miało dobrego nauczyciela.

- Być może zasłużyłam na to. Nie wiem.

- Opowiedz nam, co się działo, kiedy z tatą kupiliście tu dom. Jak szybko znów związałaś się z Alistairem?

- Dokładnie nie pamiętam. Wybrałam się do niego do Na Zawsze. Był zaskoczony i uradowany moim

widokiem. Poczuliśmy to samo co dawniej podniecenie, tę samą iskrę. Padliśmy sobie w objęcia. Nie byliśmy w stanie się powstrzymać. Nie mogliśmy zaprzeczyć sile naszej miłości.

O Boże. Całe lata przysłuchiwania się dialogom z „As the World Turns” zrobiły jej sieczkę z mózgu. - Skoro wasza miłość była tak wielka, dlaczego ty i Alistair nie rozwiedliście się ze swoimi współmałżonkami i nie żyliście razem?

- Nie zapominaj, że Al miał ambicję zrobienia kariery politycznej. Rozwód nie wchodził więc w grę. A ja nie chciałam zranić Sy. Był takim poczciwym człowiekiem.

- Toteż wymyśliliście z Alem, że pod każdym względem lepiej będzie cudzołożyć przez ponad trzydzieści lat.

- To nie trwało tak długo, Alison. Mówiłam ci już. Zerwaliśmy po ataku serca Sy.

- Czemu? Bo czułaś się za bardzo winna, aby ciągnąć to dalej?

- Nie, wina nie ma tu nic do rzeczy. Byłam zdruzgotana, kiedy Sy odszedł z tego świata. Zależało mi bardzo na nim. Czułam głęboki żal.

- A więc zerwałaś z Alistairem z żalu, a nie z poczucia winy?

- Nie, niezupełnie. Wkrótce po śmierci Sy odkryłam, że Al spotyka się z innymi kobietami. Wpadłam w szal.

- Pozwól, że coś wyjaśnię. Zdradzałaś tatusia, a byłaś wściekła, bo Alistair zdradzał ciebie?

- Tak. Uważałam, że łączy nas z Alem coś świętego. Najwyraźniej nie podzielał mojego poglądu.

- Czego oczekiwałaś? Już raz cię oszukał. Czemu miałby nie zrobić tego po raz drugi? Ten człowiek jest szmatą.

- Przestań, Alison. Nie życzę sobie, żebyś w ten sposób mówiła o Alu. Nie w moim domu.

- W porządku. Ograniczę się do mówienia o nim w ten sposób u siebie w domu. Proszę, opowiadaj dalej.

- Kazałam mu wybierać. One albo ja.

- Nie musisz mówić: wybrał inne.

- Tak, inne.

- Jak się dowiedziałas o jego skokach w bok?

- Bethany mi powiedziała.

- Bethany? - To była niespodzianka. - Nie mogła mieć wtedy więcej niż kilkanaście lat. Skąd miała wiedzieć o tobie i swoim ojcu?

- Nie wiem. Wiem tylko, że pewnego dnia usłyszałam dzwonek przy swoich drzwiach, a na schodkach przed wejściem zobaczyłam Bethany Downs. Przedstawiła się i spytała, czy może wejść do środka. Powiedziała, że musi ze mną porozmawiać na bardzo ważny temat. Pamiętam, że byłam zaskoczona jej dojrzałością. Sprawiała wrażenie dużo starszej, znacznie bardziej pewnej siebie niż większość jej rówieśników.

- O tak, jest pewna siebie. Zwłaszcza kiedy załatwia sprawy dla swojego ukochanego tatuśka. Co powiedziała?

- Najpierw zapytała, czy mam jakieś słodczy w domu - ciasteczka, pączki albo coś podobnego. Odparłam, że zwykle nie trzymam w domu słodczy, bo nie chcę, żeby moja córka zmarnowała sobie zęby. Powiedziała mi, żebym zapomniała o słodczych

i wyciągnęła z torebki cukierek do ssania. Biedna dziewczyna, tyle cukru. Nie chcę nawet myśleć o tym, jak muszą wyglądać jej zęby. Ale tak się zdarza, kiedy dziecko nie ma matki, która nauczyłaby je, co jest dobre, a co złe.

Usiłowałam powstrzymać wybuch histerycznego śmiechu, usłyszawszy tę wypowiedź mojej cudzołożnej matki, ale bez powodzenia.

- Jeśli to takie śmieszne, Alison, to natychmiast przestaję opowiadać.

- Och, nie, mamó. Nie rób tego. Cullie i ja umieramy z ciekawości, żeby się dowiedzieć, co ci powiedziała Bethany. Prawda, Cullie?

Skinął głową.

Moja matka kontynuowała. - Zapytałam Bethany o powód jej wizyty. Spojrzała prosto na mnie tymi swoimi zimnoniebieskimi oczami i rzekła: „Pani Wa-xman, przyszłam udzielić pani pewnej rady”.

Ta dziewczyna przyszła dawać mi rady! „Mój ojciec nigdy pani nie poślubi. Toteż może pani spokojnie dać spokój i znaleźć sobie jakiegoś innego mężczyznę”.

Byłam tak wstrząśnięta, że niemal zemdlałam! Wyobraźcie sobie czelność tej dziewczyny. „Skąd możesz być tego taka pewna, młoda damo?” spytałam ją. „Bo jest pani tylko jedną z sześciu kobiet, z którymi się spotyka” odpowiedziała. „Nie wierzę” stwierdziłam. „To niech się pani przyjrzy temu” powiedziała, podając mi kilka kartek wyrwanych z kalendarza Ala. Imiona kobiece wpisane były ołówkiem każdego dnia, często w godzinach, kiedy Al obiecywał się ze mną zobaczyć, a później tłumaczył, że wypadło mu jakieś pilniejsze spotkanie. Byłam zrozpaczona.

- Co cię skłoniło do uwierzenia Bethany? - zapytałam. - Skąd wiedziałaś, że to nie ona wpisała imiona tych kobiet? Jest tak zazdrosna o miłość swojego ojca, że prawdopodobnie mogłaby zrobić wszystko, żeby mieć go tylko dla siebie. Czy rozmawiałaś z Alis-tairem? Czy zapytałaś go, czy cię zdradza?

- Nie. Po prostu przestałam go widywać.

- A co się stało z tą ogromną miłością, której oboje nie mogliście się oprzeć?

- Jeśli chcesz wiedzieć, to nie poszłam porozmawiać z Alistairem, bo Bethany postraszyła mnie, żebym tego nie robiła.

- Postraszyła cię?

- Powiedziała, że jeśli nie przestanę się spotykać z jej ojcem, powie o naszym romansie tobie. Nie mogłam ryzykować.

- Mnie? Bethany chciała powiedzieć mi o tobie i Alistairze?

- Tak oświadczyła. Sądzę, że ta dziewczyna jest chora umysłowo, moja droga.

- Tak jak i my wszyscy. - Nie mogłam tego przetrwać. - Nie zamierzasz chyba mnie obrazić stwierdzeniem, że zrezygnowałaś z Alistaira ze względu na mnie.

- Zrezygnowałam z niego częściowo ze względu na ciebie, po części zaś dlatego, że nie był mi wierny. Jego niewierność zraniła mnie bardziej, niż możesz sobie wyobrazić.

- A więc ty i Alistair nie ciągnęliście waszego romansu przez ostatnie dwadzieścia lat? To co robiłaś w jego domu tamtego dnia?

- Mówiłam ci już. Udałam się tam, żeby cię przyjąć z powrotem do pracy w gazecie. Al i ja

skończyliśmy ze sobą. Oczywiście nadal go kocham, ale nie byliśmy sobie przeznaczeni.

- Cullie, łap za skrzypce - powiedziałam szyderczo. Potrząsnął głową. Pewnie usiłował zrozumieć, czemu spotkało go szczęście dostania miejsca w pierwszym rzędzie na tę psychodramę matki i córki.

- Jednego tylko nie pojmuję, mamó - ciągnęłam dalej

- tej twojej gigantycznej hipokryzji. Dlaczego, na przykład, byłaś tak przeciwna moim randkom z mężczyznami innej religii, a przez cały czas sama kochałaś jednego z nich?

- Bo Al głęboko mnie zranił. Nie chciałam, żebyś została zraniona tak samo przez jednego z nich.

- Jednego z nich? Uważasz, że Al cię skrzywdził dlatego, że nie jest Żydem? Weź się w garść, mamó. Skrzywdził cię, bo jest podłym bydlakiem.

- Ostrzegałam cię już, Alison. Nie mów o nim w ten sposób.

- Czemu nie? Czemu mam tak o nim nie mówić? Jest podłym bydlakiem i dostrzegłabyś to, gdybyś nie była tak oczarowana jego finezyjnymi, tanecznymi krokami.

- Przestań natychmiast! - krzyknęła moja matka, wstając z fotela. - Sposób, w jaki o nim mówisz, jest zwyczajnie niegrzeczny. Na litość boską, otrzymałaś po nim imię. Jego imię!

- Co?

- Jak sądzisz, dlaczego nosisz takie imię, Alison? Zatkalo mnie. Moja matka nadała mi imię na cześć Alistaira Downsa? Byłam imienniczką tego drania? I kim jeszcze? Czy byłam również jego córką? Czy było możliwe, żebym istotnie była córką tego człowieka? Boże, błagam, nie. Los nie może być aż tak

niesprawiedliwy, prawda? Ogarnęła mnie fala mdłości. Szybko! Kawał! Kawał! Nie pozwól sobie nic odczuwać, Alison. Śmieję się, by nie musieć znosić tego bólu. Szybko! Kawał!

- Sonny, dobrze się czujesz? - zapytał Cullie, w końcu włączając się do akcji.

- Nie, nie czuję się dobrze. Nie mogę sobie przypomnieć żadnego kawału.

- Może to i lepiej. Nikt tu nie jest w nastroju do żartów - powiedział.

Spojrzałam na moją matkę, która wróciła na swój bujany fotel. - Mamo, błagam, powiedz mi prawdę

- poprosiłam ją. - Chociaż raz. Tylko ten raz. Czy Alistair Downs jest moim ojcem?

Zaciągnęła się swoim winstonem, potem powoli wypuściła dym. - Nie, Alison. Nie jest twoim ojcem. Twoim ojcem był Sy Waxman.

Westchnęłam z ulgą. A więc Bóg istniał.

- Chciałam ci dać imię Ala, bo go kochałam. To wszystko. Twój ojciec uważał, że Alison to śliczne imię dla dziewczynki, więc je dostałaś.

Do licha, przecież i tak wcale nie wyglądałam jak Alistair Downs. Miałam włosy i oczy Sy Waxmana, żeby nie wspominać o skłonności do tycia w starszym wieku. - Jak byś mnie nazwała, gdybym była chłopcem, mamo? Alistair? Al Junior? A może po prostu Junior?

- Wystarczy, Alison. Powiedziałam ci wszystko, co chciałaś wiedzieć. Nie muszę dłużej tego znosić.

- Znowu podniosła się z fotela i zaczęła iść w stronę hallu.

- Owszem, musisz - rzekłam, podążając za nią.

- Jeszcze tylko jedno pytanie. Gdzie byłaś w nocy, kiedy została zamordowana Melanie Moloney?

- Słucham?
- Nie dosłyszałaś, czy nie zrozumiałaś mojego pytania?
- Nie mogę uwierzyć, że mogłaś spytać swoją matkę o coś takiego.
- Uwierz. Miałaś bardzo dobry powód, żeby nie chcieć wydania książki Melanie. Gdzie byłaś w nocy, gdy ją zabito?
- Tutaj. Spałam.
- Czy Nora też tu była?
- Nie, nie wydaje mi się. Tamtej nocy została u swojej siostry w Brooklynie.
- Słyszysz to, Cullie? Alibi mojej matki wcale nie jest lepsze niż pozostałych. Była sama w domu. Ja byłam sama w domu. Ty byłeś sam w domu. Todd Bennett był sam w domu. Jedynie senator Downs, ten diabeł, ma niepodważalne alibi. Powiedział policji, że tamtą noc spędził z przyjaciółką. Ale ta historyjka może być taką samą bujną jak całe życie Alistaira.
- Przerwałam, żeby sobie przypomnieć, co jeszcze wiedziałam na temat dochodzenia detektywa Cor-siniego - o tym, że Melanie została zabita ciosem w głowę, na skutek zmiżdżenia czaszki wystąpił wylew i o tym, że policja znalazła na jej biurku biały proszek. - Mam do ciebie jeszcze jedno pytanie
- zwróciłam się do mojej matki.
- Już mi zadałaś swoje „ostatnie pytanie”.
- Wiem. Ale tylko jeszcze jedno. Obiecuję.
- Jedno. A potem chciałabym, żebyście poszli z twoim przyjacielem. Twoje przesłuchanie bardzo mnie wyczerpało.
- W porządku. Pójdziemy. Najpierw jednak, zastanowiło mnie coś, co powiedziałaś wcześniej. Kiedy

wyjaśniałaś, że po przyjeździe do Kalifornii Alistair nie posłał po ciebie, bo nie chciał cię narazić na dekadenski styl życia, panujący w Hollywood.

- Tak.

- Czy wytłumaczył może, co takiego miał na myśli, mówiąc o dekadencji?

- Nie. Właściwie nie.

- Czy kiedykolwiek wspomniał o narkotykach? W szczególności o kokainie?

- Oczywiście, że nie. Al nie jest takim typem człowieka.

Przyjrzałam się matce z litością. Nie miała pojęcia, jakim typem człowieka był Alistair Downs, a na dodatek wcale nie chciała tego wiedzieć. - Dobranoc, mamó - powiedziałam, otwierając frontowe drzwi.

- A buzi? - spytała, jak zawsze wtedy, gdy usiłowałam wyjść bez rytualnego cmoknięcia w policzek. Co za zakłamanie. Kobieta właśnie przyznała się do tego, że mnie oszukiwała przez całe moje życie, a jednak zachowywała się tak, jakby nasze stosunki świetnie się układały.

- Nie, mamó - odparłam. - Nie ma buzi. - Wzięłam Culliego za rękę. Wyszliśmy z domu mojej matki i wyruszyliśmy do domu.

19

Pojechaliśmy z Culliem prosto do Klonowego Dworku. Proponował, żebyśmy się gdzieś zatrzymali i coś zjedli, ale nie miałam apetytu. Marzyłam o wskoczeniu do łóżka, naciągnięciu kołdry na głowę

i pogrążeniu się w sen w mocnych objęciach swojego mężczyzny.

Kiedy podjechaliśmy pod dom, napotkaliśmy tę samą co zawsze horde prasowych sępów. Ale to nie oni, lecz widok policyjnego auta - białego chevroleta, ozdobionego dużymi purpurowymi literami, układającymi się w napis **POLICJA LAYTON** - przyprawił mnie o palpitację serca.

- Co oni tu robią? - zwróciłam się do Culliego, gdy zauważyłam, że w samochodzie siedzą detektywi Corsini i Michaels. - Ten poszukiwacz sławy i jego kompan od zapobiegania zbrodniom są ostatnimi ludźmi, z którymi chciałabym mieć dziś wieczór do czynienia.

- Może znaleźli się tutaj, żeby aresztować dziennikarzy - zasugerował Cullie.

- Za co?

- Nie wiem. Wtargnięcie na cudzy teren. Zakłócanie spokoju. Albo coś podobnego. Może poskarżył się ktoś z sąsiadów.

- Wątpię. Właśnie nadchodzi jeden z poczciwych policjantów.

Joseph Corsini zbliżył się do jeepa Culliego od strony siedzenia pasażera. Od mojej strony.

- Dobry wieczór, pani Koff. Ma tu pani niezły tłumek - odezwał się, patrząc na trawnik przed moim domem i przeczesując palcami włosy. - Są przedstawiciele wszystkich ważniejszych programów telewizyjnych.

Ważniejszych programów telewizyjnych. Co za poplątanie z pomieszaniem. - Czym mogę służyć, detektywie? - zapytałam uprzejmie.

- Dziś wieczorem dostaliśmy pewną wskazówkę

- powiedział Corsini. - Może wpuści nas pani na parę minut do środka, abyśmy mogli o tym porozmawiać?

- Teraz? - powiedziałam. - Czy nie można poczekać do jutra? Ja i mój przyjaciel bardzo chcemy iść już spać.

- No pewnie - uśmiechnął się głupawo.

- Co to ma znaczyć? - zapytał Cullie.

- Nic, panie Harrington. Zupełnie nic - odparł Corsini.

- Skąd pan zna moje nazwisko? - spytał Cullie.

- Mój zawód polega na tym, żeby znać pana nazwisko. A teraz, pani Koff, może wpuści pani mnie i detektywa Michaela na chwilę do środka? Chcielibyśmy porozmawiać z panią na pewien temat. Po co to robić przed kamerami telewizyjnymi, prawda?

- Oczywiście - odparłam zrezygnowana, zastanawiając się nad wskazówką, o której wspomniał Corsini. Może miała coś wspólnego z zaginionym rękopisem, który przed wizytą w domu matki ukryłam w swojej saunie. Może policja dostała cynk, że to ja go ukradłam. Ale jak? Nikt nie wiedział, że go mam, poza moją matką i Culliem, a oni oboje nie mniej ode mnie pragnęli, żeby książka przepadła.

Otworzyłam drzwi wejściowe, wkroczyłam do środka i już miałam wyłączyć alarm przeciwwłamaniowy, zamontowany na ścianie garderoby, kiedy zauważyłam, że jest już wyłączony. Przywidzenie, powiedziałam sobie. Musiałam być tak bardzo przejęta rewelacjami o romansie mojej matki z Alistairem, że wybiegłam z domu i nie włączyłam alarmu. No cóż. Nic się nie stało. Jeśli się nie myliłam, to domu nie ograbiono.

- Proszę wejść - zwróciłam się do detektywów, gestem zapraszając ich do środka. - Możemy porozmawiać w salonie.

- Proszę mi wybaczyć, pani Koff - rzekł detektyw Corsini. - Czy moglibyśmy najpierw udać się do kuchni? Czuję straszliwe pragnienie i świetnie by mi zrobiła szklanka zimnego mleka.

- Oczywiście. To żaden problem. - Z jakiegoś powodu nie mogłam sobie wyobrazić, żeby Corsini był miłośnikiem mleka, ale zaprowadziłam wszystkich do kuchni.

- Może być odtłuszczone? - zapytałam.

Skinął głową. - Ach, te kobiety. Zawsze na diecie.

Otworzyłam drzwi lodówki i właśnie zamierałam sięgnąć po karton chudego mleka, gdy poczułam jak dłoń Corsiniego odsuwa moją rękę od kartonu.

- Co pan robi? - spytałam. - Zrozumiałam, że chciałby pan trochę...

- Chciałem tego. - Odstawił na bok karton z mlekiem, sięgnął w głąb półki lodówki i wyciągnął coś, co okazało się szczelnie zamkniętą plastikową torebką śniadaniową, zawierającą bynajmniej nie kanapkę, ale drobny biały proszek. - Ślicznie, ślicznie. Co my tu mamy, szanowna pani? - rzucił, wymachując mi torebką tuż przed twarzą. - Niezłą porcję koki - na oko jakaś uncja. I leżała za pudełkiem chudego mleka, dokładnie tak, jak doniósł nasz informator. - Mrugnął w stronę detektywa Michaelsa, który odmrugnął.

- Koka? - powiedzieliśmy z Culliem jednym głosem.

- Czysta, najwyższej jakości kokaina - powiedział detektyw Michaels, badając torebkę, którą podał mu Corsini.

- Kokaina? Jakim sposobem znalazła się w mojej lodówce? - spytałam przerażona.
- Domyślam się, że sama ją pani tam włożyła
- uśmiechnął się detektyw Corsini. - Pamięta pani, że wspominałem o wskazówce, jaką otrzymała policja?
- Tak, pamiętam.
- Nasz informator stwierdził, że jeśli chcemy się dowiedzieć, kto zabił Melanie Moloney, powinniśmy zajrzeć do pani lodówki, za karton z odtłuszczonym mlekiem.
- Co? Co to ma znaczyć? Jaki informator? - nie mogłam uwierzyć w to, co się działo.
- Tego nie możemy pani zdradzić - powiedział detektyw Michaels, sięgając po kajdanki, wiszące mu u pasa.
- Ja wam powiem, czego jeszcze nie możecie robić
- odezwał się wściekły Cullie. - Nie możecie się wdierać do prywatnego domu w poszukiwaniu narkotyków czy czegokolwiek innego. Bez nakazu rewizji.
- Ma pan rację - powiedział detektyw Corsini.
- Ale my się nie wdarliśmy. Zostaliśmy zaproszeni do środka. I nie szukaliśmy na terenie posiadłości narkotyków. Nie musieliśmy. Pani Koff z własnej woli otworzyła lodówkę. Koka była tuż przed naszymi oczami. Jeśli coś leży na wierzchu, nakaz rewizji jest niepotrzebny.
- Obaj detektywi wymienili zadowolone spojrzenia, gratulując sobie bez słów. A potem detektyw Michaels podszedł do mnie z kajdankami.
- Przeczytasz jej, jakie ma prawa, gdy ja będę zakładał kajdanki? - zapytał Corsiniego.
- Kajdanki? - wrzasnęłam. - Czy wszyscy poszaleli? Nie zrobiłam nic złego. Nie wiem, skąd się

wzięła ta kokaina. Wrobiono mnie! Wrobiono mnie, mówię wam! - Tak, wiem. Zachowywałam się jak typowy przestępca z telewizyjnego programu policyjnego. Doszłam jednak do wniosku, że lepiej dam sobie radę, posługując się oklepanymi, znanymi z telewizji frazesami niż wyciągając nowe, ale potencjalnie obciążające mnie informacje.

- Co wy sobie wyobrażacie? - warknął Cullie, kiedy detektyw Michaels chwycił mnie za ręce za plecami i nałożył kajdanki na przeguby. - Ta kobieta jest niewinna. Popęlniacie ogromny błąd. Natychmiast zdejmijcie te kajdanki!

- Przykro mi, panie Harrington - powiedział detektyw Corsini, w najmniejszym stopniu nie wyglądający na to, aby mu było przykro. - Nie możemy przewozić przestępców bez kajdanek. Polecenie z ministerstwa.

- Nie obchodzą mnie regulacje ministerialne. Alison Koff nie jest przestępcą.

- Alison Koff, jesteś aresztowana za posiadanie kokainy z zamiarem jej sprzedaży - powiedział detektyw Corsini, ignorując Culliego. - Ma pani prawo do milczenia. Wszystko, co pani powie, może być w trakcie procesu użyte przeciwko pani. Ma pani prawo do...

- Oskarżacie mnie o posiadanie kokainy? - spytałam, zaczynając płakać. - Z zamiarem sprzedaży!

- Ma pani prawo w każdej chwili odmówić składania zeznań - kontynuował, ignorując mnie. - Ma pani prawo do obecności adwokata na przesłuchaniach. Jeśli nie stać pani na adwokata, otrzyma pani obrońcę z urzędu.

- Dlaczego ją aresztujecie? - krzyknął Cullie. - Nie sprzedawała kokainy i nie zabiła Melanie Moloney.

- Nie możemy się z tobą zgodzić, kolego - rzekł detektyw Michaels. - Już od jakiegoś czasu mieliśmy twoją dziewczynę na oku. Sądzymy, że to ona zabiła. Teraz, gdy oskarżyliśmy ją o posiadanie kokainy, posiedzi sobie spokojnie w zakładzie karnym dla kobiet w Niantic, a my w tym czasie przygotowujemy oskarżenie o morderstwo.

- Ale czemu uważacie, że to ja zabiłam Melanie? - zapytałam. - Przecież tak wiele osób jej nienawidziło.

- Miała pani okazję, będąc jej służącą - wyjaśnił detektyw Michaels. - Nie mogliśmy tylko znaleźć motywu. Teraz już go znamy.

- Jaki motyw? - wrzasnęłam. - Nie miałam żadnego powodu, żeby zabijać Melanie. Byłam bez grosza. A Melanie dobrze mi płaciła. Czemu miałabym mordować swoje źródło utrzymania?

- Z pewnością była pani bez grosza. Koka to kosztowny nałóg - powiedział detektyw Corsini, podnosząc do góry torbę z kokainą. - Tak się składa, że sądzymy, iż jest pani nałogowcem. Sądzymy, że pewnego dnia poszła pani do pracy naćpana, a pani Moloney przyłapała panią. Zagroziła, że panią zwolni, że każe panią aresztować. Wpadła pani w panikę. W nocy, dwudziestego, gdy obecny tu pan Harrington odwiózł panią do domu, wróciła pani do Bluefish Cove. Nadziała się pani na panią Moloney, siedzącą w swoim gabinecie. Miała na swoim biurku pani zapasik kokainy. Zakradła się pani od tyłu, uderzyła ją w tył głowy i zabiła. Kiedy chwyciła pani kokainę, torebka rozerwała się i proszek wysypał się na biurko. Wydawało się pani, że sprzątnęła wszystko, lecz resztki pozostały. Opuściła pani dom i wróciła tu

następnego dnia rano do pracy. Po południu tego samego dnia zadzwoniła pani na policję i zawiadomiła o morderstwie. Początek i koniec, prawda?

Detektyw Michaels posłał uśmiech swojemu partnerowi, po czym powiedział: - Jak już wspominałem, mieliśmy przeczucie, że to pani, pani Koff. Ale nie mogliśmy tego udowodnić. I wtedy dostaliśmy informację o kokainie w pani lodówce. To koka związała panią z miejscem zbrodni.

- Przecież nawet nie wiecie na pewno, czy ten biały proszek na biurku Melanie to kokaina - krzyknęłam.

- Nie wiecie też, czy biały proszek z mojej lodówki jest kokainą. Czy nie powinniście poczekać na ekspertyzy laboratoryjne, zanim oskarżycie mnie o morderstwo?

- Nie. Dobrze wiemy, co robimy. Analizy laboratoryjne mogą tylko potwierdzić to, co już wiemy.

- Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej na temat wskazówki, którą otrzymaliście - rzekł Cullie.

- Kim jest informator? I skąd macie pewność, że to nie prawdziwy morderca podrzucił kokę do lodówki Alison?

- Po prostu wiemy, i już - stwierdził Corsini. - Ta sprawa jest zamknięta, mówię panu.

- A co z narzędziem zbrodni? - spytałam. - Czym niby miałam uderzyć Melanie w głowę? Odkurzaczem? Szczotką do zamywania? Butelką z płynem do mycia okien?

- Zawsze pani żartuje, prawda, pani Koff? - powiedział detektyw Michaels. - Nawet na miejscu zbrodni opowiada pani kawały, w obecności zwłok. Właśnie dlatego wzbudzała pani od początku moje podejrzenia. Większość ludzi nie stroi żartów po śmierci kogoś znajomego.

Spojrzał na detektywa Corsiniego, który skinął potakująco głową.

Wspaniale, pomyślałam. Zostałam aresztowana, bo opowiadam kawały. Sandy stale powtarzał, że moje żarty kiedyś wpędzą mnie w kłopoty, jednak nigdy nie przypuszczałam, iż ma na myśli ten rodzaj kłopotów.

- Chodźmy - odezwał się detektyw Michaels, wyprowadzając mnie z kuchni za prawą rękę, która była wykręcona za plecami i połączona z moją lewą ręką kajdankami, wyglądającymi niemal dokładnie tak jak kajdanki zamówione przez Sandy'ego z katalogu bożonarodzeniowego Tiffany'ego z 1988 roku. Tyle że tamte były nie ze zwykłej stali, ale z czystego srebra.

- Gdzie chcecie ją zabrać? - huknął Cullie na obu gliniarzy.

- Na komendę - odparł Corsini. - Pańska przyjaciółka spędzi noc w przytulnej celi w areszcie.

- Nie martw się, Sonny - powiedział Cullie znacznie spokojniejszym głosem, niżby to wynikało z rozszalałego wyglądu. - Nie będziesz musiała spędzać następnej nocy w areszcie. Wypuszczą cię za kaucją.

- Ale nie dzisiaj - powiedział detektyw Michaels.

- O tej porze sędziowie nie wyznaczają kaucji. A nawet gdy zostanie wyznaczona, będzie tak wysoka, że trudno zdobyć taką kwotę. Posiadanie narkotyków w ilościach handlowych to duże przestępstwo.

Byłam tak oszołomiona, że niemal zemdlałam.

- Pomóż mi, Cullie. Pomóż - zaczęłam płakać. Łzy ściekały mi po policzkach, gdy wyprowadzano mnie z domu skutą kajdankami, wprost przed czekające kamery goniących za brukową sensacją amerykańskich mediów.

- Nie martw się, dziecinko. Nie martw się - zawołał do mnie Cullie, stojąc bezradnie na trawniku i obserwując, jak wsadzają mnie na tylne siedzenie policyjnego samochodu. - Znajdę jakąś pomoc.

- Jak? - załkałam.

- Wybiorę się do twojej matki - powiedział.

- Ha. Od razu poczułam się lepiej - mruknęłam.

- Chcę ją poprosić, żeby się skontaktowała z tym adwokatem, z którym była na kolacji dziś wieczorem

- wyjaśnił.

- Z Louisem Obermeyerem?

- Tak, właśnie z tym facetem. Wydostaniemy cię z tego, Sonny. Obiecuję. Kocham cię.

- Ja też cię kocham - wyszlochałam, gdy ruszył samochód policyjny.

Po przyjeździe na komendę zaprowadzono mnie do gabinetu detektywa Corsiniego i uwolniono z kajdanków. Potem mnie zarejestrowano, zdjęto odciski palców i obfotografowano. Parę minut później policjantka w średnim wieku, funkcjonariusz Nancy Dancy, poleciła mi udać się z nią do damskiej toalety, gdzie kazała mi się rozebrać i podnieść ręce. Do tej pory robiłam wszystko, czego ode mnie zażądano - bez słowa skargi - jednak wobec poleceń funkcjonariusz Dancy zaprotestowałam.

- Czy muszę? sformułowałam swój protest.

- Tak. Wyskakuj z ciuchów, natychmiast.

- Ale tu jest tak zimno - powiedziałam. Byłam przerażona. Słyszałam wcześniej o rewizjach osobistych, ale nigdy nie przypuszczałam, że to ja będę przeszukiwana.

- No już - rzuciła policjantka, najwyraźniej tracąc cierpliwość.
- Dobrze - powiedziałam, walcząc ze łzami. Najpierw ściągnęłam przez głowę sweter. Potem zdjęłam podkoszulkę. Następnie zrzuciłam z nóg buty. Potem zdjęłam niebieskie dżinsy i skarpetki. Stojąc przed Dancy odziana jedynie w stanik i majtki powtórzyłam swój protest. - Mogę w tym zostać, prawda? - zapytałam, starając się jednocześnie wyrazić zarówno maksimum szacunku dla autorytetu funkcjonariusz Dancy, na jaki mnie było stać, jak i stworzyć atmosferę swobodnej, babskiej pogaduszki.

- Nie. Zdejmij je, natychmiast - warknęła, po czym dodała: - lepiej zrezygnuj z tej skromności, skarbie. Kiedy wylądujesz w więzieniu dla kobiet w Niantic, zamknięte tam więźniarki opadną cię jak muchy gówno.

Zamarłam. - Co ma pani na myśli? - spytałam na próbę.

- To gwarantowane - zwłaszcza w przypadku nowicjuszy. Na twoim bloku będzie trzydzieści kobiet. Jeśli cię nie dopadną w świetlicy, to zrobią to w łazience. A jeśli one cię nie dorwą, to dostaną cię strażnicy.

Nie musiałam pytać, co oznacza określenie „dopadną”, nie zamierzałam się jednak dać zastraszyć ani funkcjonariusz Dancy, ani komukolwiek innemu. Byłam przecież Alison Waxman Koff, właścicielką Klonowego Dworku. Nie popełniłam żadnej ze zbrodni, o które mnie oskarżano. Zostanę uwolniona. Na tym polega amerykańska sprawiedliwość.

Zdjęłam bieliznę i stałam kompletnie naga i nieruchoma (no, prawie nieruchoma), podczas gdy polic-

jantka badała mnie, szukając narkotyków i sprzętu. Użyłam słowa „prawie”, gdyż w chwili, gdy sięgnęła pod moje pachy, miałam napad chichotu.

- Przepraszam - powiedziałam, usiłując zdusić śmiech. - Mam tam łaskotki. Zawsze miałam. Pani też?

Funkcjonariusz Dancy zignorowała moje pytanie, sięgnęła do lewej kieszeni swojego munduru i wyjęła parę gumowych rękawiczek.

- Po co one są? - przełknęłam ślinę.

- Zatrzymali cię pod zarzutem posiadania kokainy, prawda? Muszę więc sprawdzić, czy w twoim otworze nie ma narkotyków.

W moim otworze? Byłam wstrząśnięta.

- Pochyl się - poleciła funkcjonariusz Dancy. Szybko! Kawał! Kawał! Nie można pozwolić, aby taka sytuacja sparaliżowała człowieka. Trzeba się wyłączyć, aby nie czuć bólu i upokorzenia tego, co ma się stać za chwilę. Najlepiej wyobrazić sobie, że jest się u ginekologa na kontrolnym badaniu. Szybko! Kawał!

- Hej! Dancy! - odezwałam się, pochylając i pozwalając, aby jej palce w rękawiczkach wśliznęły się do mojego otworu. - Osiemdziesięcioletnia kobieta udała się do ginekologa i ku swemu ogromnemu zaskoczeniu dowiedziała się, że jest w ciąży. Natychmiast zatelefonowała do męża. „Ty stary dziadzie - powiedziała. - Przez ciebie jestem w ciąży”. Mąż zamilkł na chwilę, po czym spytał: „A kto mówi?”

Funkcjonariusz Dancy to nie rozbawiło. - Skończone - rzuciła. - Może się pani ubrać.

Funkcjonariusz Dancy odprowadziła mnie z powrotem do gabinetu detektywa Corsiniego, gdzie jesz-

cze raz poddana zostałam przesłuchaniu - zarówno w sprawie kokainy, którą znaleziono w mojej lodówce jak i w sprawie śladów kokainy, odkrytych na biurku Melanie. Odmówiłam odpowiedzi na wszystkie pytania, jakie mi zadano, zastanawiając się jednocześnie, kiedy pojawi się Cullie z adwokatem.

O północy przestałam już na to czekać. I właśnie wtedy, gdy już miano mnie zabrać do sutereny, gdzie znajdowały się cele dla kobiet i gdzie, jak wyjaśnił detektyw Corsini, miałam spędzić noc, do komendy wkroczył Louis Obermeyer, Alan Dershowitz na miarę klubu Grassy Glen, a w ślad za nim Cullie i moja matka, oboje bladzi ze zmartwienia.

- Bardzo dziękuję, że pan przyszedł - powiedziałam panu Obermeyerowi, z entuzjazmem potrząsając jego dłonią. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek tak się ucieszyła na czyjś widok. Spotkałam go tylko raz w życiu, kiedy miałam trzynaście lat, na bas mycwie jego córki Betsy, ale poznałam go od razu, dzięki zdjęciom, często pojawiającym się w dziale ekonomicznym „The New York Times”. Był wysoki, miał duży brzuch, którego nie usiłował maskować, a jego siwe kręcone włosy układały się we fryzurę, nazywaną przez Sandy'ego „żydowskim afro”. Jego przeciwnicy na rozprawach często, ze względu na gburowatość i kłótniwość, określali go mianem Louis Ogremeyer. Mnie jednak nie obchodziła jego opryskliwość, skoro miał mnie wyciągnąć z więzienia. - Przykro mi, że musiał pan przychodzić tak późno, panie Obermeyer - odezwałam się. - Naprawdę to doceniam.

- Całkiem słusznie, jest późno. Jestem zmęczony i chciałbym iść do domu - powiedział, po czym beknął.

Uściskałam Culliego i przesłałam pocałunek mojej mamie. Nie, nie zapomniałam o naszej wcześniejszej konfrontacji, teraz jednak miałam ważniejsze sprawy na głowie niż jej skomplikowane życie uczuciowe.

- Gdzie jest oficer, który dokonał aresztowania? - warknął pan Obermeyer.

- Tutaj - odparł detektyw Corsini, a następnie przeczesał palcami włosy i przepolerował paznokcie na nogawce spodni.

- Co, u diabła, skłoniło pana do przeszukania domu tej kobiety w poszukiwaniu narkotyków bez nakazu rewizji?

- A kto mówi, że przeszukaliśmy jej dom? - gładko odpowiedział Corsini.

- Zgodnie ze stwierdzeniem tego tutaj młodego człowieka - powiedział pan Obermeyer, wskazując Culliego - pan i pański partner przeprowadziliście nielegalną rewizję i przejęcie narkotyków.

- To prawda. Tak zrobili - wtrąciłam.

- Cicho, Alison. Nic im nie mów - sapnął pod moim adresem mój adwokat. - Trzymaj swoją przekłątą mordę zamkniętą tak długo, dopóki nie każę ci inaczej.

No tak, a więc więzienny aspekt jego manier nie był czymś, co należałoby opisywać.

- Nie przeprowadziliśmy przeszukania - wyjaśniał Corsini. - Nie było potrzeby. Pani Koff z własnej woli wpuściła nas do swojego domu. Także drzwi lodówki otworzyła z własnej woli. Kokaina leżała dobrze widoczna. Wcale nie musieliśmy jej szukać.

- Bzdura - powiedział pan Obermeyer. - Nie otworzyła drzwi lodówki z własnej inicjatywy. Została podstępnie do tego nakłoniona.

- Dokładnie! - odezwałam się. - Detektyw Corsini udawał, że chciałby się napić mleka, żeby...

- Wydaje mi się, że już ci mówiłem, żebyś się zamknęła, Alison - warknął powtórnie pan Obermeyer.

- Przepraszam - szepnęłam.

- Panowie detektywi, dokonaliście niesłusznego aresztowania mojej klientki; nie mieliście nakazu rewizji i pogwałciliście jej prawo do prywatności, oszustwem skłaniając ją do otwarcia drzwi lodówki - ciągnął dalej.

- Pan ma swoje zdanie co do przebiegu wydarzeń, a my swoje - stwierdził Corsini. Jego buta dorównywała przewrotności mojego obrońcy. - A teraz, jeśli to już wszystko, zaprowadzimy pańską klientkę spać na dół do piwnicy.

Spojrzałam błagalnie na pana Obermeyera. - Pozwoli pan im mnie zabrać? Mogą to zrobić? Czy muszę spędzać noc w areszcie?

- Obawiam się, że tak - odpowiedział. - Jest teraz za późno, żeby załatwić sprawę kaucji. Ale twój chłopak mówił mi, że z ciebie twarda sztuka. Dasz sobie radę tam na dole. Zobaczysz.

- Ależ Louis - odezwała się moja matka, ściskając go za ramię. - Na pewno coś mógłbyś jeszcze zrobić.

- Owszem, Doris. Jest coś, co mogę zrobić. Mogę iść do domu, porządnie się wyspać i być w pełni rozbudzonym jutro rano, gdy będę ją reprezentował w sądzie. A teraz proszę mi wybaczyć...

Louis Obermeyer wymaszerował z posterunku policji. Parę minut później powiedziałam łzawe dobranoc Culliemu i matce, którzy sprawiali wrażenie dobrze zaprzyjaźnionych. Gdy wychodzili razem, wzięła go pod ramię.

Nie ma tego złego co by na dobre nie wyszło, zawsze powtarzał mój ojciec, król materaców. W tym przypadku złe polegało na tym, że siedziałam w areszcie, oskarżona o posiadanie kokainy i podejrzana o morderstwo. Dobre zaś wiązało się z faktem, że moja żydowska matka wydawała się apróbować mojego chłopaka - goja. Miałam nadzieję, że będą się nawzajem pocieszali w czasie mojej odsiadki w więzieniu stanowym, w świecie lesbijek.

Funkcjonariusz Dancy eskortowała mnie na dół do sutereny i zaprowadziła do celi. Nie był to apartament w Helmsley Palace, ale przynajmniej nie musiałam dzielić jej z nikim. Znajdowało się tu łóżko, koc, biblia

i mały sedes - szybko zauważyłam, że bez deski.

- Czy jest może wolna jakaś inna cela? - spytałam funkcjonariusz Dancy. - W tej celi brakuje deski sedesowej.

- Wszędzie jest tak samo - prychnęła, nie mogąc uwierzyć w moją ignorancję. - Musimy być pewni, że się nie zabijesz.

- Deską sedesową? - Rozumiałam, żyletką. Ale deską sedesową?

- Ludzie wieszają się przy jej pomocy - wyjaśniła. Potem, wyczuwając moje niedowierzenie, dodała: - Ludzie robią najdziwniejsze rzeczy, gdy są uwięzieni.

- O tak, jestem tego pewna. A to po co? - zadałam pytanie, pokazując na kamerę, umieszczoną w rogu celi. Miałam nadzieję, że mi odpowie, iż wzięłam udział w programie „Ukryta kamera”, i cała ta historia z moim aresztowaniem i wsadzeniem do więzienia jest częścią zabawy.

- To jest kamera przeciwsamobójcza - powiedziała. - Jak już mówiłam, musimy obserwować naszych pensjonariuszy. Nie możemy sobie pozwolić na utratę choćby jednego z was, prawda? - Uśmiechnęła się pierwszy raz od naszego spotkania. Zaskoczył mnie widok aparatu ortodontycznego na jej zębach. Czy będąc w średnim wieku zdecydowała się na prostowanie zębów, aby poprawić swój wygląd, czy też może ostre krawędzie aparatu stanowiły jej tajną broń przeciwko krnąbrnym więźniom?

- Rozumiem, że nie chcecie samobójstw w więzieniu - odezwałam się. - Ale co z naszą prywatnością? Nie możemy nawet iść do łazienki poza zasięgiem kamery.

- No właśnie. I dlatego większość ludzi woli trzymać się z dala od więzienia i nie handlować narkotykami czy mordować innych. Więzienie to nie piknik.

- Tak mi się wydaje. - Nigdy nie myślałam, że to piknik. Co więcej, nigdy nie sądziłam, że będę musiała o tym myśleć. - A skoro już o pikniku mowa, czy podawane tu są jakieś posiłki? Czy może powinnam poprosić rodzinę o przyniesienie mi czegoś do jedzenia?

Funkcjonariusz Dancy spojrzała na mnie takim wzrokiem, jakby żałowała, że obrała sobie taki zawód. - Dostaniesz śniadanie rano - mruknęła. - Miłej nocy.

Wyszła z celi, zamknęła mnie w niej i odwróciła się, żeby iść na górę.

- Dobranoc - zawołałam za nią. - Dziękuję za... no, za cokolwiek.

Boże, naprawdę byłam w areszcie. Patrzyłam na moją pryczę, na nędzny, szorstki koc z zielonej wełny

i czułam ucisk w gardle. Wróciłam pamięcią do luksusowej sypialni w Klonowym Dworcu - do łóżka i nocnych szafek z giętego drewna, do atlasowych zasłon i dopasowanych kolorystycznie obić foteli, do podłogi z wiśniowego drewna, do ręcznie tkanego dywanu, do modnych lamp z lnianymi abażurami.

Przestań, Alison. Przestań natychmiast, rozkazałam sobie, czując łzy ściekające mi po policzkach. Analizowanie dostatniego życia w Klonowym Dworcu nie przyniesie nic dobrego. Zresztą nawet gdybyś nie została aresztowana i posłana do więzienia, i tak musiałabyś z takiego życia zrezygnować. Sandy odszedł. Twoje małżeństwo się skończyło. Jeśli Janet Claiborne nie znajdzie kupca na dom, bank go przejmie. Kobieta ze sklepu z używanymi rzeczami Rosy zorganizuje wyprzedaż i sprzeda wszystkie twoje ruchomości kompletnie obcym ludziom. Co pozostawało?

Po rozważeniu tego zagadnienia, usiadłam ostrożnie na łóżku. Zastanawiałam się, czy więzień, zajmujący tę celę przede mną, miał wszy i czy ja też będę je miała. Zastanawiałam się, czy umieszczona w kącie celi kamera obejmuje mój korzystniejszy półprofil. Zastanawiałam się, czy detektywi Corsini i Michaels śledzą każdy mój ruch na monitorze z dużym ekranem. Zastanawiałam się, czy się znudzą i zmienią kanał.

Położyłam się na łóżku i nakryłam kocem. Przycisnęłam biblię do piersi i modliłam się.

Boże, proszę, szeptałam. Proszę, wydostań mnie stąd. Albo pomóż panu Obermeyerowi w wydostaniu mnie stąd. A kiedy wydostaniesz mnie stąd, proszę cię, Boże, pomóż mi znaleźć człowieka, który podrzucił tę kokainę do mojej lodówki, który zabił Me-

lanie i który chce, żebym to ja za to odpowiadała. Proszę, Boże, daj mnie i Culliemu szansę bycia razem, kiedy to wszystko się skończy. To bardzo wyjątkowy człowiek, nie sądzisz? Ach, i jeszcze jedna rzecz, Boże. Proszę, znajdź nabywcę mojego domu - kogoś, komu nie będzie przeszkadzało, że w Klonowym Dworku nie ma pokoju rodzinnego. Wielkie dzięki. Amen.

20

Szybko odkryłam, że spanie w więzieniu graniczy z niepodobieństwem. Po pierwsze, strażnicy zostawiali światła zapalone przez całą noc. Po drugie, mówili paranoicznie głośno, podobnie jak pielęgniarki w szpitalach. Po trzecie zaś, materac na pryczy był tak cienki, że sprężyny wwierały mi się w plecy. Musiałam jednak zdrzemnąć się w pewnej chwili, bowiem obudziłam się nagle słysząc brzęk po drugiej stronie krat mojej celi.

- Śniadanie - ryknęła policjantka Rita Zenk. Miała na głowie szopę kręconych ufarbowanych na rudo włosów, a na twarzy grubą warstwę makijażu o intensywnych barwach, przez co była bardziej podobna do Ronalda McDonalda niż do policjantki.

- Która godzina? - zapytałam.

- Koło siódmej - odparła, wsuwając tacę z jedzeniem w wąską szczelinę pomiędzy prętami kraty.

- Dziękuję - powiedziałam i wstałam z łóżka, żeby wziąć śniadanie. - Nie spodziewałam się podania jedzenia do pokoju. Miły gest.

- Tak, i nie trzeba za to płacić. Płacą podatnicy. Śniadanie składało się z jajecznicy, włóknistego bekonu, grzanki tak spalonej, że aż trudnej do rozpoznania i czarnej kawy.

- Zapomnieli mi dać nóż i widelec - zwróciłam się do Zenk, gdy zauważyłam, że jedynym sztucem na tacy była plastikowa łyżka.

- Ach, przykro mi. Nie może pani mieć noża i widelca - zaczęła wyjaśniać dużo bardziej sympatycznym tonem niżby to zrobiła jej koleżanka, funkcjonariusz Dancy. - Nie wolno posiadać w celi niczego, co mogłoby służyć samookaleczeniu.

- Rozumiem - powiedziałam, zagłębiając plastikową łyżkę w jajkach. Od wczorajszego lunchu nic nie jadłam i umierałam z głodu.

- Ludzie nie zdają sobie sprawy z tego, że plastikowe noże i widelce są bardzo ostre - kontynuowała policjantka. Była wyraźnie bardziej gadatliwa niż funkcjonariusz Dancy. - W zeszłym roku facet wykorzystał taki nóż do obcięcia sobie obu uszu. Wszędzie było pełno krwi. Za każdym razem, kiedy teraz zachodzę do tamtej celi, nadal widzę plamy krwi.

To tyle w kwestii śniadania. Odstawiłam tacę na łóżko, zamknęłam oczy i starałam się przenieść z tej więziennej celi na pokład DC-10 linii lotniczej American Airlines, lecący do Saint Martin, potem do wnętrza zabierającego ośmiu pasażerów samolotu, w sześć minut' pokonującego trasę z San Martin do Anguilli, do taksówki, sprawnie poruszającej się po wąskich drogach Anguilli aż po pełen przepychu wjazd na teren Malliouhany, gdzie spędziłam pamiętne karaibskie wakacje z Sandym. Próbowałam sobie wyobrazić, jak jemy śniadanie na patio przed naszą

luksusową willą w kompleksie hotelowym, jak przeżuujemy croissanty i muffiny, mango i papaje, omlety i wędzone ryby, jak zachwycamy się rosnącymi w dole hibiskusami i egzotycznymi krzewami, jak smażymy się w słońcu, wdychamy wiatr znad morza, dyskutując o wyborze na ten dzień jednej z rozrywek, których dostarcza wyspa. Ach ten raj, westchnęłam. Po prostu raj. Bez względu na moją złość na San-dy'ego i na sposób, w jaki się między nami ułożyło, musiałam przyznać, że żyliśmy nieźle. Pieniądze to wspaniała rzecz, dopóki ich nie brakuje. Wolność to wspaniała sprawa, póki się jej nie straci.

- Nie jemy tego? - zapytała funkcjonariusz Zenk. Tak byłam pochłonięta marzeniami, że zapomniałam o jej obecności.

- Nie. Ale i tak dziękuję. - Miałam nadzieję, że nie potraktuje mojej odmowy personalnie.

- Jest pani pewnie za bardzo zdenerwowana - powiedziała. - Słyszałam, że dziś rano mają wyznaczyć kaucję za panią.

- Tak mi się zdaje. Jeśli będę w stanie ją wnieść, nie będę musiała iść do więzienia w Nian-tic, prawda?

- Prawda. Ale z tego, co mówią wszyscy na górze wynika, że kaucja będzie wysoka.

- Ze względu na kokainę?

- Nie. Z powodu przekonania, że to pani zabiła tę sławną pisarkę. Nie chcą, żeby pani uciekła z miasta, zanim przygotują dowody przeciwko pani.

- Ale ja nikogo nie zamordowałam - jęknęłam. - Nie jestem też handlarzem narkotyków. Zostałam w to wszystko wrobiona. Nie zrobiłam nic złego. To poroniony pomysł policji.

Funkcjonariusz Zenk spojrzała na mnie z sympatią.

- Ma pani dobrego adwokata?

- Louisa Obermeyera - oświadczyłam z dumą.

- Jest bardzo znany.

- Nie pytałam, czy jest znany. Pytałam, czy jest dobry.

Zastanowiłam się przez chwilę. - Tak mi się wydaje. Odniósł ogromne sukcesy, broniąc przestępców gospodarczych.

- A pani została zatrzymana w związku z narkotykami. Co to ma wspólnego z przestępstwami gospodarczymi?

- Cóż - powiedziałam - prawnik, to prawnik. A poza tym, pan Obermeyer należy do tego samego klubu co moja matka. A to czyni go niemal członkiem rodziny.

- Czy kiedykolwiek prowadził sprawę o zabójstwo?

- Naprawdę uważa pani, że zostanę aresztowana za morderstwo?

- Corsini jest bardzo bliski uzyskania nakazu aresztowania. Czeka już tylko na jakieś wyniki testów laboratoryjnych.

- To jakiś obłąd - powiedziałam głośniejszym głosem niż zamierzałam. - Jedyne, co ma na mnie Corsini, to fakt, że byłam służącą u Melanie Moloney, więc mogłam się dostać do domu. I myśli, że znajdując w mojej lodówce kokainę - kokainę, którą tam podrzucano

- znalazł motyw zbrodni. Nigdy w życiu nie brałam i nie sprzedawałam kokainy.

- Zapomniała pani o jednej rzeczy, którą ma Corsini.

- O czym?

- O narzędziu zbrodni.

- Znalazł je? - Już miałam zrobić żartobliwą uwagę o tym, jak niebezpieczne mogą być duże opakowania płynu do mycia szyb, ale ugryzłam się w język. Ci gliniarze byli trudną publicznością.

- Tak. Kobieta, dla której pani pracowała, pani Moloney, została zabita jedną ze swoich książek. W twardej okładkach.

Jedną ze swoich książek? To dopiero było interesujące. Przez chwilę porządkowałam myśli, chcąc w pełni zrozumieć sens informacji, usłyszonej właśnie od funkcjonariusz Zenk.

Melanie zabita książką? Uderzona w tył głowy jedną z niebezpiecznych biografii jej autorstwa? Zatrutczona na śmierć jednym ze swych brudnych, nędznych, szargających reputację bestsellerów? Ironia faktów nie uszła mej uwadze.

- Która to była książka? - zapytałam funkcjonariusz Zenk, Liz Smith policji w Layton. Czy to dzięki książce o Ann-Margret głowa Melanie roztrzaskała się o biurko? A może był to tom poświęcony Charltonowi Hestonowi? Może zaś sied-miusetstronicowe monstrum o Mervie Griffinie? Tak czy inaczej, odpowiedź na to pytanie z pewnością pojawi się w następnym wydaniu Trivial Pursuit.

- Nie mogę pani powiedzieć, co to była za książka - powiedziała. - Mogę tylko powiedzieć, że dzień po morderstwie ktoś z kryminalistyki zauważył ją leżącą na podłodze obok ciała. Obwoluta książki nosiła ślady tłustych smug w miejscu, gdzie nastąpił kontakt z głową ofiary.

- Tłuste smugi?

- No, może nie tłuste. Jak od żelu. Pianki. Czegoś, co się nakłada na włosy. Pani Moloney musiała używać w nadmiarze żelu i pianek.

Pewnie, Melanie cała pokryta była żelem i pianką. Jak inaczej nadać blask włosom, które, tak wiele razy rozjaśniane, były bardziej suche niż zęby grzebienia?

- Ci z kryminalistyki zbadali smugi, które zgadzały się z tym, co tego dnia pani Moloney miała na włosach. Spryskali też obwolucę książki ninhydryną.

- Brzmi to jak nazwa nowych kropli do nosa. Co to jest?

- Jest to toksyczny związek chemiczny, którym spryskiwany jest papier, aby wykryć odciski palców. Trochę odcisków pojawiło się na okładce, w większości należały do pani. Zdaniem Corsiniego przesądzały sprawę. Jest pewien, że zabiła pani swoją pracodawczynię.

- Czy on jest pomyłony? Oczywiście, moje odciski znajdują się na obwolucie tej książki. Sprzątałam u tej kobiety. Czyściłam jej gabinet. Zawsze dotykałam jej rzeczy, podobnie jak Todd Bennett, ten facet, który pisał książki razem z nią.

- Tak, wiem. Jego ślady też są na książce.

- Czemu więc Corsini nie zaaresztuje Todda? - spytałam. - Nienawidził Melanie tak bardzo, jak ja... ją kochałam. - Niewiele brakowało. Nie sposób było przewidzieć, czy detektywi Corsini i Michaels nie śledzą tej sceny dzięki swojej małej kamerze anty samobójczej.

- Pan Bennett nie miał w swojej lodówce nawet grama kokainy. Pani miała.

- Zostałam wrobiona. Już wszystkim o tym powiedziałam. - Alison, zachowaj spokój. Ta gliniara usił-

je ci pomóc. Wydobądź z niej tyle, ile tylko potrafisz. Nie zmarnuj okazji. - Wspomniała pani, że na książce było wiele odcisków palców. Czyje jeszcze?

- Chociażby pani pracodawczyni. I jeszcze jakieś nie zidentyfikowane.

- Nie zidentyfikowane? Czy nie jest możliwe, że należą do prawdziwego zabójcy? Zamiast mnie zamknąć, dlaczego nie zaczniecie szukać człowieka z tajemniczymi odciskami palców i nie aresztujecie go? Albo, jeszcze lepiej, aresztujcie Todda Bennetta. Nie ma alibi na noc, kiedy została zamordowana.

Zgoda, byłam wredna, rzucając podejrzenie na biednego pulchnego Todda, ale z tego, co wiedziałam, biedny, pulchny Todda zabił Melanie i umieścił kokainę w mojej lodówce. Skoro był tak dobry, zdobywając poufne informacje o sławnych osobistościach, może równie dobrze umiał dostawać się do cudzych domów, podrzucać narkotyki i donosić na policję.

- Dobrze, ja wiem, że to jest trudne dla pani, pierwsze przestępstwo i to wszystko - odezwała się funkcjonariusz Zenk. - Ale niech pani spróbuje się rozchmurzyć. W stanie Connecticut obowiązuje kara śmierci, ale już od wielu lat nie wykonano żadnego wyroku.

Moje przesłuchanie, związane z ustaleniem kaucji, zostało wyznaczone na godzinę dziesiątą. O wpół do dziesiątej wsadzono mnie do karetki więziennej i przewieziono do sądu stanowego w Jessup. Po przyjeździe zabrano mnie do noszącego wzruszającą nazwę - kojec, dużego pomieszczenia, gdzie przebywały kobiety ze wszystkich miast okręgu, oczekując na swoją kolej rozmowy z sędzią. Były tam prostytutki-

tki i handlarki narkotyków, trucicielka, złodziejka sklepowa, a nawet kobieta oskarżona o zarżnięcie męża za pomocą szatkownicy do warzyw.

Tu właśnie się znalazłam, zamknięta z mętami społecznymi, ja, Alison Waxman Koff, pani Klonowego Dworku. Co takiego uczyniłam w przeszłym życiu, żeby zasłużyć na ten los? Co takiego uczyniłam w obecnym życiu? Wydawałam za wiele pieniędzy? Zaciągnęłam za duże pożyczki na moje karty kredytowe? Kupiłam dom, który był nieprzyzwoicie drogi i o wiele za duży dla dwóch osób? Czyżby to była „nagroda” za moje wysoki? Czyżby nadszedł czas rewanżu za stare dobre lata osiemdziesiąte?

Po jakiejś godzinie przyszedł policjant, aby z kojca zaprowadzić mnie na spotkanie z sędzią. Pożegnałam się z moimi współwięźniarkami, życząc im miłego dnia. W odpowiedzi usłyszałam od jednej z nich, żebym się odpieprzyła.

Weszłam na salę rozpraw i zajęłam miejsce przy stoliku koło mojego prawnika, który wydawał się jeszcze bardziej nie w formie niż poprzedniej nocy.

- Moja niestrawność. Wykańcza mnie - powiedział, łykając maalox.

Pomachałam do Culliego i mojej matki, którzy siedzieli na sali w pierwszym rzędzie. Uśmiechnęli się. Cullie pokazał mi zaciśnięte kciuki. Moja matka zrobiła to samo.

- Proszę wstać - huknął głos, gdy sędzia wkroczył na salę.

Wstaliśmy, usiedliśmy. Potem sędzia zwrócił się do nas. Nazywał się Wilson Pickett. Był czarny, łysy i miał surowy wygląd. Zastanowiłam się przez chwilę, czy został tak nazwany na cześć mojego ulubionego

piosenkarza soulowego, czy też mój ulubiony piosenkarz otrzymał imię po nim. Spróbowałam sobie go wyobrazić śpiewającego *Midnight Hour*. Nie mogłam.

Zauważyłam detektywów Corsiniego i Michaela, siedzących przy stole z innym mężczyzną, który okazał się oskarżycielem, o nazwisku Fred Goralnik. To właśnie pan Goralnik pierwszy przemówił do sędziego. Wyjaśnił, że detektywi znaleźli w mojej lodówce uncję kokainy i proponują, aby sędzia zagwarantował moją obecność na przyszłych rozprawach, ustanawiając kaucję w wysokości - uwaga! - pięćdziesięciu tysięcy dolarów!

- Czy mogą to zrobić? - spytałam pana Obermeyera. - Nie dam rady zdobyć pięćdziesięciu tysięcy. Może moja mama by mogła, ale nie chcę jej o to prosić.

- Zachowaj spokój - sapnął mój adwokat. - Zajmę się wszystkim.

Zaczerpnęłam głęboko powietrza, modląc się, aby się okazało, że Louis Obermeyer wie, co mówi.

- Wysoki sędzie - zaczął. - Chciałbym, żeby wysokość kaucji została obniżona, a to z następujących powodów. Po pierwsze, moja klientka została niesłusznie aresztowana. Policja nie miała nakazu aresztowania. Siłą wdarli się do jej domu, działając, jak utrzymują, na podstawie donosu informatora. Podstępem skłonili ją do otworzenia drzwi lodówki, gdzie znaleziono kokainę. Ich postępowanie i okoliczności aresztowania w najlepszym przypadku budzą wątpliwości.

Pan Obermeyer złapał się za brzuch, czknął, mruknął „proszę mi wybaczyć” i wziął następny łyk maaloxu.

- Ponadto, wysoki sędzie - kontynuował - moja klientka nie ma za sobą kryminalnej przeszłości. Żadnego aresztowania. Żadnego mandatu za złe parkowanie. Nic. - Przerwał, aby przerzucić swoje notatki. - Nigdy nie było przypadku, żeby nie stawiała się przed sądem, ponieważ nigdy nie musiała stawać przed sądem. Jest wzorową obywatelką. Ma ogromną listę zasług dla lokalnej społeczności. Płaci podatki. Ma dobrze płatną pracę.

Chrząknęłam, aby zwrócić uwagę pana Obermeyer-a. Pochylił się do mnie, mogłam więc szepnąć mu do ucha. - Nie chcę, żeby pan kłamał - powiedziałam. - Dlatego powinnam panu powiedzieć, że nie mam lukratywnej pracy. I wcale nie jestem pewna, czy będę mogła zapłacić podatek. Nie w tym roku.

Spojrzał na mnie zezem. - Przepraszam za przerwę, wysoki sędzie. Jak mówiłem, moja klientka jest wyróżniającą się obywatelką, bez kryminalnej przeszłości. Chociaż, ze względu na niedawną śmierć swojej pracodawczyni, pozostaje chwilowo bez pracy, jest ściśle związana z lokalną społecznością. Jej matka, podobnie jak ja, jest długoletnim członkiem klubu Grassy Glen. Mogę zapewnić, że moja klientka stawi się przed sądem, toteż nie ma potrzeby ustalania tak wysokiego poręczenia.

- Dobra robota - powiedziałam panu Obermeyer-owi, kiedy skończył swoją krótką przemowę.

To była naprawdę dobra robota. Sędzia postanowił zmniejszyć kaucję z pięćdziesięciu tysięcy do tysiąca dolarów.

- Ali son, kochanie. Jesteś wolna! - krzyknęła moja matka po wypisaniu czeku na tysiąc dolarów i wręczeniu go panu Obermeyerowi, żeby ten przekazał go

odpowiedniemu urzędnikowi sądowemu. Mocno ją uściskałam. Wszystko zostało wybaczone. Właśnie przed chwilą uchroniła mnie przed więzieniem stanowym w Niantic. Byłam tak wdzięczna, że gotowa byłam puścić w niepamięć wszystkie żale pod jej adresem, przynajmniej na jakiś czas.

- Och, Sonny, tak bardzo się cieszę - powiedział Cullie, całując moje policzki, czoło, usta. - Już niedługo cały ten koszmar się skończy.

- Nie bądź taki pewny - sarknął pan Obermeyer.

- Musimy się przygotować do procesu. A poza tym jest sprawa zabójstwa, o które chcą ją oskarżyć.

- Och, Louis - moja matka skarciła adwokata, jakby był malutkim chłopcem. - Pozwól Alison i jej narzeczonemu na chwilę radości, dobrze? Tyle przeszli. Daj im trochę spokoju.

- Dzięki, Doris - powiedział Cullie, klepiąc moją matkę po ramieniu. - Byłaś wspaniała. Doceniamy to z Sonny. - Cmoknął ją w policzek.

Ze zdumienia odjęło mi mowę. Cullie i moja matka sprawiali wrażenie, jakby naprawdę przypadli sobie do gustu.

- Twoja mama właśnie wyciągnęła cię z więzienia

- szepnął Cullie, widząc moją reakcję. - To się liczy, nie uważasz?

- No, chyba tak. Ty też walczyłeś o mnie, Cullie. Chciałabym ci okazać swoją wdzięczność, gdy tylko pozwolą mi stąd iść, dobrze?

- Twoje łóżko, czy moje?

- Twoje. Jest bliżej.

Spędziliśmy z Culliem noc na **MARLOWE**. Czułam się tak, jakbym była w domu - w prawdziwym domu.

- Czy zabierzesz mnie znowu w rejs? - zapytałam, kiedy się rozebraliśmy i wskoczyliśmy do łóżka.
- Nie skończy się chyba na naszej ostatniej wycieczce.
- Nie, na pewno się nie skończy - roześmiał się. - Jeśli dobrze pamiętam, wszystko było w porządku do momentu, w którym oskarżyłaś mnie o morderstwo.
- Wybacz mi, proszę - powiedziałam, przytulając się do niego. - Nigdy w ciebie nie zwątpię.

Obiecuję.

- Obiecanki cacanki. Ale podobało ci się żeglowanie, prawda? Tak mi się zdawało.
- Och, było cudownie. Kiedy możemy znów płynąć?
- Może w przyszłym tygodniu. W końcu jest kwiecień. Wspaniała żeglarska pogoda.
- Cullie?
- Tak?
- Kocham cię.
- Ja ciebie też.
- Kochaj się więc ze mną. Spraw, żebym zapomniała o tych strasznych rzeczach, które się przydarzyły. Spraw, żebym zapomniała o wszystkim, z wyjątkiem smaku twojej skóry, twojego zapachu, twojego dotyku. Spraw, żebym zapo...

Cullie przycisnął usta do moich warg i wsunął między nie język. Poczułam napięcie w kroczu i poddałam się ogarniającym mnie wrażeniom. W parę chwil wszelkie myśli o zabójstwie Melanie i moim odroczonej uwiezieniu uleciały i pogrążyłam się w słodkim zapomnieniu, którego doznać może jedynie kobieta w ramionach ukochanego mężczyzny.

Następnego dnia rano Cullie odwiózł mnie do Klonowego Dworku. Oświadczył, że wziął wolny dzień, żeby mi pomóc w czymkolwiek, czego będę potrzebować. Powiedziałam mu, że potrzebuję pomocy we wszystkim. Stwierdził, że naszym najważniejszym zadaniem jest znalezienie tego kto podrzucił kokę do lodówki i dowiedzenie się, w jaki sposób ta osoba dostała się do mojego domu. Tę ostatnią tajemnicę częściowo rozwiązał telefon od Janet Claiborne.

- Pani Koff, tak bardzo mi przykro z powodu ostatniej nocy - powiedziała.

- Dziękuję za wyrazy współczucia - odrzekłam, sądząc, że ma na myśli moje nieszczęsne aresztowanie i jeszcze bardziej nieprzyjemny pobyt w więzieniu.

- To wszystko była moja wina - ciągnęła dalej.

- Moje aresztowanie było pani winą?

- Aresztowanie? Mówiłam o pani alarmie przeciw-włamaniowym, moja droga.

- Nie rozumiem.

- Zapomniałam go uruchomić po wczorajszym oglądaniu domu przez klienta. Wyłączyłam go po przyjściu i zupełnie zapomniałam go włączyć, gdy wychodziłam. Proszę mi wybaczyć.

- Była pani tutaj ostatniego wieczoru? Pokazywała pani mój dom? - Janet nie zrobiła tego ani razu w ciągu wielu miesięcy.

- Naprawdę pokazywałam dom. I to bardzo znaczącej osobie w naszej społeczności.

- Doprawdy? Komu?

- Obawiam się, że nie mogę tego zdradzić. Wie pani, jak bardzo ci ludzie pragną zachować anonimowość. Miejmy tylko nadzieję, że dostaniemy ofertę.

Nadzieja to nie było właściwe słowo. Bardziej właściwym słowem była desperacja. - Wyjaśnijmy więc. Zapomniała pani włączyć alarm, gdy wychodziła pani z domu ze znaczącym przedstawicielem naszej społeczności? - Kiedyś podałam Janet kod a także dałam klucz do domu, kiedy podpisałyśmy umowę.

- Tak, moja droga. I naprawdę bardzo mi przykro. Klient się spieszył - sama pani rozumie, jak niemożliwi są ci ludzie na stanowiskach - i musiałam być odrobinę rozkojarzona.

Klient był człowiekiem na stanowisku? Umierałam z ciekawości, żeby się dowiedzieć, kto przyjechał i oglądał Klonowy Dworek, podczas gdy ja spędzałam czas u mamy, porządkując jej życie miłosne. Osobistości, pomyślałam. W końcu Janet przyprawia jedną do domu, a mnie tam nie ma.

Przynajmniej jednak wiedziałam już teraz, w jaki sposób osobnik, który podrzucił kokainę, dostał się do domu. Zakradł się do środka po wyjściu Janet i jej ważnego klienta. Wyobrażam sobie, że włamanie się do czyjegoś domu jest całkiem proste, trudniej jest unieszkodliwić system alarmowy - chyba że alarm wcale nie jest włączony.

- Cóż - powiedziałam. - Bardzo mnie pokrzepiła wiadomość o zainteresowaniu domem. Proszę mnie zawiadomić, jeśli pani klient zechce jeszcze raz obejrzeć dom.

- Och, oczywiście. Jak już mówiłam, ten klient jest bardzo ważną postacią w naszym małym miasteczku

- powiedziała z dumą Janet. - Dlatego właśnie zgodziłam się pokazać dom o tak nietypowej porze. Nie sądzę, aby nocą domy prezentowały się najlepiej, ale jeśli trzeba pokazać, to trzeba. W Prestige Properties robimy wszystko, aby skojarzyć kupującego ze sprzedającym.

Słuszna uwaga. Kobieta manewrowała na granicy.

- Aha, Janet - rzuciłam. - Jeszcze coś powinna pani wiedzieć. Planuję zorganizowanie wyprzedaży. Prosiłam panią ze sklepu z używanymi rzeczami Rosy, aby sprzedała moje meble, sprzęt, wszystko. Pusty dom prawdopodobnie nie będzie się prezentował równie okazale.

Na końcu kabla u Janet zapanowała cisza. Potem rozległo się głębokie westchnienie.

- Skoro pani musi, to trudno - odezwała się wreszcie. - Wszyscy w mieście wiedzą o pani kłopotach, więc nie będzie to zaskoczeniem. W gruncie rzeczy, cała ta sprawa z pracą służącej u Melanie Moloney powinna pracować na naszą korzyść.

- To znaczy?

- Jest pani zawodową służącą, pani Koff. Potencjalni nabywcy będą przekonani, że pani dom jest niezwykle czysty.

W jakiś sposób, pomiędzy konsultacjami z moim adwokatem w sprawie odroczonego procesu o posiadanie narkotyków, wizytami w Layton Bank&Trust Company, związanymi z groźbą przejęcia Klonowego Dworku i burzliwymi dyskusjami z Culliem na temat tożsamości mordercy Melanie, udało mi się przeprowadzić przekłętą wyprzedaż. Miała ona miejsce w pewien deszczowy okropny piątek. Pogoda była tak paskudna, że bałam się, iż nikt się nie pojawi, pomimo

rzucających się w oczy, całostronicowych ogłoszeń w „Community Times”. Z drugiej strony bałam się też, że przyjdzie dużo ludzi i zadepczą błotem cały mój nieskalany dom.

Te ostatnie obawy się spełniły - każdy mieszkaniec stanu Connecticut przyszedł na moją wyprzedaż. Pod koniec dnia podłogi, które nie zostały, tak jak praktycznie całe umeblowanie, wywiezione z domu, pokryte były szlamem. Przynajmniej jednak zebrałam dość gotówki, aby zadowolić moich wierzycieli i mieć na benzynę do porsche'a.

- Nigdy nie widziałam takiej frekwencji - wyznała pani ze sklepu Rosy po sprzedaniu ostatniej rzeczy.

- Ludzie od lat podziwiali ten dom - wyjaśniłam.

- Podejrzewam, że sądzili, iż będą mogli kupić jakieś cenne przedmioty.

- Cenne, owszem. Ale nie w tym sensie, co pani myśli - powiedziała. - Nie przyszli tu z powodu domu. Przyszli ze względu na panią.

- Na mnie? Dlaczego?

- Pragnęli móc powiedzieć swoim przyjaciółom, że kupili lampę, będącą niegdyś własnością Alison Koff, kobiety, która zamordowała Melanie Moloney.

Zsiniałam ze złości. - Nikogo nie zamordowałam

- warknęłam.

- Inaczej piszą w „Community Times”. Gazeta już panią osądziła i uznała za winną.

Co za dużo to niezdrowo. Było mi niedobrze, czułam się zmęczona przedstawianiem mnie w roli Kuby Rozpruwacza przez należącą do Alistaira Downsa żalosną imitację gazety. Nadeszła pora, aby porozmawiać z jej wydawcą. Zwolniłam panią od wyprzedaży, przebrałam się i pojechałam do siedziby gazety.

Po wejściu do budynku skierowałam się prosto do gabinetu Bethany, ale okazał się pusty. Świetnie, pomyślałam. Poczekam.

Siadłam na kanapie, kręcąc się nerwowo. Potem zerknęłam w górę, na portret Alistaira i Bethany, wiszący na ścianie. Jakie sprawy mają na sumieniu? - zadałam sobie pytanie. Czy któreś z nich zabiło Melanie? Czy któreś z nich podrzuciło kokainę do mojego domu i usiłowało mnie zrobić w to morderstwo?

Spojrzałam na zegarek. Gdzie, u diabła, podziewa się Bethany? Wiedziałam, że jest w budynku, zauważyłam bowiem na parkingu jej zimnoniebieskiego mercedesa.

Wstałam i zaczęłam się przechadzać. Podeszłam do wyglądającego jak chlew biurka, zavalonego stosami papierów, wybrudzonego okruciami pączków i zaczęłam myszkować - doskonały sposób zabicia czasu, kiedy się czeka w czyimś gabinecie. Właśnie miałam podejrzeć, co zostało zanotowane na kartce z notesu, pod nagłówkiem: „Z biura senatora Alistaira P. Downsa”, gdy usłyszałam, że ktoś wszedł do pokoju.

- Koff! Co tutaj robisz?

Ulżyło mi, gdy zamiast Bethany Downs zobaczyłam przed sobą Julię Applebaum.

- O, cześć - powiedziałam. - Miło ujrzyć przyjazną twarz. Podałabym ci rękę, ale lepiej się cała od cukru z biurka Bethany.

- To kara za to, że wpychasz się tam, gdzie nie powinnaś - roześmiała się. Wspaniale było widzieć jej uśmiech. W czasie naszego ostatniego spotkania zachowywała się tak, jakbym była zbrodniarką. Ale w ten sposób reagowali wszyscy w mieście.

- Co u ciebie? - zapytałam. Wyglądała cudownie. Szczupłej i bardziej elegancko. Może dzięki nowej fryzurze. Długi warkocz został ścięty, zastąpiła go stylowa trwała do ramion.
 - Całkiem nieźle. Nie mogę narzekać. A ty, Koff? Jakoś znosisz swój ciężki los?
 - Z trudem.
 - Przykro mi - powiedziała nieśmiało.
 - Skoro ci przykro, to dlaczego do mnie nie dzwonisz? Od miesiący się nie spotykamy. Nigdy nie myślałam, że jesteś jedną z tych kobiet, które porzucają swoje przyjaciółki, gdy tylko na horyzoncie pojawi się jakiś facet.
 - Zazwyczaj tak nie postępuję. Słuchaj, naprawdę powinniśmy o tym porozmawiać.
 - Przyznajesz więc, że się z kimś spotykasz.
 - Oczywiście, że się z kimś spotyka - weszła w słowo Bethany. Ani Julia, ani ja nie zauważyłyśmy, kiedy przyszła. Ubrana była w bryczesy, buty do konnej jazdy i głęboko rozpiętą białą koszulę, a jasne włosy zczesła do tyłu i związała w koński ogon ognście czerwoną wstążką. Jej strój nie pasował na ważne posiedzenie zarządu; bardziej odpowiadał spotkaniu w klubie myśliwskim.
 - Witaj, Bethany - odezwałam się. - Przyszłam z tobą porozmawiać.
 - Właśnie widzę. Nie wyglądasz za dobrze, Alison. Marne wrażenia po kokainie?
- Dobra, więc Bethany obrała taktykę jędzy. Możemy się tak pobawić obie. - Nie, Bethany. Żadne marne wrażenia. Po prostu kiepski reportaż w gazecie. Tutejszy szmatławiec stale drukuje artykuły, twier-

dzące, że jestem zamieszana w morderstwo Melanie Moloney. Wiesz coś na ten temat?

Wzruszyła ramionami. - Wszelkie informacje czerpiemy z policyjnych raportów. Co więcej mogę ci powiedzieć?

- Guzik prawda. - Przerwałam, żeby otaksować wzrokiem jeździecki strój Bethany. - A może powinnam powiedzieć końskie gówno?

- Do rzeczy, Alison.

- Rzecz w tym, że wychodziłaś ze skóry, żeby mnie dopaść od chwili, gdy odkryłaś, że pracuję dla Melanie Moloney, nieustraszonej autorki biografii twojego ojca.

- To śmieszne.

- Doprawdy? Julio, czy pamiętasz jak Bethany zebrała wszystkich w swoim gabinecie i oświadczyła, że jeśli nie będziemy się trzymali z dala od Melanie, spuści nam łanie swoim batem?

- Tak, pamiętam, Koff. Ale co to ma wspólnego z morderstwem?

- Zgadnij, kto mnie wyrzucił z pracy, kiedy dowiedział się, że byłam służącą u Melanie? Zgadnij też, kto mi powiedział, że przyjmie mnie z powrotem, jeśli zdradzę, co Melanie napisała w książce na temat Alistaira?

- Nic takiego nie zrobiłam - powiedziała Bethany.

- Nie próbuj zaprzeczać. Oświadczyłaś mi, że natychmiast zatrudnisz mnie z powrotem w gazecie - i to za dwukrotnie wyższym wynagrodzeniem - jeśli dam ci rękopis albo opowiem dokładnie, co w nim jest. Rozpaczliwie chciałaś wiedzieć, co Melanie napisała o twoim kochanym ojczulku i doszłaś do wniosku, że mogłabym ci w tym pomóc.

- Chyba rzeczywiście jesteś tak uzależniona od narkotyków, jak mówią - parsknęła Bethany. -
Twoje słowa nie mają za grosz sensu. A teraz, wybaczcie mi, ale muszę dopilnować składu numeru.
- Dopilnować składu numeru? - powiedziałam, nie ruszając się z miejsca. - Nie rozśmieszaj mnie.
Twoje jedyne doświadczenie z numerami polega na tym, że odstawiasz je z każdym żonatym
mężczyzną w mieście.
- Czekaaj, ty, ty...
- Czekaajcie, uspokójcie się obie - łągodziła Julia.
- Spróbujcie się zachowywać jak dorosłe osoby, dobrze?
- A skoro o numerach z mężczyznami mowa
- powiedziała Bethany, krzywiąc wargi i przysuwając swoją twarz do mojej. - Jak się miewa twoja
matka, Alison? Nadal poluje na mojego ojca?
- Twoja mama zna Alistaira? - zapytała Julia.
- Tak, przez lata byli ze sobą, co doprowadziło Bethany do szału - rzekłam. - Lubi mieć swojego
tatusia wyłącznie dla siebie.
- Nie słuchaj jej, Julio - powiedziała Bethany.
- Coś jej się popieprzyło.
- Numery. Pieprzenie. Czy ktoś ci już mówił, że jesteś dosyć monotematyczna, Bethany?
- Czemu obie tego nie przerwiecie? - odezwała się Julia. - Koff, na litość boską, weź się w garść.
Wiem, że ostatni okres był dla ciebie trudny, ale to nie wina Bethany.
- Co cię ugryzło, Julio? - Byłam zdumiona, że trzyma stronę Bethany. Zawsze uważała, podobnie
jak ja, że córka Alistaira jest nie do wytrzymania.

- Nic nie ugryzło Julii - powiedziała Bethany. - Po prostu krew jest gęściejsza od wody. A ona i ja jesteśmy teraz właściwie jednej krwi.

- O czym ona bredzi, Julio? - spytałam.

- Tatuś. O tatusiu. - odparła Bethany. Julia ci nie powiedziała? Ona i tatuś spotykają się.

Wpatrywałam się w Julię, która unikała mojego wzroku. - To prawda? - zadałam jej pytanie. - Czy Alistair jest tym mężczyzną, o którym tak nie chciałaś mi opowiedzieć?

Julia kiwnęła głową. - Sądziłam, że lepiej będzie zachować nasz związek w sekrecie, Koff. Alistair jest właścicielem gazety, w której pracuję. Nie chciałam, aby ktoś zarzucił mu nepotyzm. Ponadto był też problem moich poglądów politycznych. Nie chciał, żeby się wydało, że spotyka się z demo-kratką.

Jezu. Czy istniał kobiecy umysł, którego Alistair nie przerobiłby na galaretę? Ale Julia? Solidna, poważna, nienawidząca republikanów Julia? Nie mogłam w to uwierzyć.

- Zaskoczona, Alison? - spytała Bethany. Zignorowałam ją. - Uważaj, Julio - powiedziałam mojej dawnej przyjaciółce. - Przeczytałam rękopis Melanie - nawet najdrobniejsze słowo. Wierz mi, Alistair Downs nie jest taki, jak myślisz. To nie jest człowiek, którym można się pobawić.

- Czytałaś książkę? - krzyknęła Bethany. - Mówiłaś, że nie masz do niej dostępu.

- Kłamałam. Nie tylko mam do niej dostęp, ja po prostu ją mam. Koniec, kropka. - Wiem, wiem. Właśnie przyznałam się do skradzenia rękopisu z domu Melanie, ale nic innego nie mogłam

zrobić. Musiałam ostrzec Julię przed Alistairem. Niech mnie policja aresztuje. Zaczynałam się do tego przyzwyczajać. - Mam rękopis i przeczytałam go

- powtórzyłam. - Julio, uważaj na tego faceta. Nie zdziwiłabym się, gdyby to on zabił Melanie, żeby na zawsze wyeliminować książkę i jej autorkę.

- Zupełnie nie rozumiesz, Ali son - stwierdziła Bethany. - Tatuś ma alibi na noc, kiedy popełniono morderstwo. Był z kimś.

- Tak, „z przyjaciółką” - zaszydziłam. - To dopiero alibi. Tak wykołował policję, że teraz kupią wszystko, co im powie.

- To prawda, Koff - odezwała się Julia. - To ja byłam owej nocy z Alistairem. On nie mógł zamordować Melanie Moloney.

A więc to Julia była ową przyjaciółką. - Być może wynajął kogoś, żeby dla niego zabił - powiedziałam.

- A może skorzystał z usług swojej wiernej córeczki.

- Naprawdę jesteś zepsuta, Alison - stwierdziła Bethany, potrząsając głową. - Pewnie to wpływ tych wszystkich handlarzy narkotyków, z którymi przestawałaś.

- Na twoim miejscu nie wspominałabym o cudzym towarzystwie - uśmiechnęłam się. - Czytałam książkę Melanie, pamiętasz jeszcze? Wiem wszystko o koleśkach twojego ojca z mafii, o kumplach z Ku-Klux-Klanu, o innych. Nie ma na świecie takiej szafy, która pomieściłaby gości tych ludzi. - Przerwałam dla uzyskania lepszego efektu i czekałam na reakcję. Nie doczekałam się. - Zastanawiam się, co by się stało, gdyby niektóre informacje Melanie, dotyczące rodziny Downsów dotarły do prasy? - Przerwałam znowu.

- Co o tym sądzisz, Bethany? - Cisza. - A oto, co ja

myślę - powiedziałam, ruszając ku drzwiom. - Myślę, że jeśli „The Layton Community Times” nadal publikować będzie historie, łączące mnie z morderstwem Melanie, będę musiała podrzucić parę fragmentów rękopisu dziennikarzom z popołudniówek, którzy, jeśli chcecie wiedzieć, obozują przed moim domem.

- Zatrzymałam się i popatrzyłam na Bethany i Julię. Były oszołomione. - Nie ma komentarzy? - Czekałam. - Cóż, w takim razie chyba sobie już pójdę, dzieci. Miłego dnia, Julio. A Bethany... - Przerwałam, aby jeszcze raz obrzucić spojrzeniem jej strój do konnej jazdy. - Miłego dosiadania ogierów.

- Zdradziłaś im, że masz rękopis? - spytał Cullie, kiedy opowiedziałam mu o swojej wyprawie do redakcji. Przyjechał do mnie, żeby pomóc mi się pakować. Ponieważ Klonowy Dworek pozbawiony był teraz wszystkich mebli, z wyjątkiem mojego łóżka, oboje doszliśmy do wniosku, że znacznie mniej przygnębiające dla mnie będzie przeniesienie się z powrotem na **MARLOWE**.

- Podejrzewam, że nie była to najmądrzejsza rzecz

- przyznałam. - Jednak kiedy usłyszałam, że Julia, pani Feministka, pani Politycznie Słuszna, pani Najlepsza z Najlepszych dotrzymuje towarzystwa Alis-tairowi, wyjątkowemu szowiniście i bigotowi, nie wytrzymałam. Musiałam ją ostrzec. Nie miałam też nic przeciwko dostarczeniu Bethany materiału do przemyśleń. Skoro teraz wie, co jest w rękopisie, będę miała to, czego chcę. Nie ośmieli się już pisać o mnie w swojej gazecie.

- Obyś miała rację - powiedział Cullie. - A tak nawiasem mówiąc, to gdzie jest rękopis?

- Nadal w saunie.
- Zabierzmy go ze sobą. Nigdy nie wiadomo, kto może przyjść go szukać.
- Słusznie.

Zeszłam na dół, otworzyłam drzwi do sauny i wyciągnęłam rękopis. Potem zaniiosłam go na górę i wetknęłam do torby na zakupy ze sklepu Bloomings-dale'a.

- Gotowa - powiedziałam po zapakowaniu dwóch walizek i zatelefonowaniu do mojej mamy i pana Obermeyera, żeby ich poinformować, gdzie mogą mnie szukać.

#

Spędziliśmy łagodną, przywracającą siły noc na **MARLOWE**. Powietrze było balsamiczne i kojące, a światło księżyca odbijało się w wodzie. Cullie przygotował dla nas kolację - taką samą potrawkę z owoców morza, jaką ugotował na naszą pierwszą randkę - i opatuleni zjedliśmy posiłek nie wewnątrz kabiny, ale na pokładzie.

- Czy jest coś, co kochasz bardziej niż tę łódkę
- spytałam go, gdy sączyliśmy wino i wdychaliśmy morskie powietrze.
- Próbujesz szczęścia, co? - uśmiechnął się.
- Nie, nieprawda. Daję słowo. Wiem, że mnie kochasz. Udowodniłeś to z nawiązką w ciągu ostatnich paru dni. Uważam jednak, że darzysz **MARLOWE** uczuciem silniejszym niż romantyczna miłość.

Zastanawiał się przez chwilę. - Kocham ten jacht, oczywiście. - Z uczuciem pogładził koło sterowe, po czym rozmarzonym wzrokiem spojrział na morze.

- Człowiek przywiązuje się do łodzi, kiedy buduje ją od kilu. Ale tak naprawdę kocham życie na łodzi.

- Masz na myśli życie na łodzi jako przeciwieństwo mieszkania w domu?
- Mam na myśli życie w harmonii z otoczeniem, zamiast próby dominowania nad nim. Kiedy mieszkasz na łodzi i za podwórko służy ci morze, nie rywalizujesz z naturą, szanujesz ją. Poznajesz swoje miejsce w świecie. - Przerwał, aby upić trochę wina.
- Życie na łodzi uczy cię zaufania do samego siebie. Uczy cię, jak rozkoszować się drobnymi rzeczami, rzeczami, które naprawdę są ważne. Uczy cię życia bez nadmiaru przedmiotów. Redukuje życie do podstawowych potrzeb: ciepła, suchości, jedzenia, spania.
- Znów łyknął wino. - Prawda jest taka, Sonny, że morze nie dba o to, ile firm udało ci się przejąć, ile porsche'ów masz w garażu, ile rodzajów aromatycznych octów używasz w swoich potrawach. Życie na łodzi, z dala od tego wszystkiego, pomaga spojrzeć na świat z perspektywy, rozumiesz?
- Pocałowałam Culliego w policzek, otoczyłam go ramionami i zapatrzyłam się w gwiaździste niebo.
- Rozumiem - powiedziałam, chłonąc widok i odgłosy przystani.
- Pozostaliśmy na pokładzie jeszcze przez jakąś godzinę, a potem zeszliśmy na dół do kabiny i przygotowaliśmy się do snu.
- Pracujesz jutro? - spytałam.
- Pewnie tak. Facet w radio powiedział, że powinno być słonecznie, a ja mam trochę zdjęć w plenerze do zrobienia.
- Kurczę, a ja miałam nadzieję, że zabierzesz mnie w rejs. Sądzę jednak, że jutrzejszy dzień powinnam spędzić na szukaniu pracy - jeśli ktokolwiek w tym mieście będzie jeszcze chciał mnie zatrudnić.

- Ktoś cię zatrudni, kochanie - powiedział z czułością Cullie. - Ponadto pan Obermeyer oczyści cię z zarzutów w sprawie kokainy, a policja odkryje, kto naprawdę zabił Melanie. Wszystko będzie dobrze, jestem tego pewien.

- Tak musi się stać, Cullie. Musi.

Położyliśmy się do łóżka, obejmując się nawzajem. Po upływie paru minut Cullie znajdował się już na krawędzi snu, o czym świadczył jego głęboki oddech przez otwarte usta. Ja natomiast cała byłam spięta - i pragnęłam, by kochał się ze mną.

- Cullie, nie śpisz?

- Można tak powiedzieć. O co chodzi?

- Pamiętasz, kiedy byliśmy na pokładzie i tłumaczyłeś mi, że życie na łodzi zredukowane jest do najistotniejszych spraw?

- Yhm.

- Pamiętasz, jak mówiłeś, że te najistotniejsze sprawy to ciepło, suchość, jedzenie i spanie?

- Yhm.

- Czy czegoś nie pomiñałeś?

- Celną uwaga. Chodź tutaj.

Następnego ranka obudziliśmy się wcześnie, udaliśmy się do łazienek na przystani, żeby wziąć prysznic (prysznic na **MARLOWE** wreszcie działał, ale Cullie powiedział, że powinniśmy nadal korzystać z publicznych toalet i oszczędzać prysznic na wycieczki) i wróciliśmy na jacht na kawę i musli. Wiedząc, że Cullie ma do sfotografowania kilka domów w świetle porannego słońca, popędzałam go do odejścia. Poświęcił mi i moim dramatom wystar-

czająco dużo czasu. On jednak ociągał się, pomimo moich niezbyt subtelnych usiłowań wyrzucenia go za drzwi.

- Jeśli się martwisz o mnie, to niepotrzebnie - powiedziałam. - Dam sobie świetnie radę.

- Wiem. - Pocałował mnie. - Stale jednak myślę o twojej wczorajszej rozmowie z Bethany Downs. Naprawdę wolałbym, żebyś nie wspominała, że masz rękopis.

- Dlaczego? Bethany nikomu nie powie. Chce, żeby książka zapadła się pod ziemię. Gdyby ludzie dowiedzieli się, co tam napisano, reputacja jej tatuśka tak by ucierpiała, że nikt nie życzyłby sobie nawet, żeby go aresztowano w tym mieście.

- Martwi mnie raczej twoje aresztowanie. Skąd wiesz, że Bethany albo Julia nie pójda do Corsiniego? Odkrycie, że to ty ukradłaś rękopis z domu Melanie, może być kluczowe dla oskarżenia cię o morderstwo.

- Hej, koleś! Czy to nie ty mówiłeś mi, że wszystko będzie dobrze? - Otoczyłam Culliego ramionami

1 przytuliłam go.

- Tak, ale zrób mi przyjemność. Pozwól mi schować przekłety rękopis tak, żeby Corsini nie mógł go znaleźć - na wypadek, gdyby przyszedł tu powęszyć.

- Dobrze, tylko gdzie?

- Właśnie się zastanawiam.

Cullie przemierzał kabinę tam i z powrotem.

- Twierdziłeś, że zbudowałeś tę ślicznotkę od kilu - powiedziałam. - Musisz znać każdy kąt i zakamarek. Czy jest tu jakiś tajny schowek?

Rozważał moje pytanie, targając brodę. - Właściwie jest - odezwał się w końcu. - Kiedy na nowo

szalowałem burty, zbudowałem schowek pod klużą, za kojami dziobowymi.

- Nic więcej nie mów, niech zgadnę; miałeś przeczucie, że pewnego dnia pojawi się rękopis, który będziesz musiał schować przed glinami.

- Nie, tak naprawdę to wielu żeglarzy lubi mieć tajemny schowek, kiedy zawijają do obcych portów. To świetne miejsce do przechowywania wartościowych rzeczy.

- Rewelacyjnie. Czy rękopis zmieści się w tym schowku?

- Powinien. Dawaj rękopis. Przygotuję wszystko. Wyciągnęłam torbę od Bloomingdale'a z wiszącej szafki i postawiłam przy koi, na której Cullie podnosił materac.

- Poszukaj może czegoś do owinięcia rękopisu, żeby nie zamókł na dole - powiedział, wpełzając do niewielkiego pomieszczenia między klużą i koją dziobową.

Popędziłam do kuchni, znalazłam dużą torbę na śmieci, wróciłam na dziób, owinęłam manuskrypt i okleiłam go dla pewności.

- Dobrze. Podaj mi go teraz - głos Culliego był przytłumiony.

Podalam rękopis do Culliemu, który dłubał pod podłogą.

Po paru sekundach wychylił się. - Zadanie wykonane - oświadczył z dumą.

- Nie boisz się, że Corsini i jego chłopcy mogą tam zajrzeć? - zapytałam.

- Nie będą wiedzieli, że trzeba tam zajrzeć. A nawet gdyby wiedzieli, musieliby przesunąć sześćdziesiąt metrów pokrytego błotem łańcucha kotwicznego, żeby znaleźć książkę.

Oboje odetchnęliśmy z ulgą.

- Lepiej się teraz czujesz? - zapytałam, gdy Cullie położył na miejsce materac i wrócił do kuchni na pożegnalny łyk kawy.

- Odrobinę.

- Świetnie. Idź już. Będę dziś bardzo zajęta - zakomunikowałam, machając stroną ogłoszeń z „Community Times”.

- Już idę, idę - uśmiechnął się. - Musisz ich zwalić z nóg.

Skrzywiłam się. - Czy musisz używać takich określeń? Jestem podejrzana o morderstwo, przypominasz sobie?

- Przepraszam. To może: daj im popalić.

- Lepiej. Dużo lepiej.

Było koło pierwszej, siedziałam przy telefonie obok pulpitu nawigacyjnego Culliego, jedząc kanapkę z tuńczykiem i usiłując pogodzić się z faktem, że wszystkie cztery oferty pracy, o które spytałam, okazały się już zajęte, kiedy usłyszałam kroki na pokładzie, a potem stukanie w zejściówkę.

- Kto tam? - zawołałam.

- Detektyw Joseph Corsini z komendy policji w Layton. Proszę otworzyć.

Niemal się zakrztusiłam kanapką. Może Cullie miał rację. Może Bethany powiedziała Corsiniemu, że zabrałam rękopis i teraz detektyw po niego przyszedł. Zerknęłam w stronę tajnego schowka pod kłuzą i odetchnęłam z ulgą na myśl, że rękopis spoczywa tam bezpiecznie ukryty. Nie ma rękopisu, nie ma dowodu.

Otworzyłam włącz. Corsini nie był sam. U jego boku był detektyw Michaels.

- O co chodzi, chłopcy? - spytałam, starając się, żeby pytanie zabrzmiało nonszalancko.
- O to - odpowiedział detektyw Corsini i wręczył mi oficjalnie wyglądający, czterostronicowy dokument.

Przejrzałam pierwszą stronę i zatkało mnie. - To jest nakaz aresztowania - zawołałam. - Ale za co? Na tym jachcie nie ma kokainy. Możecie sprawdzić w lodówce.

- Proszę przeczytać ostatni paragraf - powiedział detektyw Michaels z pełnym wyższości, kpiącym uśmiechem.

Rzuciłam się na ostatnią stronę dokumentu i przeczytałam końcowy ustęp. „Po rozpatrzeniu przedstawionych powyżej faktów i okoliczności” czytałam:

wydano nakaz aresztowania Alison Waxman Koff, zamieszkałej przy Woodland Bay pod numerem trzydziestym trzecim w Layton, stan Connecticut, oskarżonej o morderstwo, to jest z § 53a-54a prawa karnego stanu Connecticut za uczestnictwo w wymienionej wyżej zbrodni.

Morderstwo!

- Alison Koff, może pani odmówić odpowiedzi... - rozpoczął detektyw Michaels, odpinając jednocześnie kajdanki od paska spodni i zatrzasnął je na moich przegubach.

- Ależ poczekajcie - wrzasnęłam, gdy kontynuował czytanie przysługujących mi praw. - Nie możecie mnie aresztować za morderstwo Melanie. Nie zabiłam jej! Nikogo nie zabiłam! Niech mi ktoś pomoże!

- Możemy panią aresztować i właśnie to zrobiliśmy - oświadczył detektyw Corsini. - O tym mówi ten dokument. Podpisał go sędzia, widzi pani? - Pomachał mi nakazem przed nosem.

- Na jakiej podstawie? Odcisków moich palców na książce? Kokainy w mojej lodówce? To nie wystarczy, żeby...

- Pewien ptaszek wyćwierkał nam, że ukradła pani rękopis, nad którym pracowała pani Moloney - powiedział detektyw Corsini. - Ukradła go pani prosto z miejsca zbrodni, nieprawdaż, pani Koff?

Bethany. Cullie miał rację.

- Nasz informator utrzymuje, że widział u pani ten rękopis - wyjaśnił detektyw Michaels. - Twierdzi też, że go pani gdzieś ukrywa. Już niedługo znajdziemy, gdzie.

- To kłamstwo. - No, przynajmniej ta część, że Bethany widziała u mnie rękopis.

- O tym zdecyduje sędzia - powiedział detektyw Corsini. - Ale zapewniam panią, że podzieli naszą opinię. - Zachichotał i przejechał paznokciami po nogawce spodni. - Z naszego punktu widzenia informacja o rękopisie przesądza sprawę.

- Ależ tłumaczę wam, że jestem niewinna. Nie zrobiłam tego.

- Jeśli jest pani niewinna, to dlaczego zabrała pani rękopis?

- Zabrakło mi lektury do poduszki - powiedziałam.

- Znowu zaczyna swoje żarty - odezwał się detektyw Michaels.

- Już niedługo nie będzie żartować - powiedział detektyw Corsini, przeciągając palcami po zaczesanych do tyłu włosach. - Prawda, pani Koff?

Pokazałam mu język. Pokazałabym mu inny gest, ale ręce miałam skute na plecach.

- Kradzież tego rękopisu to paskudna sprawa - stwierdził detektyw Corsini. - Już i tak wystarczyło,

że zabiła pani swoją pracodawczynię, żeby powstrzymać ją przed doniesieniem, że sprzedaje pani kokainę. Ale kradzież jej książki po to, żeby wyciągnąć pieniądze od uczciwych, cieszących się poważaniem, ciężko pracujących ludzi, takich jak rodzina Down-sów? Oj, oj. Doprawdy wstyd.

- Od rodziny Downsów? Cieszącej się poważaniem? Proszę mnie nie doprowadzać do mdłości.

- Wydałam z siebie odgłos zbliżony do wymiotów.

- O co chodzi z tym wyciąganiem pieniędzy? Nie wyciągałam pieniędzy ani od rodziny Downsów, ani od kogokolwiek innego. O czym pan mówi, Cor-sini?

- Nasz informator powiedział nam, że w tej książce znalazły się nieprzyjemne insynuacje, dotyczące senatora - odrzekł detektyw Michaels. - Nasz informator oświadczył również, że zajęła się pani szantażem. Szantaż nie jest eleganckim zajęciem. Prawda, pani Koff?

- Wyjaśnijmy to sobie. Najpierw oskarżacie mnie o posiadanie kokainy. Potem oskarżacie mnie o morderstwo. Teraz oskarżacie mnie o szantaż. Co będzie następne, znęcanie się nad dziećmi?

- Słucham? - powiedział detektyw Corsini. - Czy jest coś, co chciałaby pani nam wyznać?

- Nie! - Nagle przypomniałam sobie panią Silverberg. Sądząc po moim dotychczasowym szczęściu, powinna się teraz zjawić i opowiedzieć Corsiniemu, jak połałam głowy jej córek pepsi. - Nie powiem nic więcej bez mojego adwokata. Mam prawo powiadomić swojego adwokata, prawda?

- Zna już pani tryb postępowania, pani Koff - odpowiedział. - Staje się pani starym wygą w tym

aresztanckim interesie. Może pani zadzwonić do adwokata, kiedy dotrzemy na posterunek. Idziemy.

22

O czwartej po południu byłam z powrotem w mojej dawnej celi w suterenie komendy policji w Layton - w moim domu z dala od domu. Niewątpliwie ten dom nie miał uroku Klonowego Dworku, przynajmniej jednak nie wisiała nad nim groźba przejęcia przez bank.

- Och, dzień dobry. Kogóż to my widzimy - powiedziała funkcjonariusz Zenk, wsuwając tacę z jedzeniem przez wąską szczelinę w kracie mojej celi.

- Dzień dobry - powiedziałam, starając się zachowywać przyjacielsko. Funkcjonariusz Zenk była kopalnią informacji o mojej sprawie gdy poprzednio siedziałam w pudle. Liczyłam na to, że i tym razem okaże się równie pomocna. - Mam nadzieję, że się pani nie pogniewa, jeśli zapytam, czy to późny lunch, czy też wczesna kolacja? - Sądząc po jedzeniu na tacy - siekana wołowina na grzance, puree ziemniaczane i galaretką malinowa - mogło to być jedno albo drugie.

- To kolacja. Smacznego.

- Dziękuję, myślę jednak, że sobie daruję. - Gówno na kamieniu nie pasowało do moich wyobrażeń o kolacji. Ponadto kilka godzin wcześniej zjadłam tę kanapkę z tuńczykiem, która teraz, na skutek zdenerwowania, zaczęła mi się odbijać.

- Na górze wpadłam na pani chłopaka - powiedziała.

- Na Culliego? - Zostawiłam mu wiadomość nagrany na automatycznej sekretarce, wyjaśniającą, co się stało.

- Nie usłyszałam, jak się nazywa. Rozmawiał z pani obrońcą.

- Z panem Obermeyerem. Nie wie pani, czy jeszcze tu jest?

- Adwokat czy pani chłopak?

- Mój adwokat.

- Tak. Słyszałam, jak się wydziera na Corsiniego.

- Dlaczego?

- Wrzeszczał, że została pani niesłusznie aresztowana, że Corsini nie ma dowodu, że ukradła pani rękopis pani Moloney, że dla policji ważniejszy jest donos niż pani słowa, że kierują się jedynie plotkami, że od czterdziestu lat nie prowadzili dochodzenia w sprawie morderstwa i teraz postępują tak głupio, że przynoszą wstyd środowisku stróżów prawa.

- Uf. Mówiłam pani, że mam dobrego adwokata.

- Jeśli jest taki dobry, to niech znowu wywalczy zmniejszenie wysokości kaucji.

- Czemu? Ile to ma być tym razem?

- Wspomniano o pół miliona dolarów.

- Mówi pani poważnie? Ostatnim razem było tylko pięćdziesiąt tysięcy.

- Ostatnim razem postawiono pani zarzut posiadania narkotyków. Tym razem chodzi o morderstwo.

To olbrzymia różnica.

Udało mi się jakoś zatrzymać kanapkę z tuńczykiem. Żałowałam, że w pobliżu nie ma pana Obermeyera. Wycyganiałabym od niego trochę maaloxu. - Nie zrobiłam tego, pani Zenk. Nie zabiłam Melanie Moloney. Naprawdę, nie zrobiłam tego.

- Corsini myśli, że to pani - powiedziała. - Twierdzi, że teraz sprawa jest już właściwie zamknięta. Znalazł motyw: pani szefowa przyłapała panią na zażywaniu kokainy w pracy. Stwierdził, że miała pani sposobność: będąc służącą miała pani dostęp do domu. Znalazł pani odciski palców na narzędziu zbrodni. A teraz zdobył informację, że z miejsca zbrodni ukradła pani rękopis ofiary.

- To niewiarygodne - powiedziałam, potrząsając głową. - Jestem absolutnie niewinna.

- To nie mnie musi pani przekonać - powiedziała funkcjonariusz Zenk. - Ale na pani miejscu, porozmawiałabym z adwokatem, żeby zawarł ugodę.

- Ugode?

- Tak, w zamian za przyznanie się do winy. Polega to na tym, że zwalniają panią z oskarżenia o morderstwo, a pani przyznaje się do nieumyślnego spowodowania śmierci.

- Czemu miałabym tak zrobić? Nikogo nie zabiłam.

- Skarbie, czy wiesz, jaki jest wyrok za morderstwo w stanie Connecticut?

- Nie - odparłam niepewnie.

- Od dwudziestu pięciu lat do dożywocia. Jak już powiedziałam, na pani miejscu kazałabym adwokatowi zawrzeć ugodę, zwłaszcza że nie chciałabym do końca życia jeść siekanego mięsa na grzance.

Po odejściu funkcjonariusz Zenk zaczęłam gorączkowo spacerować w tę i z powrotem po celi, przejęta wizją czekającego mnie jutro przesłuchania w sprawie ustalenia kaucji. Z pewnością nigdy nie będę w stanie uzbierać pięciuset tysięcy dolarów. Wiedziałam też, że moja mama również nie da rady.

Zmęczona tym dreptaniem przysiadłam na pryczy i zaczęłam snuć rozważania na temat swojej przyszłości. Co będzie, jeśli panu Obermeyerowi nie uda się przekonać sędziego, że nie zabiłam Melanie? Co będzie, jeśli zostanę uznana winną i skazana na dożywocie w więzieniu stanowym w Niantic?

Doszłam do wniosku, że moja przyszłość rysuje się zbyt ponuro, by nad nią rozmyślać, toteż przerzuciłam się na przeszłość. Zastanawiałam się, czy Bóg postanowił mnie ukarać za moje futra, za porschea, za ogromny dom. Czy wszyscy zostaliśmy ukarani? Czy krach na giełdzie był boskim sposobem dania do zrozumienia, że przekroczyliśmy granicę, że żyjemy ponad stan, że cierpimy na nadmiar wszystkiego? Czyżby recesja była formą klapsa Pana Boga?

Ukryłam twarz w dłoniach i rozplakałam się. Boże, pomóż mi, modliłam się. Przyrzekam, że na zawsze usunę z mojego życia marnotrawstwo i obżarstwo. Nigdy więcej nie będę pożądać domu, basenu czy kortu tenisowego sąsiada, ba, nawet jego zadbanego ogrodu. Nigdy nie użyję słów „Proszę obciążyć moje konto i przysłać pod moim adresem”. Nigdy nie zamówię artykułów reklamowanych w telewizji, choćby mnie do tego zachęcały tabuny gwiazd filmowych. Odpokutuję, Panie. Przysięgam. Amen.

- Słońce wzeszło i świeci - zagadnęła następnego dnia rano policjantka Zenk, wstawiając tacę ze śniadaniem do mojej celi. Posiłek składał się z kawy, spalonej grzanki i wafla, tak płaskiego i sflaczałego, jakby przetoczyła się po nim opona ciężarówki.

- Dziękuję - powiedziałam, nieprzytomna z niewyspania. - Ale nie jestem specjalnie głodna. Prze-

- słuchanie w związku z kaucją nie poprawia apetytu. - Przez szczelinę oddałam tacę.
- Więc pani nic nie słyszała? - powiedziała.
 - O czym?
 - Mówi się, że sędzia wyrzuci oskarżenie o morderstwo za okno. Porucznik Graves jest wściekły.
 - Moje oskarżenie?
 - Dokładnie.
 - Kto to jest porucznik Graves?
 - Ważna figura. Szef Corsiniego. Wpadł w szal z powodu dotychczasowego sposobu prowadzenia pani sprawy przez Corsiniego i Michaela.
 - Chwileczkę, pani Zenk. Rito. Czy mogę do pani mówić Rita?
 - Myślę, że nic nie stoi na przeszkodzie.
 - Dobrze więc, Rito. Zaczniemy od początku. Czemu sędzia chce oddać oskarżenie o morderstwo i dlaczego porucznik Graves jest taki zły na detektywów, prowadzących moją sprawę?
 - Bo spartaczyli robotę. Nie zrobili wstępnych analiz białego proszku, znalezionego na biurku ofiary.
 - Czyli kokainy?
 - Właśnie.
 - Co to znaczy wstępna analiza?
 - Detektywi mają podręczne zestawy z odczynnikami chemicznymi - wyjaśniała Rita. - Kiedy na miejscu zbrodni znajdą jakiś proszek i chcą się przekonać, czy nie jest to kokaina, pobierają niewielką jego ilość, umieszczają w plastikowej rurce, dodają odczynnik z ampułki i mocno potrząsają. Jeśli badany proszek był kokainą, zmienia barwę na purpurową. Wtedy reszta posyłana jest do laboratorium, dla potwierdzenia.
 - I proszek zrobił się purpurowy, prawda?

- W tym rzecz. Corsini nie przeprowadził wstępnej analizy proszku z biurka pani Moloney. Podobnie Michaels. Zbadali tylko próbkę z pani lodówki, ale nie próbkę z miejsca zbrodni. I teraz dostanie im się za to.

- No myślę. - Nadal nie mogłam pojąć, w jaki sposób ten ostatni przejaw niekompetencji policji w Layton miałby skłonić sędziego do uwolnienia mnie, wierzyłam jednak, że Rita dojdzie w końcu do tego.

- Tak, powinna była pani widzieć, jak porucznik Graves rugał ich ostatniej nocy. Wpadł do pokoju Corsiniego, wymachując raportem z laboratorium i krzycząc tak głośno, że aż dziw, że tu na dole nie pani nie słyszała.

- Raportem z laboratorium? Przyszedł już z Meriden?

- Tak, wrócił. I dlatego porucznik Graves dostał szału. Wszedł i powiedział Corsiniemu i Michaelsowi: „Czy żaden z was, dupki, nie przeprowadził wstępnej analizy proszku z biurka zamordowanej?”. Popatrzyli na siebie, jakby ich na czymś przyłapano. Corsini odezwał się do Michaelsa: „Nie badałeś proszku?”. Michaels odparł: „Nie. Myślałem, że ty to zrobisz”. Wtedy porucznik wrzasnął: „Jak mogliście, wy pieprzone bałwany, posłać próbkę do laboratorium bez wstępnej analizy na miejscu zbrodni?”. To wszystko nie wygląda dobrze. Moim zdaniem pani adwokat miał rację: tutejsza policja od czterdziestu lat nie odnotowała żadnego zabójstwa i nie wie, co robić. I ten Corsini. - Potrzęsnęła głową. - Jest tak zwariowany na punkcie sławnych osobistości, że kiedy usłyszał o zamordowaniu znanej pisarki, stracił rozum.

- Jeśli w ogóle kiedyś go posiadał. Funkcjonariusz Zenk roześmiała się.
- Wyjašnjmy to sobie jeszcze raz, Rito. Proszek z biurka Melanie nigdy nie został wstępnie zbadany. I dlatego sędzia zamierza mnie zwolnić?
- Nie, skarbie. Wyniki badań laboratorium w Mer-den są negatywne. I dlatego właśnie sędzia zamierza cię zwolnić.

- Negatywne? To znaczy, że jednak proszek na biurku Melanie nie był kokainą?

- No właśnie. Corsini wariuje, bo nie ma już nic na panią. Nie ma kokainy, nie ma motywu. Naturalnie tak szybko nie da pani spokoju. Nadal uważa, że zabiła pani swoją szefową. Lecz musi teraz znaleźć inne dowody - i nie spocznie, dopóki nie znajdzie. Jego praca wisi na włosku.

Kogo obchodziła posada Corsiniego? Będę wolna! Nie ma kokainy, nie ma motywu zbrodni. Tak powiedziała Rita. Cóż więc z tego, że moje odciski palców znalazły się na książce, którą ktoś uderzył Melanie w głowę? Na książce były też inne odciski palców. Może dowiem się, czyje.

- Wrócę tu po panią za parę godzin - powiedziała Rita. - Przesłuchanie jest o dziesiątej.

- Dzięki, Rito. Byłaś dla mnie cudowna. Naprawdę, ocaliłaś mi tu życie. Nigdy cię nie zapomnę.

- Proszę nikomu nie mówić. To znaczy, nie mówić nikomu, że to wszystko opowiedziałam. Faceci z góry zawsze mi dogadują, że mam za długi język. Gdyby się dowiedzieli, mogłabym mieć kłopoty.

Rita odeszła od mojej celi i zaczęła wspinać się po schodach, kiedy zawołałam za nią.

- Rito!

- Tak?
- Jeszcze o tym raporcie.
- O co chodzi?
- Powiedziałaś, że wynik analiz jest ujemny, że proszek z biurka Melanie nie był kokainą.
- Słusznie. Nie był.
- Więc co to było?
- W raporcie laboratorium policyjnego przeczytać można „wielocukry i dwucukry ze śladową ilością aldehydu cynamonowego”.
- A w normalnym języku?
- Cukier. Cukier puder. Z odrobiną cynamonu. Cholerny cukier puder? Aresztowano mnie w związku z morderstwem z powodu paru kryształków cukru?
- Hej, proszę się rozchmurzyć - powiedziała Rita.
- Za parę godzin wyjdzie pani stąd.
- Dziękuję ci, Boże - szepnęłam w stronę sufitu mojej celi, kiedy Rita odeszła w stronę schodów.
- Wygląda na to, że ze swojej strony dotrzymujesz umowy. Teraz ja muszę dotrzymać swoich obietnic.

Moja wstępna rozprawa, związana z ustaleniem kaucji okazała się poruszającym przykładem działania amerykańskiego systemu wymiaru sprawiedliwości.

- Wysoki sędzie - zwrócił się mój adwokat do sędziego. - Policja dokonała aresztowania mojej klientki jedynie na podstawie pogłosek. Pogłosek! Nigdy nie znalazła u niej zaginionego rękopisu. Nigdy nawet nie przeszukano jej domu. Mieli za to odciski jej palców na narzędziu zbrodni. I co z tego? Nie mieli motywu morderstwa. Kokaina na biurku ofiary okazała się cukrem. Co teraz robi policja? Oskarży moją klientkę o zabicie swej pracodawczyni z powodu łyżki cukru?

Wybuchnęłam śmiechem. Pan Obermeyer posłał mi ponure spojrzenie i zaczął mnie uciszać. Potem wziął łyk maaloxu i beknął.

- W tych okolicznościach, wysoki sędzie - ciągnął dalej - wnioskuję o oddalenie wszystkich zarzutów wobec mojej klientki - o posiadanie kokainy z zamiarem jej sprzedaży i o morderstwo. Dziękuję.

Sędzia Pickett odrzucił zarzuty wobec mnie. Następnie wyrzucił nas z sali - przedtem jednak zbeształ prokuratora za aresztowanie mnie na podstawie tak słabych dowodów i za zaprzatanie sądu swoją zdumiewającą nieudolnością. Przyjemnie było obserwować Corsiniego, wzdrygającego się za każdym razem, gdy z ust sędziego Picketta padały słowa „kretyński”, „idiotyczny” i pocziwe, stare „głupi” na określenie sposobu, w jaki policja do tej pory partaczyła sprawę. Mogłam sobie tylko wyobrazić ulgę Corsiniego, że telewizja nie rejestruje postępowania sądowego.

- To jeszcze nie koniec - syknął, kiedy opuszczaliśmy salę rozpraw.
- Wygląda na to, że sędzia jest innego zdania - uśmiechnęłam się.
- Sędzia nie jest od schwytania pani. To moje zadanie.
- Czy to groźba? - zapytałam Corsiniego. - Jeśli tak, będę musiała poinformować o tym sędziego.
- Niech pani idzie i go informuje. Pani słowo przeciwko mojemu.
- Dokładnie. Mogę być podejrzaną o popełnienie morderstwa, ale w chwili obecnej sędzia Pickett ma do mnie znacznie większe zaufanie niż do pana.

Corsini skrzywił się, przejechał palcami po włosach i wymknął się z sali.

- Co mu jest? - spytał Cullie, wskazując w stronę Corsiniego.

- Zły dzień dla włosów - wzruszyłam ramionami.

- Co sądzisz o wybraniu się gdzieś na kolację, aby uczcić twoje zwolnienie? - zaproponował Cullie, kiedy znaleźliśmy się z powrotem na **MARLOWE**. Wzięłam prysznic, przebrałam się i odpoczywałam na koi.

- Masz na myśli McGavin's, Arniego lub podobne miejsce?

- Nie. Myślałem o Les Fruits de Mer albo innym szykownym lokalu.

- Ale tam jest tak drogo.

- Tak, ale nie codziennie sąd cofa postawiony ci zarzut morderstwa. Powinniśmy to uczcić z pompą, nie uważasz?

- Wiesz, że nie mam pieniędzy. A nie mogę cię prosić, żebyś zapłacił.

- Właśnie zrobiłem czterostronicowy folder dla Prestige Properties. Z pewnością stać mnie na kolację poza domem - zwłaszcza z tak doniosłej okazji.

- Ale tam wymagany jest strój wieczorowy. Czy masz choćby krawat?

- Tak, jeden. Szczęśliwie dobrze pasuje do jedynej sportowej marynarki, jaką posiadam.

- Świetnie. Przebierzesz się tutaj, a potem wpadniemy do Klonowego Dworku i założę jedyną ładną sukienkę, której się nie pozbyłam w czasie wyprzedaży.

- Będziemy elegancką parą.

- Och, całkiem niezłą. Syn instruktora żeglarstwa i zażywająca kokainę służąca o morderczych skłonnościach.

Les Fruits de Mer należała do ulubionych restauracji Sandy'ego w początkowym okresie naszego małżeństwa, w czasie wspaniałych lat osiemdziesiątych, gdy nikt się nie przejmował, płacąc dwieście dolców za skromną czwartkową kolację. I naprawdę mam na myśli skromną. Porcje w Les Fruits de Mer były tak niewielkie, że po powrocie do domu trzeba było jeszcze coś zjeść.

Restauracja Les Fruits de Mer położona była ponad portem w Layton i serwowano tam dania „kontynentalne”, a nie tylko typowo francuską kuchnię. Innymi słowy w menu, przypominającym ekskluzywne wydania klasyki, oprawne w skórę, z prowansalskimi żabimi udkami sąsiadował sznycel wiedeński. Jak już wspomniałam, sznycel bardziej zasługiwał na miano sznycelka. Ale lokal nie był zupełnie beznadziejny. Podawano bowiem bezpłatnie porcję sorbetu cytrynowego, który zmiatało się z talerza między daniami.

- *Bon soir* - powiedział kierownik sali, gdy weszliśmy do restauracji. Miał na sobie obowiązkowy smoking i usilnie się starał, aby jego brookliński akcent brzmiał z francuska.

- Mamy rezerwację dla dwóch osób na wpół do ósmej, na nazwisko Harrington - powiedział Cullie.

- *Oui, monsieur Harrington*. Proszę tędy. Zaprowadził nas do ślicznego stolika przy oknie.

Byłam zdumiona, że uhonorowano nas tak dobrym stolikiem, wiedziałam bowiem, że Cullie nie zalicza się do grona stałych klientów. Ale właściwie żadnych stałych gości nie było widać.

Restauracja była pusta,

jeśli nie liczyć trzech osób, zajmujących stolik w drugim kącie sali.

- Wygląda, że interes nie idzie najlepiej - powiedział Cullie. - Jestem rozczarowany. Jestem tu po raz pierwszy i spodziewałem się, że spotkam jakieś laytońskie grube ryby.

- Sądzę, że to wina recesji - odparłam. - Nikogo nie stać już na przychodzenie tutaj, oczywiście poza niezwykle utalentowanymi fotografami.

- Oczywiście. - Uśmiechnął się. - Może wzniesiemy jakiś toast?

Uniosłam kieliszek z szampanem. - Za Janet Claiborne - rzuciłam radośnie.

- Dlaczego chcesz wznosić za nią toast? - zapytał Cullie. - Czy dlatego, że za ten posiłek zapłacę pieniędzmi, otrzymanymi za zrobiony dla niej folder?

- Nie, głuptasie. Dlatego, że dzięki niej pojawiłeś się w moim życiu.

Cullie uniósł swój kieliszek i trącił mój. - Za Janet Claiborne - powiedział. - Z wyrazami mojej najgłębszej wdzięczności.

Zamówiliśmy kolację, oboje wybierając owoce morza: Cullie homara, ja solę.

- A gdzie reszta? - spytał Cullie, gdy kelner przyniósł nasze przystawki i zniknął.

- Aha, masz na myśli wielkość porcji? - powiedziałam. - Małe, prawda?

- Nie żartujesz - odparł, spoglądając na leżącą na talerzu porcję Jiomara wielkości naparstka.

- Weź chleb - zaproponowałam. - Zapchasz się nim. A jeśli nie wystarczy, zawsze jeszcze możesz pożyć cukiereczki.

- Dziękuję bardzo.

- Hej, to był twój pomysł, żeby tu przyjść - drażniłam się z nim. - *Bon appetit*.
- Tobie też życzę *bon appetit* - powiedział, po czym wziął do ust kawałek homara i rozpromienił się.
- Może nie jest tego zbyt wiele, ale to co jest, cholernie mi smakuje.
- A więc wypijmy, za cholernie dobre jedzenie
- rzekłam, unosząc swój kieliszek szampana w następnym toaście.

Wznosiliśmy toasty, jedliśmy i zabawialiśmy się przez następną godzinę. Potem przeprosiłam na chwilę i skierowałam się do toalety, która znajdowała się w drugim końcu sali. Przechodziłam właśnie obok stolika, przy którym siedziały trzy osoby - jedyni, poza nami, biesiadnicy w lokalu - kiedy zauważyłam, że tę okropną trójkę tworzą Alistair, Bethany i Julia. W ten sposób przyjemny wieczór został zmarnowany.

Zaczęłam się zastanawiać, czy udać, że ich nie zauważyłam, czy też podejść do ich stolika i się przywitać. Dlaczego miałabym się nie witać? Czemu miałabym pozwolić Bethany myśleć, że mnie pokonała, mówiąc Corsiniemu, że mam rękopis Melanie? Czemu miałabym pozwolić jej myśleć, że gniłam w więzieniu, jedząc mielone mięso na grzance? Dlaczego nie miałabym podejść do ich stolika i zademonstrować swojej wolności przed jej nędznym nosem? A ponadto przy stoliku siedziała również Julia, moja przyjaciółka. A właściwie eks-przyjaciółka. Nie było sensu jej lekceważyć tylko dlatego, że miała kiepski gust w doborze towarzystwa do kolacji.

Kiedy zbliżyłam się do stolika, Alistair i Julia pili koniak, podczas gdy Bethany nurzała się w ogromniastym suflecie czekoladowym.

- Dobry wieczór wszystkim - powiedziałam.

Alistair wstał. Julia uśmiechnęła się. Bethany gwałtownie podniosła głowę, po czym powróciła do jedzenia.

- Och, proszę nie wstawać - odezwałam się do senatora. - Zatrzymałam się tylko na moment, żeby się przywitać.

- Bardzo miło z twojej strony - głośno zaśmiał się Alistair, z twarzą poczerwieniałą od wypitego alkoholu. - Mam wrażenie, że znasz tu wszystkich.

Pewnie, że znam wszystkich, ty wielki krętaczu.

- Tak, panie senatorze, znam wszystkich.

- A więc - zaczął Alistair i odchrząknął. - Może usiądziesz?

- Właśnie, Koff. Czemu się do nas nie przyłączysz? - odezwała się Julia.

- Nie, dziękuję. Jestem tu z kimś - powiedziałam, kiwając głową w kierunku Culliego.

- To ten fotograf? - zapytała Julia, zerknąwszy na Culliego.

- Tak - powiedziałam. - Prawdę mówiąc, przeprowadziłam się do niego. Na jego łódź, MARLOWE.

Ta uwaga zdołała zainteresować Bethany. Nawet przestała przeżuwać. - Nie masz chyba na myśli Culliego Harringtona, syna Paddy'ego Harringtona

- odezwała się.

- Właśnie o nim mówiłam - stwierdziłam, patrząc, czy imię Paddy'ego wywoła jakąś reakcję u Alistaira. Nie wywołało.

- Gdzie teraz przycumowana jest jego łódź? Nie widziałam go od czasu, gdy rzuciła go Preston - powiedziała Bethany.

Zignorowałam jej drobny wtęt o byłej żonie Culliego. - **MARLOWE** stoi na przystani w Jessup - powiedziałam.

- Na przystani w Jessup? Dla ciebie, mieszkającej przy Woodland Way 33 musi to oznaczać spore obniżenie poziomu życia.

Zastanowiło mnie, skąd Bethany знаła mój adres. Nigdy dotychczas jej noga nie postąpiła w Klonowym Dworku - a przynajmniej ja jej tam nie zapraszałam.

- Coś się dzieje ze sprzedażą domu? - spytała Julia.

- Jeszcze nic. Ale moja agentka twierdzi, że jesteśmy bliskie transakcji. Nabrała wiary przy ostatnim pokazywaniu domu - odpowiedziałam, myśląc o „ważnym kliencie” Janet.

- To świetnie, Koff - powiedziała Julia. - To dobrze dla ciebie, a także dla Culliego.

- Co za frajda mieszkać na łodzi, tylko we dwoje

- zaświergotała Bethany, pakując sobie do ust ogromną porcję sufletu. Była tak samo fałszywa jak jej ojciec. Życzyła mi przyjemnych chwil na jachcie Culliego tak samo, jak ja życzyłam jej przyjemności zjedzenia deseru. - Możesz tego nie wiedzieć, Alison, ale ojciec twojego chłopaka wiele lat temu uczył mnie żeglować w jachtklubie. Nauczył mnie wszystkiego co wiem o łodziach. Niestety staruszek miał problemy z alkoholem. Oczywiście mam nadzieję, że jego syn nie ma podobnych kłopotów. To mogłoby zagrażać twemu zdrowiu.

- Nie miałam pojęcia, że ci na mnie tak zależy

- powiedziałam z przekąsem. - Jednak nie musisz się o mnie martwić, Bethany. Cullie jest bardzo doświadczonym żeglarzem. Nie przewiduję żadnych problemów.

- Po prostu cię ostrzegam - Bethany uśmiechnęła się. Jej niewiarygodnie białe zęby były usmarowane czekoladą. - Nigdy nie wiadomo, co może się stać, jeśli zabierze cię w rejs, w czasie którego coś się zepsuje na łodzi, a on będzie zbyt pijany, aby opanować sytuację, z ciebie zaś nie jest za dużo doświadczony żeglarz, prawda, Alison?

- Owszem, ale przecież Cullie nie jest pijakiem - powiedziałam.

Bethany znów się uśmiechnęła. Odłożyła na bok łyżkę i zasłoniła usta ręką, jednocześnie wydając głośne ziewnięcie. Następnie stuknęła ojca w ramię. - Może byś zapłacił rachunek - zwróciła się do Alis-taira. - Jutro mam męczący dzień.

- Jak się domyślam, to sygnał dla mnie, żebym sobie poszła - roześmiałam się. Bethany zawsze miała tyle taktu. - Ogólne dobranoc - podążyłam w stronę toalety.

- Z kim tam rozmawiałaś? - zapytał Cullie po moim powrocie.

- Nie uwierzysz; z trzema muszkietierami, Alis-tairem, Bethany i Julią.

- Podeszłaś do ich stolika i rozmawiałaś z nimi? Po tym, co ci zrobiła Bethany?

- Tak. Chciałam jej pokazać, że nie może mnie skrzywdzić - powiedziałam. - Żadne z nich nie jest w stanie.

- Nie jestem taki pewny - z powagą stwierdził Cullie. - Za każdym razem, kiedy nadziejasz się na Bethany, zdarza się coś okropnego. Przypomnij sobie, co się stało, gdy powiedziałaś jej, że masz rękopis. Sprawiała, że zamknięto cię w areszcie i oskarżono o morderstwo.

- Wiem, ale co złego mogła mi zrobić dziś wieczorem? A poza tym sprawiała wrażenie osoby bardziej zainteresowanej sufletem czekoladowym niż mną.
 - Suflet czekoladowy? Hmm. Może też sobie zamówimy coś takiego?
 - Powinniśmy. To co jadła Bethany, wyglądało naprawdę wspaniale. Po prostu oczu nie mogłam oderwać. W środku miało pyszne, czekoladowe, lepkie nadzienie, na zewnątrz obłożone płatkami ciasta, całość posypana była cukrem... - zatrzymałam się.
 - Co się stało, Sonny - zapytał Cullie.
 - Wiem, kto zabił Melanie - wyszeptalam. W jednej chwili, w tym przytrafiającym się niezmiernie rzadko momencie w życiu, wiedziałam ponad wszelką wątpliwość, kim jest morderca. - Sprawę przypieczętował cukier puder.
 - O czym ty mówisz? - spytał Cullie.
 - Cukier puder. Tym właśnie okazał się proszek, znaleziony przez policję na biurku Melanie - nie kokainą, ale cukrem pudrem z odrobiną cynamonu.
 - Wiem. Mówiłaś mi. Ale co to ma wspólnego z sufletem Bethany?
 - Bethany jest cukroholiczką. Jest uzależniona od pączków, które można kupić w bufecie w redakcji. Jej biurko jest całe pokryte tym paskudnym proszkiem.
 - Sądziś więc, że proszek na biurku Bethany jest taki sam jak proszek znaleziony na biurku Melanie?
 - Tak. Jestem tego pewna. Miała powód, aby zabić Melanie, nieprawdaż?
 - Jasne, dlaczego jednak miałyby jeść pączek na miejscu zbrodni?
 - Może była głodna. Słyszałeś o tych zboczeńcach, którzy się podniecają po popełnieniu zbrodni?
- Cóż,

może Bethany jest taką odmianą zbrojcy, który po porządnym zabójstwie robi się wściekle głodny.

- Jezu.

- Gdybym tylko potrafiła udowodnić, że cukier z biurka Bethany jest taki sam jak cukier znaleziony przez policję na biurku Melanie...

- I dowieść, że to odciski palców Bethany policja wykryła na narzędziu zbrodni...

- I wykazać, że to Bethany zostawiła tę śliczną torebkę z kokainą w mojej lodówce.

- Sądzę, że powinniśmy wysłać do laboratorium ulubione pączki Bethany - zaproponował Cullie.

- Zrobimy tak, zrobimy. Ale przede wszystkim, mam plan zdobycia jej odcisków palców.

- W jaki sposób?

- Zobacz. - Ruchem głowy wskazałam stolik Downsów. - Zbierają się do odejścia. W momencie, gdy wyjdą za drzwi, podejść do ich stolika i podwędzę kieliszek Bethany, zanim kelner zbierze nakrycia.

- Co z nim zrobimy, gdy już go zdobędziesz?

- Wymyślę coś później. Z pewnością nie zamierzam go dać Corsiniemu. Nie wierzę temu bydlakowi. Nie wystąpi przeciwko rodzinie Downsów bez niepodważalnych dowodów.

- Pewnie masz rację. O, spójrz, Sonny. Poszli sobie.

Alistair, Bethany i Julia właśnie opuszczali restaurację. Pole było wolne.

- Ty zapłać, a ja tam pobiegnę - szepnęłam. Nonszalanckim krokiem przeszłam obok stolika Downsów, udając, że idę do damskiej toalety. Gdy znalazłam się koło krzeselka Bethany, zatrzymałam

się, chwyciłam ze stołu używaną przez nią lnianą serwetkę i ujęłam za nóżkę jej kieliszek, uważając, aby ręką nie dotknąć szkła. Mocno ściskając cenny łup pospieszyłam z powrotem do naszego stolika.

- Misja wypełniona - uśmiechnęłam się.

- Posłuchaj - powiedział Cullie. - Wymkniesz się i poczekaasz na mnie na zewnątrz. Ja zapłacę, odbiorę nasze okrycia i za parę minut się spotkamy.

- Tak jest.

Nie wróciliśmy prosto na łódź. Zatrzymaliśmy się po drodze przy automacie telefonicznym, skąd mogłam zadzwonić do mojego adwokata. Powinien wiedzieć, co zrobić z kieliszkiem i innymi dowodami, które zebrałam.

- Czy zdajesz sobie sprawę z tego, która jest godzina? - warknął pan Obermeyer, odbierając telefon. Było wpół do jedenastej.

- Tak, panie Obermeyer - odpowiedziałam - ale to bardzo ważne. Znalazłam sposób, żeby oczyścić się ze wszelkich podejrzeń o morderstwo: wiem, kto zabił Melanie Moloney.

- Czy nie można z tym poczekać do jutra? - zapytał, po czym beknął.

- Nie, naprawdę nie można. Chcielibyśmy z Cul-liem przyjechać do pana natychmiast. Musimy panu coś dać, coś zanadto cennego, aby to przechowywać na **MARLOWE**.

Pan Obermeyer z niechęcią zgodził się, więc ruszyliśmy do niego. Kiedy przyjechaliśmy do jego domu, który, jak na ironię, znajdował się na osiedlu Bluefish Cove, gdzie Melanie spotkał tragiczny koniec, zaprowadził nas do kuchni i zażądał wyjaśnień,

co jest aż tak ważne. Opowiedziałam, jak doszłam do przekonania, że to Bethany zamordowała Melanie i pokazałam mu kieliszek do wina, pokryty odciskami palców.

- Znam prywatnego detektywa, który zdejmie odciski z kieliszka - powiedział.

- Miałam nadzieję, że zna pan kogoś takiego - stwierdziłam. - A co się stanie dalej? Czy będziemy mogli porównać te odciski ze śladami na narzędziu zbrodni?

- Będziemy musieli zwrócić się do sądu o pozwolenie na zbadanie dowodów rzeczowych - wyjaśnił pan Obermeyer. - Dowody rzeczowe są w gestii policji. Nie mają obowiązku pozwolić nam się do nich dotykać, skoro sędzia oddalił wszystkie zarzuty przeciwko tobie.

- Dobrze, poprośmy więc sąd. A w czasie, gdy pan się tym zajmie, ja sprawdzę, czy cukier puder z pączków na biurku Bethany jest taki sam, jak ten znaleziony na miejscu zbrodni.

- Oczywiście dopilnuję tego wszystkiego - powiedział pan Obermeyer. - Będzie to cię jednak kosztowało mnóstwo pieniędzy.

- Wie pan co, panie Obermeyer, pańska wzmianka o wynagrodzeniu w tej trudnej i delikatnej sytuacji przypomina mi pewną zagadkę. - Przerwałam na chwilę. - Dlaczego prawników grzebie się trzysta metrów pod ziemią? - Zatrzymałam się znowu. - Bo mniejsze liczby ich nie zadowolają.

- Odprowadzę was do drzwi - oświadczył pan Obermeyer i zrobił to.

Zleciwszy panu Obermeyerowi sprawę odcisków palców, zajęłam się sprawą paczków. Planowałam wśliznąć się do gabinetu Bethany, pobrać próbki pudru z jej biurka i oddać go do analizy.

Najpierw jednak musiałam się dowiedzieć, kiedy Bethany tam nie będzie. Przypomniawszy sobie strój do konnej jazdy, który miała na sobie w czasie mojej ostatniej wizyty w redakcji, zaryzykowałam i zadzwoniłam do klubu myśliwskiego w Layton, gdzie Bethany trzymała swoje konie i sypiała z ich trenerami.

- Dzień dobry, zastanawiam się, czy byłaby pani w stanie mi pomóc - powiedziałam, zatykając nos, aby brzmienie głosu upodobnić do głosów wszystkich miłośników koni z klubu myśliwskiego. - Mam się dzisiaj spotkać w klubie z Bethany i - oj, czuję się strasznie zawstydzona - chyba gdzieś posiałam mój kalendarzyk i nie mam pojęcia, kiedy przyjechać, żeby pojechać z nią konno. Czy mogłaby mi pani powiedzieć, o której powinna zjawić się w klubie?

- Spodziewamy się jej za godzinę - powiedziała recepcjonistka.

- Ojej - powiedziałam. - Cóż, muszę się pospieszyć. Proszę powiedzieć Bethany, że musi na mnie poczekać.

Złapałam torebkę i zesłam z jachtu. Dwadzieścia minut później, modląc się, aby nikt mnie nie zauważył, zakradłam się do gabinetu Bethany w redakcji „Community Times”. Podbiegłam do biurka i znalazłam kilka wiele mówiących kryształków cukru, tuż

obok pudełka z sześcioma paczkami. Pracując cicho i ostrożnie oderwałam kartkę papieru z notatnika i użyłam jej rogu do zgarnięcia cukru do małej plastikowej torebki, którą przyniosłam ze sobą. Potem schowałam torebkę w mojej torbie i opuściłam budynek. Pojechałam prosto do szkoły średniej w Jessup i trafiłam do pracowni chemicznej.

- Piszę właśnie powieść i mam nadzieję, że będzie mi pan mógł pomóc - zaszcebiotałam do gładko ogolonego mężczyzny, siedzącego za biurkiem koło drzwi. Miał porządnie podstrzyżone ciemne włosy, czerwone szelki i taki sam krawat, a przedstawił się jako profesor Ed Dudley.

- Powieść, tak? - powiedział, taksując mnie wzrokiem. - Kiedy się tak zastanawiam, wydaje mi się pani znajoma. Czy występowała pani w telewizji?

- Ach, tak. Owszem. - Jako służąca-morderczyni, nie jako sławna pisarka.

- Hmm, to ciekawe. Co mógłbym dla pani zrobić?

- Czy w jakiś sposób pan, albo ktoś w pracowni mógłby zbadać zawartość tej plastikowej torebki? - Wyciągnęłam i podałam mu moją paczuszkę.

- Czy w pani powieści pełno jest seksu, narkotyków i rock and rolla? - spytał, unosząc brew.

- Nie. Czemu pan pyta?

- Bo zawartość torebki wygląda jak kokaina. Pomyślałem więc, że pani książka musi być o tym.

Zaśmiałam się. - Nie, moja książka opisuje życie na bogatym przedmieściu. Ten proszek nie jest kokainą. To rodzaj cukru, ale usiłuję się dowiedzieć, jaki jest jego dokładny skład. Rozumie pan, chciałabym znać poprawną nazwę chemiczną. - Miał sceptyczny wyraz twarzy. - Głównym bohaterem powieści

jest profesor chemii, lubiący stosować chemiczną terminologię, nawet w odniesieniu do jedzenia - wyjaśniałam w nadziei, że wciągnę go w grę. - Osobiście mam po dziurki w nosie książek, gdzie głównymi bohaterami są prawnicy, policjanci czy gwiazdy filmowe. Przyszedł czas, aby bohaterem powieści uczynić profesora chemii, nie sądzi pan?

Z entuzjazmem pokiwał głową. - Proszę mi dać dwadzieścia cztery godziny - powiedział, wkładając torebkę do dużej koperty, którą opisał: „Pilne”.

Po przyjeździe do domu zatelefonowałam do Janet Claiborne. Dopóki bawiłam się w detektywa, chciałam spróbować potwierdzić moje podejrzenia, że „ważnym klientem” Janet była Bethany, że to Bethany oglądała Klonowy Dworek tej nocy, gdy zostałam zatrzymana za posiadanie kokainy i że to Bethany umieściła kokainę w mojej lodówce w momencie, kiedy Janet nie patrzyła.

- Och, witaj, moja droga. Dzwonisz w sprawie domu? - odezwała się.

Nie, nie dzwonię w sprawie domu, ty idiotko. - Tak - odpowiedziałam. - Chodzi mi o tego ważnego klienta, którego przyprowadziłaś poprzedniego wieczoru. Wiem, że to Bethany Downs oglądała dom.

- Blef, blef. - Jestem z nią zaprzyjaźniona. Pracujemy razem w gazecie należącej do jej ojca, przypominasz sobie?

- Ależ oczywiście. Zapomniałam o tym. - Miałam rację! Ta pieprzona suka usiłowała mnie zrobić w morderstwo Melanie - i to dwukrotnie! - Kiedy panna Downs poprosiła o pokazanie jej domu w czasie twojej nieobecności, naturalnie założyłam, że się nie znacie. Wybacz mi, kochanie.

- Wybaczam ci, Janet.
- Ale skoro się dobrze znacie, namawiam cię do porozmawiania z nią o domu. Może niewielka zachęta z twojej strony zaowocuje ofertą, na którą tak czekamy.
- Świetny pomysł - powiedziałam. - Chodzi mi o rozmowę z Bethany.
- To bardzo dobrze, kochanie. Daj mi znać, co się dzieje.
- Dziękuję, Janet. Bardzo mi pomogłaś. - Przynajmniej raz.

Kiedy wieczorem Cullie wrócił do domu, przy kolacji zdaliśmy sobie nawzajem relacje z przebiegu dnia. Cullie opowiedział mi o domach, które fotografował i ich właścicielach, których musiał tolerować. Z kolei ja opowiedziałam mu wszystko o moich wyprawach do redakcji „Community Times” i szkoły w Jessup oraz streściłam rozmowę telefoniczną z Janet. Moje śledztwo zrobiło na nim wrażenie.

- Wygląda na to, że zapędziłaś Bethany Downs w ślepią uliczkę, Sonny - uśmiechnął się.
- Tak mi się wydaje - odparłam z dumą. - Teraz zaś, co byś powiedział, gdybym zabrała się za zapędzanie ciebie?

Przyparłam Culliego do lodówki, objęłam go w pasie i przytuliłam. - Czy mówiłam ci ostatnio, ile pewności siebie obudziło we mnie mieszkanie z tobą na łodzi? - spytałam.

- Nie. Powiedz mi.
- Nie wiem, czy sprawiło to życie na łodzi, czy miłość do ciebie, czy może wszystkie te straszliwe przeżycia, ale nie czuję się już taka słaba. Kiedy byłam żoną Sandy'ego i mieszkałam w Klonowym

Dworku, miałam wrażenie, że najłżejszy powiew wiatru może mnie przewrócić. Teraz wydaje mi się, że nawet najsilniejszy podmuch nie mógłby tego zrobić. Mogę się zachwiać, ale nie upadnę.

Cullie pocałował mnie. Potem nagle podniósł mnie i na rękach przeniósł przez całą długość łodzi, z kuchni na dziobową kaję. Położył mnie na koi, rozebrał, zdjął z siebie ubranie i znalazł się w moich wyciągniętych ramionach, a nasze nagie ciała czuły się ze sobą tak dobrze jak **MARLOWE** na morzu.

- Zróbmy fale - szepnął i obrócił się tak, że jego głowa znalazła się przy moim kroczu, a moja koło jego.

- Nigdy nie byłam dobra z matematyki, ale nadal nie mogę pojąć, dlaczego nazywają to „69” - powiedziałam po paru minutach traktowania penisa Culliego jak lizaka.

- Nazywaj sobie czterdzieści dwa, pięćdziesiąt cztery, czy jak tam chcesz, tylko nie przerywaj tego, co robisz - jęknął Cullie.

Numery, bajery. Po chwili byliśmy tak splątani, że nie potrafiłabym powiedzieć, kto jest kim i co jest czym.

- Och, skarbie - zadrżał Cullie. - Czy ktoś ci już mówił, że masz niezłą buzię?

- Moja matka stale mi powtarza, że mam niezłą buzię, jednak jestem przekonana, że nie ma na myśli tego samego co ty.

Następnego dnia rano zatelefonowałam do Eda Dudleya z pracowni chemicznej w szkole w Jessup.

- Nie chcę być natrętna - oświadczyłam - ale czy ma pan może wyniki analizy, o której rozmawialiśmy wczoraj?

- Ach, tak - powiedział. - Czy chce pani usłyszeć, co znalazłem?

- Tak, proszę.

- Dobrze. Pani próbka okazała się wielocukrem sprzężonym z dwucukrem, ze śladową ilością aldehydu cynamonowego.

Bingo. Wyniki profesora Dudleya były dokładnie takie same jak wyniki z policyjnego laboratorium, a to oznaczało, że cukier puder z pączków na biurku Bethany był identyczny jak cukier z pączków na biurku Melanie, z czego z kolei wynikało, iż pączki zrobione były według tego samego przepisu i zakupione w tym samym miejscu. Jediną różnicą pomiędzy analizami policyjnymi i Eda Dudleya było to, że te ostatnie gotowe były w ciągu jednego dnia, podczas gdy policyjnemu laboratorium ich przeprowadzenie zabrało sześć tygodni.

- Profesorze, życie mi pan ratuje - powiedziałam, wyobrażając sobie wyraz twarzy Corsiniego, gdy zażądam od komendy policji w Layton publicznych przeprosin za zaareztowanie mnie zamiast Bethany.

- Czy wpadnie pani i odbierze swoją torebkę z cukrem? - zapytał Ed.

- No pewnie - powiedziałam. - Zastanawiam się, czy mogę pana prosić o jeszcze jedną przysługę.

- Oczywiście, jeśli ja też będę mógł panią o coś poprosić.

- Dobrze. Pan pierwszy.

- Nie, panie mają pierwszeństwo.

- W porządku. Pomyślałam, że mógłby mi pan dać pisemne sprawozdanie ze swojego badania - coś, do czego mogłabym zajrzeć od czasu do czasu. - Coś, co by zmusiło Corsiniego do płaczu.

- To żaden problem - odparł Ed. - Będę na panią czekał.

- Świetnie. Czy teraz powie mi pan, o jaką przysługę chciał mnie pan prosić?

- Cóż - zaczął. - Ponieważ jest pani pisarką i w ogóle, miałem nadzieję, że przeczyta pani moją książkę, może nawet znajdzie mi wydawcę.

- Pana książkę?

- Tak. Pracowałem nad nią przez trzy lata.

- Co to za książka? Rodzaj rozprawy naukowej? - Wyobraziłam sobie, że Ed chciałby zostać drugim Stephenem Hawkingiem.

- Nie, to obszerna biografia Eda McMahona.

- Żartuje pan.

- Nie, skądże. Śledziłem jego karierę od początków w „The Tonight Show” aż po ostatnie występy jako gospodarza programu „Star Search”. Poza tym jest jeszcze jego współpraca z amerykańskim monopolem loteryjnym.

Czy każdy człowiek w tym pieprzonym kraju oszalał na punkcie sław? - zadałam sobie pytanie.

- Nie mam zbyt dużego doświadczenia w wydawaniu książek o sławnych ludziach, ale z chęcią podam panu nazwisko kompetentnej osoby - powiedziałam.

Podaliśmy nazwisko i adres Todda Bennetta. Ed nie szczędził mi podziękowań i oświadczył, że jeśli Hollywood zakupi prawa do sfilmowania mojej książki o profesorze chemii i będzie potrzebny techniczny konsultant, zawsze jest do dyspozycji.

Pospieszyłam do automatu telefonicznego i zadzwoniłam do biura do pana Obermeyera, aby go poinformować o wynikach analizy laboratoryjnej cuk-

ru oraz o mojej rozmowie z Janet Claiborne. Na swój opryskliwy sposób zdawał się być zadowolony z rezultatów mojego śledztwa i zaproponował, żebym mu podrzuciła wyniki z laboratorium do domu.

Pętla wokół szyi Bethany zaciskała się. Co prawda dochodzenie Corsiniego zwolniło i zaczynało pełznąć, za to moje pędziło do przodu. Moment, kiedy córka Alistaira P. Downsa - członka jednego z rodów założycieli miasta - będzie spacerować w swoich butach do jazdy konnej po celi więzienia stanowego w Niantic, był odległy zaledwie o kilka dni.

Oczywiście, pozostawał jeden aspekt śledztwa w sprawie morderstwa Melanie, który nie do końca rozwiązałam: przed wyrokiem na Bethany prokuraturze będzie potrzebny w pełni przekonujący motyw zabójstwa, motyw, który tylko ja będę w stanie przedstawić, oddając rękopis, gdzie najukochańszy ojczulek Bethany został obsmarowany nawet bardziej, niż mogłaby sobie wyobrazić w najczarniejszych snach. Jeśli jednak ujawnię rękopis, świat dowie się prawdy o mojej mamie i Alistairze, o ojcu Culliego i żonie Alistaira, o niemoralnym, budzącym niesmak sposobie, w jaki Alistair o-cza-cza-cza-ował cały kraj. Powiedzenie Amerykanom prawdy o ich przywódcach, to jedna sprawa; sprawienie, że poczują się tak nabrani, że nie będą mogli spojrzeć na siebie w lustrze, to już zupełnie inne zagadnienie. Na tym właśnie polega nieprzyjemny aspekt o-cza-cza-owania - osoba, która została ocza-cza-cza-owana czuje się równie głupio jak ten, kto cza-cza-cza-ował. Albo, jeśli nadać problemowi bardziej żydowski posmak, jest to jak różnica pomiędzy szlemielem i szlimazlem. Szlemiel to kelner, który stale wylewa gorącą zupę na klienta,

zaś szlimazl jest tym wiecznie zalewanym klientem, obaj jednak wyglądają na głupków.

Gdy następnego dnia rano szykowałam się do wyjścia po zakupy, ktoś zastukał w drzwi zejściówki. To była Julia.

- Co tutaj robisz? - spytałam, co najmniej zaskoczona jej widokiem.

- Przyszłam cię ostrzec, Koff. Mogę wejść? Wpuściłam Julię do kabiny.

- Może kawy? - zaproponowałam.

- Jasne. Hej, tu jest naprawdę ładnie - powiedziała, obserwując wnętrze jachtu.

Nalałam kawę i podałam jej kubek. - Przed czym chciałaś mnie ostrzec?

- Przed Bethany. Igrasz z nią, a Bethany nie jest najwłaściwszą osobą, żeby się z nią bawić, uwierz mi, Koff.

- Czemu mi to mówisz, Julio? Przecież jesteś jej kumpelką. Ale teraz musisz nią być. Jest właściwie twoją pasierbicą, prawda?

- Niezupełnie. Słuchaj, Koff. Przyznaję się. Uległam wdziękowi, charyzmie, nazywaj to, jak chcesz, Alistaira Downsa.

- Z pewnością nie chciałabyś usłyszeć, jak ja to nazywam - powiedziałam cierpko.

- Na litość boską, nawet twoja własna matka nie oparła się urokowi tego człowieka, chociaż była żoną twojego ojca. Czy to o czymś nie świadczy?

- Owszem. Świadczy jedynie, że moja matka miała marny gust, a nie miała skrupułów. Ale ty. - Przerwałam. - Sądziłam, Julio, że jesteś osobą odpowiedzialną. Brałaś stronę pokrzywdzonych, zawsze

walczyłaś o słuszne rzeczy i patrzyłam na ciebie z szacunkiem. Nigdy bym nie przypuściła, że może cię oczarować człowiek pokroju Alistaira.

- Więc byłaś naiwna.

- Najwyraźniej.

- Nawiasem mówiąc, czar prysnął.

- Och, co się stało? Kłótnia z senatorem?

- Można to tak nazwać. Po tych wszystkich latach przewodniczenia komitetom obywatelskim, w końcu zostałam poproszona o kandydowanie na przedstawiciela stanu - oczywiście z ramienia demokratów.

- Niech zgadnę. Alistair zareagował następująco: „Żadna moja kobieta nie będzie nigdzie kandydowała

- i z pewnością nie z ramienia demokratów! Ho, ho!" Zgadłam?

- Pewnie. Oświadczyłam mu, że będę kandydowała gdzie mi się podoba i z takiej listy, jaka mi się spodoba. I w ten sposób wygasł nasz romans.

- Teraz więc, kiedy rozstałaś się z Alistairem i przekonałaś się, że nie zabiłam Melanie, można już odświeżyć naszą przyjaźń, tak?

- Wiem, że może wyglądać, jakbym przez jakiś czas trzymała się od ciebie z daleka - przyznała.

- Ale, szczerze mówiąc, kiedy dowiedziałam się, że pracowałaś jako służąca Melanie Moloney - i że Melanie została zamordowana - nie wiedziałam, co myśleć. Teraz jestem tu, żeby cię ostrzec.

- Przed czym?

- Ostatniej nocy, kiedy po kłótni z Alistairem opuszczałam Na Zawsze, usłyszałam Bethany, wrzeszczącą na kogoś przez telefon. Na ogół nie podsłuchuję, jednak gdy padło twoje imię...

- Moje imię?

- Tak. Bethany mówiła do kogoś o imieniu Janet: „Wy wszyscy, pośrednicy w handlu nieruchomościami, nie potraficie trzymać swoich buź zamkniętych na kłódkę. Prosiłam, żebyś nie wspominała Alison Koff, że pokazywałaś mi dom. A ty co zrobiłaś?

Potem było więcej wrzasku. Jeszcze później Bethany stwierdziła: „Nie obchodzi mnie, co powiedziała Alison. Nie jesteśmy przyjaciółkami. Ona jest morderczynią i złodziejką i zamierzam dopilnować, żeby już więcej nie przysparzała kłopotów nikomu w tym mieście”. Moim zdaniem zabrzmiało to tak, jakby Bethany postanowiła cię załatwić.

- Ona już od dłuższego czasu usiłuje mnie załatwić. Teraz zaś ja zamierzam ją załatwić i uda mi się

- podejrzewam, że bardzo niedługo.

- Wyświadczyć mi przysługę, dobrze?

- Jasne.

- Nie naciskaj Bethany. Wyglądasz na szczęśliwą, żyjąc na tym jachcie ze swoim przyjacielem

- fotografem i o wiele bardziej panujesz nad swoim życiem niż w czasach, gdy byłaś żoną Sandy'ego. Teraz jesteś panią samej siebie, Koff. Jestem pod wrażeniem.

- Śmieszna sprawa, Julio. Jeszcze parę miesięcy temu wywarcie na tobie wrażenia było dla mnie niezwykle ważne. W tamtym okresie tępiłaś moje książęce zagrania, ja zaś próbowałam być tak niezależna i rozsądnie myśląca jak ty. Chciałam tylko być godną twojej przyjaźni. I popatrz na nas teraz. - Przerwałam. - Uległaś czarowi człowieka wyjątkowo mało uczciwego, tymczasem ja wzięłam swoje życie we własne ręce - do tego stopnia, że Julia Applebaum jest pod wrażeniem. Cóż za ironia.

- Co mogę powiedzieć? - Julia wzruszyła ramionami i podniosła się do wyjścia.
 - Nic nie trzeba mówić. - Chwyciłam torebkę i klucze. - Muszę iść do sklepu kupić jedzenie.
- Planujemy jutro z Culliem małą wycieczkę pod żaglami, jeśli tylko pogoda się utrzyma.
- Brzmi interesująco. Nie mam pojęcia o żeglowaniu.
 - Ja też nie wiem zbyt wiele, ale się uczę. Cullie jest świetnym nauczycielem.
 - Cóż, uważaj na siebie, Koff.
 - Dziękuję, Julio. Będę się starać.

24

- Wstawaj i świeć, słoneczko moje. Ruszamy się stąd. - Cullie potrząsnął mną na koi. Była siódma rano i nie do końca się jeszcze obudziłam. - Wiatr wieje z południowego zachodu z prędkością dwunastu węzłów, temperatura dochodzi do dwudziestu pięciu stopni, więc zabieramy **MARLOWE** na dwudniową wycieczkę.
- Wydawało mi się, że postanowiliśmy popłynąć na jeden dzień.
- Tak, jednak pogoda jest tak ładna, że trzeba ją wykorzystać. Wrócimy jutro po południu.
- A co z pracą? Czy nasza wycieczka nie rozbije ci ustalonego planu robienia zdjęć?
- Czy niczego się nie nauczyłaś mieszkając przez ostatnie miesiące na łodzi? Motto **MARLOWE** brzmi: Jeśli masz wątpliwości, płyn w rejs, najlepiej dwudniowy.

- Śliczne motto - pocałowałam Culliego. - Niech więc będzie na dwa dni, skoro wracamy jutro po południu. Pan Obermeyer mówił, że do tego czasu będzie już miał dla mnie jakieś informacje.
- O odciskach palców Bethany?
- Aha. Chcę być przy tym, kiedy będzie przedstawiał Corsiniemu wszystkie zebrane przez nas dowody.
- Dowody, które ty zebrałaś. To ty wymyśliłaś, kto zabił Melanie - i jak tego dowieść.
- Skończmy już z Melanie. Wybieramy się w rejs i nie będzie dziś żadnych rozmów o Melanie, morderstwie czy rękopisie. Umowa stoi?
- Stoi.
- A tak na marginesie, gdzie płyniemy?
- Co sądzisz o wyspach Thimble? Jeśli wyruszymy koło ósmej, to wczesnym popołudniem dotrzemy do Thimble. Potem znajdziemy jakieś ładne, spokojne miejsce, rzucimy tam kotwicę i spędzimy noc. Co ty na to, mój cukierczku?
- Proszę bardzo.
- Powiedz mi coś o wyspach Thimble - zachęcałam Culliego, kiedy się już ubraliśmy. - Przez całe życie mieszkałam niedaleko wybrzeża Connecticut i nigdy tam nie byłam.
- Dobrze. Posłuchaj więc krótkiego wykładu. Wysp jest około trzydziestu. Połowa jest zamieszkała.
- Czy mają jakieś nazwy?
- Tak, a nazwy dwóch z nich są wspaniałe.
- Jakie?
- Pot i High.

- Żartujesz?
 - Popatrz na mapę. Sama zobaczysz wyspę Pot i wyspę High.
 - Tak, a jest jeszcze trzecia o nazwie Busted.
 - Miłe. Legenda głosi, że wyspy Thimble były kryjówką kapitana Kidda.
 - Ha. To kapitan Kidd korzystał z używek na naszym podwórku.
 - Thimble niezupełnie znajdują się na naszym podwórku. Są w połowie drogi pomiędzy Branford a Guilford, około godziny podróży samochodem i promem wzdłuż wybrzeża.
 - Czy są ładne?
 - Są ciekawe. Wyglądają tak, jakby kawałek wybrzeża Maine oderwał się od lądu, popłynął na cieśninę Long Island i osiadł koło Branford. Jeśli widziałas brzeg w Maine, to wiesz, o czym mówię.
- Zjedliśmy solidne śniadanie, sprzątnęliśmy w kuchni i przygotowaliśmy jacht do wypłynięcia. Tuż po ósmej Cullie zapalił silnik.
- Sprawdzę jeszcze, czy wszystko w porządku, gdy silnik będzie się grzał - powiedział. - Chcesz mi pomóc? To najlepszy sposób, żeby się uczyć.
 - Oczywiście.
- Ruszyłam za Culliem na obchód łodzi. Cullie sprawdził rurę wydechową, aby się upewnić, że system chłodzenia działa prawidłowo, przygotował kotwicę i zamocował ją na bukszprycie, wreszcie zajrzał do zęzy, aby zobaczyć, czy na dnie nie ma więcej niż trzy do pięciu centymetrów wody.
- Zdejmę pokrowce z żagli i sklaruję fały a ty tymczasem zejź do kokpitu, weź szalupę na hol

i przygotuj się do wyprowadzenia jachtu, dobrze? - powiedział.

- Tak jest, kapitanie.

Po wykonaniu paru dodatkowych prac byliśmy gotowi do drogi.

- Dobrze, Sonny. Wrzuć bieg - poinstruował mnie Cullie, zbierając cumy i chowając je w schowku. Potem zszedł na dół, aby włożyć kasetę do magnetofonu. Chwilę później dobiegły do mnie dźwięki piosenki Boba Marleya *Get Up, Stand Up*, które sprawiły, że poczułam się tak, jakbym płynęła na Karaiby, a nie na wyspy Thimbles.

- Czy mam sterować tak, żebyśmy wyszli z kanału? - zapytałam, gdy wypłynęliśmy z przystani.

- Jasne. Patrz tylko na boje. Tak jak poprzednim razem, pamiętasz?

- Tak. Muszę tylko stale pozostawać między zielonymi i czerwonymi, tak?

- Słusznie. A kiedy już wypłyniemy z kanału, chciałbym, żebyś płynęła pod wiatr, abym mógł postawić grot. Po prostu płyn tak, aby strzałka kompasu, wskazywała południowy zachód, w kierunku kominów w Northport. Widzisz je?

Oderwałam jedną rękę od koła sterowego i osłoniłam oczy. Mrużąc oczy spojrzałam na cieśninę i dostrzegłam kominy elektrowni na Long Island, charakterystyczny punkt orientacyjny dla żeglarzy. - Tak, widzę je.

Cullie postawił grot, a potem fok i kliwer. - Dobra, Sonny. Odpadaj - zawołał z pokładu.

- Akurat - powiedziałam. - Woda jest lodowata.

- Nie, marynarzu. To żeglarskie określenie. Chcę, żebyś odpadła w stronę portu. Pokręć kołem na wschód.

- Trzeba było od razu tak mówić - roześmiałam się i zrobiłam jak polecił.

Nagle wiatr wypełnił żagle. Mój puls przyspieszył, podobnie jak za pierwszym razem, gdy zobaczyłam żagle w ich pełnym majestacie.

- Wyłącz silnik - krzyknął Cullie, podniecony jak dzieciak przed Bożym Narodzeniem. - Płyniemy pod żaglami!

Wyłączyłam silnik i czekałam, aż otoczy mnie niesamowita cisza, zapadająca na jachcie w chwili, gdy jego silnik ustępuje sile żagli - tym razem cisza podkreślona melodiami Boba Marleya w rytmie reggae.

Kiedy staliśmy w kokpicie, Cullie pocałował mnie. - Chodźmy na dół ustalić kurs - zaproponował.

W kabinie pochyliliśmy się nad mapami nawigacyjnymi. Pokazał mi długości i szerokości połączeń mijanych po drodze boi i raf oraz zaplanowaną trasę.

- Jesteśmy gdzieś tutaj - powiedział, palcem wskazującym pokazując na mapie naszą pozycję. - Płyniemy prosto na wschód od portu w Jessup. Potem minimy latarnię morską Stratford Shoal, opłyniemy rafę Branford i zbliżymy się do wysp Thimble od drugiej strony. Jest tam kanał, prowadzący prosto do wspaniałego basenu pomiędzy czterema głównymi wyspami. Tam właśnie spędzimy noc, zgadzasz się?

- Jak mogłabym się nie zgodzić? To brzmi jak bajkowa podróż* mój kapitanie.

Cullie włączył Loran, nowoczesny, elektroniczny system nawigacyjny, umożliwiający żeglarzom określenie pozycji na morzu. Za pomocą klawiatury Loranu wprowadził namiary mijanych przez nas punktów pośrednich, a także punktu docelowego naszej podróży i zademonstrował mi, w jaki sposób urządzenie oblicza i wyświetla odległości między punktami.

- Jak na purystę to całkiem wyrafinowana zabawka - drażniłam się. - Czy to nie ty twierdziłeś, że właściciele drewnianych jachtów unikają wprowadzania nowoczesnych rozwiązań technicznych?

- Tak, ale ja nie należę do purystów, lubiących się gubić na morzu. I dlatego ten szkuner otrzymał Loran. Jeśli za bardzo zboczymy z ustalonego kursu, włączy się alarm. To mała, ale pożyteczna zabawka.

- Pewnie. Miejmy nadzieję, że nie usłyszymy żadnego alarmu. Nie potrzebuję już dzisiaj więcej emocji. Wystarczą mi wrażenia związane z moim pierwszym dwudniowym rejssem z tobą na **MARLO WE.**

Nasza wycieczka trwała już około trzech godzin i właśnie minęliśmy latarnię morską Stratford Shoal, kiedy zaczęło mnie skrecać z głodu.

- Jest prawie południe - powiedziałam, biorąc pod rękę Culliego, siedzącego w kokpicie i wraz ze mną chłonnącego widoki. - Co sądzisz o lunchu?

- Świetny pomysł - odparł i uśmiechnął się. - Pomóc ci?

- Nie. Sądzę, że dam radę sama przygotować kilka kanapek z tuńczykiem. A skoro będę na dole, zmienię przy okazji taśmę. Na co masz ochotę?

- Może Peter, Paul and Mary? Mam hopla na punkcie *Blowin' in the Wind*.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem, ty stary wielbicielu folka. I jeszcze jedno pytanie: co byś chciał dąp picia do kanapek? Mamy piwo, napoje gazowane...

- Nie musisz kończyć. Piwo poproszę. Cóż mogłoby być lepszego niż zimny Heineken w taki dzień

jak dzisiaj? A jeśli się dobrze zastanowić, co mogłoby być lepszego, niż dzisiejszy dzień? - Wydał okrzyk wojenny, coś jakby „Aaaa-ooooo!”. Nie ulegało wątpliwości, że był w ekstazie.

Zeszłam na dół, usiłując przestawić wzrok z ostrego słońca w kokpicie i dostosować do przytulnego mroku, panującego w kabinie. Kiedy stanęłam na tekowej podłodze i dotarło do mnie, gdzie stoję, krzyknęłam. Byłam po kolana w wodzie! Popędziłam na górę, żeby powiedzieć Culliemu.

- W głównej kabinie jest co najmniej piętnaście centymetrów wody - wyrzuciłam z siebie bez tchu, starając się nie popadać w panikę. - Myślę, że **MARLOWE** tonie.

- Znowu zaczynasz, Sonny. Miss Nieszczęść 1990 roku - powiedział. Leżał rozciągnięty w kokpicie, rozkoszując się słońcem i morzem. - Kiedy pływaliśmy ostatnim razem, oskarżyłaś mnie o zamordowanie Melanie. Teraz mi komunikujesz, że moja łódź tonie. Musisz się nauczyć nie wyobrażać sobie zawsze najgorszego z możliwych scenariuszy. Jak to się mówi, powinnaś ochłonąć.

- Tak? Cóż, nie wiem, jak ci to przekonująco powiedzieć, ale to ty ochłoniesz, kiedy zejdziesz na dół i znajdziesz się w łodzi pełnej zimnej wody. Mówię ci, Cullie. To źle wygląda. Lepiej idź zobaczyć.

- Sonny, znam swoją łódź. Przecież sam ją odbudowałem. Nie ma takiej możliwości, żeby...

- Tu nie chodzi o twój jacht, czy o twoje doświadczenie jako budowniczego łodzi ani o twoją męskość - przerwałam mu. - Chodzi o wodę w głównej kabinie. Po prostu zobacz. Teraz.

Cullie westchnął, wstał i podążył za mną na dół. Kiedy zobaczył wodę zebraną w głównej kabinie, nie krzyknął tak jak ja. Zachował się jak prawdziwy mężczyzna: nie powiedział nic. Zaczął tylko działać, ani słowem nie informując mnie, co robi i dlaczego.

- Co się dzieje? - spytałam, idąc za nim na górę do kokpitu.

- Nic się nie dzieje. Po prostu włączam silnik. Chcę, żeby zaczęła pracować automatyczna pompa w zęzie.

- Ach - powiedziałam. Ulżyło mi. Doszłam do wniosku, że automatyczna pompa w zęzie błyskawicznie wypompuje wodę z kabiny i że razem z Culliem zjemy nasze kanapki z tuńczykiem, popijemy piwem i będziemy się śmiać z całego epizodu.

Niesłusznie.

- Cholera - odezwał się Cullie. - Silnik nie pracuje.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Dokładnie to, co powiedziałem. Widziałaś, jak przekręcałem zapłon. Nie zadziałało. Woda na jachcie musiała zalać silnik.

- A co z automatyczną pompą w zęzie? - spytałam z rosnącym lękiem.

- Bez silnika nie ma automatycznej pompy w zęzie.

- O Boże. I co teraz zrobimy?

- Alison, pozwól mi się tym zająć, dobrze? - Wiedziałałam, że był tak samo przejęty jak ja. - Najpierw musimy ustabilizować sytuację i pozbyć się wody z łodzi. Potem postaram się dojść, którędy woda dostała się do środka jachtu.

Ujął rączkę ręcznej pompy i zaczął pompować jak szaleniec. I pompował. Pompował.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedział wreszcie.

- To dziadostwo nie działa. Nie zasysa. Kompletnie nic.

Stwierdzenie, że zatopiłam się w ponurych myślach o stanie łodzi, byłoby, nawet jak na mnie, niezbyt zabawną grą słów. Tyle że naprawdę zatopiłam się w ponurych myślach.

- Nie pojmuję, co się dzieje - powiedział Cullie, bardziej do siebie niż do mnie. - Woda wlewa się do środka, a obie pompy są niesprawne.

- Może nie sprawdziłeś wszystkiego szczegółowo przed wypłynięciem z przystani - odezwałam się.

- A może ty nie rozumiesz, że to, co się teraz dzieje, nie ma nic wspólnego z dbałością o jacht. Był w idealnym stanie, gdy opuszczaliśmy przystań. Ktoś przy nim manipulował.

- Nie pora teraz na tłumaczenia - powiedziałam najłagodniej, jak umiałam. Nie chciałam urazić męskiej dumy z jachtu, Boże broń. Wiadomo, jak czuli są mężczyźni na punkcie swoich maszyn. Jednak Cullie powinien wreszcie uświadomić sobie prawdę. Ludzie nie są doskonali. To samo dotyczy jachtów.

- Może coś przeoczyłeś - dodałam.

- Alison, powtórzę to jeszcze raz. Ktoś uszkodził moją łódź. Nie wiem jak. Nie wiem kiedy. Wiem tylko, że muszę ją zreperować. Natychmiast.

Cullie zszedł na dół. Ruszyłam za nim. Znalazł latarkę i otworzył maszynownię.

- Cholera - rzucił. - Woda wchodzi do środka przez komorę dławicową.

Nie miałam pojęcia, co to jest komora dławicowa, ale byłam pewna, że fakt przedostawania się tamtędy wody nie oznacza nic dobrego.

- Gdzie teraz idziesz? - spytałam.

- Sprawdzić zewnętrzne zawory.

Zniknął, a kiedy wrócił, oświadczył, że również zawory zostały uszkodzone. W rezultacie woda wlewała się także przez zawory. Drewniane korki, którymi miał zamiar je zamknąć, zmniejszą ilość przedostającej się do środka wody, ale nie zapobiegną temu całkowicie.

- Może powinnam zadzwonić po pomoc? - zapytałam.

Cullie obdarzył mnie spojrzeniem, które mówiło: „Kpisz sobie chyba”, po czym powiedział: - Powiem ci, co możesz zrobić. Znajdź kanał 16 w radiu krótkofalowym i wezwij straż przybrzeżną.

- O mój Boże. Straż przybrzeżną. Nie kazałbyś mi ich wzywać, gdyby nam nie zagrażało niebezpieczeństwo. Zagraża nam, Cullie? Grozi nam niebezpieczeństwo? Nie wpadnę w panikę, naprawdę.

- Tak, jesteśmy w niebezpieczeństwie. Ktoś majstrował przy **MARLOWE** - i to poważnie. Ktoś, kto zna się na jachtach.

- Ale czemu ktoś miałby...

Nie musiałam kończyć pytania. Nagle dotarło do mnie, że Cullie ma rację. Ktoś rzeczywiście uszkodził **MARLOWE**. Ktoś, kto się zna na jachtach. Czyż Bethany nie powiedziała, nie dalej niż ubiegłego wieczora w Les Fruits de Mer, że Paddy Harrington nauczył ją wszystkiego, co wie o łodziach?

- To Bethany - powiedziałam głośno. - To ona to zrobiła.

- O Jezus.

- Prawdopodobnie grzebała na łodzi wczoraj, kiedy robiłam zakupy żywnościowe.

- Może też doszła do wniosku, że mamy rękopis i że przekłeta książka pójdzie na dno razem z nami.
- Rękopis! Jest w pomieszczeniu poniżej kluzy!
- Tak, teraz jednak nie ma czasu, żeby się martwić o rękopis Melanie. Zatonimy, jeśli nie nadejdzie pomoc. Wezwij straż przybrzeżną, a ja tymczasem spróbuję coś zrobić z tą wodą.
- Cullie pobiegł, zostawiając mnie z krótkofalówką.
- Halo, straż przybrzeżna? Tu mówi Alison - powiedziałam, nie bardzo wiedząc, jak zacząć. Nigdy jeszcze nie wzywałam straży przybrzeżnej, ani żadnej innej jednostki zmilitaryzowanej, jeśli już o tym mówimy.
- Tu straż przybrzeżna. Mówi młodszy oficer Dunne - odezwał się szorstki męski głos. Miałam nadzieję, że wiek oficera w żaden sposób nie odzwierciedla jego zdolności uratowania nas.
- TONIEMY - powiedziałam. - Woda wszędzie przedostaje się do środka i potrzebujemy pomocy
- bardzo.
- Imię?
- Alison Waxman Koff.
- Nie pani, jednostki.
- Och, przepraszam. **MARLOWE.**
- Typ jednostki?
- Czterdziestostopowy szkuner Johna Aldena, w kolorze myśliwskiej zieleni.
- Jakie jest pani położenie?
- Moje położenie?
- Jakie jest położenie pani łodzi?
- Och. Tonie. Inaczej nie kontaktowałabym się ze strażą przybrzeżną.

- Nie, nie - rzekł młodszy oficer Dunne. - Pozycja. Jaka jest pozycja łodzi?
Pozycja łodzi? Teraz zatkało mnie na dobre. Znajdowaliśmy się gdzieś na środku cieśniny Long Isand, ale zielonego pojęcia nie miałam, gdzie.

- Chwileczkę - powiedziałam i wrzasnęłam do Culliego.

- Powiedz mu, że jesteśmy około pięciu mil na wschód od rafy Branford.

- Jesteśmy około pięciu mil na wschód od rafy Branford - zakomunikowałam młodszemu oficerowi Dunne. W radiu rozległy się takie trzaski, że nie miałam pewności, czy mnie usłyszał, więc powtórzyłam jeszcze raz.

- Jacht **MARLOWE**, nie powtarzaj. Tracimy łączność - powiedział młodszy oficer Dunne, potwierdzając moje podejrzenia. - Przełącz się na kanał 22.

- Oczywiście, skoro uważacie, że kanał 22 będzie lepiej odbierany - rzekłam. Podobne kłopoty miewałam ze swoją telewizją kablową. HBO odbierałam świetnie, natomiast program z prognozą pogody był pełen zakłóceń.

Przełączyłam radiostację na kanał 22 i po raz trzeci przekazałam komunikat o położeniu łodzi. Nagle podbiegł Cullie i wyrwał mi mikrofon z ręki.

- Mówi kapitan **MARLOWE. MAYDAY. MAYDAY. MAYDAY** - zaczął wołać.

MAYDAY? O Boże. Szliśmy na dno. Szliśmy na pieprzone dno. A ja straciłam tyle energii, martwiąc się, że resztę życia spędzę w więzieniu stanowym w Niantic, jedząc kotlety mielone z grzankami. Jedzenie mielonych z grzankami nie było takie najgorsze w porównaniu z tonięciem. Kurczę, ależ groźba zatonięcia w cieśninie Long Island zmieniała perspektywę.

- **MAYDAY. MAYDAY. MAYDAY** - wołał znowu Cullie do mikrofonu. Nie było odpowiedzi. - **MAYDAY. MAYDAY. MAYDAY.** - Nadal cisza. Nie było nawet trzasku. - Cholera. Jakies krótkie spięcie. Wszystko przez tę wodę.

- Co zrobimy? - krzyknęłam.

- Wsiądziemy do łodzi ratunkowej i opuścimy jacht. Woda wdziera się za szybko, żeby tu zostać.

- Ale Cullie, jak możemy opuścić jacht? Ta łódź to twoje dziecko, twoja duma i radość.. To twój dom, twój...

- W płóciennej torbie w kokpicie, koło kapoków, jest zestaw ratunkowy. Przynies go - powiedział, ignorując moje słowa. - Chcę zostawić boję sygnalizacyjną, żeby straż przybrzeżna mogła znaleźć łódź po zatonięciu.

- Ale w jaki sposób...

- Po prostu przynies kamizelki i zestaw ratunkowy, Sonny. Proszę.

Popatrzyliśmy na siebie przez sekundę albo dwie.

Ktoś, kto wymyślił określenie „wymowna cisza”, miał rację. Milczenie Culliego oznaczało: „Moja ukochana łódź pogrąża się w wodzie i moje serce pogrąża się w rozpacz, ale nie załamuję się, bo jestem Dużym, Silnym Mężczyzną”. Natomiast ja mówiłam bez słów: „Wiem, jak bardzo kochasz tę łódź, Cullie, i oddałabym wszystko, żeby ją dla ciebie ocalić, ale też jakaś moja częśćka żałuje, że kiedyś poznałam ciebie i twoją pieprzoną łódź”.

Pognałam do kokpitu i odnalazłam zestaw ratunkowy. Składał się z gwizdka, paru rac świetlnych, dużego koca, lusterka sygnalizacyjnego, konserw (pieczonej fasoli, pierożków ravioli i grochówki z szynką Campbella) oraz butelki demerolu, silnego środka przeciwbólowego.

- Co teraz robisz? - zapytałam Culliego po powrocie z kokpitu na pokład.

- Zrzucam żagle - odparł szybko. - Nie ma sensu dalej udawać. Ta łódź idzie na dno i nic na to nie mogę poradzić.

Widziałam, że z rezygnacją opuszcza żagiel po żaglu, usiłując zachować spokój i równowagę na śliskim pokładzie.

Opuszczał właśnie kliwer, kiedy pośliznął się na szocie foka, przewrócił na pokład i zawył z bólu.

- Cullie! - krzyknęłam i pospieszyłam na pokład.

- Jezus - jęknął, trzymając kurczowo nogę. - Złamałem.

- Nogę?

- Nie, mojego ptaszka.

Wytrzeszczyłam na niego oczy. Cullie łypnął na mnie ponuro. A potem zaczął się śmiać. Nie mogłam w to uwierzyć. Jego jacht tonął, miał złamaną nogę, ale się śmiał. Żartował w chwili najgorszego kryzysu. Humorem próbował łagodzić okropny ból i cierpienie.

- Cullie, mój chłopcze, widzę, że za bardzo cię eksploatowałam.

Uśmiechnął się, chociaż słabo.

- Gdzie cię boli? - spytałam, niezwykle ostrożnie dotykając jego nogi.

- Tutaj - skrzywił się, wskazując na swoją goleń. Nie potrafiłabym odróżnić pęczeli od strzałki, toteż nie siłałam się nawet na postawienie diagnozy. Wiedziałam tylko, że jacht idzie na dno, jego kapitan ma złamaną nogę i że nagle zostałam głównodowodzącą akcją ratunkową.

- No, ślicznie. I co teraz robimy? - zadałam pytanie.

- Załóż kamizelkę ratunkową. Potem włoż mi drugą - poinstruował i wzdrygnął się z bólu.

Pobiegłam z powrotem do kokpitu po kapoki i zestaw ratunkowy i przyniosłam je na pokład, gdzie Cullie leżał na boku.

Założyłam kamizelkę, a potem znalazłam w zestawie demerol.

- Proszę. Połknij parę - powiedziałam, wręczając Culliemu kilka pigułek.

Połknął demerol i sięgnął po kamizelkę; pomogłam mu ją założyć i zapiąć.

- W porządku - odezwał się. - Teraz przyciągnij szalupę do łodzi i zamocuj ją.

Stosując się do jego poleceń przyciągnęłam dwu-ipółmetrową łódkę, którą holowaliśmy za **MARLOWE**, jak najbliższej szkunera. Potem przywiązałam ją mocno do jachtu.

- Czy dasz radę się ruszyć? - zapytałam.

- Nie mam wyjścia - powiedział. - Przeciągnij mnie przez pokład i pomóż zejść do łódki.

- Przeciągnąć? Ważysz siedemdziesiąt pięć kilogramów.

- Dobrze, nie ciągnij mnie. Pomóż mi tylko się przeczołgać.

Przeciągnęłam Culliego, wdzięczna za śliskość pokładu, dzięki czemu było mi lżej.

Wrzuciłam zestaw ratunkowy do szalupy, po czym sama opuściłam się do małej, drewnianej łódki ratunkowej.

- Dobrze, kapitanie Harrington. Twoja kolej - zawołałam do niego, wyciągając ramiona. - Powoli i ostrożnie. Masz czas. Uważaj.

Cullie ostrożnie zaczął schodzić do szalupy, krzywiąc się z bólu, generalnie jednak zachowując się zdumiewająco twardo. Musiałam oddać sprawiedliwość tym protestantom. Nie należeli do mazgajów, o nie. Gdybym to ja miała złamaną nogę i tonący jacht, moje głośne zawodzenie usłyszałby każdy młodszy oficer straży przybrzeżnej, nawet bez krótkofalówki.

- Czy mam odwiązać szalupę i zacząć wiosłować?

- spytałam, kiedy Cullie usadowił się w łódce.

- Za momencik. Muszę jeszcze tylko spojrzeć na **MARLOWE**. - Przełknął ślinę i obrzucił jacht długim, twardym spojrzeniem. Nie usiłował kryć łez, które napłynęły mu do oczu. - Władowałem w tę łódź każdego posiadanego dolara - udało mu się wykrztusić wśród łkania. - I kupę uczucia.

- Wiem. Wiem. - Rozumiałam jego żal. Identyfikowałam się z nim. Sama zainwestowałam mnóstwo dolarów i miłości w Klonowy Dworek, który także tonął. - Wszystko będzie dobrze - powiedziałam, próbując podbudować i siebie, i Culliego. - Uda się nam. Uda.

- Uda się - powtórzył jak echo.

- Czy demerol zaczyna działać? - spytałam.

- Troszkę.

- Może więc byśmy już odbili?

- Dobrze, najpierw jednak czerwona raca z zestawu ratunkowego. Chciałbym, żebyś ją wystrzeliła. Znalazłam racę, nie miałam jednak pojęcia, co z nią zrobić.

- Tylko wystrzel ją w powietrze, jak z pistoletu

- wyjaśnił. - Jeśli straż przybrzeżna wypłynęła nas szukać, zobaczą ją.

Wystrzeliłam ramię i obserwowałam, jak leci w górę, niby rakietą.

- To właściwie wszystko, co mogliśmy tutaj zrobić, Sonny - stwierdził Cullie. - Czas ruszać.

Ostatni raz spojrział z tęsknotą na **MARLOWE**, po czym skoncentrował swoją uwagę na mnie.

- Dobrze, marynarzu. Wiosłuj - polecił.

- W którą stronę? - zapytałam, chwytając wiosła.

- Branford.

- Nigdy nie byłam w Branford. Skąd będę wiedziała, że już tam dopłynęłam?

- Po prostu wiosłuj, dopóki nie zobaczysz lądu.

- Cóż, co to dla mnie - rzuciłam i zaczęłam wiosłować. I wiosłować. Wiosłować.

Po półgodzinie wiosłowania bolały mnie mięśnie brzucha, a ręce pokryte były pęcherzami. Z plecami też nie było najlepiej. Na dodatek cała się trzęsłam.

Popatrzyłam na Culliego, leżącego bezwładnie w tyle łódki z zamkniętymi oczami, oszołomionego mieszaniną środka przeciwbólowego i ciężkich przeżyć. Poczulałam, jak ogarnia mnie fala miłości.

Przerwałam wiosłowanie, otworzyłam zestaw ratunkowy, wyciągnęłam koc i przykryłam Culliego. I znów powróciłam do wiosłowania. I wiosłowania. I wiosłowania.

Wiosłując usiłowałam się jakoś rozerwać. Opowiadałam sobie kawały, zadawałam sobie zagadki i układałam dziesiątki limeryków, jeden pikantniejszy od drugiego.

Usiłowałam też zająć swoje myśli udawaniem, że jestem na siłowni w Layton i ćwiczę na jednym z urządzeń. Wyobrażałam sobie, jak płaski będę miała brzuch po tym całym wiosłowaniu, jak napięta stanie się skóra na ramionach.

Myślałam również o tych wszystkich cudownych rzeczach, które będziemy robili razem z Culliem, kiedy zostaniemy uratowani - poczynając od chodzenia do kina, a w drodze powrotnej wpadania na lody z gorącą polewą, aż po zmuszenie stanu Connecticut do wymierzenia kary śmierci i przyglądania się, jak Bethany Downs smaży się na krześle elektrycznym.

Jeszcze inną formą oderwania się od rzeczywistości były podziękowania dla Boga. Dziękowałam Mu za szalupę, niosącą mnie i Culliego w bezpieczne miejsce. Dziękowałam za demerol, który zdawał się przynosić ulgę Culliemu. Dziękowałam Mu za te wszystkie letnie wakacje, spędzane na obozach, bez których teraz nie wiedziałabym, jak się wiosłuje. Zrobiłam sobie nawet zabawę, dziękując Mu za różne rzeczy w kolejności alfabetycznej („Dziękuję ci, Boże, za anielski błękit nieba”, „Dziękuję ci, Boże, za brak burzy”, „Dziękuję ci, Boże, za Culliego”, itd.)

Śpiewałam też. I to jak. Piosenki rockowe. Melodie z musicali. Tematy muzyczne z seriali telewizyjnych. Co tylko chcecie. Nie miałam dobrego głosu, ale nieprzytomny Cullie nie sprawiał wrażenia, żeby mu to przeszkadzało.

- Wiosłuj, wiosłuj, wiosłuj swoją łódką w dół strumienia - śpiewałam, zastanawiając się, czy osoba, która napisała ten tekst, musiała kiedykolwiek płynąć szalupą do Branford, po porzuceniu tonącego jachtu w cieśninie Long Island. - Radośnie, radośnie, radośnie, bo życie jest jak marzenie.

I to jakie.

Już dwie godziny śpiewałam i wiosłowałam, marznąc do szpiku kości na wodach cieśniny Sound Island, kiedy dostrzegłam motorówkę, pędzącą w naszą stronę.

- Cullie! Cullie, obudź się! - krzyknęłam, szarpiąc jego koc.

Wzdrygnął się, otworzył oczy, skrzywił się z bólu i ponownie opuścił powieki.

- Cullie, no już. Posłuchaj mnie. - Jeszcze raz pociągnęłam za koc.

- Aaa. Co? Gdzie jesteśmy? - zabełkotał. Sprawiał wrażenie oszołomionego lekami. A może był w szoku.

- Myślę, że zaraz zostaniemy uratowani - powiedziałam, starając się nie rozbudzać w sobie zbyt dużej nadziei, na wypadek, gdyby łódka, którą widziałam i słyszałam, okazała się być jednym z przywidzeń, jakie miewają żeglarze, przebywający za długo na morzu.

Na szczęście zmierzający w naszym kierunku kuter amerykańskiej straży przybrzeżnej nie był przywidzeniem.

- Bogu dzięki - zawołałam, w tamtym okresie nałogowy dziękowacz Bogu. - Znaleźli nas. Naprawdę nas znaleźli.

Na pokładzie łodzi straży przybrzeżnej było sześciu mężczyzn - dwóch młodszych oficerów i czterech marynarzy - i wszyscy oni tak pomagali i byli tacy troskliwi, że miałam ochotę zabrać ich do siebie do domu.

Dali nam koce i gorącą kawę, przywiązali naszą szalupę do rufy kutra i zabrali nas i łódkę do doku

w New Haven, gdzie oczekiwała karetka, mająca nas przewieźć do szpitala.

Kiedy dotarliśmy do szpitala Yale-New Haven, zajęto się moim przemarznięciem, bolącymi plecami i kilkoma rzeczywiście paskudnie wyglądającymi pęcherzami na dłoniach, po czym mnie wypuszczono. Cullie, biedaczek, został zabrany na operację zestawienia złamanej nogi.

- Czy będzie musiał zostać tu na noc? - zapytałam pielęgniarkę z izby przyjęć.

- Obawiam się, że tak - odpowiedziała.

Zaczekałam do zakończenia zabiegu Culliego. Potem widziałam, jak wieziono go do pokoju szpitalnego. Pokój znajdował się na szóstym piętrze, a ściany, zasłony i pościel miał w kolorze zielonych wymiocin. Nigdy chyba nie zrozumiem, czemu szpitale nie dostrzegają roli kolorystyki wnętrza: czy odcień zielonych wymiocin wzmacnia uczucie zdrowia i dobre samopoczucie?

- Cześć, Sonny - odezwał się słabym głosem Cullie, gdy otworzywszy oczy, zauważył mnie.

- Cześć - szepnęłam. - Jak się czujesz?

- Dość podle. A ty? Przecież to ty odwaliałaś całe wiosłowanie.

- Tak, pomyśl jednak, o ile większe będą teraz moje piersi. Wiosłowanie rozwija mięśnie klatki piersiowej.

Uśmiechnął się. - Ubóstwiam twoje piersi. Nie chcę, żeby się rozrosły.

- Dziękuję. Ja też ubóstwiam twoje. Zaczerwieniłam się, uświadomiwszy sobie nagle, że nie jesteśmy sami: po drugiej stronie obrzydliwie zielonej zasłony leżał inny pacjent.

Odchyliłam zasłonę i zerknęłam na człowieka z sąsiedniego łóżka. Spał mocno, ale rozpoznałam go od razu.

- Cullie - szepnęłam. - Nigdy byś nie zgadł, kim jest twój współlokator.

- Masz rację - odparł. - Kto to?

- Doktor Weinstein. Psychiatra Sandy'ego.

Co doktor „Whinestein”, jak zwykła byłam go nazywać, robił w szpitalu Yale - New Haven? zastanawiałam się. Potem przypomniałam sobie, że miał dom letniskowy w Guilford i prawdopodobnie spędzał tam urlop, gdy stało się to, co się stało.

- Co się stało doktorowi Weinsteinowi? - zapytałam jedną z pielęgniarek.

- Jeden z jego pacjentów usiłował go zabić - odparła. - Wrzucił koktajl Mołotowa przez okno do sypialni.

- Czy został bardzo pokaleczony? - Nigdy nie sądziłam, że doktor Weinstein jest dobrym psychiatrą

- wystarczy spojrzeć na Sandy'ego, na litość boską

- ale niewątpliwie nie życzyłam mu nic złego.

- Nie. Tylko drobne skaleczenia i zadrapania. Martwi nas jego depresja. Utrzymuje, że czuje się nieudacznikiem, oszustem i szalbierzem. Zostanie przeniesiony na oddział psychiatryczny, gdy tylko zwolni się tam miejsce.

- Jakie to smutne. - Naprawdę było smutne. Każdy od czasu do czasu czuje się jak nieudacznik, oszust i szalbierz. To jedno z tych uczuć, kiedy trzeba zacisnąć zęby i przetrzymać.

Na paluszkach pobiegłam z powrotem do Culliego.

- Chyba już pójdę - powiedziałam cicho, całując go w czubek nosa. - Musisz być nieźle wykończony.

- Jestem. Przepraszam.

- Nie przepraszaaj. Odpocznij tylko.
- Sonny?
- Tak?
- **MARLOWE** zatonał, prawda? - Oczy wypełniły mu się łzami.
- To prawda - powiedziała mu. - Ale to nie oznacza jego utraty. Pamiętasz, zamocowałeś przecież boję sygnalizacyjną. Straż przybrzeżna pomoże nam go odnaleźć, jeśli nie znaleźli go do tej pory. Twarz mu się rozjaśniła. - Zapomniałem o tej boi. Może jest jeszcze jakaś nadzieja - powiedział.
- Żadne „może”. A teraz spróbuj trochę pospać. Będę jutro rano, żeby cię zabrać do domu.
- Do domu? - Znów się zachmurzył.
- Właśnie. Do mojego domu. Nadal posiadam coś, co dom przypomina.
- Domyślałam się - mruknął.
- Hej, głowa do góry - powiedziała, mając nadzieję, że Cullie otrząśnie się z depresji i nie trzeba go będzie przenieść na oddział psychiatryczny, tak jak doktora Weinsteina. - Klonowy Dworek nie jest taki najgorszy, kiedy się już człowiek do niego przyzwyczai. - Naturalnie, nie byłoby rozsądnie ze strony Culliego zanadto się przyzwyczajać, zważywszy możliwość przejęcia domu przez bank w każdej chwili. - Spójrzmy na to z optymistycznej strony. Nie utonęliśmy w cieśninie Long Island. Jesteśmy żywi. Mamy wystarczającą ilość dowodów, aby wsadzić Bethany do więzienia na całe życie. Tak się zaczynają dobre czasy. Pokochaliśmy się, wspieramy się nawzajem i będziemy się przyglądać, jak mała panna Downs otrzymuje to, na co zasłużyła. Czy jest jakiś powód do zmartwienia?

Zostawiłam Culliego w szpitalu i czekałam w hallu na moją matkę. Zadzwoiłam do niej z pokładu kutra straży przybrzeżnej, gdy uświadomiłam sobie, że nie mam ani grosza, bo pieniądze i karty kredytowe poszły na dno razem z jachtem.

- Z tobą wszystko w porządku, kochanie? - zapytała przez telefon.

- Jasne, mam. Cullie ma złamaną nogę, ale nie ma się o co martwić.

- Nie ma się czym martwić.

- Dokładnie. Spotkaj się ze mną w szpitalu Yale - New Haven, dobrze? Przykro mi, że cię fatyguję, ale będzie mi potrzebna gotówka i jakieś ubranie. Coś ciepłego.

- Będziemy na pewno - powiedziała.

- My, to znaczy kto?

- Louis i ja.

- Pan Obermeyer? - Wyglądało na to, że bardzo się zaprzyjaźnili ostatnio z moją matką; te wszystkie kolacyjki w klubie i rozmowy telefoniczne na mój temat.

- Tak, kochanie. Ale nic sobie nie wyobrażaj. Louis i ja nie uprawiamy seksu. Po prostu jesteśmy przyjaciółmi.

Wybuchnęłam histerycznym śmiechem. Jeden z funkcjonariuszy straży przybrzeżnej zapytał, co mnie tak rozśmieszyło. Powiedziałam mu, że cieszę się po prostu z tego, że żyję.

Pan Obermeyer zamówił dla nas pokoje w motelu w pobliżu szpitala - trzy osobne pokoje. Zameldowaliśmy się, po czym przebrałam się w ubranie, przywiezione przez mamę: czarny gabardinowy kostium (Chanel), czarną jedwabną bluzkę (Anne Klein)

i czarne skórzane pantofle (Ferragamo). Wyglądałam, jakbym się wybierała na pogrzeb, ale cóż, zawsze suchy strój żałobny będzie lepszy od mokrego ubrania żeglarza, zwłaszcza w sytuacji, gdy nikt nie umarł.

Kolację jedliśmy w małej restauracji, przylegającej do motelu, w której menu zawierało jedynie dwa dania: pieczonego wąłusza i befsztyk z polędwicy z rusztu. Najwyraźniej nie mieli tu konkurencji. Zanim zdążyłam podać swoje zamówienie kelnerowi, matka zamówiła za mnie.

- Ona zje wąłusza - powiedziała.

- Poproszę befsztyk - zwróciłam się do kelnera. - Średnio wysmażony.

- Polędwica ma mnóstwo cholesterolu - odezwała się moja matka.

- Ma też mnóstwo białka - odparowałam. - Przez ostatnich kilka godzin walczyłam o życie. Zasluguję na befsztyk z polędwicy. Mam gdzieś cholesterol.

- Jak ty się odzywasz - zbeształa mnie matka.

- Pozwól jej zjeść polędwicę, Doris - wtrącił się pan Obermeyer. - Na co jej wąłusz? Pewnie widziała już dosyć ryb na dzisiaj.

- Masz rację, Louis - powiedziała moja matka i zwróciła się do kelnera. - Zje befsztyk.

Panie Obermeyer, mój bohaterze.

Podczas kolacji opowiedziałam panu Obermeyerowi o moich i Culliego podejrzeniach, że to Bethany uszkodziła łódź, usiłując usunąć z drogi mnie i rękopis.

- Słyszysz, Louis? Powiedziała, że rękopis znajdował się na łodzi. - Moja mama sprawiała wrażenie, jakby właśnie zdjęto z jej kościstych ramion ogromny

ciężar. - To oznacza, że nikt nigdy się nie dowie o mnie i o Alu.

Najwyraźniej matka opowiedziała panu Obermey-erowi wszystko o swojej długiej, występnej przeszłości z senatorem.

- Jak przebiega dochodzenie w sprawie morderstwa? - zapytałam mojego adwokata.

- Mam dobre wiadomości. Odciski palców z kieliszka są identyczne z tymi, które zdjęto z narzędzia zbrodni - odparł. - Teraz policja, wiedząc o odciskach, o cukrze pudrze z pączków i o tym, że Bethany Downs była w twoim domu tej nocy, gdy podłożono kokainę, może ją oskarżyć.

- Na co więc czekają? - spytałam. - Czemu Corsini jej nie aresztuje?

- To jest właśnie zła wiadomość. Corsini liże dupy sław - odrzekł pan Obermeyer, po czym beknął.

- Louis, twój język jest równie niewybredny, jak Alison - złażała go moja matka, a następnie wygrzebała z torebki i wręczyła panu Obermeyerowi fiolkę tabletek na nadkwasotę.

- Dziękuję, Doris. Jesteś kochana. - Uśmiechnął się i poklepał ją po policzku. Potem ona poklepała jego policzek. Ładni mi „tylko przyjaciele”, kurczę blade.

- Chcesz powiedzieć, że Corsini nie zaaresztuje Bethany? Bo jest córką Alistaira Downsa? - Ze zdumienia odjęło mi mowę. Sądziłam, że policja kryła zbrodniarzy tylko na filmach, albo wtedy, gdy zbrodnię popełniał ktoś z rodziny Kennedych.

- To nie tylko Corsini - wyjaśnił pan Obermeyer. - Cały wydział liże dupę Alistaira Downsa.

- Louis, proszę - moja matka znowu zwróciła mu uwagę.

- Cóż, skoro wszystkie dowody, jakie zgromadziliśmy przeciwko Bethany nie wystarczają Corsiniemu, musimy poczekać, aż straż przybrzeżna odnajdzie **MARLOWE** i potwierdzi, że łódź uszkodzono. To będzie gwóźdź do trumny, prawda?

- Być może. Jeśli ktoś na przystani widział ją majstrującą przy łodzi - powiedział pan Obermeyer.

- Jeśli nie, nie ma sposobu, żeby udowodnić, że to ona zrobiła.

- Wobec tego znajdę kogoś, kto ją widział - stwierdziłam. - Tymczasem jest jeszcze inny sposób wywierania presji na laytońską policję: zaangażować po naszej stronie środki masowego przekazu.

Czemu nie? Gdy tylko sępy wyczują, że policja chroni przestępcę, opadną Corsiniego jak nędzną szmatę. Może powinnam tylko opowiedzieć „A Current Affair” i innym brukowcom wszystko, co wiem o Bethany.

Następnego dnia rano przewieźliśmy Culliego ze szpitala do domu. Ponieważ łoże w głównej sypialni Klonowego Dworku było jedynym ocalałym meblem w domu, zainstalowałam w nim Culliego. Przygotowałam mu lunch, przyniosłam aparat telefoniczny

i oświadczyłam mu, że go kocham.

- Musisz się czuć potwornie nieswojo bez jachtu

- powiedziałam.

- Owszem, ale zamierzam go odzyskać. Zaraz zadzwonię do straży przybrzeżnej, żeby sprawdzić, czy udało im się go zlokalizować.

- Świetnie. Zajmiesz się tym, a ja w tym czasie utnę sobie pogawędkę z paroma reporterami, czyhającymi przed domem.

- Tak, zauważyłem, że stale tu są.
- I to więcej ich niż zwykle, a to za sprawą naszej wspaniałej przygody na szerokich wodach. Mamy teraz nawet dziennikarzy z „Wide World of Sports” na podwórku.
- Co masz zamiar zrobić?
- Doszłam do wniosku, że już czas, abym przemówiła do tych licznych ekip i złożyła oświadczenie. Jak na mój gust, policja działa odrobinę za wolno.
- Chcesz stanąć przed tymi wszystkimi kamerami i opowiedzieć o Bethany?
- Tak. Opowiem też o, nazwijmy to, nieefektywności Corsiniego.
- Ha. Moja osobista gwiazda telewizyjna. Czy mogę dostać twój autograf, zanim staniesz się sławna i zapomnisz o starym przyjacielu Culliem?

Ściągnęłam koc z Culliego, odsłaniając dziewiczą biel gipsu, otaczającego złamaną nogę. Potem z nocnej szafki wygrzebałam długopis.

- Prosisz o mój autograf? - zapytałam. - Dostaniesz.
- Mojemu staremu przyjacielowi Culliemu - napisałam na gipsie, rozciągającym się od palców aż do krocza. - Wyzdrowiej szybko, żebym mogła posać twój lizak bez łamania sobie szczęki na gipsie. Trzymaj się - Sonny.

- Panie i panowie, przedstawiciele środków masowego przekazu - zaczęłam. Stałam na schodach Klonowego Dworku, zwrócona ku dwudziestu pięciu reporterom, fotografom i filmowcom, z ekipą „A Current Affair” włącznie.

Kontynuowałam, podając szczegóły dotyczące morderstwa Melanie, spartolonej pracy Corsiniego i,

przede wszystkim, złych uczynków Bethany i dowodów, które policja posiadała, ale odmawiała ich uznania. Sępy były zachwycone. Podobało się również wszystkim głupkom w mieście, które obejrzały mój występ w wiadomościach o jedenastej tego wieczoru. W jednej chwili z morderczyni przeistoczyłam się w ich oczach w bohaterkę, która samotnie ocaliła Layton przed odebraniem Miami tytułu stolicy zbrodni i występku. Tylko Sandy, który niedawno poślubił dziewczkę od przyjęć w bardzo zaawansowanej ciąży, uważał, że zrobiłam z siebie głupka. I nie chodziło mu o to, co powiedziałam; martwiło go, że powiedziałam to wszystko bez jakiegokolwiek wynagrodzenia.

- Zrobiłaś to bez grosza? - zapytał, gdy zadzwonił do mnie następnego wieczoru, natychmiast po zobaczeniu mnie w „A Current Affair”.

- Oczywiście - powiedziałam.

- Zapłaciliby ci ciężkie pieniądze, Alison. Z pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Zawsze tak robią.

- Nie sądzę, żeby ludziom trzeba było płacić za mówienie prawdy - zapewniłam go. - Pieniądze to nie wszystko. A poza tym, wystarczającym wynagrodzeniem będzie dla mnie zobaczyć, jak sprawiedliwości staje się zadość.

Bardzo wzniosłe oświadczenie, jak na świeżo uzdrowioną dawną czcicielkę mamony. Owszem, mogłam wykorzystać pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Nie miałam domu, pracy i żadnych perspektyw, że je zdobędę, ale nie zamierzałam korzystać z dotacji „A Current Affair”, wypraszam to sobie.

Upłynęły dwa dni i poza tym, że dziennikarskie sępy opuściły Klonowy Dworek i zaczęły okupować

Na Zawsze, żądając oświadczenia od Bethany bądź Alistaira, nic się nie zmieniło. Policja nadal nie dokonała aresztowania.

A potem nastąpiło kilka istotnych zmian na korzyść „przyzwoitych ludzi”.

Po pierwsze, straż przybrzeżna zlokalizowała **MARLOWE**. Po usłyszeniu tej wiadomości Cullie wpadł w ekstazę. Wrzeszczał, pokrzykiwał i bębnił triumfalnie w swój gips. Tak skończyła się depresja.

Następnie ekipa nurków, wynajęta przez towarzystwo ubezpieczeniowe Culliego wydobyla jacht na powierzchnię i doholowała do przystani w Jessup. Był mocno zdezelowany, ale w jednym kawałku, toteż Cullie sądził, że przywrócenie mu dawnej świetności powinno zabrać zaledwie trzy, cztery miesiące.

Później łódź została zbadana przez rzeczoznawców, którzy stwierdzili, że majstrowano przy komorze dławikowej, zawory zostały uszkodzone, a pompy zepsute. „Ten, kto to zrobił, nie przegapił niczego”, powiedział główny biegły straży przybrzeżnej.

A potem nastąpił najważniejszy przełom: Hadley Kittredge, córka szefa doków, powiedziała Culliemu, że widziała Bethany Downs na przystani w przeddzień naszej koszmarnej wycieczki i z przyjemnością zaświadczy o tym przed sądem.

- Udało nam się, udało - wykrzyknęłam, ściskając Culliego, leżącego na wznak na moim łóżku. Zbliżała się północ, byliśmy jednak zanadto podnieceni wydarzeniami dnia, aby spać. - Teraz gliniarze będą musieli wsadzić Bethany. Zanim się zorientujemy, cały ten koszmar się skończy!

- Uczcijmy to - zaproponował Cullie.

- Jak? Przecież leżysz z nogą w gipsie.

- Tak, ale nie założyli mi gipsu na mój interes. Chciałabyś się nim zająć? Możemy spróbować gip-sunku zamiast stosunku. Co ty na to?

Zastanowiłam się. Niezbyt przypominałam Nadię Comaneci i bałam się, czy będę w stanie wdrapać się na Culliego, nie uciskając gipsu. Ale cóż, nie będę wiedziała, dopóki nie spróbuję.

Rozebrałam się i ściągnęłam majtki Culliego. Potem siadłam na nim okrakiem, starając się trzymać uda z dala od gipsu, co nie było łatwe. Skończyło się na dosiadaniu okrakiem, kucaniu i kręceniu się. Moje wygibasy przypominały mi ćwiczenia gimnastyczne na kasecie Jane Fondy. Najważniejsze jednak, że te starania uwieńczone zostały sukcesem.

Przez następną godzinę leżałam obok Culliego, nie śpiąc, wyobrażając sobie, jak dalej potoczy się nasze życie i rozważając, kiedy otrząśniemy się po wydarzeniach ostatnich miesięcy.

Nagle usłyszałam jakiś dźwięk. Nastawiłam uszu. Znów się powtórzył. Odległe skrzypienie? Jakby jakieś poruszenie na dole? Nie byłam pewna. Klonowy Dworek był starym domem, a stare domy wydają dużo różnych odgłosów.

Przekręciłam się na bok i zamknęłam oczy. Postaraj się zrelaksować, przykazałam sobie. To nic.

I znów jakiś dźwięk. Coś stuknęło? Coś upadło? Ktoś coś potracił? Niemożliwe. Nikt nie mógł się dostać do domu bez uruchomienia systemu alarmowego. Włączyłam go przed przyjściem na górę do sypialni.

Spojrzałam na włącznik alarmu na ścianie. System nie był uruchomiony! Czerwona lampka się nie świeciła! Ale świetnie pamiętałam, jak włączałam alarm.

Czy w całym podnieceniu, związanym z oświadczeniem Hadley Kittredge, że widziała Bethany Downs majstrującą przy **MARLOWE**, mogłam zapomnieć o włączeniu alarmu?

Pewnie tak, doszłam do wniosku. Musiałam zapomnieć. A odgłosy z dołu były prawdopodobnie wytworem mojej wyobraźni. A może w domu były myszy.

Przekręciłam się na drugi bok, znowu próbując się uspokoić. Pomyślałam, że jutro z samego rana wezwę specjalistę od deratyzacji. Nie można pozwolić, żeby Janet Claiborne pokazywała klientom dom z myszami biegającymi dokoła.

Znowu usłyszałam! Odgłos skradania się na palcach? Szelest płaszcza?

Usiadłam na łóżku.

- Cullie! Obudź się! - powiedziałam, potrząsając nim. - Ktoś jest w domu!

Nawet nie drgnął. Nie było go na tym świecie, a ja bałam się, że jeśli się nie zbudzi, to ja mogę z tego świata zniknąć, i to naprawdę.

- No, Cullie! Obudź się! - powtórzyłam.

Jak się tego obawiałam, nie zareagował. Po dużym, gwałtownym orgazmie Cullie był wyłączony na całą noc.

Dobrze, Alison. Trzeba wezwać policję, powiedziałam sobie. Zresztą jaki może być pożytek z Culliego z nogą w gipsie?

Przysunęłam telefon i zamierzałam właśnie wykręcić numer policji, kiedy nagle się zastanowiłam. Kto by chciał znowu mieć do czynienia z policją w Layton? Kiedy ostatnio wybrałam ten numer potykając się o zwłoki Melanie, natychmiast stałam się podejrzana o morderstwo.

Głęboko zaczerpnęłam tchu i wstałam z łóżka, narzuciłam szlafrok i cichutko zbiegłam po schodach na parter. Miałam nadzieję, że zobaczę mysz. Modliłam się, żeby to była mysz. Po wejściu do kuchni i zapaleniu światła ujrzałam jednak nie mysz, ale szczura.

- Cześć, Alison - odezwał się szczur.

Siedział przy moim stole kuchennym, podjadając czekoladowe ciasteczka, które kupiłam poprzedniego dnia. Wszędzie pełno było okruchów, ale miałam większe zmartwienia na głowie niż okruchy.

- Cześć, Bethany - uśmiechnęłam się. - Co cię sprowadza do mojej kuchni o tak pogańskiej porze? Skończyły ci się pączki?

Serce waliło mi tak głośno, że z pewnością słyszano je w Burkina Faso. Jednak rozpaczliwie usiłowałam zachowywać się swobodnie, aby Bethany się nie spłoszyła i nie zrobiła nic nieodpowiedzialnego - nic bardziej nieodpowiedzialnego niż wtargnięcie do mojego domu.

- Nie mogłam spać - powiedziała. - Więc przyszłam tutaj.

Pod płaszczem w kolorze khaki miała jasnozielone spodnie i różową koszulkę polo. Jasne włosy związała różową wstążką w koński ogon. Usta uszmkowane były na różowo. Wyglądała bardzo grzecznie, bardzo w stylu Layton. Tylko te oczy. Wyglądały na oszalałe, bardzo pasowały do więzienia stanowego w Niantic.

- Czy mogę spytać, jak się tu dostałaś? - odezwałam się. - Przecież nie Janet Claiborne cię wpuściła, prawda?

- Tym razem nie. Ale dzięki niej poznałam kod twojego systemu alarmowego. Wykradłam go z jej torebki tego dnia, gdy mnie oprowadzała po domu.

- Bardzo sprytnie. - Cóż, to by wyjaśniało, jak dostała się do środka. Bardziej martwiło mnie, po co.
- Czego chcesz, Bethany? Jeśli chodzi ci o rękopis książki o twoim ojcu, to zatonął razem z łodzią Culliego, dokładnie tak, jak zaplanowałaś. Łódź uratowano, ale nie sposób było uratować książki. Była tak mokra, że wyrzucili ją do śmieci na przystani.

- Boże. Jaka szkoda.

Widziałam, że jest zdruzgotana. - Spróbuję jeszcze raz. Czego chcesz, Bethany?

- Jest coś, w czym mogłabyś mi pomóc - powiedziała, po czym sięgnęła do kieszeni płaszcza i wy-
ciągnęła pistolet - automat, kaliber 25, jedną z tych wygodnych zabawek, świetnie leżącą w dłoni.
Zanim zdążyłam jej przeszkodzić, wymierzyła pistolet we mnie.

- Nie, Bethany - powiedziałam, czując drętwienie klatki piersiowej i ucisk w krtani. - Nie zabijaj
mnie. Jeśli mnie zabijesz, aresztują cię za dwa morderstwa. Jak to będzie wyglądało w twoim
życiorysie?

Uśmiechnęła się. - Nie zamierzam cię zabić, Alison.

Pozwoliłam sobie na oddech. - Co za ulga - rzekłam, podchodząc do telefonu i podnosząc
słuchawkę. - Może zadzwonimy do miłego detektywa Corsiniego i...

- Nie zabiję cię. Zmuszę cię, żebyś ty mnie zabiła.

- O czym ty mówisz? - Była bardziej szalona, niż przypuszczałam.

- Odłóż słuchawkę, Alison. Odstawiłam telefon.

- Starłam się, żeby myśleli, że to ty zabiłaś Melanie - powiedziała. - Nie udało się. Teraz chcę,

żeby sądzili, że zabiłaś mnie. - Przerwała. - Nie zamierzam iść do więzienia. Wolę się zabić. Zabiję się tak, żeby wyglądało, że mnie zamordowałaś. Aresztują cię i to ty pójdziesz do więzienia. Rozumiesz?

Zatkało mnie. - Nie, Bethany. Nie rozumiem. Dlaczego mnie tak bardzo nienawidzisz? Co ci takiego zrobiłam?

- Poza tym, że oznajmiłaś całemu światu, że zabiłam Melanie?

- Przecież zabiłaś Melanie. Obie o tym wiemy - starałam się zachowywać logicznie, co samo w sobie nie miało sensu, bo kobieta wyraźnie była wariatką.

- Oczywiście, że zabiłam Melanie. Jej książka zniszczyłaby mojego ojca.

Chciałam jej powiedzieć, że jej ojciec zasłużył na zniszczenie, ale się powstrzymałam. - Czemu więc chcesz mnie ukarać? Co ja ci zawiniłam, Bethany?

- Naprawdę nie wiesz? - spytała, stale trzymając wycelowaną we mnie broń.

- Nie, nie wiem - powiedziałam, szaleńczo usiłując znaleźć wyjście z sytuacji. - Może jeszcze ciasteczko? - zaryzykowałam.

- Naprawdę nie wiesz? - ponowiła pytanie.

- Nie, Bethany. Powtarzaj za mną: Alison naprawdę nie wie, dlaczego Bethany tak bardzo jej nienawidzi, czemu więc Bethany nie wyjaśni tego Alison?

- Dobrze. Nienawidzę cię, bo kiedy wsadzą mnie do więzienia, będziesz próbowała zająć moje miejsce przy tatusiu.

- Masz na myśli pozycję w gazecie? - spytałam, nie rozumiejąc.

- Nie, miejsce w jego życiu.

I masz. Bethany naprawdę była trzaśnięta. - A czemu miałabym chcieć zająć twoje miejsce w życiu twego ojca?

- Bo jest także twoim ojcem. Wytrzeszczyłam oczy na Bethany. Serce przestało mi bić. - Co mówisz? - spytałam.

- Że Alistair Downs jest twoim ojcem. Kiedy policja mnie zamknie, będziesz miała go całego dla siebie.

Alistair Downs moim ojcem? Niemożliwe. Moja matka mówiła, że nie. Wierzyłam jej. Bethany bredziła w obłądnie.

- Alistair nie jest moim ojcem - powiedziałam pewnie. - Nie wiem, skąd przyszedł ci do głowy taki pomysł, ale to nieprawda. Uwierz mi, proszę.

Bethany zignorowała moje próby logicznego wytłumaczenia. Była poza zasięgiem wszelkiej logiki.

Wdałyśmy się w zdającą się nie mieć końca dyskusję o ojcostwie Alistaira. Ona utrzymywała, że był moim ojcem, ja twierdziłam, że nie, i tak w kółko.

- Już czas, żebyś mnie zabiła - oświadczyła wreszcie tak spokojnie, jakby mówiła, że już czas wyjąć blachę z ciasteczkami z pieca.

- Bethany, nie mam najmniejszej chęci cię zabić. - No dobrze. Może malutką. - Może dasz mi pistolet i...

- Zostań tam, gdzie stoisz - poleciała, celując w moją twarz.

Stanęłam nieruchomo.

- Teraz podejdź do zlewu, weź ścierkę i rzuć ją na podłogę przede mną.

Postąpiłam według instrukcji.

- Odsuń się ode mnie i stań w kącie. Posłuchałam.

- Teraz użyję ściereczki do wytarcia moich odcisków palców z pistoletu.

Przyszło mi na myśl, żeby zawołać Culliego, ale przypomniałam sobie jego katatonię po miłosnych igraszkach. Pomyślałam o zawołaniu sąsiadów, ale przypomniałam sobie, że dom oddalony jest od innych o kilkadziesiąt metrów. Przemknęła mi myśl, żeby zawołać dziennikarzy, ale przypomniałam sobie, że porzucili Klonowy Dworek na rzecz Na Zawsze. Na Zawsze! Może jakiś reporter z prasy bulwarowej podążył za Bethany do mojego domu, pomyślałam. Może dziennikarze i kamery telewizyjne wpadną do środka lada moment, przewrócą Bethany na podłogę

i mnie ocalą. A może nie.

- Teraz owinę pistolet w ścierkę.

- Bethany, co robisz? - zapytałam z rosnącym przerażeniem. Jeśli moje przerażenie jeszcze się powiększy, zadusi mnie.

- Już ci mówiłam, Alison. Chcę, żeby sądzili, że mnie zabiłaś i skazali cię na dożywocie. Poczekaj, aż znajdą cię stojącą nad moim ciałem - zwłaszcza kiedy zobaczą liścik, który zostawiłam w Na Zawsze.

- Jaki liścik?

- Ten, w którym napisałam:

Kochany Tatusiu. Gdybyś mnie szukał, pojechałam do Alison Koff, która zatelefonowała do mnie, nalegając, żebym spotkała się z nią jak najszybciej. Groziła mi, więc pomyślałam, że lepiej będzie, jeśli pojedę. To powinno wystarczyć, nie sądzisz?

O Boże. Błagam, niech to się okaże nieprawdą. Niech to się okaże złym snem. Najgorszym z możliwych złych snów.

- Teraz zostań tam, gdzie jesteś i nie ruszaj się nawet o krok - wydała rozkaz, przelożyła pistolet z prawej ręki do lewej, wymierzyła w swoją pierś i odwróciła się twarzą do mnie.

- Bethany! Bethany! - krzyknęłam. - Nie rób tego! Nie pociągaj za spust! Błagam cię! - Zamierzała się zastrzelić na moich oczach, a na dodatek wykrwawić na śmierć w mojej ślicznej, czyściutkiej kuchni. - Bethany! Bethany! Proszę!

Zanim zdążyła nacisnąć spust, ktoś zaczął bębnić w drzwi kuchenne.

- Bethany! Otwieraj! To ja, twój ojciec - ryknął jakiś głos.

Dobry Boże. To był Alistair! W Klonowym Dworku! I korzystał z drzwi kuchennych!

- Tatusiu! - krzyknęła Bethany. Przyciskając broń do piersi podbiegła do drzwi i wpuściła ojca. Nie był sam. Towarzyszył mu Detektyw Od Sław i cały oddział funkcjonariuszy policji w Layton.

- Wszystko w porządku, kochanie. Daj mi pistolet

- powiedział Alistair, przysuwając się do córki. Bethany nawet nie drgnęła. Pozostali też nie.

- No już, Bethany, kochanie. Chcę, żebyś mi dała ten pistolet - spróbował powtórnie Alistair, tym razem bardziej surowo.

Omiotła nas uważnym spojrzeniem, nadal tuląc do siebie broń.

- Jeśli nie chcesz tego zrobić dla mnie, kochanie, zrób to dla Ameryki - naprawdę tak się odezwał!

- Dla naszej wspaniałej ojczyzny. Dla kraju, któremu służyć pomagałaś mi przez te wszystkie cudowne lata w Seattle. Pomyśl, jak rozczarowani byliby obywatele

amerykańscy, gdyby się dowiedzieli, że nie potrafimy rozwiązywać naszych drobnych kłopotów bez rozlewu krwi.

Rozlew krwi. Drobne kłopoty. Byłam oszołomiona. Senator błagał swoją kopniętą córeczkę, żeby się poddała dla naszego kochanego kraju. Musiałam przyznać, że to była wielka rola.

- Chodź, kochanie. Zrób to dla naszego narodu. Proszę cię. Proszę. Grzeczna dziewczynka - powiedział Alistair, delikatnie wyjmując pistolet z jej ręki. - No już. Już. Już dobrze.

Wreszcie Bethany puściła pistolet. Byłam uratowana. Będę żyła, żeby móc o tym opowiadać.

- Może pan ją teraz zabrać - Alistair zwrócił się do Corsiniego.

Corsini. Co za kpina. Przez cały czas, kiedy był w mojej kuchni, usiłowałam nawiązać z nim kontakt wzrokowy, ale unikał mojego spojrzenia. Był chyba zakłopotany sposobem, w jaki spartaczył całą sprawę.

- Bethany Downs - odezwał się Corsini, zakładając Bethany kajdanki. - Ma pani prawo do zachowania milczenia...

Wyrecytował przysługujące jej prawa i wyprowadził Bethany. - Będą nam potrzebne pani zeznania, pani Koff - rzucił, nie patrząc na mnie.

- Z przyjemnością - odparłam, szczęśliwa, że ciężkie chwile wreszcie się skończyły. - U pana czy u mnie?

- Ktoś przyjmie pani zeznania u pani. Potem będzie pani musiała...

- Tak, znam tok postępowania, detektywie. Zjawię się na posterunku, kiedy tylko tutaj skończę - powiedziałam. - Najpierw jednak chciałabym porozmawiać przez chwilę z senatorem Downsem.

Alistair zerknął na mnie, unosząc brwi, potem się uśmiechnął. - Co mogę dla ciebie zrobić, kochanie?

- zapytał pogodnie, jakby właśnie nie wydarzyło się coś bardzo dramatycznego.

- Czy mógłby mi pan poświęcić odrobinę czasu?

- zapytałam.

- Zrozum, kochanie, naprawdę powinienem iść z moją...

- Nie chciałby pan przecież, żebym powiedziała prasie, co było w książce Melanie Moloney, prawda, senatorze?

Zamrugał nerwowo. - Cóż, ja...

- Niech pan usiądzie, senatorze.

Przysunął sobie krzesło i usiadł. Ja nadal stałam.

- Masz wspaniały dom - odezwał się, rozglądając się po kuchni.

- Nie zamierzam rozmawiać o moim domu - zaczęłam. - Interesuje mnie rozmowa o pańskiej córce.

Rozumiem, że znalazł pan pozostawioną przez nią notkę?

- Notkę? Jaką notkę?

- Liścik, który zostawiła w Na Zawsze, mówiący, że jedzie na spotkanie ze mną. Sądziłam, że dlatego się tu pojawiliście.

- Nie - odpowiedział. - Nie widziałem żadnego liściku. Przyjechałem tu, bo śledziliśmy Bethany wspólnie z detektywem Corsinim.

- Śledziliście ją?

- Tak.

- Ale dlaczego? Dlaczego właśnie dzisiejszej nocy? Skoro Corsini zamierzał aresztować Bethany, czemu nie zrobił tego wcześniej? Od wielu dni miał stopy dowodów.

- No tak... ale... Prosiłem policję, żeby wstrzymała... aby dać mojej córce jeszcze jedną...
- Co jeszcze jedno? Jeszcze jedną szansę ucieczki z miasta? A może jeszcze jedną szansę zrobienia komuś krzywdy?
- Mój Boże. Co za pytanie!
- A może chce pan usłyszeć parę odpowiedzi, panie senatorze? Może oszczędzi pan nam obojgu tych głupot i przyzna, że przez cały czas manipulował pan śledztwem, że napuścił pan na mnie policję, aby zyskać czas na opracowanie planu ratowania córki, wysłania jej z kraju albo zrobienia czegoś innego, co takim grubym rybom jak pan pozwala wyplątać się z kłopotliwej sytuacji? Może opowie pan, jak uniemożliwił policji aresztowanie Bethany, jak nie byli w stanie zrobić jednego kroku bez pana pozwolenia, co, senatorze?
- To śmieszne. Nie wiesz sama, co mówisz, kochanie. Pewnie jesteś przemęczona po tych wszystkich.
- Śmieszne? Powiem panu, co jest śmieszne. Śmiechu warte jest to, że od samego początku pociągał pan za sznurki, manewrując Corsinim. Potem, po zorientowaniu się, jak bardzo Bethany jest obłąkana, wystraszył się pan, że może popełnić jeszcze jedno morderstwo. Wtedy przyszedł panu do głowy rewelacyjny pomysł, żeby zbić kapitał na biednej Bethany. Wymyślił pan, że jeśli każe ją śledzić i pomoże policji ją aresztować, będzie pan podziwiany za bezinteresowność, za przywiązanie do amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości, za gotowość czynienia dobra, nawet gdyby miało to oznaczać uwięzienie własnego dziecka. Pomyślał pan sobie: „Alistair, jeśli zaprowadzisz

policję do Bethany, będziesz bohaterem. Zastanów się, Al, stary chłopie. Na tym zadupiu ludzie to kupią". Toteż wydał ją pan. Własną córkę. Już sobie wyobrażam tę konferencję prasową. Żadne oko nie pozostanie suche.

- Mylisz się, młoda damo, podobnie jak twoja matka - powiedział z niesmakiem Alistair.

- Cieszę się, że wspomniał pan o niej - stwierdziłam, stając przed nim. - Bethany zdaje się sądzić, że owocem pańskiego romansu z moją matką byłam ja.

Przełknął nerwowo ślinę, poza tym jednak nie zareagował.

- To nonsens - rzekł zdecydowanie. - Bethany wyraźnie źle się czuje. Nie ma nawet cienia prawdy w tym, co ci powiedziała.

- To samo mówi moja matka - że nie jest pan moim ojcem. Podejrzewam jednak, że nigdy nie poznam prawdy. Każde z was dało mi niezłą porcję cza-cza-cza przez te wszystkie lata.

- Porcję czego?

- Nieważne.

Nagle straciłam ochotę do dalszych dociekań. Nawet jeśli Alistair jest moim ojcem, i tak nigdy tego nie przyzna. Podobnie moja matka. Jaki był więc sens pytać dalej?

Naturalnie, istniały testy umożliwiające ustalenie ojcostwa. Ale czy naprawdę chciałam znać prawdę? Po co? Czy nie mogłam dać się o-cza-cza-cza-ować jeszcze i tym razem?

Przez okno w kuchni patrzyłam, jak senator znika na ścieżce wiodącej na podjazd, gdzie na tylnym siedzeniu któregoś z policyjnych wozów czekała na

niego córka. Parę minut później funkcjonariusz policji, posterunkowy White, przyjął moje zeznania.

- Chcecie, żebym przyjechała na posterunek policji natychmiast, tak? - zapytałam zmęczona.

- Nie - odparł posterunkowy White. - Corsini mówił, że może pani przyjść na posterunek, kiedy pani wygodnie. Jutro. Pojutrze. Kiedykolwiek.

- Kiedy mi wygodnie, tak? - No, no. W końcu zaczęto mnie traktować jak obywatela, nie jak przestępcę.

Odprowadziłam posterunkowego White'a, sprzątnęłam w kuchni i z trudem wdrapałam się po schodach do sypialni.

Cullie spał nadal. Tyle rzeczy się wydarzyło, a facet ciągle spał!

Zdjęłam szlafrok i wsunęłam się obok niego do łóżka.

- Cullie - powiedziałam. - Opowiem ci kawał.

- Odchrząknęłam. Nadal spał mocno.

- Przychodzi facet do lekarza. Doktorze, mówi, za każdym razem, kiedy kichnę, mam orgazm. Mój Boże, odpowiada doktor. Co pan na to bierze? Pieprz

- powiada mężczyzna. Pieprz.

Przytuliłam się do Culliego, wzięłam go za rękę i ścisnęłam.

- Zrozumiałeś? - szepnęłam. - Pieprz. Uśmiechnęłam się i zamknęłam oczy. Po kilku minutach byłam pogrążona w głębokim, nieskomplikowanym śnie.

Epilog

Nie mam żadnych komentarzy w sprawie wyroku, wydanego wczoraj na Bethany Downs, o roli senatora Downsa, czy też na temat rodziny Downsów, z przyjemnością jednak odpowiem na pytania, dotyczące mojego nowego przedsięwzięcia" - oświadczyła Sonny Waxman, założycielka i współwłaścicielka firmy Służąca na Zamówienie, agencji specjalizującej się w zapewnieniu okolicznym mieszkańcom wykwalifikowanej pomocy domowej. Waxman, była żona Sanforda J. Koffa, prezesa domu towarowego Koffa, który niedawno zbankrutował, stała się popularna dzięki środkom masowego przekazu w całym kraju w związku z morderstwem, popełnionym w lutym na mieszkance Layton, autorce bestsellerów, Melanie Moloney, u której pracowała jako pomoc domowa. Waxman powiedziała, że założenie nowej firmy, której główna siedziba mieści się w Layton przy White Birch Place 142, było próbą uwolnienia się od sprawy Moloney, a nie zbitcia kapitału na chwilowej popularności. „Gdy tylko Rose Horowitz zaproponowała mi wspólne prowadzenie interesu" - wyjaśniała Waxman, mówiąc o właścicielce sklepu z używanymi rzeczami Rose, najlepszej organizatorce wyprzedaży w kraju - „zapaliłam się do idei współpracy z tak doświadczoną profesjonalistką. Naturalnie, ludzie będą mi zarzucać, że wykorzystuję fakt bycia służącą Melanie Moloney, ale czemu miałabym się tym przejmować? Byłam cholernie dobrą służącą. I właśnie to proponuje nasza firma, Służąca na Zamówienie - cholernie dobre służące za cholernie godziwe wynagrodzenie. W czasach upadku gospodarczego właściciele

domów są tak zajęci staraniami, by utrzymać swoje posady, że nie mają czasu na sprzątanie domów. Tu właśnie może pomóc Służąca na Zamówienie". W ubiegłym miesiącu, po sprzedaży domu spółce PsychSpas, Ltd., prowadzącej sieć luksusowych ośrodków z całodobową psychoterapią i najnowocześniejszymi kąpielami zdrowotnymi, Waxman przeniosła się do Jessup i mieszka obecnie, razem z fotografem Charlesem C. Harringtonem, na wyremontowanym ostatnio jachcie MARLOWE
„The Layton Community Times" z 20 lipca 1990 roku

ZGUBIONO, ZNALEZIONO

Znaleziono rękopis książki w pobliżu przystani w Jessup.

Mocno zniszczony, ale do uratowania.

Cena do negocjacji.

Dyskrecja zapewniona.

PO Box HK, Jessup, CT 06213.

„The Layton Community Times"

ogłoszenie 27 lipca 1990 roku